

TALLEYRAND

E U G E N I U S Z T A R L E

Wydanie czwarte

KSIĄŻKA I WIEDZA 1967

Wstęp

Dwa powody skłoniły mnie do ponownego wydania pracy mej o Talleyrandzie, znacznie tym razem rozszerzonej i uzupełnionej nowymi materiałami. Po pierwsze, chciałem uzupełnić poprzednią, bardzo zwięzłą charakterystykę nową dokumentacją na podstawie materiałów drukowanych i archiwalnych odnoszących się przede wszystkim do roli Talleyranda w historii polityki zagranicznej Rosji. Po drugie, w okresie gdy nasz niewielki zespół pracował nad trzynomową „Historią dyplomacji”, zarówno nam, współpracownikom, jak i naszemu przedwcześnie zmarłemu redaktorowi W. P. Potemkinowi wielokrotnie przychodziło na myśl, że na historiografii radzieckiej z punktu widzenia naukowego i politycznego ciąży obowiązek systematycznego przedstawienia i udowodnienia w szeregu monografij tych zagadnień, które w ogólnej „Historii” można było poruszyć jedynie na kilku stronach, a czasami nawet w paru wierszach. W opracowaniu, które w swych ramach zawiera historię cywilizacji od głębokiej starożytności aż po dzień dzisiejszy, nie starczyło i nie mogło starczyć miejsca dla wielu szczegółów, niejednokrotnie bardzo zasadniczych. A przecież było rzeczą niemożliwą ofiarować szerokim kręgom społeczeństwa radzieckiego dzieło zawierające dziesięć lub nawet piętnaście tomów.

Osobiście czułem się w obowiązku udokumentować niektóre końcowe wnioski z ostatniego rozdziału III tomu „Historii dyplomacji”, noszącego tytuł „O metodach dyplomacji burżuazyjnej”. Przy pisaniu nieledwie każdej strony tego rozdziału żałować musiałem, że prawdziwie naukowa literatura dotycząca historii dyplomacji jest na Zachodzie tak bardzo uboga, bo wszakże każda teza zawarta w tym rozdziale powinna być właściwie udokumentowana po-

wolaniem się na prace, które bezpośrednio jej dotyczą.

Jak już na to wskazano w końcu wspomnianego rozdziału, wielkie zadanie stojące przed dyplomacją radziecką staje się łatwiejsze dzięki władaniu przez nią potężną bronią, której nie posiadają jej przeciwnicy, a którą jest nauka marksistowska o prawach rozwoju społecznego. Wysnułem z tego prosty wniosek: dyplomacja radziecka dzięki tej niezawodnej teorii nie tylko potrafiła orientować się w wypadkach zachodzących w życiu międzynarodowym, lecz zdołała również przewidzieć kierunek dalszego ich rozwoju. Już wówczas, w toku tych myśli, zapragnąłem przypomnieć czytelnikom owego człowieka, którego burżuazyjna dyplomacja po dziś dzień przedstawia jako godny naśladowania wzór — przypomnieć Talleyranda. Przecież nawet ci nieliczni przedstawiciele rozległej i wciąż rosnącej burżuazyjnej literatury o Talleyrandzie, którzy nie objawiają bezkrytycznego uwielbienia w stosunku do niego i jego wielkiej „mądrości” politycznej, nie mogą jednak powstrzymać się od uznawania jego rzekomej genialności, dając w ostatecznym wywodzie łagodną, czasami nawet wręcz przychylną ocenę ogólną.

Postaramy się możliwie ściśle zanalizować pobudki psychiczne tej w swoim rodzaju niepospolitej jednostki oraz — co jest bez porównania ważniejsze — zbadać zasadnicze przyczyny powodzenia Talleyranda i warunki, które pozwoliły mu na odegranie swej roli; postaramy się również zanalizować te sprawy, w których Talleyrand potrafił przewidywać lepiej niż wielu jego współczesnych, oraz omówić te wypadki, gdy szczęśliwie (lub raczej nieszczęśliwie) przewidywania jego zawodziły.

Działalność Talleyranda interesuje nas nie tylko z historycznego, lecz i ze współczesnego punktu widzenia. Na arenie światowej czynna jest jeszcze dyplomacja, która — jak już zaznaczyliśmy — uznaje księcia Talleyranda za wzór godny naśladowania i bardzo szczerze wypowiada to przy każdej nadarżającej się okazji. Nie tylko jednak praktyczna dyplo-

macja, lecz również dzieła historyczne wydawane w Europie i Ameryce nie przestają popularyzować tego kultu. Nie sami bowiem bezwartościowi, pospolici felietoniści lub bezczelni, nonszalancy kompilatorzy w rodzaju lavalisty Fabre-Luce'a którego popularne dzieła wydawane są w masowych nakładach, wciąż jeszcze wychwalają zdeprawowaną osobę Talleyranda. Zaledwie przed kilku laty wyszła książka znanego burżuazyjnego historyka Guglielmo Ferrero, uroczystym tonem proroczego wieszczka opiewająca bohaterskie czyny, męstwo i jakby od Boga zesłaną mądrość Talleyranda, który na kongresie wiedeńskim „ocalił” i „odbudował” Europę przy pomocy dwóch innych dobroczyńców ludzkości: Ludwika XVIII i Aleksandra I... Wszystkie te idiotyzmy pisze bez żadnego zażenowania człowiek, który już czterdzieści lat temu zyskał pewne uznanie dzięki swej „Historii Rzymu”.

Omawiając współczesną popularną literaturę burżuazyjną o Talleyrandzie trzeba na zakończenie dodać, że Ameryka nie ustępuje tu Europie. „Talleyrand. Przynależenie do męża stanu” — tak zatytułowane jest dzieło Anny Bowman Dodd, niedawno wydane w Nowym Jorku. W oryginale tytuł jest jeszcze bardziej przekonujący: *«The training of a statesman»*. Wyraz *training* zawiera pojęcie przysposobienia, „zaprawy” i „trenowania”. Anna Dodd ma jak najbardziej przychylny zdanie o Talleyrandzie i mówi o nim, że był to „człowiek robiący bardzo dobre wrażenie”, „wielki mąż stanu” itd. Treść i ton tej popularnej książki wyjaśniają dziwaczny na pierwszy rzut oka podtytuł: swym żarliwym, apologetycznym tonem Anna Dodd wyraźnie chce dać do zrozumienia, że i w obecnych czasach, czy to w Ameryce, czy w Europie, kandydat na męża stanu powinien odpo-

wiednio „trenować się” i przygotowywać do swej kariery, studiując ten tak nieosiągalny wzór dyplomatycznej (i ogólnej) doskonałości, jakim w jej oczach był Talleyrand. Przedstawia ona życie Talleyranda właśnie jako przykład najbardziej udanej zaprawy człowieka do tej trudnej kariery.

Niniejsza moja praca ilustruje w konkretny sposób i daje rzeczowy komentarz do niektórych tez naszego zespołowego dzieła pod tytułem „Historia dyplomacji”, a przede wszystkim uzupełnia za pomocą dokumentalnych danych rozdział traktujący o pierwszym trzydziestolecu XIX wieku.

Dyplomacja radziecka, która wyprowadza międzynarodową politykę świata na zupełnie nową, jasną drogę, walczyła w przeszłości i w dalszym ciągu walczy o usunięcie ze stosunków międzynarodowych zasady wiecznej „wojny wszystkich przeciwko wszystkim”, wyrażonej najlepiej w lapidarnym powiedzeniu Tomasza Hobbesa: „człowiek dla człowieka jest wilkiem” (*homo homini lupus est*). Talleyrand — to działacz okresu, w którym zasada ta panowała w pełni i bez żadnych zastrzeżeń. Rewolucja burżuazyjna 1789 roku, choć wniosła tak wiele zmian, nie zachwiała jednak i nie mogła zachwiać tej tradycyjnej zasady dyplomatycznej. Stopniowo zmieniał się cel, swoiście „udoskonalaly się” metody, lecz zasada zachowała całą swą moc, nie mogły się bowiem zmienić podstawy walki dyplomatycznej przy panowaniu społecznego i ekonomicznego ustroju, w którym społeczeństwo podzielone jest na klasy.

W krajach kapitalistycznych nie ma i nie może być nawet mowy o odstąpieniu od tradycyjnych metod dyplomacji, nic więc dziwnego, że w Europie i w Ameryce niektórzy współcześni działacze polityczni, publicyści i historycy okazują zainteresowanie takim «*maestro*» w tej dziedzinie, jakim był Talleyrand.

Ta żywotność tradycji, której jaskrawym przedstawicielem był słynny francuski dyplomata, stanowi dodatkowy powód skłaniający historiografię radziecką do przypomnienia naszym czytelnikom, jakie podsta-

wowe wnioski można wyciągnąć z posiadanych, materiałów co do działalności tego człowieka, tak długo nie schodzącego ze sceny świata.

Podczas przygotowywania do druku niniejszego wydania mojej książki, opracowanego na nowo i uzupełnionego wieloma udokumentowanymi materiałami, dużą pomocą był dla mnie współdziałal szereg osób i instytucyj. Na tym więc miejscu wyrażam serdeczne podziękowanie naczelnikowi wydziału archiwalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych " W. M. Chwostowowi, zastępcy kierownika Archiwum Polityki Zagranicznej E. P. Morawskiej, A. A. Juriewowi, dyrekcji Państwowej Biblioteki Publicznej im. Sałtykowa-Szczedrina w Leningradzie, zarządzającej oddziałem rękopisów tej biblioteki A. D. Lublińskiej i współpracownikom biblioteki K. S. Cokurenko i A. D. Goldbergowi, dyrektorowi biblioteki Akademii Nauk w Moskwie D. D. Iwanowowi, dyrektorowi Biblioteki Akademii Nauk w Leningradzie J. J. Jakowkinowi i jego współpracownikom S. M. Danini i W. M. Tamaniowi, dyrekcji i współpracownikom Biblioteki Literatury Obcej, dyrekcji i współpracownikom Biblioteki Historycznej w Moskwie, dyrekcji i współpracownikom Państwowej Biblioteki im. W. I. Lenina, Bibliotece Uniwersytetu Leningradzkiego, docentowi Uniwersytetu Leningradzkiego I. G. Gutkinej i bardzo mi pomocnej w mej pracy (szczególnie przy uzupełnianiu bibliografii) współpracownicze Instytutu Historii przy Akademii Nauk ZSRR, A. W. Pajewskiej. Z wdzięcznością wspominam również mych nie żyjących już współpracowników (zmarłych podczas oblężenia Leningradu) L. W. Szeszynowa i I. J. Kolubowskiego, którzy wydatnie mi dopomogli pracując nad bibliografią.

Rozdział 1

Talleyrand — dyplomata wczesnego okresu burżuazyjnego

Zanim przejdziemy do omawiania życia i charakterystycznych cech Talleyranda, rozważmy następujące zagadnienie: na czym polegała różnica pomiędzy jego dyplomacją a tradycyjnymi metodami starych wirtuozów tej sztuki? Różnicę tę można scharakteryzować w kilku słowach: Talleyrand był dyplomata pnącej się ku górze burżuazji, i rozpoczynającego się okresu jej supremacji, zwycięskiej ofensywy kapitału i upadku ustroju feudalno-szlacheckiego, i on to właśnie, Talleyrand, zorientował się pierwszy, w jakim kierunku trzeba zmienić stare dyplomatyczne nawyki.

Należy zaznaczyć, że ściśle badania nowoczesnej historii dyplomacji możliwe są właściwie dopiero od XIV—XVI stulecia, od chwili powstania i okrzepnięcia wielkich państw „narodowych”, kiedy to po raz pierwszy stały się możliwe wielkie starcia między mocarstwami. W okresie drobnych potyczek feudalnych, jakie władcy-obszarnicy toczyli ze sobą we wczesnym średniowieczu, dyplomacja w ścisłym znaczeniu tego słowa prawie nie istniała w feudalnej Europie. Rzeczywista, całkowita niezależność feudałów od iluzorycznej centralnej władzy królewskiej lub cesarskiej przemieniała Europę w okresie wieków średnich (od XV—XVI stulecia) w konglomerat złożony z kilku tysięcy karłowatych „państweczek”, które nieustannie kłóciły się, godziły, znów były się ze sobą i znów się godziły — celem ich zaś było zawsze urwanie dodatkowego obszaru albo

ograbienie sąsiedniego zamku lub wreszcie uprowadzenie bydła z cudzej wioski.

W okresie od XIV do XVII wieku, gdy na skutek przemian społeczno-ekonomicznych powstały wielkie państwa, gdy burżuazja zaczęła podnosić głowę uzyskując nawet gdzieśgdzie (w Holandii, a następnie w Anglii) wyraźny wpływ na sprawy państwowe, gdy mocarstwa europejskie szeroko rozwinęły pogoń za bogatymi krajami zamorskimi, gdy zdobycie i podział Ameryki, Indii, Indonezji znalazły się na porządku dziennym, gdy zaczęły się walki o supremację w Europie — wówczas sztuka dyplomatyczna uznana została za potężne narzędzie, dające szansę powodzenia każdemu ze współzawodniczących państw, czy to w zakresie zdobyczy terytorialnych, czy też jako „instrument” przygotowywania wojny w jak najdogodniejszych warunkach.

Ale właśnie historia dyplomacji tych ostatnich przedrewolucyjnych stuleci w niezwykle ciekawy sposób potwierdza słusność starego przysłowia, że często „martwy chwyta się żywego”, że stare przyzwyczajenia nie ustępują od razu miejsca nowym metodom, że choć podstawowe warunki pracy dawno już uległy zmianie, pracownicy niekiedy nie chcą lub nie mogą tego zrozumieć.

Spójrzmy na najwybitniejszych przedstawicieli dyplomacji starego reżymu. Jeżeli wyłączymy genialnego Szweda Axela Oxenstiernę, kanclerza pierwszej połowy XVII wieku, oraz Richelieu, to cóż nas uderza w takich ludziach, jak Choiseul, francuski minister połowy XVIII wieku, lub hrabia Vergennes czy też utalentowany austriacki kanclerz Kaunitz — nie mówiąc już o osobistościach średniej miary? Wszyscy ci dyplomaci kierujący polityką wielkich państw zachowują się po prostu jak dawni szambelani, „merowie pałacowi”, lub jak dobrzy, dziarscy, usłużni rządcy kogoś z dawnych obszarników feudalnych. Prawie zawsze obce im jest zrozumienie stałych,

działających na długą metę, historycznych potrzeb państwa. Są to ludzie uzależnieni od chwilowych kaprysów i nastrojów swych rozkazodawców. Pojęcie „dwór” i „rząd” jest dla nich zawsze i pod każdym względem równoznaczne z pojęciem „dwór” i „państwo”. Służą oni monarsze absolutnemu, lecz tylko o tyle, o ile monarcha służy szlachcie, górnym warstwom arystokracji i obszarników. Biada mu, jeżeli spróbuje choćby nieśmiało odchylić się od tej linii postępowania. Gdy cesarz austriacki Józef II chciał tylko poruszyć kwestię poddaństwa, jego dyplomaci zdradzili go i sprzedali. Gdy głowa rządu portugalskiego, minister Pombal, spróbował przeprowadzić najbardziej umiarkowane reformy burżuazyjne, dyplomaci portugalscy zaczęli za jego plecami podkopywać tę politykę i w przejrzysty sposób dawać do zrozumienia Anglikom i Hiszpanom, iż dobrze by było ukrócić zbyt gorliwego reformatora. Polityka zagraniczna jako dziedzina służby państwowej stała się trwałą, dziedziczną i całkowicie zmonopolizowaną domeną rodów arystokratycznych; jest rzeczą zrozumiałą, że przedstawiciele arystokracji przez długi okres czasu widzieli w tym monopolu niezastąpiony środek popierania interesów swej klasy za pomocą tak potężnej broni, jaką jest państwowa polityka zagraniczna.

I oto, początkowo w toku samej rewolucji, a następnie za czasów dyktatora wojskowego Francji, który wyszedł z łona rewolucji i wkrótce stał się władcą Europy — na scenie pojawia się jako wykonawca jednej z pierwszych ról wielkiego historycznego dramatu wyrafinowany, nad wyraz przenikliwy, utalentowany arystokrata, który od razu, i to bezbłędnie, przewiduje nieuniknioną polityczną zagładę swej własnej klasy społecznej i całkowity triumf obcej mu i antypatycznej burżuazji. Zdaje on sobie z góry sprawę, że w walce tej następować będą przerwy, kroki wstecz, nowe zrywy, zmienne koleje losu dla każdej ze stron — i za każdym razem przewiduje

zbliżające się natarcie i prawidłowo ocenia jego wynik. To wyczucie dawało mu zawsze możliwość opowiedzenia się na czas po stronie przyszłych zwycięzców, aby zbierać potem obfity plon swej przenikliwości. Książę Talleyrand wiedział tylko ze słyszenia, co to są „zasady”, zaś co to jest „sumienie”, dowiadywał się od czasu do czasu z rozmów swego otoczenia; uważał on, że te dziwaczne właściwości ludzkiej natury mogą być bardzo korzystne, lecz nie dla tych, którzy je posiadają, ale dla tego, kto ma do czynienia z ludźmi o takich właściwościach psychicznych. „Obawiajcie się pierwszego odruchu duszy, gdyż jest on zwykle najbardziej szlachetny” — uczył Talleyrand młodych dyplomatów, którym również przypominał, że „człowiek posiada język po to, by ukrywać swe myśli”.

Książę Talleyrand, który kolejno zdradzał i sprzedawał za pieniądze lub inne świadczenia korzystających z jego usług ludzi; który przeobrażał się jak kameleon; który w ciągu całego swego życia nie sprzedał jedynie swej matki (i to, jak się wyraził pewien wrogo do niego usposobiony dziennikarz, jedynie z braku nabywców) — ten sam Talleyrand nie zdradził właściwie tylko obcej mu osobie klasy — burżuazji, i to właśnie dlatego, że uważał jej zwycięstwo za bezwzględnie trwałe. Gdy w roku 1814 popełnił on kolejną zdradę, stając się zwolennikiem restauracji Bourbonów, to i wówczas wszelkimi siłami starał się wtłoczyć w te beznadziejne, emigranckie, szlacheckie czerepy, że zachowają władzę jedynie pod tym warunkiem, iż własnymi rękami uprawiać będą politykę dogodną dla nowej, porewolucyjnej burżuazji. W rzadkich tylko chwilach, i to dla przelotnych względów natury osobistej, wtórował on reakcyjnym rojalistom.

Talleyrand był jednak człowiekiem nowego, burżuazyjnego okresu nie tylko z tego względu, że! zdradzając przez całe swe życie wszystkie rządy służył wytrwale wielkiej burżuazji i współ-

działał w umocnieniu jej wszelkich osiągnięć, które uzyskała ona podczas rewolucji i które starała się zachować przy Napoleonie i po jego upadku. Nawet w stosowanych przez siebie chwytach, w samej metodzie działania, Talleyrand był dyplomatą tego nowego, burżuazyjnego okresu. Dla niego wyraz „Francja” oznaczał nie arystokratyczny „dwór” i interesy poszczególnych koterii, nie szlachtę z jej feudalnymi przywilejami, lecz nowe, stworzone przez rewolucję państwo burżuazyjne z jego podstawowymi potrzebami i zadaniami w dziedzinie polityki zagranicznej. Wiedział on wprawdzie, że mogą być jeszcze nadal stosowane z powodzeniem podstępny i figle dyplomacji XVIII wieku, różne zawile intrygi dworskie, uknute nierzadko w alkowach, maskaradowi emisariusze i tajni agenci, wywieranie wpływów przez tę czy inną kochankę lub wreszcie wykorzystywanie religijnych zabobonów monarchy — lecz wiedział również, że nastąpiły czasy, w których zarówno w kraju, jak i u sąsiada należy się bardziej liczyć z bankierem niż z faworytą króla, bardziej z obligacjami giełdowymi niż z przejętym intymnym liścikiem, z pojedynkami zaś o tyle tylko, o ile walka toczy się za pomocą taryf celnych, a nie na rapiery. W związku z tym Talleyrand posługiwał się takimi środkami, jak bezpośrednie ustne oświadczenia, noty, memoranda lub też akredytowanie oficjalnych dyplomatycznych przedstawicieli; starał się przy tym wywierać wpływ przez manifestowanie w razie potrzeby (zresztą bardzo rzadko) swej gotowości do działań wojennych lub też przez zbliżenie z tym czy owym wielkim mocarstwem dzięki zręcznemu i w porę wykonanemu manewrowi. W rzeczach tych okazał się wielkim artystą. Talleyrand, sługa państwa burżuazyjnego, różnił się od dyplomatów starej szkoły, którzy absolutnie nie mogli zrozumieć, że pierwsza połowa XIX wieku nie jest podobna do XVIII stulecia, nawet w końcowych jego latach; nie przy-

pominał on w niczym rosyjskiego kanclerza Karola Wasiliewicza Nesselrode, który szczycił się, iż całe swe życie był wiernym i uniżonym sługą Mikołaja I.

Nie zachodzi również podobieństwo pomiędzy Talleyrandem a Bismarckiem, który mimo wszystko nie wyzbył się do końca pewnych iluzji, bardzo szkodliwych dla dyplomaty okresu burżuazyjnego. Bismarck na przykład przez długi czas wyrażał pogląd, że przymierze francusko-rosyjskie jest rzeczą niemożliwą, gdyż car i „Marsylianka” nie są do pogodzenia. Dopiero w roku 1891, kiedy Aleksander III stojąc z obnażoną głową na redzie kronsztadzkiej wysłuchał „Marsylianki”, Bismarck, który był już wówczas odsunięty, zrozumiał poniewczasie, jak fatalną popełnił omyłkę. Nie przyniosło mu żadnej pociechy podane przez stronę rosyjską wnikliwe wyjaśnienie tego incydentu, jakoby car nie przysłuchiwał się słowem, lecz zachwycał się jedynie piękną melodią francuskiego hymnu rewolucyjnego. Talleyrand nigdy by nie popełnił podobnego błędu, lecz rozważyłby tylko możliwość zerwania paktu rosyjsko-niemieckiego, poinformowałby się na czas, i to bardzo szczegółowo, o potrzebach skarbu rosyjskiego oraz zapasach złota w banku francuskim i już na dwa lata przed Kronsztadem odgadłby trafnie, że car bez wahanja odczuje i pochwali melodię „Marsylianki”.

Talleyrand — o ile nie kierował się w swej działalności osobistymi interesami i chciwością — przyczyniał się do umocnienia zwycięstwa burżuazji i spełniał wówczas, obiektywnie biorąc, dodatnią, postępową rolę historyczną. Jego osobiste cechy charakteru wywoływały jednak oburzenie i obrzydzenie. Dla wielu był on uosobieniem jakiegoś „ducha zła”. Tak na przykład członkowie Akademii Francuskiej Brifaut przy acompanyamencie ogólnego śmiechu ironicznie zapewniał, że gdy Talleyrand po śmierci przybędzie do piekła i uda się z wizytą do Belzebuba, ten odezwie się

do niego: „Dziękuję, mój drogi, lecz musi pan przyznać, że przekroczył pan do pewnego stopnia moje instrukcje!”

Nas jednak bardziej interesuje tutaj co innego. Wspomniałem już, że o Talleyrandzie zaczęli gorliwie mówić po pierwszej wojnie światowej i najczęściej o nim mówią właśnie krytycy współczesnych dyplomatów. „Czyż nie wstyd Georges'owi Bonnet, zasiadającemu na fotelu wielkiego Talleyranda, że dał się tak haniebnie oszukać Hitlerowi!” — czytaliśmy w styczniu 1939 roku w prasie francuskich radykałów. Wszystko tu jest nieprawdą. Po pierwsze, Georges Bonnet, minister spraw zagranicznych w gabinecie Daladiera, bynajmniej nie został „oszukany” przez Hitlera, lecz z pełną świadomością i całkowitą gotowością porozumiał się z nim i rozmyślnie mu pomógł. Najpierw on, a następnie Laval po prostu sprzedali Francję faszystom niemieckim. Po drugie, współczesny krytyk działalności Georges'a Bonnet nie rozumiał (lub nie chciał zrozumieć), że Talleyrand żył i działał w latach, gdy kapitalizm gwałtownie piał się w górę, gdy szybkimi krokami postępował rozwój burżuazji we Francji, gdy burżuazja francuska jeszcze mogła i chciała bronić swych praw i roszczeń przed burżuazją innych krajów wszelkimi posiadanymi środkami, czy to siłą zbrojną, czy też sztuką dyplomatyczną. Wówczas klasie tej szli na pomoc najwięksi wodzowie, najwybitniejsi dyplomaci, najbardziej potrzebne jej talenty w każdej dziedzinie działalności politycznej, szli do niej Napoleonowie i Talleyrandowie. Obecnie burżuazja francuska myśli już nie o walce z burżuazją innego kraju, lecz o sojuszu z nią, by razem uderzyć na wspólnego wroga — proletariat, który zmierza do przejęcia władzy. Wczoraj jeszcze chwytano się sojuszu z Hitlerem, dziś — sojuszu z giełdą nowojorską. Sprawa bynajmniej nie polega tylko na odmiennej skali uzdolnień umysłowych, nie polega ona na tym, że porównywanie z Talley-

randem tegoż Bonneta lub Raynaulda, Daladiera, Leona Bluma lub wreszcie Bidaulta pod względem sztuki dyplomatycznej, dalekowzroczej przenikliwości, przebiegłości i finezji — byłoby mniej więcej tym samym, czym np. w dziedzinie poezji zestawienie Trediakowskiego z Puszkinem. Sprawa polega na różnicy pomiędzy zadaniami, które stawiała swym sługom na początku XIX wieku silna, młoda, zaborcza i chciwa burżuazja, a zadaniami, które stawia obecnie swym sługom niedołączna, tchórzliwa, przeczuwająca swój bliski koniec, wzbogacona, obżarta i trzęsąca się o kabzę burżuazja francuska.

Nie można oczekiwać dyplomatycznych sukcesów od kogoś, komu w najlepszym razie daje się na drogę tego rodzaju błogosławieństwo: „Udawaj, że walczysz z wrogiem, z Hitlerem, lecz pamiętaj, że bardzo mocno bić go nie należy, bo a nuż położy się na dobre, a wówczas cóż pocniemy bez niego z tą światową rewolucją?” Lub gdy poucza się dyplomate, że należy stwarzać pozory, iż jest się za sojuszem z państwem radzieckim, lecz równocześnie pamiętać, że sojusz ten jest niedogodny dla pewnych potężnych giełd i że wobec tego przy nadarzającej się sposobności należy w stosunku do związku Radzieckiego ujawniać wrogość, a nawet zuchwalstwo.

Z pokolenia na pokolenie, począwszy od Talleyranda aż do dnia dzisiejszego, przekazywana była w spuściźnie burżuazyjnym dyplomatom tradycja obłudy, stałego i różnorodnego szachrajstwa, niegodziwości, zdradzieckiego gwałcenia zarówno litery, jak i sensu najbardziej uroczystych traktatów i zobowiązań. Już z tego względu czytelnik radziecki, który nie powinien nigdy zapominać o kapitalistycznym otoczeniu, ma prawo żądać, by go zaznajomiono z postacią Talleyranda i jego biografią.

Atoli zaznajamiając się z tą całkowicie amoralną jednostką czytelnik powinien pamiętać, iż historia wykopała przepaść nie do przebycia mię-

dzy obiektywnymi wynikami działalności Talleyranda a rezultatem sztuczek dyplomatycznych jego dzisiejszych następców.

„Zadanie społeczne”, które ongiś burżuazja Francji powierzyła Talleyrandowi, było w perspektywie historii zadaniem w istocie rzeczy postępowym; „zadanie społeczne”, które stawiała ona i stawia obecnie przed spadkobiercami Talleyranda, prowadzi wprost i bezpośrednio w mrok beznadziejnego podporządkowania się rozbestwiomenemu faszystowskiemu despotyzmowi, prowadzi w otchłań zaciekłego obskurantyzmu. Talleyrand dopomagał burżuazji do pochowania feudalnego średniowiecza — i to zapewniało mu powodzenie i Późniejsi jego spadkobiercy sprzed drugiej wojny światowej usiłowali dla uratowania teje burżuazji zawrócić wstecz koło historii i ze wszystkich sił pomagali niemieckim barbarzyńcom faszystowskim, którzy z całą bezczelnością wskrzeszali najgorsze praktyki tegoż od dawna zbutwiałego średniowiecza. Nic więc dziwnego, że następcy ci spotykali na swej beznadziejnej drodze jedynie sromotne niepowodzenia i rozczarowania.

Dwie podstawowe zasady, jak gwiazda przewodnia, przyświecały Talleyrandowi przy konsekwentnym dokonywaniu zawsze dla niego osobiste korzystnych zrad. Oto jak można by zasady te sformułować.

Po pierwsze: utrzymanie lub przywrócenie we Francji ustroju feudalnego z końca XVIII i początku XIX stulecia jest absolutnie niemożliwe. Z tego też względu Talleyrand zdradził monarchię Ludwika XVI i przeszedł w roku 1789 na stronę rewolucji burżuazyjnej, a następnie po raz drugi zdradził Bourbonów i po zwycięstwie rewolucji lipcowej 1830 roku opowiedział się po stronie lipcowej monarchii burżuazyjnej Ludwika Filipa.

Po drugie: stworzenie światowej monarchii za pomocą wojen zaborczych, podporządkowanie

wszystkich państw europejskich francuskiemu samowładcy jest przedsięwzięciem nieziszczalnym, absurdalnym, które bezwzględnie musi się zakończyć dla Francji przegraną i katastrofą. Dla tego też powodu zdradził on Napoleona najpierw potajemnie (w latach 1808—1813), a następnie jawnie (w roku 1814) i przeszedł na stronę wrogów cesarza.

Pod względem realnej oceny sytuacji historycznej obie te podstawowe zasady Talleyranda były całkowicie słuszne, co zostało potwierdzone przez bieg wypadków. Należy zaznaczyć, że sam Talleyrand stara się uzasadnić tymi poglądami całą swą grę polityczną. Jednak przemilcza przy tym skromnie, że nigdy nie służył tym dwom zasadniczym ideom w walce uczciwej, lecz że działał zawsze za pomocą krętych, zamaskowanych podstępów, za co otrzymywał wynagrodzenie zarówno od tych, na czyją korzyść dokonywał swej rozkładowej roboty, jak i od tych, pod których podkładał swe miny, których zdradzał, sprzedawał, a przy okazji nawet celowo dezorientował swymi radami, kierując się zawsze własnym interesem.

Im bardziej potomność oddalała się od czasów Talleyranda, tym bardziej nowe pokolenia uznawały udowodnioną przez historię prawidłowość dwóch głoszonych przez niego zasad i tym bardziej puszczane były w niepamięć jego metody działania, hańbiące pobudki osobistego postępowania, absolutne (bez żadnego wyjątku) ignorowanie wszystkiego, co choć trochę byłoby zbliżone do sumienia. Ostateczne sukcesy jego zasadniczych poglądów, jak również stałe osobiste powodzenie, zawsze, zwłaszcza przy końcu życia Talleyranda, podnosiło jego autorytet w oczach burżuazyjnych mas nie tylko Francji, lecz również całej Europy i Ameryki.

Jak już zaznaczyliśmy, znajduje to do dnia odbicie w zachodniej literaturze o francuskim dyplomacie.

Rozdział 2

Talleyrand w okresie „starego reżimu” i rewolucji

W pamięci ludzkiej postać Talleyranda pozostaje związana z kręgiem ludzi, którzy, jeśli nawet nie skierowali historii na pożądane dla siebie tory (jak to się przez długie lata wydawało historykom idealistycznej, szczególnie „heroicznej” szkoły), byli jednak charakterystycznym, żywym symbolem i bohaterami wielkich historycznych wypadków, rozgrywających się w ich czasach.

Charakterystyka, którą postaram się dać poniżej, nie ma i nie może mieć na celu wyczerpującego zobrazowania wydarzeń służących jako materiał do wyjaśnienia historycznej roli osoby Talleyranda.

Uwagę naszą skupimy przede wszystkim na przyczynach tak charakterystycznego dla burżuazyjnej literatury nadmiernego wyolbrzymiania roli francuskiego dyplomaty, jak również na zagadnieniu, do jakiego miejsca w historii może pretendować Talleyrand w świetle naukowo uzasadnionej analizy materiałów dotyczących wypadków, w których miał on osobisty udział.

Nie należy zwłaszcza pominąć nadzwyczaj ciekawego faktu. Można wyliczyć szereg wybitnych ludzi, którzy raz przyznawali Talleyrandowi wyjątkowe zdolności umysłowe, to mu znów ich odmawiali. Poczynając od Napoleona, który uważał, że Talleyrand jest dla niego dogodny, bardzo zdolny i zręczny, lecz prawdziwego umysłu męża stanu i szerokich poglądów nie posiada, cytując dalej Louis Blanca, Palmerstona, Hercena, nie mówiąc już o Karolu Marksie — wybitni ci lu-

dzie, tak zupełnie od siebie odmienni, odczuwali od czasu do czasu potrzebę wypowiedzenia w przybliżeniu tego, co tak dobitnie wyraził Engels w artykule „Początek końca Austrii”. W artykule tym zarówno Talleyrand, jak Metternich i Ludwik Filip uznani zostali za „przeciętnych” ludzi, pasujących „do naszej przeciętnej epoki”, pomimo że „w oczach niemieckiego mieszczucha są oni tymi trzema bożyszczami, które w ciągu trzydziestu lat kierowały historią świata jak teatrem kukiełek”

Hercen zaś niemal równocześnie z Engelsem i zupełnie niezależnie od niego pisał w swym dzienniku w lipcu 1843 roku: „Talleyrand dowiódł wreszcie, że szachrajstwo to nie to samo co genialność”. Hercen jednak wyraźnie omylił się, dodając w tymże dzienniku, acz w innym miejscu (również w związku z Talleyrandem): „Szachrajstwo w dyplomacji pozostaje nadal wstrętnym przyzwyczajeniem, co jest niedopuszczalne”. Niestety, okazało się ono całkiem „dopuszczalne” aż do najnowszych czasów. Przez młodego Hercena przemawiał jeszcze wówczas romantyzm i optymizm, w późniejszym wieku nie powiedziałby tego.

Ci sami myśliciele i wybitni ludzie w innych chwilach i w innych okolicznościach wypowiadali się o umysłowości Talleyranda zupełnie inaczej; przyznawali, że ma inteligencję subtelną i rozległą, zadziwiającą przenikliwość i dowcip. Tenże Hercen np. wymienia zawsze Talleyranda jako synonim wysoce utalentowanego dyplomaty.

Na czym polega tajemnica tych sprzecznych opinii? Przede wszystkim na całkiem naturalnej

reakcji wobec nedorzecznego wyolbrzymiania osobistej działalności Talleyranda w wypadkach historycznych. Porównując Talleyranda z jakimś istotnie „przeciętnym” Drouyn de Lhuyssem, ministrem Napoleona III, Marks sztych z pretensji entuzjastycznych chwalców Drouyn de Lhuysa, którzy ośmielają się zestawiać go z Talleyrandem. Gdy jednak Marks lub Engels czytali, że Talleyrand i Metternich to „bożyszczka”, które według własnej zachcianki kierują historią świata, jest rzeczą naturalną, iż czuli uzasadnioną potrzebę najsurowszej oceny tych „bożyszczek”. Gdy ktoś z całą powagą czynił aluzję Napoleonowi, że bez mądrego Talleyranda obejść się nie można, cesarz, który przez długie lata codziennie obserwował swego pokornego dworaka i który zdawał sobie sprawę, że Talleyrand nie przejawiał żadnej twórczej inicjatywy w zakresie tak wewnętrznej, jak i zagranicznej polityki cesarstwa — odczuwał również potrzebę odpowiedniego scharakteryzowania swego „wspaniałego” ministra. Napoleon na krótko przed śmiercią przyznał, że Talleyrand był najmądrzejszym ze wszystkich jego ministrów. Sucha, niezdolna do żadnych wzruszeń, jakby odrętwiała natura Talleyranda pozbawiona była wszelkich cech twórczych, nie znała pobudek ideowych, nieegoistycznych, i z tych już choćby względów nie można mu przyznać umysłu prawdziwego męża stanu. „Wielkie myśli rodzą się z wielkich uczuć” — powiedział w XVII stuleciu La Rochefoucauld. A przecież Talleyrand nie miał żadnych władających nim „wielkich uczuć”, którymi by się kierował w swych dążeniach i planach, o ile pominiemy oczywiście plany i zamiary podyktowane względami na własną karierę. Jeśli jednak nie miał on „wielkich uczuć”, to obdarzony był potężnym, wiecznie czujnym i nieomylnym instynktem sa-

mozachowawczym, który zawsze na czas go ostrzegwał. Dzięki temu instynktowi Talleyrand odgadywał, gdzie tkwi dzisiaj siła i kto będzie ją miał jutro, po czym bez wahania przerzucał się na właściwą stronę. A że karierę swą robił właśnie w polityce, przeto dar instynktownego przewidywania, pobudzający w nim całą energię myśli, wskazywał mu najpewniejszą (tj. osobiście dla niego dogodną i bezpieczną) drogę polityczną.

Żyjąc w epoce rewolucji burżuazyjnej, następnie zaś cesarstwa burżuazyjnego, potem w okresie bezsilnych i skazanych na klęskę prób feudalno-szlacheckiej reakcji, mającej na celu stłumienie wzmacniającej się z każdym dziesięcioleciem burżuazji, wreszcie w latach, gdy wielka burżuazja ostatecznie zwyciężyła przy Ludwiku Filipie — księżę Talleyrand, biskup z Autun, odwrócił się od swej klasy społecznej zrozumiałwszy, iż jest ona skazana na zagładę, a zgłosił się na służbę do obcej sobie klasy, dla której historia przeznaczyła zwycięstwo.

Etapy tej walki pomiędzy odchodzącą klasą społeczną a tą, która przychodzi na jej miejsce, najłatwiej jest śledzić na podstawie biografii Talleyranda. Na przestrzeni bowiem długiego jego życia nie znajdujemy żadnego śladu wątpliwości, wyrzutów sumienia, skruchy; zapatrywał się on na historię jako na nieustanną grę sił i ze zdziwieniem oraz pogardą spoglądał na tych wszystkich, którzy nie przechodzili bezzwłocznie na stronę zwycięzcy, ulegając rozterkom i wahaniom zupełnie dla niego niezrozumiałym. Jego zdrady, przejścia z jednego obozu do drugiego, wszelkie machinacje, których dopuszczał się z niebywałą łatwością, „bez walki, bez ciężkich dumań” — były to kamienie milowe na drodze „powstawania” burżuazji, poczynając od chwili, gdy po raz pierwszy zostało obwieszczono ustami Sieyesa, że burżuazja ma być „wszystkim”, aż do chwili, gdy Kazimierz Périer i Guizot uroczyście gratulowali jej osiągnięcia tego celu.

Talleyrand nie odznaczał się bynajmniej twórczym, konstruktywnym umysłem i pod tym względem nie może się nawet równać z wieloma współczesnymi mu ludźmi, jak Turgot we Francji, M. M. Speranski w Rosji czy George Canning w Anglii, nie mówiąc już o zupełnie wyjątkowych indywidualnościach. Wymienieni działacze różnią się od Talleyranda nie tylko swym oddaniem i służbą dla idei, którą słusznie czy niesłusznie uważali za dobrą dla państwa, lecz również i zdolnościami umysłowymi. Dawało im to możliwość wykazywania inicjatywy w dziedzinie ustawodawczej, proponowania i wprowadzania w życie nowych planów w dziedzinie polityki wewnętrznej i zagranicznej, torowania nowych dróg wiodących do przekształcenia aparatu państwowego. Talleyrand w najmniejszym nawet stopniu nie posiadał tych cech. Wielką przebiegłość, wrodzony, zdumiewający takt, instynktową czujność, zrozumienie ludzi (zwłaszcza wrogów) — wszystko to posiadał natomiast niewątpliwie, chociaż i tu należy uczynić zastrzeżenie: na przykład Aleksandra I nigdy nie mógł przejrzeć i zrozumieć, wskutek czego nieraz popełniał błędy.

Znany francuski krytyk i historyk literatury Sainte-Beuve w artykułach swych o Talleyrandzie również nie jest skłonny do zachwytów ponad miarę nad mądrością księcia. Wspominając o całkowicie nieudanym proroctwie Talleyranda co do francuskiej wyprawy wojennej na Hiszpanię w roku 1823, Sainte-Beuve pisze: „Gdy mówi się o nieomyślnej mądrości p. Talleyranda, zbyt pochopnie zapomina się o jego przemówieniu (na temat wojny 1823 r.). Lecz jeśli idzie o przepowiednie, to ludzie pamiętają tylko te, które się sprawdziły” .

Bez porównania rzadziej zawodził Talleyranda dar przewidywania, gdy w grę wchodziła jego osobista kariera i bezpośredni interes, lecz i w tych wypadkach zdarzało mu się czasami wpaść w kłopoty. Wystarczy tu przypomnieć, że w roku 1815 (po Stu Dniach) Talleyrand, chcąc jedynie dokonać manewru, zagroził Ludwikowi XVIII swą dymisją, ten zaś wziął to całkiem serio i dymisję przyjął, a Talleyrand ku swemu zdziwieniu i zmartwieniu został odsunięty na piętnaście lat od jakiegokolwiek udziału w polityce kraju.

Wspomnieliśmy wyżej nazwisko Turgot. Wszakże Turgot, współczesny Talleyrandowi, lecz starszy od niego, zrozumiał również (i to o wiele wcześniej), że monarchia francuska kroczy ku swej zgubie wiążąc coraz silniej swój los historyczny z losem szlachty, nie chcącej rozstać się ze swymi" przywilejami. Turgot uważał też, że wznrastająca burżuazja to klasa społeczna mająca przed sobą przyszłość, dlatego też poszedł w swych ustawodawczych projektach i w swej działalności administracyjnej drogą, którą uważał za zbawienią dla Francji i dla monarchii. Gdy zaś zmoęła go dworsko-szlachecka reakcja z Marią Antoniną na czele, zdymisjonowany poszedł na wygnanie i po krótkotrwałym (od 1774 do 1776 r.) sprawowaniu urzędu ministra raz na zawsze usunął się od spraw publicznych. Czy jest jednak do pomyślenia, by Turgot przeszedł od razu na stronę królowej oraz otaczającej ją dworskiej kamaryli i niezwłocznie zaczął wypowiadać się w duchu wręcz sprzecznym że swymi zasadami, wszystko to zaś jedynie po to, by nie być pozbawionym stanowiska i związanych z nim dochodów?

Upłynęło równo czterdzieści lat od chwili zdymisjonowania Turgota. On sam dawno już nie żył. Od dawna zginęli na gilotynie król, królowa i znaczna część ich otoczenia. Ucichły gromy rewolucji i napoleońskiej epopei. Mamy przed sobą Paryż 1814 roku. Na tronie znów są Bourbonowie,

którzy niedawno powrócili. Otaczają ich synowie i wnuki tych, którzy tak pochopnie i triumfalnie usunęli Turgota. Tym razem grupują się oni nie wokół Marii Antoniny, lecz wokół człowieka znacznie od niej szkodliwszego i głępszego, tępego fanatyka szlacheckiej rewolucji, hrabiego Karola d'Artois, królewskiego brata. Zrządzeniem losów Bourbonowie na naczelnym miejscu hierarchii państwowej zastają księcia Talleyranda, który tak samo jak Turgot widzi jedyny ratunek dla dynastii w odwróceniu się od szlachecko-feudalnej reakcji i wkroczeniu na drogę nie szlacheckiej, lecz właśnie burżuazyjnej monarchii. Toteż stara się on działać w tym duchu. I znów, choć w zupełnie innych warunkach, powtarza się kryzys 1776 roku, wpływy reakcjonistów na dworze wzrastają, a przed Talleyrandem powstaje dylemat: albo dymisja, albo uległość. W mgnieniu oka wypiera się on wszystkiego, co przed chwilą głosił, i pisze haniebny list do Aleksandra I, w którym prosi cara, by nie obstawał przy konstytucji dla Francji... Poniżej znajdują czytelnicy analizę tego listu, na tym zaś miejscu chcieliśmy tylko zobrazować różnicę pomiędzy rozumem męża stanu tej miary co Turgot a kręactwem i przewrotnością pozbawionego zasad, chciwego karierowicza i dworaka — Talleyranda.

J Księcia Talleyranda nie nazywano po prostu kłamcą, lecz „ojcem kłamstwa”. W rzeczywistości nikt nigdy nie mógł równać się z tym niezwykłym w swoim rodzaju człowiekiem w sztuce świadomego paczenia prawdy przy jednoczesnym zachowaniu postawy majestatycznej, a zarazem niedbałej, zdradzającej wszelki brak zainteresowania oraz niczym nie zamużony spokój, właściwy duszy bezgrzesznej, o gołębiej czystości. Nikt też nie umiał w tak doskonały sposób wyzyskać umiejętności milczenia. Nawet ci obserwatorzy i krytycy jego działalności, którzy uważali Talleyranda za chodzącą kolekcję wszelkich wad, prawie nigdy nie nazywali go hipokrytą. Ten epitet nie pa-

sował do niego jako zbyt słaby i nie dość wyrazi-
sty. Talleyrand czynił raz po raz posunięcia, któ-
rych z natury rzeczy ukryć nie było można: wziął
np. od amerykańskich delegatów łapówkę, począt-
kowo dwa miliony franków, a następnie, przy
sprzedaży Luizjany, jeszcze więcej; nie było pra-
wie dnia, żeby nie brał łapówki od niezliczonych
monarchów i władców, niemieckich i innych, ma-
łych i wielkich, od bankierów i kardynałów, od
dostawców i prezydentów; zażądał i otrzymał ła-
pówkę od polskich magnatów w 1807 roku; był
faktycznym zabójcą księcia d'Enghien, sprytnie
skierowawszy na niego wzrok i gniew Napoleona;
zdradził i sprzedał z początku kościół katolicki na
rzecz rewolucji, następnie rewolucję na rzecz Na-
poleona, potem Napoleona na rzecz Bourbonów,
następnie Bourbonów na rzecz Orleanów; zdra-
dzając Napoleona był jednym z pierwszych, któ-
rzy wspierali restaurację Bourbonów, a po obale-
niu ich czynił najusilniejsze zabiegi w celu jak
najszybszego uznania „króla barykad” Ludwika
Filipa przez rząd angielski i pozostałą Europę —
i tak dalej bez końca. Całe jego życie było nie
kończącym się pasmem zdrady i przენiewierstwa,
a wszystkie te wyczyny, łączyły się z wielkimi
historycznymi wypadkami, działy się na otwar-
tej arenie światowej, mogły być wytłumaczone —
zawsze, bez wyjątku — jedynie pobudkami wła-
snej korzyści i przynosiły mu osobiście wielkie
zyski materialne. Talleyrand posiadał zbyt wiele
poczucia rzeczywistości, by liczyć na to, że zwy-
kłą, codzienną, potoczną obłudą można kogokol-
wiek oszukać już po dokonaniu tego czy innego
czynu. Należało oszukiwać zainteresowanych
podczas przygotowań i następnie podczas same-
go biegu sprawy, bowiem tylko taki system
zapewniał powodzenie. A powodzenie to musiało
być o tyle decydujące, by zabezpieczyć księcia od
ewentualnej zemsty oszukanych, z chwilą gdy
dowiedzą się oni o jego posunięciach i sprawkach.
Na tak zwaną „opinię publiczną”, a tym bardziej

„sąd potomnych" i inne podobne tklivostki księżę Talleyrand był całkowicie i zupełnie szczerze obojętny; nie może być co do tego żadnej wątpliwości.

Gdy więc zdaliśmy już sobie sprawę z tej właśnie jego cechy, przejdźmy do rozpatrzenia pozycji, jaką księżę Talleyrand-Perigord, księżę Benewentu, kawaler wszystkich francuskich i prawie wszystkich europejskich orderów, zajmował w latach, gdy rodzima jego klasa społeczna, szlachta, została już po raz drugi w ciągu jego życia zaatakowana przez rewolucyjną w owym czasie burżuazję.

Talleyrand urodził się wkrótce po śmierci Montesquiego, gdy rozpoczynali swą działalność pierwsi fizjokraci, gdy szeroko rozślawnione już było imię Woltera i na scenie zjawił się Jan Jakub Rousseau, gdy wokół Diderota i d'Alemberta formował się powoli główny sztab encyklopedystów. Umarł zaś w roku 1833, w epoce całkowitego i niepodzielnego zwycięstwa burżuazji, gdy panowanie jej było już utrwalone. Całe jego życie miało za tło uporczywą walkę burżuazji o władzę oraz — to słabą, to znów zaciekłą — obronę pogrobowców ustroju feudalnego; tłem również były wahania i manewrowanie kościoła rzymskokatolickiego pomiędzy przedstawicielami ginącego feudalizmu a zwycięską burżuazją, która działała we Francji początkowo za pomocą gilotyny, a następnie — poza Francją — przy pomocy wielkiej armii Napoleona. Księżę Talleyrand dobrze zdawał sobie sprawę, że prócz szlachty, burżuazji, kleru i uwłasnowolnionego chłopstwa egzystuje jeszcze jedna (głodująca, a więc niebezpieczna) klasa społeczna, która — poczynając od kwietnia 1789 roku, od rozgromienia fabryk Reveillona i Henriota, a kończąc na prairialu 1795 roku — wielokrotnie wychodziła ze swych ubogich jaskiń troglodytów, z nędznych poddaszy przedmieść St. Antoine, St. Marcel, ulicy Moufflard i bohatercko niosąc życie w ofierze nieraz powodowała swoją zbrojną ingerencją nieoczekiwany zwrot wypadków. Wiedział

on również, że po 1, a szczególnie po 4 prairiala 1795 roku ci niebezpieczni (z punktu widzenia jego interesów), głodni ludzie zostali ostatecznie rozbici, rozbrojeni i zapędzeni do swych „nor”. Zwycięstwo to okazało się na tyle trwałe, że aż do 26 lipca 1830 roku, przez całe trzydzieści pięć lat bez przerwy, Talleyrand mógł już prawie zupełnie nie brać ich w rachubę przy swych „poważnych”, tj. karierowiczowskich planach i kombinacjach. Jednak w umysł jego zapadło to bardzo głęboko. Wiedział on również, że i po 26 lipca 1830 roku z tym głodującym „potworem”, który raptownie i tak groźnie powstał z trzydziestopięcioletniego letargu, trzeba będzie liczyć się tylko około dwóch tygodni; już bowiem od 9 sierpnia tegoż 1830 roku znów wypłynęły na wierzch znane mu elementy, z którymi „godziwy i porządny” człowiek, myślący wyłącznie o swej karierze i swych dochodach, może się zawsze dogadać i dobić targu. Zjawił się nowy król i nowy dwór, jednak z dawnymi bankierami i dawnym złotem. I znów wszystko szło jak po maśle aż do samej spokojnej śmierci w 1838 roku, która jedynie mogła przerwać tę olśniewającą karierę i która wywołała znane naiwno-ironiczne powiedzenie: „Czy to możliwe, że księżę Talleyrand umarł? Ciekawe, do czego też było mu to potrzebne!” Oto do jakiego stopnia postępowanie Talleyranda uważane było przez jego współczesnych za czyny obmyślane i z góry uplanowane, zawsze celowe z punktu widzenia jego kariery i zawsze w ostatecznym wyniku osobiście dla niego pomyslane.

Jeżeli więc nie liczyć tych rzadkich, wskazanych powyżej okresów, Talleyrand mógł na razie nie brać pod uwagę klasy robotniczej jako decydującej siły politycznej. Chłopstwo, tj. ta jego część, która stanowi poważną siłę, nie bierze aktywnego udziału w polityce i pójdzie za tymi, którzy bronią prawa własności i są przeciwni wskrzeszeniu feudalizmu. Z tego wynika, że pozostawały trzy siły,

z którymi Talleryand tak czy inaczej musiał się liczyć: szlachta, burżuazja i kler. Dopiero później zorientował się ostatecznie, że przy rozgrywce pomiędzy siłami społecznymi kościół odgrywa jedynie pomocniczą, a nie samodzielną rolę; zresztą już od 1789 roku przy powzięciu poważniejszych decyzji nigdy nie liczył się z kościołem jako z władzą zdolną rzeczywiście odegrać rolę kierowniczą i decydującą.

Szlachta i burżuazja — oto dwie siły znajdujące się w centrum wypadków i każda z nich w razie zwycięstwa może obsypać kogo tylko zechce złotem, tytułami, wstęgami, gwiazdami, może obdarzyć majątkami i pałacami, otoczyć przepychem i dać władzę. Nie należy więc tylko omylić się w przewidywaniach i jak głosi stare sportowe powiedzenie angielskie, nie postawić na niewłaściwego konia. Talleyrand nie mylił się w wyborze.

II

Książę Karol Maurycy de Talleyrand-Perigord przyszedł na świat 2 lutego 1754 roku w Paryżu w znakomitej, arystokratycznej, lecz zubożałej rodzinie. Przodkowie jego służyli przy dworze już w X wieku, za pierwszych Kapetyngów.

W dzieciństwie nie zaznał radości. Nikt chłopca nie kochał, nikt nie zajmował się nim. Matka postarała się go jak najszybciej pozbyć, by nie przeszkadzał jej w światowych rozrywkach.

Dziecko zostało wysłane do mamki, mieszkającej w okolicy Paryża, i po prostu zapomniano o nim na pewien czas. Pierwsze cztery lata swego życia Karol spędził u tej obcej kobiety, która mało się nim zajmowała. Pewnego razu wychodząc z domu posadziła dziecko na wysokiej komodzie i zapomniała o nim. Chłopak spadł i tak poważnie uszkodził sobie nogę, że pozostał kulawy na całe życie, przy czym kulał w taki sposób, że przy stawianiu każdego kroku silnie przechylał cały tułów na bok. Do końca swego życia poruszać się mógł

jedynie o lasce, z którą się nie rozstawał, sam zaś proces chodzenia był dla niego dość uciążliwy. Jego złamana prawa noga była zawsze ukryta w specjalnie wykonanym skórzanym butcie, przypominającym okrągły futerał.

Odebrawszy Karola od mamki rodzice oddali go do pewnej starej krewniaczki, księżnej Chalais. Tu po raz pierwszy w życiu chłopak poczuł, że jest lubiany, i od razu przywiązał się do swej starej ciotki. „Była to pierwsza kobieta z mej rodziny, która okazała mi uczucie, i była ona również pierwszą, która dała mi możliwość poznania, jakim szczęściem jest pokochać kogoś. Niech jej wyrażę moją wdzięczność... Tak, kochałem ją bardzo. Pamiętaj o niej i obecnie jest mi droga” — pisał Talleyrand, gdy miał już sześćdziesiąt pięć lat. „Ileż razy w życiu brak mi jej było! Ile razy odczuwałem z goryczą, jaką wartość dla istoty ludzkiej ma szczere uczucie, które mu okazuje własna rodzina”.

Całą swą dziecięcą duszą przywiązał się do starszki, przebywał jednak u niej tylko półtora roku; miał sześć lat, gdy zabrano go na zawsze od tej starej kobiety, jedynej istoty, która go kochała i którą on kochał w swym dzieciństwie. Przypuszczać należy, że w miarę jak podrastał, rozwijało się w nim coraz silniej poczucie krzywdy i gorycz w stosunku do rodziców, którzy go porzucili, wspomnienia zaś o dzieciństwie, z którego wyniósł fizyczne kalectwo, na zawsze wytworzyły w nim uraz psychiczny. Dopatrzeć się tego można wyraźnie, choć Talleyrand skąpy jest w słowach.

Odebrawszy chłopca od ciotki rodzice zarządzili, by oddano go do szkoły w Paryżu. Nie zainteresowali się dzieckiem nawet na tyle, by zobaczyć go, gdy powrócił po odbyciu siedemnastodniowej podróży dylizansem: „Stary sługa mych rodziców oczekiwał mnie na ulicy d'Enfer w zajeździe dylizansów. Odwiozł mnie wprost do szkoły... O dwunastej siedziałem już przy stole w jadalni szkolnej” — wspomina Talleyrand.

Nigdy tego nie zapomniał i nigdy nie przebaczył.

„Warunki, w jakich spędzamy nasze pierwsze lata, wywierają wpływ na całe dalsze życie i gdybym odkrył pani, jaką była moja młodość, to nie dziwiłaby się pani tak bardzo wielu rzeczom, które tkwią we mnie” — mówił on już w późnym wieku do pani Rémusat, damy dworu cesarzowej Józefiny.

Oddany został do internatu szkolnego i tylko raz na tydzień bywał w domu rodzicielskim. Gdy mając dwanaście lat zachorował na ospę, rodzice nie odwiedzili go. „Czułem się samotny, bez żadnego oparcia — wspomina on — nie skarżę się jednak na to”. Nie skarżył się zaś dlatego, że właśnie to uczucie samotności i przyzwyczajenie do zatapia-
nia się w sobie rozwijały, jak sam to określa, dojrzałość i siłę jego umysłu.

Uczył się niezbyt pilnie, jednak w wieku lat piętnastu ukończył szkołę i wstąpił do seminarium duchownego przy kościele St. Sulpice. Rodzice przeznaczili go na księdza, gdyż do służby wojskowej nie nadawał się wskutek kalectwa.

Talleyrand nie miał ochoty przyjąć święceń kapłańskich i nienawidził czarnej sutanny o długich połach, w którą ubrano go po ukończeniu szkoły, innego wyjścia jednak nie miał. Ojciec i matka nie pytali go nawet, czy pragnie zostać księdzem. Stan duchowny dawał możliwość utrzymania się synom szlacheckim, którzy dla tych czy innych powodów nie nadawali się do służby wojskowej, a nie mieli dostatecznych środków, by „zakupić” jakiś honorowany i dochodowy urząd świecki.

Tak zakończył się okres chłopięcy i zaczęła się młodość Talleyranda. Wstąpił on na arenę życiową jako zimny, nie ufający nikomu i nie przywiązany do nikogo sceptyk. Nawet najbliżsi krewni okazali się w stosunku do niego egoistami bez serca. Wyłącznie w sobie samym pokładał młodzieniec wszelkie nadzieje, polegając przy tym nie na swych siłach fizycznych, lecz wyłącznie na swym rozumie. Zmarła stara ciotka, która go kochała, zgasło wraz z nią jedyne jasne wspomnienie smut-

nych lat dziecięcych. Otaczali go tylko ludzie obcy, a wśród nich najbardziej obcymi byli własni rodzice. Obcy zaś ludzie — jeżeli im zdradzić swą słabość — to konkurenci, wilki, wrogowie, którzy zamieniają się w posłuszne narzędzie dopiero wówczas, gdy się jest silnym, tj. mądrzejszym od nich.

Oto zasadnicza myśl przewodnia, z którą Talleyrand wszedł na drogę życia.

Zaczynał dopiero życie, a już od pierwszych kroków przejawiał te same zasadnicze cechy, z którymi zszedł do grobu. Mając lat dwadzieścia jeden był z punktu widzenia moralnego kubek w kubek taki sam jak w wieku osiemdziesięciu czterech lat. Ta sama oschłość duszy, oziębłość serca, zdecydowana obojętność wobec wszystkiego, co nie leży w jego osobistym interesie, ta sama absolutna, całkowita amoralność, ten sam stosunek do otoczenia: głupców podporządkować sobie i eksploatować, mądrych i silnych urobić na swych sojuszników, pomnąc, że jedni i drudzy powinni dlań być narzędziem, o ile w rzeczywistości jest od nich mądrzejszy — stać zawsze po stronie drapieżców, a nie ich ofiar, pogardzać pokonanymi, składać hołd powodzeniu!

Po ukończeniu nauk w seminarium St. Sulpice i otrzymaniu święceń kapłańskich Talleyrand zaczął rozglądać się za dochodowym probostwem, a w oczekiwaniu na nie rzucił się w wir przygód miłosnych. Miał ich bez liku. Nie odznaczał się bynajmniej dobrą prezencją i był na domiar złego kaleką, lecz zdobywał kobiety dzięki swemu dowcipowi i przewyciężającej wszystko subtelności umysłu; to nie kobiety porzucały go, on je pierwszy porzucał; mówiły one potem, że wszyscy następnymi mężczyźni wydawali im się nudni. Stosunki utrzymywał z najwyższymi arystokratycznymi sferami. Wszystkie bez wyjątku kobiety stanowiły dla niego jedynie narzędzie rozkoszy lub były wy-

korzystane dla interesu. W ciągu całego swego życia Talleyrand spotkał — i to już jako stary człowiek — jedną tylko kobietę, do której przywiązał się na długie lata: była to księżna Dino, żona jego siostrzeńca. Ani w młodości, ani w wieku dojrzałym nie odczuwał on tego rodzaju przywiązania. „Dlaczego pan taki smutny? — spytała go kiedyś faworyta Ludwika XV, pani du Barry, gdy wśród innych bogatych młodych ludzi odwiedził jej salon. — Czyżby pan nie miał żadnej miłosnej przygody?” — „Ach, proszę pani — westchnął w odpowiedzi Talleyrand — Paryż to miasto, gdzie dużo łatwiej znaleźć kobietę aniżeli porządne probostwo!”

Lecz nie sądzone mu było długo martwić się z tego powodu. Już w roku 1775, mając lat dwadzieścia jeden, został przeorem w Reims i kariera jego zaczęła odtąd rozwijać się w szybkim tempie.

Wkrótce był już generalnym wikariuszem w Reims. Mieszkał częściowo w tym mieście, częściowo w Paryżu, gdzie uczestniczył jako delegat duchowieństwa w zebraniach, na których uzgadniane były z rządem sprawy podatkowe oraz inne sprawy finansowe dotyczące kościoła. Prowadził życie beztroskie, pełne wszelkich rozrywek, miał wciąż nowe i nowe stosunki miłosne i potrafił wykorzystywać nawet kobiety dla przyspieszenia swej duchownej kariery. Na dworze królewskim szanse młodego księdza były wielkie: umiał się on wkraść w łaskę wpływowych osób, a różnica pomiędzy nim a zwykłymi karierowiczami polegała na tym, że bardzo wcześnie potrafił przewidzieć, kto spośród ludzi nie mających żadnych wpływów stanie się z czasem ważną osobistością, i zawczasu już zaczynał zarzucać wokół niego swe sieci.

W przededniu rewolucji, 2 listopada 1788 roku, król Ludwik XVI podpisał zarządzenie o mianowaniu generalnego wikariusza miasta Reims, Karola Maurycego de Talleyrand-Perigord, biskupem diecezji Autun.

W chwili wybuchu rewolucji Talleyrand był w trakcie robienia świetnej kariery. Potomek bardzo starego, lecz zbiedniałego rodu arystokratycznego, nie będący człowiekiem prawdziwie ustosunkowanym, w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat był już biskupem i kandydatem na kardynała; nie mając żadnych środków materialnych w chwili wkroczenia w świat, zdobył już różnorodne i dosyć znaczne, choć raczej niestałe dochody, które uzupełniał fortunnymi spekulacjami. Jednak z sytuacji swej nie był zadowolony. Jak wiemy, wstąpił on do stanu duchownego wyłącznie dlatego, że okulawszy na skutek nieszczęśliwego wypadku niezdolny był do służby wojskowej; toteż z całej duszy nienawidził swej godności kapłańskiej i robił, co mógł, by zarówno on sam, jak i wszyscy inni zapomnieli o tym absurdalnym stroju, który zmuszony był nosić. Prowadził życie światowe, miał kilka stosunków miłosnych z arystokratycznymi i niearystokratycznymi damami i właściwie żył częściowo jak dworzanin, częściowo jak spekulant giełdowy; pomimo jednak wielkiej umiejętności zdobywania pieniędzy (które od razu przepuszczał na kobiety, hulanki i karty) Talleyrand aż do wybuchu rewolucji nie posiadał nic, co można by nazwać stałym i pewnym majątkiem. Niezależnie od tego ujawniła się w "tym okresie jeszcze jedna przykra i niepokojąca okoliczność: jego otoczenie zdążyło już dość dobrze przejrzeć młodego, robiącego szybką karierę biskupa „Jest to człowiek podły, chciwy, lichy intrygant, kocha się w brudzie i w pieniądzu. Za pieniądze sprzedał swój honor i swego przyjaciela. Za pieniądze sprzedałby duszę i miałby rację, gdyż zamieniłby kupę gnoju na złoto" — tak mówił o nim na dwa lata przed rewolucją, w roku 1787, Mirabeau, który na swe nieszczęście musiał korzystać z drogo sprzedawanych przez "Talleyranda

usług. Tego rodzaju opinii wypowiedziano bardzo wiele. Nikt nie negował wielkich uzdolnień Talleyranda, lecz nikt również nie wątpił, że jest on zawsze gotów do każdego postępku, który może mu przynieść korzyść

Do czego dążył? Co było w nim silniejsze? Ambicja czy chciwość? Większość jego współczesnych sądziła, że jednak chciwość, a znane nam dokumenty, których oni nie znali, potwierdzają to w całej rozciągłości. „Przede wszystkim — nie być biednym”. Taka była rada czy aforyzm, który Talleyrand niejednokrotnie wypowiadał. Przemijają Bourbonowie, Danton, Robespierre, Dyrektoriat i Bonaparte, ale majątki, pałace i franki (o ile są w złocie) pozostają. Talleyrand jednak dobrze rozumiał, że ziemia i franki są również (choć rzadko) wystawione na poważne niebezpieczeństwo, zwłaszcza dopóki nie zostanie rozbrojona i zapędzona z powrotem do swych nor ludność z przedmieścia St. Antoine; nie wątpił on jednak, że przynajmniej na okres jego życia uda się w ostatecznym wyniku zagnać do „jaskiń” tych niebezpiecznych dlań ludzi. Wobec tego, biorąc rzeczy praktycznie, można przy uwzględnieniu wszelkich kombinacji uważać ziemię i franki za dobra wieczne, tytuły zaś i fotele ministerialne — za dobra przejściowe.

Talleyrand był zdania, że władza posiada wielką wartość. Jedyne władza może dać duże pieniądze — na tym polega jej zadanie. Oczywiście władza daje poza tym również miłe poczucie potęgi i szacunku ze strony otoczenia, lecz jest to już uboczna jej cecha.

To samo odnosi się do kobiet, które część biografów Talleyranda uważa za drugą jego zasadniczą namiętność. Kobiety najlepiej nadają się do tego, by za ich pośrednictwem i protekcją jak najłatwiej i najszybciej uzyskać nominację na dobre (tj. dochodowe) stanowiska. Co prawda przyznawał on także, że można poza tym spędzić w towarzystwie kobiet wiele miłych chwil, lecz było to już na drugim planie.

Władza i kobiety potrzebne są przede wszystkim do osiągnięcia bogactwa. Pieniądze, pieniądze — wszystko inne przyjdzie za tym. Po uważnym rozpatrzeniu działalności i czynów Talleyranda można stwierdzić, że od tej kardynalnej zasady nie uznawał on żadnych odchyleń, czego bynajmniej nie można powiedzieć o wszystkich innych jego „zasadach”.

Oto jak wyglądał pierwszy młodzieńczy, przedrewolucyjny okres jego życia, pierwsze trzydzieści pięć lat. Znane jest klasyczne powiedzenie Talleyranda: „Kto nie żył przed 1789 rokiem, ten nie zaznał całej rozkoszy życia”. Tej rozkoszy życia w niczym nie zamąciła mu przykra okoliczność, że nie miał żadnej władzy i że mocno ugrunтоваła się o nim opinia aferzysty, a nawet bodaj wprost oszusta. Za to kobiet miał w bród, a pieniądze wprowadził nie w nadmiarze, lecz jednak w dostatecznej ilości; kobiety ułatwiały karierę, dopomagały mu w torowaniu sobie drogi do lukratywnych stanowisk w urzędzie rozrachunków pomiędzy klerem katolickim a rządem, ułatwiały mu nawiązywanie stosunków i uzyskiwanie informacji giełdowych, zdobywanie wiadomości o projektowanych dostawach i arendach oraz danych o wielkich spekulacjach; kobietom zawdzięczał swe triumfy we wszystkich wpływowych salonach.

Zaznaczyć należy, iż kwestia opinii bardzo mało interesowała Talleyranda. W okresach przejściowych klasa szlachecko-feudalna i podtrzymywana przez nią ustrój zmuszone są w coraz większym stopniu nie tylko liczyć się z naporem burżuazji, lecz nawet przyjmować ich przedstawicieli na służbę państwową i włączać do kasty urzędników państwowych ludzi pochodzących z nowych warstw społecznych. W takich okresach, jak ostatnie dziesięciolecie przed rewolucją XVIII wieku we Francji lub koniec XIX i początek XX wieku w Rosji — owo umyślne, jak gdyby pogardliwe wyzwolenie „opinii publicznej” staje się zjawiskiem bardzo charakterystycznym, prawie że

nagminnym, specjalnie wśród przedstawicieli ginącej klasy — arystokracji. Czy warto bowiem liczyć się z opinią publiczną, reprezentowaną przez pospólstwo? Pojawia się jakiś cynizm szczerości, który przedtem byłby nie do pomyślenia. Przecież i za Ludwika XIV ministrowie często kradli, i to pokaźne sumy. Lecz dopiero za Ludwika XVI, na pięć lat przed wzięciem Bastylii, kontroler generalny Calonne na pytanie: „Jak mógł się pan podjąć zarządzania skarbem królestwa, gdy swój własny majątek doprowadził pan do ruiny?” — ośmielił się dać publicznie taką dowcipną odpowiedź: „Właśnie dlatego, iż moje finanse były w tak opłakanym stanie, wziąłem się do zarządzania skarbem królestwa”. Okradanie kas skarbowych i łapownictwo kwitły w Rosji zarówno za Aleksandra I, jak i za Mikołaja I, jednak trzeba było okresu między 1 marca 1881 r. a 28 lutego 1917 r., by stała się możliwa taka rozmowa, przekazana potomstwu przez dyrektora Departamentu Górniczego K. A. Skalkowskiego. Na powiedzenie dostawcy: „Dam waszej ekscelencji trzy tysiące i nikt o tym nie będzie wiedział”, padła klasyczna odpowiedź ekscelencji: „Niech mi pan da pięć tysięcy i opowiada o tym, komu pan zapragnie”.

W takiej więc atmosferze, specyficznej dla okresów przedrewolucyjnych, upływała młodość Talleyranda. Wobec kogo miałby się krępować? Spekulanci, giełdciarze, dzierżawcy, maklerzy, od których roziło się na rue Vivienne i od których uzależniony był w swych aferach młody ksiądz, a następnie biskup — cały ten ludek uważał udane oszustwo za najbardziej przekonujący dowód rozumu i talentu. Mirabeau, który tak rozczarował się do Talleyranda, również nie grzeszył uczciwością; na dworze wszystko można było kupić, sprzedać lub wymienić. Krępowała Talleyranda nieznosna sutanna, krępował czasami brak pieniędzy, bo choć, jak już mówiliśmy, pieniądze szły mu same do rąk, lecz odpływały równie szybko,

nawet szybciej. Czasami nie wystarczało im na to wieczne świętowanie, na przepych, kobiety, wino, karty. Specjalnie dręczyła go świadomość, że tego nieznośnego ubioru nie będzie można w normalnych warunkach pozbyć się do końca życia i że gdyby nawet prawo kanoniczne na to zezwoliło, ze względów finansowych byłoby to nie do pomyślenia: biskupowi z Autun i przyszłemu kardynałowi bez porównania łatwiej i dogodniej przychodziło bowiem zdobywanie pieniędzy aniżeli zwykłemu księciu Talleyrand. O ile nam wiadomo, to właśnie było przyczyną, że Talleyrand czasami upadał na duchu. Co prawda te chwile przykrego rozmyślenia natchodziły go rzadko. Na ogół „rozkosz życia” nie stawała się przez to mniejsza.

Lecz oto wybuchła rewolucja.

Czy Talleyrand przewidział rewolucję? Wybuch jej przewidywały wszak o wiele mniej przenikliwe umysły, ale mało kto potrafił przepowiedzieć, nawet w naogólniejszych zarysach, jaki będzie rozwój rewolucji i jakie przybierze ona formy; znana przepowiednia Cassotte'a, że królewska rodzina będzie stracona i że zginą jego wszyscy przyjaciele arystokracji, skomponowana była post factum, choć wprowadziła w taki zachwył historyka Hipolita Taine'a. Lecz żadne złowrogie przepowiednie nie zdołałyby zepsuć nastroju uczt, w których tak często brał udział Talleyrand. W tej zdemoralizowanej przez łatwe i bez troskie życie sferze już od wiosny 1789 roku rewolucja wydawała się jedynie zajmującą szermierką słowną pomiędzy światem nauki a dworską reakcją i jej głównym protektorem, królową Marią Antoniną; wydawała się rywalizacją o pierwszeństwo w krasomówstwie na rozmaite wzniosłe lub popularne tematy. Ludziom z tej sfery zdawało się przede wszystkim, że rewolucja stanowić będzie nowe przetasowanie stanowisk, uposażeń, portfeli mini-

sterialnych; że gdy nastąpią ferie letnie, to członkowie Stanów Generalnych rozjadą się do swych majątków i zamków, gdzie wśród uszczęśliwianej przez nich ludności miejscowej będą mogli zbierać laury za swe liberalne wysiłki. Nie spodziewano się również, że zwołane do Wersalu na 5 maja 1789 roku Stany Generalne będą obradować w atmosferze zajadłej, a nawet zbrojnej walki.

W bardzo jednak krótkim czasie, bo w ciągu pierwszych tygodni od chwili otwarcia sesji, Talleyrand zrozumiał jasno, że następują czasy, kiedy bezcelowo i niebezpiecznie jest siedzieć na dwóch stołkach i kiedy największa zręczność polega na tym, by wypowiedzieć się jak najwyraźniej. Zrozumiał od pierwszej chwili, że stan trzeci posiada przytłaczającą większość, że jest bez porównania silniejszy od dwóch pozostałych klas społecznych, zarówno w łonie Stanów Generalnych, jak i gdzie indziej; z tego też powodu, jak sam się wyraził, „pozostawała tylko jedna rozsądna decyzja: ustępować, zanim nie będzie się do tego zmuszonym i gdy jeszcze można powoływać się na to ustępowanie jako na zasługę”. Toteż Talleyrand zajął stanowisko jak najbardziej postępowe, stanowisko biskupa, który chce być przyjacielem ludu, wrogiem przywilejów, obrońcą wyzyskiwanych. Z prawdziwym stoicyzmem odmówił nawet w pierwszym okresie przyjęcia łapówki, którą z pośpiechem zaproponował mu potajemnie dwór królewski. Talleyrandowi przypisują niezwykle słowa, które jakoby miał wypowiedzieć przy tej z jego punktu widzenia bohaterkiej i zupełnie dla niego wyjątkowej odmowie: „W kasie opinii publicznej znajdę o wiele więcej aniżeli to, co mi ofiarujecie. Pieniądze otrzymywane za pośrednictwem dworu będą prowadzić w przyszłości do zguby”.

Bez wahania Talleyrand opuścił tonący okręt lub, ściślej, opuścił tę jego część, w której tak bez trosko i wystawnie płynęło dotychczas jego życie — i spieszenie przeniósł się na miejsce bardziej

bezpieczne: z wersalskiej sali dla kleru przeniósł się do sali stanu trzeciego.

Lecz wypadki toczyły się nadal. Wzięcie Bastylli odczuł Talleyrand jak straszne uderzenie piorunu, wykazujące, że ta niebezpieczna polityka bezsilnego, lecz złośliwego oporu, jaką uprawiał dwór królewski, musi doprowadzić do walki zbrojnej o władzę pomiędzy rewolucją i kontrrewolucją. Burza zalewała wodą już nie tylko poszczególne części okrętu, lecz groziła mu wręcz zatopieniem. Należało powziąć szybką, ostateczną i nieodwołalną decyzję.

Talleyrand doskonale pojmował, że należy stary reżym odrzucić niezwłocznie na szmelc i przeprowadzić wszystkie reformy, których żąda burżuazja. Uważał jednak, że dokonać tego należało „samemu”: rząd nie powinien wypuszczać steru z ręki, lecz zrobić to, czego chciała burżuazja. Cele rewolucji były dla Talleyranda od samego początku i aż do końca jego życia zupełnie nie do przyjęcia, obce i zgubne. Nigdy ani na chwilę nie uznawał on szczerze i nie godził się wewnętrznie z przekazaniem pełni władzy powstańczym masom ludowym. Pod tym względem nie miał nawet przelotnych chwil zapału do nowych idei i perspektyw, do wolnościowych i „równościowych” marzeń, jakie — na krótko wprawdzie — miewali w ostatnich przedrewolucyjnych latach inni arystokraci, jak Lafayette, La Rochefoucauld-Liancourt, Montmorency. Obrzydzenie i strach były jedynymi uczuciami, jakie Talleyrand odczuwał w stosunku do mas rewolucyjnych.

Przenikliwy i dokładny umysł Talleyranda wskazywał mu jasno, że chwiejna polityka, przechodząca ze słabości w przemoc i z ustępstwa w upór, jest najgorszą ze wszystkich metodą. Jednak strach przed nadchodzącym krwawym, gwałtownym przewrotem opanował go z taką siłą, a groza na myśl o nieuniknionym zniszczeniu środowiska umożliwiającego beztróskie życie była tak wielka, że Talleyrand — po raz pierwszy i ostatni

w swym życiu — powziął decyzję, by przed przejściem na stronę silniejszego wroga spróbować otwartej z nim walki. Nie powtórzyło się to już nigdy więcej.

W dwa dni po wzięciu Bastylji, gdy Paryż był już całkowicie w ręku rewolucyjnej gwardji narodowej, a król wyruszył z Wersalu do stolicy, by zmanifestować swą zgodę na wszystko, co zaszło, i ustroić swój kapelusz trójbarwną kokardą — w nocy z 16 na 17 lipca przed pałac w Marly zajechał biskup z Autun, księżę Talleyrand, i prosił o audiencję u brata królewskiego, hrabiego d'Artois. Karol d'Artois wyrobił już sobie opinię jako ten spośród rodziny królewskiej, który najbardziej zdecydowanie nalegał na przeciwstawienie zrewoltowanemu ludowi energicznego oporu przy pomocy wojska. Rozmowa trwała przeszło dwie godziny.

Talleyrand namawiał, by niezwłocznie rozpocząć otwarte działanie siłą, ściągnąć najpewniejsze wojsko i walczyć, gdyż jedynie ta droga daje szanse ratunku. Ponieważ zaś Karol twierdził, że król się nie zgodzi, Talleyrand domagał się, by niezwłocznie obudzić króla i przekonać go, że należy stawić opór.

Hrabia d'Artois poszedł obudzić brata, lecz wróciwszy do Talleyranda zakomunikował mu, że król jest zdecydowany ustąpić przed rewolucyjną falą i że nie dopuści w żadnym razie do przelania choćby jednej kropli krwi ludu. Obaj rozmówcy powzięli niezwłoczną decyzję. „Co do mnie — powiedział hrabia d'Artois — to już się zdecydowałem: wyjeżdżam jutro z rana i opuszczam Francję”. Z początku Talleyrand starał się odwieść go od tego zamiaru, lecz przy zakończeniu rozmowy powiedział: „W takim razie, Wasza Wysokość, każdemu z nas pozostaje jedynie pomyśleć o własnej osobie, z chwilą gdy król i księżęta rzucili na pastwę losu zarówno własne interesy, jak i monarchię”. Wysłuniętą przez Karola propozycję

wspólnego emigrowania Talleyrand kategorycznie odrzucił.

Bourbonami Talleyrand pogardzał za ich słabość, głupotę, nieudolność, tchórzostwo, zamykanie oczu na możliwość niebezpieczeństwa i stronienie od walki, gdy ono się zbliża. Czuł zawsze niechęć do Ludwika XVI właśnie za to, że „posiadał on odwagę kobiety podczas połogu” .

Taki sam „szacunek” miał później i dla wszystkich innych Bourbonów: dla Karola X, którego zawsze uważał za starego durnia, i dla Ludwika XVIII, przewyższającego pod względem tchórzostwa swego starszego brata, który zginął na gilotynie.

Talleyrand więc pozostał. Pozostał oczywiście nie po to, by ratować to, co było jeszcze do uratowania, tak jak to później pisał i opowiadał. W tym wypadku kłamie on równie wyrafinowanie, równie niegodziwie, z takim samym majestatycznym spokojem i z taką pozą na filozofa nauczzonego przez życie, jak kłamał wszędzie i zawsze, gdy chodziło o umotywowanie swych postępów.

Ani podczas rewolucji, ani przy Napoleonie nie ratował on nic i nikogo; odwrotnie, gdy mu to było potrzebne, pchał bez wahania ludzi na gilotynę lub do rowu w Vincennes (dokąd on to właśnie, a nie kto inny, zepchnął księcia d'Eng-hien w marcu 1804 roku). Pozostał we Francji, by nie znaleźć się w nędznych warunkach emigranta, by spróbować ułożyć się z nowymi panami sytuacji, od których zależało rozdawnictwo dóbr doczesnych, by „przekulbaczyć się”, zamieniając konia, który padł, na nowego rumaka. Od chwili gdy hrabia d'Artois po swej nocnej rozmowie z bratem zawiadomił go, że władza królewska rzeka się zbrojnej walki, Talleyrand bez wahania od-

wrócił się od Bourbonów i przeszedł do obozu zwycięzców.

Zrozumiał on wnet, że chociaż burżuazja zwyciężyła i jednym zamachem wymiotła ustrój szlachecko-feudalny, lecz ludzie jego typu — jeśli tylko nie będą tracić drogiego czasu — mogą się jeszcze bardzo przydać i dobrze sprzedać swe usługi; zwłaszcza zaś dotyczy to jego osobiście, posiada on bowiem głowę na karku, ozdobioną w dodatku infułą biskupią. Okazało się, że również podczas rewolucji ten staromodny ubiór głowy ma swą wartość wymienną. Otóż właśnie w tym czasie, pod koniec lata i jesienią 1789 roku, Konstytuanta znalazła się w szczególnie trudnej sytuacji finansowej. Koniecznością stało się emitowanie w wielkiej ilości pieniądza papierowego, dla którego należało znaleźć jakieś zabezpieczenie. Zabezpieczeniem tym mogłyby stać się kolosalne dobra ziemskie znajdujące się w ręku kościoła katolickiego we Francji. Należało więc odebrać je duchowieństwu i przekazać na rzecz skarbu państwa. Operacja ta napotykała jednak pewne przeszkody.

Po pierwsze, jak można pogwałcić uświęconą i nietykalną zasadę własności prywatnej? Zwycięska burżuazja wielokrotnie i z takim krasomówstwem głosiła tę zasadę, potwierdzała ją, wpajała i wychwalała, tak bardzo się jednocześnie obawiając, by lud, idący z nią dotychczas, nie skierował się po szturmie na Bastylię ku manufakturom, kamienicom i domom bankierskim. Dlatego też za każdym razem, gdy choćby ubocznie dotykano kwestii zmian o charakterze majątkowym, w przemówieniach i postępowaniu Konstytuanta dawał się wyczuć pewien rozdźwięk, można było zauważyć wahania, tarcia, pewne zamieszanie i niezdecydowanie. A szło tu przecież o wywłaszczenie kolosalnych latyfundiów kościelnych. Czy nie będzie to zachęcającym przykładem, powiedzmy, bodźcem do wystąpienia z żądaniem podziału wszystkich w ogóle majątków ziemskich, zachętą do „ustawy agrarnej”, do reformy rolnej w stylu

braci Grakchów, o których tak często i z takim niepokojem wspomiano w owych czasach?

Po drugie, wywłaszczenie miało dotknąć możny i świetnie zorganizowany stan, ten właśnie stan duchowny, który choć mocno związany wieloma nićmi ze starym reżymem, zachowywał dotychczas wielką rezerwę, bynajmniej jeszcze nie stając po stronie wrogów rewolucji, i chociaż posiadał wielkie wpływy po wsiach, nigdzie jednak nie można było zauważyć, by prowadził kontrrewolucyjną agitację wśród chłopów. Toteż ustawodawcy burżuazyjni wcale sobie nie życzyli od razu usposobić do siebie wrogo tę wielką, zwartą, egzystującą od półtora tysiąca lat organizację. Gdyby przynajmniej odebrać ziemie kościołowi i niezwłocznie rozdać chłopom, można by się spodziewać, że korzyści materialne uzyskane przez chłopstwo unieszkodliwią kontrrewolucyjną propagandę porzywdzonego i podrażnionego kleru.

Lecz ziemie te bynajmniej nie były przeznaczone do rozdania: miały one przejść do skarbu państwa, który przeprowadziłby sprzedaż ich z licytacji. Niebezpieczne, lecz jakże kuszące pogwałcenie zasady własności prywatnej, możliwość przejścia kleru do obozu kontrrewolucyjnego — oto perspektywy, które powstały przed zaniepokojonym wzrokiem Konstytuanty.

Wywłaszczenie tych kolosalnych dóbr ziemskich było rzeczą konieczną. Lecz jak postąpić, by ziemie te przeszły do skarbu, a wywłaszczenia dało się uniknąć?...

I otóż tutaj księciu Talleyrandowi przydał się jego strój biskupi i pastorał. Zrozumiał on wnet, że naprasza się wprost ostatnia już okazja uzyskania za te ładne, choć trochę przestarzałe przedmioty o wiele więcej, aniżeli by za nie zapłacił bardzo nawet hojny antykwariusz.

Powstanie ludu paryskiego 5 i 6 października 1789 roku w odpowiedzi na monarchistyczne prowokacje Wersalu, przewiezienie rodziny królewskiej do Paryża, nowy jaskrawy triumf rewolu-

cji — wszystko to przełamało ostatnie wątpliwości Talleyranda, jeśli pozostały one jeszcze od chwili zdobycia Bastylji. Dnia 9 października, przygotowując się do wystąpienia nazajutrz w Konstytucyjnym z projektem upaństwowienia dóbr kościelnych, Talleyrand pisze do swej dawnej przyjaciółki, księżnej Lambeck, bardzo ciekawy list, w którym usprawiedliwia swe przejście na stronę rewolucji. „Wydaje mi się, że pani często mnie gani, lecz śmiem przypuszczać, iż jestem w stanie usprawiedliwić się. O mnie mówią zawsze albo zbyt źle, albo zbyt dobrze”. (Tutaj książę Talleyrand dotkliwie się mylił: nigdy nikt nie wyrażał się o nim „zbyt dobrze” ani nawet po prostu dobrze). „Chciałbym, żeby pani poznała jedną prawdę: rewolucja, przez którą Francja obecnie przechodzi, jest niezbędnym i normalnym zjawiskiem w obecnych warunkach i w ostatecznym wyniku okaże się ona korzystna. Obecne rozruchy i nieścisłości wywołane są tym, że jedni przeciwstawiają się wypadkom, inni zaś chcą je przyspieszyć. Szlachta i kler wyobrażają sobie, że stare przesady będą dla nich nadal oparciem i że we Francji zmieniły się jedynie wymagania ludzi należących do innych stanów. Upierając się przy kwestiach formy umożliwiły one (wrogom) poruszenie istoty zagadnienia. Przegrawszy pierwszy proces, zapoczątkowały one spór jeszcze bardziej żywotny i ważny. Te dwa pierwsze stany działały jedynie pod wpływem namiętności i to nie pozwoliło im opracować planu i działać według niego. Natomiast stan trzeci powoływał się na swe prawa, a że prawa te posiadał, więc musiał zwyciężyć. Wszystko, co się działo, działo się w stanie wojny. W istniejących warunkach nie można było mieć wątpliwości co do wyników. Stało się więc niezbędne powzięcie decyzji, i to tak odważnych, jak tego wymagała sytuacja. Trzeba było wyrwać się

z błędnego koła przywilejów i konwenansów, spojrzeć o wiele szerzej na wypadki i pogodzić się z nową epoką, której dożyliśmy". Nikt tak jak Talleyrand nie potrafił, gdy mu to było potrzebne, wyrażać się do tego stopnia mętnie. Lecz w dalszym ciągu ta swoista spowiedź staje się bardziej wyraźna: „W tych warunkach decydowanie się połowiczne (*prendre des demi-partis*) staje się niebezpieczne dla ludzi słabych i wprost niedopuszczalne dla tych, którzy w swym mniemaniu przewyższają innych. Jedynie dobitne wypowiedzenie swej opinii można by zakwalifikować jako zachowanie się godne pewnego szacunku. Wszystko, co nastąpiło później, nie otworzyło oczu tym, którzy widzieć nie chcieli. Pocieszają się oni jeszcze złudami, które stały się już przestępstwem, karmią się jeszcze chimerycznymi nadziejami, by znaleźć w nich pociechę wśród tej dręczącej rzeczywistości, której przeciwstawić się nie można. Sił do pójścia w ślad [za ruchem] nie ma i zjawia się wobec tego chęć powstrzymania go. Możliwe, że nie doszliśmy jeszcze do dna nieszczęść, w które nas wtrąciło to stanowisko, zarówno dziecinne, jak okrutne. I przyjdzie dzień, księżno, gdy przyznają mi słusność...

...Jest oczywistej że będą pani mówić, iż obszedłem się bardzo źle z klerem. Odpowiem na to: bardzo dobrze się z nim obszedłem i mam przekonanie, że znalazłem jedyny środek, by wybawić duchowieństwo z okropnej sytuacji, która groziła mu całkowitym unicestwieniem".

Takimi oto wywodami Talleyrand zabezpieczał się na wszelki wypadek (lub myślał, że się zabezpiecza) w oczach duchowieństwa i arystokracji. Jednak trzeźwa i wyraźna ocena absurdałnej polityki dworu i obu uprzywilejowanych stanów, która doprowadziła do wybuchu w dniu 5 i 6 października, jest bardzo dla Talleyranda charakterystyczna.

10 października 1789 roku w godzinach rannych Konstytuanta, a następnie w wieczornych cały

Paryż zostały wstrząśnięte nieoczekiwaną, zdumiewającą i radosną nowiną. Okazało się, że w tych grzesznych czasach żywe są wciąż nakazy Chrystusowe, wzywające do uznania pokory i ubóstwa jako istotnej szczęśliwości! Najwyżsi dygnitarze kościelni, pasterze dusz ludzkich, bez żadnej presji, powodowani jedynie bezgraniczną miłością bliźniego, zapragnęli złożyć ojczyźnie w ofierze wszystko, co posiadają, przypomnieli sobie, że są w prostej linii spadkobiercami i kontynuatorami bosych i ubogich rybaków, palestyńskich apostołów — i z własnej woli zrzekli się wszystkich swych latyfundiów! Darmo! Bez odškodowania! I któż był tym, kto dokonał tak bohaterskiego czynu godnego najbardziej świątobliwych sług bożych? Skromny biskup z Autun, alias (po świecku) książę Talleyrand-Perigord! To właśnie on, nawet nie uprzedziwszy innych przedstawicieli kleru, porwany własnym szczerym zapałem, zgłosił do Konstytuanty wnioski o przejęcie przez skarb państwa dóbr kościelnych i złożył jednocześnie opracowany już projekt odnośnej ustawy. Załączone do projektu wyjaśnienie podkreślało, że własność kościelna jest czymś odrębnym od zwykłej własności prywatnej, że państwo śmiało może ją przejąć i że zarządzenie takie „zgodne jest z rygorystycznie pojętym poszanowaniem własności”. „W przeciwnym razie ja sam nie zgodziłbym się na takie zarządzenie” — odważnie oświadczył ten „pełen zasad” autor.

Takie postawienie kwestii, a przede wszystkim godność kościelna autora projektu zdejmowały za jednym zamachem cały ciężar z ramion rewolucyjnej burżuazji. Tego oto właśnie wymagały okoliczności: kościół sam podejmował inicjatywę, mogła być zatem mowa nie o wywłaszczeniu, lecz jedynie o dobrowolnej ofierze.

Co prawda nie wszystko całkiem tu pasowało: już od dawien dawna zyskał sobie biskup diecezji Autun opinię różniącą się bardzo od tej, jaką powinien by posiadać świątobliwy anachoreta, żą-

dający powrotu kościoła do ewangelicznego ubóstwa. Nie mówiąc już o grzechach młodości biskupa z Autun, wiadomo było, że w chwili obecnej ma on jednocześnie dwa stosunki miłosne i że stosunki te w tak skomplikowany sposób łączą się z jego finansowymi sprawami, iż trudno było się zorientować, kto od kogo bierze, a kto otrzymuje. Mówiono (Kamil Desmoulins pisał o tym w swej gazecie prozą, a inni dziennikarze — wierszem), że biskup z Autun poświęca się w dzień pracy na terenie Konstytuanty, wieczorem zaś odpoczywa po swych ustawodawczych pracach w klubach i spelunkach karcianych, gdzie uprawia hazard na wielką skalę. Wszystko to było słuszne. Wrogowie biskupa z Autun nie chcieli zrozumieć, że karty to rzecz niepewna, że ludzie poważni (a Talleyrand był człowiekiem bardzo przemyślnym i poważnym, gdy chodziło o jego kieszeń) muszą koniecznie starać się o dochody bardziej pewne i że z tych właśnie względów biskup-ustawodawca zmuszony był w tym samym mniej więcej czasie dokonać dwóch posunięć. Po pierwsze, zwrócił uwagę posła hiszpańskiego, który przybył do Paryża celem odnowienia umowy z Francją, że on, Talleyrand, poza wieloma innymi stanowiskami zasiada w Komitecie dyplomatycznym Konstytuanty; w odpowiedzi na to oświadczenie poseł hiszpański na znak szacunku, jaki odczuwał jego rząd wobec zalet duchowych Talleyranda, ofiarował mu sto tysięcy dolarów amerykańskich. Po drugie, jesienią tegoż 1789 roku Talleyrand wyłudził od swej kochanki, hrabiny Flahaut, drogocenny naszyjnik, który zastawił w paryskim lombardzie za dziewięćdziesiąt dwa tysiące liwrów.

Obie te operacje stały się powszechnie znane, a praktyczne talenty zwierzchnika diecezji Autun nie znalazły uznania w opinii publicznej.

W obecnej jednak chwili (i na pewien czas) przeważająca większość Konstytuanty oraz opinia publiczna sfer burżuazyjnych, które we wszystkim nadawały ton, zdecydowanie wychwalały Talley-

randa. Wyolbrzymiano nawet usługę wyświadczoną przez niego w sprawie dóbr kościelnych. Talleyrand znalazł się od razu w rządzie najważniejszych członków Konstytuanty. Nawet ci, którzy nie wierzyli w jego szczerość, wychodzili z założenia, że spalił on za sobą wszystkie mosty i że choćby dlatego rewolucja może mu zaufać. Za to wściekłość w obozie arystokracji, szczególnie wśród duchowieństwa, nie miała granic. „Pozbawiony wszelkiego talentu, o ograniczonym rozumie, lecz ogromnej zarozumiałości, oszukiwał on za Calonne'a na giełdzie, urągał swym haremem poczuciu przyzwoitości". Tak żył i takim był ongiś biskup z Autun, „obecnie zaś nie przejmując się on okazywaną mu pogardą, doradza kradzież, uczy krzywoprzysięstwa i sieje niezgodę, głosząc jednocześnie pokój". W taki oto sposób opiewała Talleyranda (wierszem) kontrrewolucyjna gazeta „*Les Actes des Apôtres*" w związku z sekwestrem dóbr kościelnych.

Natomiast popularność Talleyranda w Konstytucji od tej chwili szybko wzrastała.

v

Kariera parlamentarna Talleyranda rozwinęła się wspaniale. Jemu to zlecano referaty w najważniejszych sprawach; jemu również, jako gorliwemu i zaufanemu zwolennikowi rewolucji, Konstytuanta powierzyła w lutym 1790 roku sprawę polityczną pierwszorzędnej wagi. Paryż, a jeszcze bardziej prowincja zarzucane były kontrrewolucyjnymi broszurami, ulotkami, wierszami i wszelkiego rodzaju pamfletami. By temu przeciwdziałać, Talleyrand otrzymał zlecenie zwrócenia się do ludu francuskiego z orędziem, w którym w imieniu Konstytuanty miał podnieść obywateli na duchu i rozpać w nich entuzjazm rewolucyjny. Talleyrand niezwłocznie i z całkowitym powodzeniem wykonał to zlecenie: „Deputowani płakali, klaszkali w dłonie, rozrzewnieni i upojeni radością".

Działo się to 10 lutego, a w sześć dni później Talleyrand obrany został przewodniczącym Konstytuanty. „Rewolucyjny biskup” zdecydowanie pisał się w górę nie zwracając żadnej uwagi na wściekłe napaści w rojalistycznych czy też półrojalistycznych pismach i pamfletach.

Popularność Talleyranda wzrosła przed Świętem Federacji Stanów do niebywałego stopnia. W pismach ukazały się wzmianki o tym, że przechodnie spotykając go na ulicy gromadzą się tłumnie i czynią mu huczne owacje.

Dowiedziawszy się, że Talleyrand bierze udział w pewnym bankiecie, tłum zebrał się pod oknami i głośnymi okrzykami wywołał go; gdy Talleyrand, mając po lewej ręce Sieyesa, a po prawej Mirabeau, ukazuje się w oknie, owacja żywiołowo wzmagą się i zamienia w „burzę okrzyków i oklasków”. W tym okresie Talleyrand jest najpopularniejszym człowiekiem i zaćmiewa nawet osławionego trybuna Mirabeau... Zwolennicy rewolucji z zachwytem cytują płomienną mowę rewolucyjną, którą Talleyrand wygłosił w dniach 7 i 8 czerwca. W przemówieniu popierał dekret o zorganizowaniu w Paryżu Święta Federacji w dniu 14 lipca 1790 roku.

W roku 1790 powierzono Talleyrandowi opracowanie projektu wprowadzenia systemu metrycznego zamiast starego systemu miar, niedogodnego i niejednolitego w poszczególnych częściach kraju. Taki sam projekt opracowany był już w Anglii i Talleyrand miał zamiar pracować nad nim wspólnie z inicjatorem tej reformy Riggs-Müllerem. William Pitt jednak nie poparł nie tylko tej reformy, lecz w ogóle idei jakiegokolwiek trwałego zbliżenia z francuskimi rewolucjonistami, nawet

na tym czysto naukowym i technicznym gruncie; ku wielkiemu więc rozgoryczeniu Talleyranda, który już zdążył poczynić Konstytuancie najdalej idące obietnice zacieśnienia na przyszłość naukowych i dyplomatycznych stosunków pomiędzy obydwoma krajami, sprawa utknęła na martwym punkcie.

System metryczny został wprowadzony we Francji o wiele później, gdy Talleyrand był już od dawna na emigracji. Jak zobaczymy następnie, właśnie pod pretekstem podjęcia dalszych pertraktacji w tej sprawie otrzymał Talleyrand w roku 1792 paszport zagraniczny od Dantona.

Obrawszy nową drogę i poświęciwszy się pracy dla Konstytuanty, Talleyrand nie zwracał najmniejszej uwagi na ataki wrogiej mu prasy. Ważna była dla niego obecnie tylko opinia nowych władców, do których przeszedł na służbę i którymi pogardzał nie mniej niż porzuconymi przez siebie arystokratami i biskupami; po kryjomu kąpił on sobie nawet z tych nowych panów, którzy drażnili go swymi manierami, tonem i sposobem wyrażania się, owymi całkowicie obcymi obyczajami. W ich ręku jednak była władza, a więc i pieniądze. Talleyrand nie błyszczał nigdy talentem krasomówczym, więc lękał się przemawiać z tej burzliwej trybuny. Ulokował się w różnych dogodnych komitetach — jak dyplomatyczny i finansowy — gdzie mógł zgarnąć trochę pieniędzy po cichu i bez wielkiego ryzyka. „Widzi pan — pouczał on następnie barona Vitrolles'a — nie należy nigdy być ubogim (*il ne faut pas être pauvre diable*). Co do mnie, to zawsze byłem bogaty". Nie można polegać na osobach Ludwików i Napoleonów, ale na złotych krażkach z portretami Ludwików i Napoleonów można polegać w pełni i we wszystkich okolicznościach. Oto życiowa zasada, której hołdował Talleyrand aż do grobowej deski.

Duchowieństwo i szlachta z całą zaciekleścią znienawidzili go za podjęcie inicjatywy w sprawie wywłaszczenia dóbr kościelnych. Ponieważ jednak

byli całkiem bezsilni, Talleyranda zupełnie nie-
nawiść ta nie interesowała. Jak już wspomina-
liśmy, triumfująca w Konstytuancie burżuazja
demonstracyjnie odwdzieczyła się biskupowi
z Autun za jego tak bardzo na czasie będące wy-
stąpienie i obrała go przewodniczącym tego zgro-
madzenia. Talleyrand szybkimi krokami szedł
w górę.

Podczas wielkich uroczystości 14 lipca 1790 roku
(w pierwszą rocznicę wzięcia Bastylii) Talleyrand
zjawił się w swym imponującym stroju biskupa
w otoczeniu duchownych, którzy przyłączyli się
do nowej organizacji kościelnej. Przedstawiał on
swoją osobą złączenie się bractwa ewangelicznego
i bractwa rewolucyjnego w jedną harmonijną ca-
łość. Był centralną figurą całej uroczystości. Ma-
jestatycznie pobłogosławił rodzinę królewską,
członków Konstytuanty, gwardię narodową i nie-
zliczony tłum ludu, który obnażył przed nim głó-
wy, a następnie przed ołtarzem ustawionym na
środku wielkiego placu odprawił mszę. Ten pokor-
ny sługa Chrystusowy, ten arystokrata, który tak
bezinteresownie pracował nad odrodzeniem ojczy-
zny, dnia tego wywołał w cisnących się ku niemu
łatwowiernych masach uczucie wielkiego roz-
rzewnienia.

Talleyrand zresztą równie chętnie wspominał
ten dzień, lecz z jakich powodów! Zwolniwszy się
wieczorem, nie tracąc czasu pojechał do domu gry,
gdzie mu tak wyjątkowo szła karta, że rozbił
bank, po czym udał się na huczny obiad do pew-
nej swej znajomej (hrabiny Laval). Po obiedzie
znów pojechał do domu gry, tym razem do innego,
i stała się rzecz wprost niebywała w historii gry
karcianej: Talleyrand ponownie rozbił bank! „Po-
wróciłem wówczas do pani Laval, by pokazać jej
całe to złoto i banknoty. Poutykałem je wszędzie,
nawet kapelusz mój był nimi wypełniony”. Oto
z jakim zachwytem opowiadał o tym radosnym
wypadku wiele lat później legitymiście baronowi

Szły czasy tak groźne, że cała przemysłność byłego biskupa mogła okazać się niewystarczająca, by uratować jego głowę. Oczywiście Talleyrand niezwłocznie podjął się zredagowania noty zawiadamiającej rząd angielski o ogłoszeniu republiki. „Król potajemnie knował przeciw nowej konstytucji, która wyznaczała mu tak wspaniałą rolę. Ze skandaliczną rozrzutnością sypał złotem, aby za pomocą przekupstwa ugasić lub osłabić płomienny patriotyzm, który go niepokoił”. W tonie takiego szczerego rewolucyjnego gniewu wypowiadał się Talleyrand w swej nocie, usprawiedliwiając przed obcymi mocarstwami, przede wszystkim przed Anglią, zdetronizowanie Ludwika XVI.

I bodaj że dosłownie tego samego dnia, w którym redagował tę przesiąkniętą wielkim patosem rewolucyjnym notę, podjął Talleyrand, nie oglądając się na nic, pierwsze kroki w celu niezwłocznej ucieczki za granicę. Zjawił się więc u Dantona i prosił o paszport zagraniczny pod pretekstem konieczności wejścia w porozumienie z Anglią co do przyjęcia wspólnych miar długości i wagi. Dziwić się można, do jakiego stopnia pretekst ten był jawnie zmyślony i fałszywy. Danton nie mógł jednak podejrzewać, że chce emigrować do Anglii ta sama osoba, która pięć dni temu wystosowała ze swym własnoręcznym podpisem notę o konieczności całkowitego obalenia monarchii, o bezwzględnej słuszności i celowości tego pogłębienia rewolucji, jakie nastąpiło 10 sierpnia. Danton wyraził zgodę. Wszelkie formalności paszportowe zostały zakończone 7 września, a w parę dni potem Talleyrand stanął na wybrzeżu angielskim.

Niechby się był choć trochę spóźnił — a głowa jego stoczyłaby się z szafotu jeszcze w tymże 1792 roku. Można to twierdzić z całą pewnością, gdyż sprawa tak się przedstawiała: na rozkaz rządu rewolucyjnego otwarta została słynna „sza-

fa żelazna" króla, a znalezione w niej dwa dokumenty ustaliły, że jeszcze wiosną **1791** roku Talleyrand ofiarowywał po kryjomu swe usługi królowi; działo się **to** wkrótce po śmierci Mirabeau i Talleyrand miał wszelkie podstawy do liczenia na to, że przypadnie mu wynagrodzenie, jakie otrzymywał Mirabeau za tego rodzaju potajemne usługi. Rzecz oczywista, że Talleyrand zamierzał **oszukać** króla. Transakcja z jakichś powodów nie doszła do skutku, ale ślady jej, choć bardzo niewyraźne (był on wyjątkowo ostrożny), zachowały się i, jak już powiedziano, zostały wykryte. Dekretem Konwencji z dnia **5** grudnia **1792** roku wszczęte zostało dochodzenie przeciwko Talleyrandowi. Wyjaśnienie, które nadesłał, nie odniosło skutku i został on oficjalnie uznany za emigranta.

Dla Talleyranda było to — lub może tylko wydawało się — katastrofą życiową.

Droga do Francji została zamknięta jeżeli nie na zawsze, to na bardzo długo. Miał przy sobie **750** funtów sterlingów i żadnych widoków na dochody. Londyn roił się od emigrantów-rojalistów, którzy wypowiadali w prasie zdanie, że swym postępowaniem biskup z Autun zasłużył sobie w razie Restauracji już nie na powieszenie, lecz na łamanie kołem. Byli co prawda w Londynie emigranci innego rodzaju — „ludzie **1789** roku”, jak ich nazywano; ci odnosili się do Talleyranda z dużo większą tolerancją i nawet dopuszczali go do ścisłego swego grona. Przyjechała poza tym do Londynu pani Staël, z którą w tym czasie Talleyrand utrzymywał intymnie stosunki. W rezultacie udało mu się ułożyć sobie spokojny byt; jak zawsze, nie dawał poznać po sobie zakłopotania ani przygnębienia. Emigrantami-rojalistami pogardzał całą duszą przede wszystkim za umysłowe ubóstwo, a zwłaszcza za ich całkowity, dziecinny brak zrozumienia ważności wypadków.

W **tym** okresie, a nawet i wcześniej, zaraz po

wzięciu Bastylji, Talleyrand jasno zrozumiał, że niezależnie od niespodzianek i zmian oczekujących Francję jedną rzecz uważać należy za całkowicie pewną: nigdy już nie powróci dawny feudalno-szlachecki ustrój w tej formie, w jakiej istniał przed rokiem 1789. I to nie wszystko: gdyby nawet jakimś cudem powróciła dynastia Bourbonów, żadna z cech dawnego ustroju wrócić już nie może. Ale i w możliwość powrotu Bourbonów w obecnych warunkach nie wierzył on wcale.

Dla tych też powodów nie liczył się Talleyrand zupełnie ze wszystkimi pełnymi oburzenia demonstracjami i wściekłymi wypadami emigrantów-rojalistów przeciwko jego osobie; gdy tylko wymieniano w rozmowie znienawidzonego, „pozabawionego święceń księdza”, wyczerpywali oni cały zapas francuskich wymysłów. W jego zaś pojęciu ci biali emigranci to były po prostu trupy, których zapomniano pogrzebać. Emigranci mieli jednak możliwość drogą okreśną sprawić mu bardzo nawet poważne przykrości i nie omieszkali skorzystać z okazji.

Pewnego pięknego dnia (było to w styczniu 1794 r.) rząd angielski kazał mu niezwłocznie opuścić Anglię i wyjechać, dokąd chce. Lecz dokąd? Pokazać się na kontynencie w monarchistycznej Europie było nie do pomyślenia: jego imię wzbudzało tam jeszcze większy gniew niż w Anglii, zaś wrogowie-emigranci mieli tam jeszcze większe wpływy niż w Londynie. Pozostawała tylko Ameryka, toteż Talleyrand wyjechał do Filadelfii. Sam w sobie ten tak młody i podówczas całkiem nieznaną Nowy Świat nie pociągał go wcale. „Przybyłem tam z uczuciem obrzydzenia do tych rzeczy nowych, które zwykle interesują podróżników. Nie potrafiłem wzbudzić w sobie ani trochę zaciekawienia”. Charakterystyczne jest zarozumiałstwo, z jakim Talleyrand wypowiada powyższą myśl, jednak bardziej jeszcze charakterystyczny jest fakt, że jego

oschle od najmłodszych lat serce nie było ciekawe ani rzeczy, ani wypadków, ani istot ludzkich — o ile nie wiązały się z jego osobistymi materialnymi kombinacjami i interesami. Dlatego też jest Talleyrand tak skąpy w słowach i wyraża się tak mętnie o każdej rzeczy, która go bezpośrednio nie dotyczy.

W roku 1942 wydany został w Waszyngtonie zbiór nie opublikowanych dotychczas listów i pamiętników Talleyranda odnoszących się do jego pobytu w Ameryce w latach 1794—1796 . Dokumenty te nie mają wielkiego znaczenia z punktu widzenia analizy działalności politycznej księcia, mogą interesować raczej historyka ekonomicznych i finansowych stosunków w Stanach Zjednoczonych końca XVIII stulecia. Jedno jest jasne: Talleyrand liczył się z koniecznością o wiele dłuższego pobytu w Ameryce, aniżeli to miało miejsce w rzeczywistości. Dokumenty te traktują wyłącznie o sprawach i kombinacjach ekonomicznych i finansowych. Wynika z nich wyraźnie, że Talleyrand miał zamiar zająć się spekulacją na kupnie i sprzedaży terenów i przyciągnąć do Europy amerykańskich kapitalistów; z niektórymi z nich prowadził nawet obszerną korespondencję co do przyszłych interesów.

Wynika również z omawianych dokumentów, że Talleyrand sumiennie przestudiował warunki, w których spekulacja ziemią w Ameryce może dać znaczne zyski. Przewiduje on, że Ameryka stanie się bogatym rynkiem zbytu dla towarów

i wyrobów europejskiej manufaktury, gdyż wydaje mu się, że przez długie jeszcze lata powoli rozwijający się przemysł amerykański nie potrafi dotrzymać kroku potrzebom szybko wzrastającej ludności i przejawianemu przez wyższe sfery zamięłowaniu do zbytku.

Do sfer politycznych w Stanach Zjednoczonych Talleyrandowi zbliżyć się nie udało. Prezydent Washington nie chciał go przyjąć, bowiem z listów amerykańskiego rezydenta w Paryżu, gubernatora Morrisa, wiedział zbyt wiele o różnorodnych „zaletach” Talleyranda. A jednak Anna Dodd, o której wspominaliśmy we wstępie, współczesna nam entuzjastyczna wielbicielka i gorąca obrończyni Talleyranda, stara się odmowę Washingtona uzasadnić przede wszystkim przyczyną natury dyplomatycznej, a mianowicie protestem oficjalnego (z ramienia Konwencji) przedstawiciela Francji Fouché, i protestowi temu nadaje decydujące znaczenie. Tak czy owak, słynny prezydent odmówił sobie przyjemności zapoznania się z biskupem diecezji Autun, którego miłosne i giełdowe przygody były mu od dawna dobrze znane. Wszystkie starania Talleyranda pozostały bez skutku.

W Ameryce Talleyrand zajął się energicznie przeprowadzaniem licznych spekulacji terenami i wydaje się, że nie bez powodzenia.

Jednak polityczne wypadki we Francji z każdym miesiącem coraz bardziej odciągały Talleyranda od zagadnień gospodarki amerykańskiej. Tak długo oczekiwana godzina jego powrotu do ojczyzny mogła wybić dopiero po utworzeniu Dyrektoriatu, wraz z pojawieniem się „nowych fortun”, gorączki giełdowej, kultu łatwych zarobków i wypłynięciem takich ludzi, jak Tallien czy Barras, oraz chciwych dostawców i bankierów typu Ouvrarda. Do tego jednak czasu trzeba

się było na emigracji trudnić byle czym. Talleyranda ogarnęła w Ameryce taka nuda, że szukał jedynie okazji nawiązania kontaktu z rządem rewolucyjnym, aby starać się o pozwolenie na powrót. Oczywiście było to do pomyślenia dopiero po 9 termidora, a właściwie po 1 prairiala, po nieudanej rewolucji i rozbrojeniu robotniczych przedmieść Paryża na początku lata 1795 roku. Talleyrand energicznie zajął się swą sprawą i już 4 września 1795 roku uzyskał zezwolenie na powrót do Francji. Bardzo mu w tym dopomogła zaciekła nienawiść, którą otoczony był na emigracji. Referując sprawę Talleyranda w Konwencji 4 września 1795 roku, Chénier powiedział: „Proszę was o niego w imieniu Republiki, której może się on jeszcze przydać swoim talentem i swą pracowitością, proszę o niego w imieniu waszej nienawiści do emigrantów, gdyż tak jak i wy stałby się on ich ofiarą, gdyby tylko te łotry mogły dojść do władzy”.

Niezwłocznie po otrzymaniu (w listopadzie tegoż 1795 r.) wiadomości o tym wydarzeniu, Talleyrand zaczął likwidować swe amerykańskie sprawy i zbierać się w drogę do Europy. Przybył do Paryża dopiero 20 września 1796 roku.

VII

Rozpoczął się nowy okres jego życia, a jednocześnie otwierała się nowa karta historii świata. „Rewolucja skończyła się we Francji i przeniosła do Europy” — mówili jedni. „Rewolucja wystąpiła ze swych brzegów” — mówili inni. Po tamtej stronie Alp grzmiała już sława Bonapartego, młodego zdobywcy, którego feudalna Europa nazwała następnie „Robespierre'em na koniu”. Zbliżały się wielkie zmiany zarówno we Francji, jak i w Europie. Odniosłszy zwycięstwo we Francji, rewolucja burżuazyjna gotowała się do walki z absolutystyczną Europą, z na wpół feudalnym ustrojem, który zdecydowany był drogo sprzedać swe ży-

cie. Na scenę historii wysunęły się teraz armie; mówcy byli gotowi do ustąpienia miejsca generalom. Rewolucja burżuazyjna odpędziła wrogów od granic Francji i ścigała na ich własnym terytorium. Wojnę rewolucyjną powoli zastępowały wojny zaborcze. Talleyrand nie wątpił ani na chwilę, po czyjej stronie będzie zwycięstwo w tej walce burżuazji przeciwko przeżytkom feudalizmu. Przecież dlatego wrócił z Ameryki do Francji. Wybiła jego godzina.

W tym samym 1796 roku, podczas bezsennej nocy, zdobywca Włoch generał Bonaparte zadał sobie, jak sam się później przyznał, po raz pierwszy pytanie: czy też zawsze ma walczyć „dla tych adwokatów?” W tym samym czasie w odległym Paryżu książe Talleyrand, ten ułaskawiony emigrant, który dopiero co powrócił, którego całe mienie zostało skonfiskowane i sprzedane podczas terroru i który obecnie przejadał resztki swych zarobków uzyskanych z drobnych spekulacji terenowych w Ameryce — uważnie przyglądał się nowym władcom, pięciu członkom Dyrektoriatu, starając się rozstrzygnąć kwestię: czy poszukiwać dla siebie nowego pana, czy też zadowolić się „tymi adwokatami”, chociaż są tak mało warci? Zdecydował, że trzeba przede wszystkim wkręcić się do najbliższego otoczenia obecnych możnowładców i wkraść się w ich zaufanie, potem zaś dopiero myśleć o przyszłym rozkazodawcy. Talleyrand wyraźnie przewidywał, że kraj idzie ku dyktaturze wojskowej.

Bądź co bądź należało w pierwszej linii zaproponować swe usługi Dyrektoriatowi. Tu sprawa poszła bardzo opornie. Na jaw wyszła przykra okoliczność: reputacja byłego biskupa diecezji Autun była w pewnym znaczeniu zbyt głośna. „Łączy on miedziane czoło z lodowatym sercem” — pisał w swych wierszach Lebrun. W prozie zaś wyrażano się o Talleyrandzie tak bezceremonialnie, że najbardziej soczyste epitety trzeba było oznaczać w druku tylko pierwszą literą

i kropkami; drukowany papier nie miał dość wytrzymałości dla wylewu uczuć tych krytyków. Największą przeszkodą dla kariery Talleyranda była opinia o nim pięciu członków Dyrektoriatu, z których trzech uważało go za łapownika, jeden za złodzieja i łapownika, a piąty (Rewbelle) — za zdrajcę, złodzieja i łapownika. „Talleyrand jest na tajnej służbie obcych państw! — wołał Rewbelle na posiedzeniach Dyrektoriatu — kula ziemska nie nosiła jeszcze bardziej zepsutego i bardziej niebezpiecznego stworzenia”. Pozostali czterej członkowie wysłuchiwali tych przemówień bez żadnego protestu. Jakże bowiem mógł protestować chociażby taki uczciwy i niezłomny Carnot, skoro sam wyrażał się o Talleyrandzie: „Właśnie dlatego tak pogardza on ludźmi, że dobrze rozgryzł samego siebie... Zmienia zasady jak bieliznę”.

Już w owych czasach mówienie o nieuczciwości Talleyranda uważano za nudny komunał, za prymitywny, powszechnie znany banał.

Jeden z bohaterów powieści Stendhala „Lucjan Leuwen” tak poucza swego rozmówcę: „A pan nie masz dostatecznie grubej skóry na to, by pozostać obojętnym wobec ogólnej wzdury. Lecz i do tego można się przyzwyczaić, a próżność schować do kieszeni. Pamiętaj pan przeciw pana de N. (model — księżę Talleyrand). Pogarda, jaką okazywano temu znakomitemu mężowi, stała się komunalem i teraz tylko głupcy mogą sobie pozwalać na nią” .

Jakobini uważali Talleyranda za zdrajcę, którego tylko przypadkiem ominęła gilotyna, a ludzie 8 termidora w swym stosunku do niego mało różnili się od jakobinów. „Bez duszy, bez sumienia, bez wstydu, bez poczucia moralności... zbyt jest godzien pogardy, by zasługiwać na zaufanie, zbyt pogardzany, żeby się go można bać” — tak

odzywał się o Talleyrandzie Boissy d'Anglas, którego Lacour-Gayet, wydawca dokumentów pod tytułem „Mélanges”, dla nieznaney przyczyny nazywa „bohaterem pierwszego prairiala”. W czym widzi Lacour-Gayet „bohaterstwo” Boissy d'Anglas, który przewodniczył w Konwencji w dniu pierwszego prairiala, pojąć trudno. Chyba w tym, że dopomógł on swymi zeznaniami przed komisją wojskową do skazania na śmierć Romme'a, Bourbotte'a, Soubrany'ego i innych rzeczywiście tych „bohaterów pierwszego prairiala”; można jednak stanowczo powiedzieć, że ani przed pierwszym prairiala, ani po nim nie miał Boissy d'Anglas nic wspólnego z bohaterami i bohaterstwem. W cytowanym odezwaniu się jego o Talleyrandzie wszystko się zgadza oprócz ostatniego twierdzenia: choćby nie wiem jak pogardzać Talleyrandem, to jednak — dowiódł on tego całym swym życiem — należało, i to nawet bardzo, obawiać się go. Był to ostrożny, spostrzegawczy, cierpliwy drapieżnik, niebezpieczny przez swój subtelny, przenikliwy rozum, przez dar przewidywania na daleką metę, przez umiejętność znalezienia instynktownie odpowiedniej taktyki w najbardziej skomplikowanych sytuacjach, przy użyciu wymyślnych kombinacji. Ludzie termidora, a następnie stworzony przez nich Dyrektoriat, doświadczyli wkrótce na własnej skórze tych zalet Talleyranda. Członkowie Dyrektoriatu jak gdyby przeczuwali to.

Wszelkie swe nadzieje pokładał Talleyrand w Barrasie. Barras tak jak i inni wiedział, że Talleyrand zdolny jest do wszystkiego, wiedział jednak również, że rząd za wszelką cenę potrzebuje dobrego dyplomaty, subtelnego umysłu, człowieka odpowiedniego do długich, wykrętnych pertraktacji, do najtrudniejszych pojedynków słownych. Barras pojmował, że ta bardzo skomplikowana działalność dyplomatyczna, polegająca na techni-

ce i specjalizacji, zarówno obecnie, w roku 1797, jak i w najbliższej przyszłości mieć będzie kolosalne znaczenie i że podjąć się jej nie mogą ani „adwokaci”, ani generałowie. Nie będę podawać szczegółów (wszystkie one znane są, a nawet usystematyzowane dzięki tradycyjnemu zamiłowaniu historyków francuskich do drobiazgów i sypialnianych plotek), nie będę wspominać o tym, jak pani Staël, była kochanka Talleyranda, pomogła mu w tej sprawie i jak on sam obrzydliwie schlebiał i poniżał się nie tylko przed nią, ale i przed jej ówczesnym kochankiem, Beniaminem Constant; jak błagał panią Staël, by roztkliwiła Barrasa i zapewniła tego wciąż jeszcze wahającego się członka Dyrektoriatu, że on, Talleyrand, nie ma z czego żyć i że o ile nie zostanie mianowany ministrem spraw zagranicznych, to zmuszony będzie niezwłocznie utopić się w Sekwanie, gdyż pozostało mu już tylko dziesięć luidorów, itd. „*Il m'a dit qu'il allait se jeter à la Seine, si vous ne le faites pas décidément ministre des affaires étrangères*”. Barras nie ukrywał przed panią Staël (która w tym gorącym okresie była u niego siedem razy prawie dzień po dniu), że cały Dyrektoriat uważa jej protegowanego za notorycznego oszusta i że jej natarczywość nudzi go, Barrasa, niewymownie. W dwa dni po wysłuchaniu tych słów pani Staël zjawiała się u Barrasa po raz ósmy. W ostatecznym wyniku Barras, którego wpływy były decydujące i który uważał — jak już powiedziano — że Talleyrand może się przydać, a zastąpić go nie ma kim, przyspieszył sprawę i istotnie wniósł do Dyrektoriatu wnioski o nominację Talleyranda. Po dyskusji trzy głosy padły za nominacją, dwa zaś — przeciwko.

Gdy Beniamin Constant przybiegł z tą wiadomością, Talleyrand — chyba po raz pierwszy i ostatni w ciągu swego długiego życia — stracił głowę z radości. Rzucił się na szyję Constantowi, a w karecie, którą niezwłocznie pojechał z nim i jednym ze swych kamratów podziękować Barra-

sowi, nie bacząc na audytorium, jak pomyłony powtarzał przez całą drogę jedno i to samo zdanie: „Zdobyłem stanowisko! Trzeba będzie na nim zrobić ogromny majątek, ogromny majątek, ogromny majątek!” („*Nous tenons la place! Il faut y faire une fortune immense, une fortune immense, une fortune immense!*”).

Taka oto była główna sprężyna, ukryty punkt newralgiczny, wypięłgnowany w głębi serca motyw, z którym Talleyrand zdradził się w chwili otrzymania wiadomości o swej nominacji na ministra francuskiej republiki; wyjawiał to w paroksyzmie żywiołowej radości, zapomniawszy jedynie raz w życiu o własnym aforyzmie, że „człowiek ma język po to, by ukrywać swe myśli”. Otrzymał stanowisko, na którym z nędzarza można było z łatwością stać się milionerem. W patosie tym szczerze wypowiedział się co do swej działalności. W ciągu tego kwadransa spędzonego w karcie był on zupełnie otwarty i szczerzy. Oprzytomniał jednak szybko. Nazajutrz, 18 lipca 1797 roku, otrzymawszy oficjalną pisemną nominację, Talleyrand całkowicie się już opamiętał i wziął się w karby. Przed urzędnikami Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przed interesantami i korpusem dyplomatycznym zjawił się spokojny, z lekka wyniosły wielki pan, majestatycznie wspierający się na ozdobnej lasce, zimny mąż stanu, oficjalny przedstawiciel potężnego mocarstwa zwyciężającego Europę, przedstawiciel pełnomocny francuskiej rewolucji burżuazyjnej, walczącej ze wszelkimi angielskimi George'ami, rosyjskimi Pawłami, austriackimi Franciszkami. Przede wszystkim zaś stanął przed zebranymi człowiek całkowicie i głęboko przekonany o swej nieposzlakowanej czystości i o tym, że jeżeli jacyś zazdrośnicy rzucali na niego oszczerstwa, to jednak nic nie jest zdolne sprofanować piękna jego ducha. Każde zewnętrzne powodzenie wzmocniało w nim ten wyniosły, widoczny spokój i wydawało się, że po każdym swym triumfie jak gdy-

by mówił do ludzi, którzy go potępiali, i do całego otoczenia: „Sami teraz widzicie, co jestem wart!”

A więc Talleyrand został ministrem, zdobył rzeczywistą władzę i siłę! Przez pewien czas resztki ocalałych arystokratów oraz powracający do Francji emigranci lękali się zemsty tego człowieka, któremu tak zajadle urągali i którego ścigali swą nienawiścią, doprowadziwszy ongiś — jak widzieliśmy — do wygnania go z Anglii. Myśleli, że obecnie, gdy Talleyrand został członkiem rządu, z łatwością przyjdzie mu rozprawić się bezwzględnie ze swymi przeciwnikami i wrogami. Nie przedsięwziął on jednak żadnych przeciwko nim kroków, choć bez trudu mógł to uczynić. Ten zupełny brak mściwości jest również charakterystycznym rysem Talleyranda. Jako człowiek całkowicie, skończenie amoralny, był on zdolny popełnić każdy czyn, nawet zakopać żywcem niewinną ofiarę, jeżeli to w jakimkolwiek stopniu potrzebne było do jego kariery; natomiast nie kiwnąłby nawet palcem, żeby ukarać najgorszego swego wroga, jeśli wróg ten nie mógł mu już szkodzić. Zemsta jako taka nie sprawiała mu żadnej przyjemności i nie bawiła go wcale, nie potrafił on bowiem prawdziwie nienawidzić, potrafił jedynie pogardzać. To, co w ustach napuszonych bohaterów późniejszych romantyków brzmiało jak fałszywy akord, dla niego było w pełni realną rzeczywistością, choć nigdy nie wygłaszał żadnych tyrad o nienawiści i pogardzie. Zapominał o swych wrogach w chwili, gdy ustępowali mu z drogi; gdy na tej drodze byli dla niego przeszkodą, odrzucał ich albo rozgniewał butem, po czym znów o nich zapominał. Nowy minister miał przed sobą znacznie ważniejsze sprawy i zadania. Toteż dosłownie od pierwszej chwili objęcia ministerstwa przez Talleyranda korpus dyplomatyczny zaczął z zaciekawieniem śledzić, jakie są poczynania nowego kierownika francuskiej polityki zagranicznej.

Zdawać by się mogło, że w epoce Dyrektoriatu, w okresie pijackich hulanek członka Dyrektoriatu Barrasa, w czasach gdy finansista i łupieżca Ouvrard doprowadził do szczytu swe spekulacje, a wielcy i mali złodzieje grosza publicznego oddawali się orgiom — nie łatwo chyba zadziwić kogokolwiek tak powszechną i codzienną rzeczą, jak łapówka. A jednak Talleyrand potrafił zdumiewać współczesnych, którzy wszak od dawna przestali się dziwić czemukolwiek w tym względzie. Brał on łapówki od Prus, Hiszpanii, Portugalii, Stanów Zjednoczonych, brał od kolonii i metropolii, od części świata i od wysp, od Europy, od Ameryki, od Persji i od Turcji, brał od wszystkich, którzy z tych czy innych względów zależni byli od Francji, potrzebowali jej lub odczuwali wobec niej obawę. Brał on łapówki ogromne, jak gdyby nie chcąc obrazić na przykład wielkiego państwa żądaniem od niego małej łapówki. Dał on od razu do zrozumienia posłowi pruskiemu, że nie przyjmie mniej niż trzysta tysięcy liwrów w złocie. Z okazji pokoju w Campo Formio wziął od Austrii milion, od Hiszpanii — w zamian za przyjacielski stosunek — milion, od Królestwa Neapolitańskiego — pół miliona. Jeszcze za życia Talleyranda we współczesnej prasie niejednokrotnie czyniono próby obliczenia, choćby z grubsza, jaką kwotę Talleyrand otrzymał w postaci łapówek przez czas swego urzędowania na stanowisku ministra. Jednak i ci wrogo do niego nastawieni rachmistrze nużyli się zwykle i mylili w swych obrachunkach, poprzestając na pierwszym okresie jego kierownictwa sprawami zagranicznymi. Oceniali więc, że w latach 1797—1799 otrzymał on przeszło trzysta i pół miliona franków w złocie (właściwie 13 650 000). A przecież te dwa pierwsze lata były, że tak powiemy, dziecienną zabawką w porównaniu z następnymi latami, w których Napoleon całkowicie opanował Euro-

pę, a Talleyrand po dawnemu pozostawał na swym stanowisku ministra.

Łapówki jednak nie były dla niego jedynym środkiem zdobycia majątku. Talleyrand, prawie nigdy nie chybiając, grał na giełdzie przez przedstawione osoby: przez swe kochanki i przyjaciół, przez przyjaciół swych kochanek i przez kochanki swych przyjaciół; wiedział przecież zawczasu, jak ułożą się wypadki polityczne, przewidywał, jakie skutki na giełdzie mieć będą obmyślane przez niego lub tylko jemu z góry znane posunięcia, toteż dzięki wskazówkom, które dawał, spływał na niego z giełdy złoty potok. Wreszcie prócz łapówek i spekulacji giełdowej egzystował jeszcze trzeci sposób bogacenia się: dostawy. Talleyrand miał do swej dyspozycji całą chmarę agentów, którzy myszkowali po zależnych od Francji, lennych lub na wpół lennych krajach i ubiegali się u miejscowych rządów o dostawy towarów lub żywności. Zabawny wypadek zdarzył się na tym tle w Hiszpanii. Gdy przybyli tam z Paryża jacyś aferzyści, którzy niemal szantażem i groźbami zaczęli wymuszać na królu najróżnorodniejsze dostawy, poseł francuski admirał Truguet, w przekonaniu, że aferzyści działają na własne ryzyko i we własnym imieniu; wydalil ich z Hiszpanii. W krótkim jednak czasie poseł Truguet miał się przekonać, że za plecami tych przedsiębiorców stoi majestatyczna postać ministra republiki francuskiej, samego księcia Talleyrand-Perigord. Za niedostatecznie szybką orientację poseł otrzymał dymisję, a aferzyści po krótkich niepowodzeniach znów zabłądli w Madrycie.

Nasuwa się pytanie, czy łapownictwo i przepukstwo mogło w rzeczywistości mieć wpływ na ogólny bieg spraw w Europie? Oczywiście, że nie. Nie potrzeba było rozumu i sprytu Talleyranda, by zdać sobie sprawę, że gdy na przykład generał Bonaparte podbił Włochy, to w żaden sposób nie da się zmusić ani Dyrektoriatu, ani samego ge-

nerała do wypuszczenia z rąk zdobywcy, albo że Francja, która domagała się od Hiszpanii pomocy w postaci floty w walce z Anglią, nie odstąpi od swego żądania. Talleyrand wiedział, że wszelka podjęta przez niego próba namówienia rządu na niedogodną dla Francji transakcję skończyłaby się w najlepszym razie dymisją, a w najgorszym — egzekucją. Toteż nigdy (do roku 1808) nie postępował on w sposób nierozsądny i zuchwały. Brał łapówki jedynie za łagodniejsze zredagowanie drugo - lub trzeciorzędnych punktów w umowach, porozumieniach, protokołach; za opuszczenie w jakiejś nocie zbyt sprecyzowanego i ostrego sformułowania, za obietnicę „poparcia” sprawy, co do której wiedział, że bez jakiegokolwiek jego ingerencji jest już w zasadzie zdecydowana przez zwierzchnie władze Francji w sensie przychylnym dla interesanta. Płacono mu również za szybsze załatwienie sprawy; za to, by przyspieszyć o trzy miesiące ewakuowanie terytorium, na którego ewakuację Francja już się uprzednio zgodziła; za otrzymanie o pół roku wcześniej subsydium, które Francja obiecała wypłacić itd. Na drogę zdrady stanu w pełnym znaczeniu tego słowa wszedł Talleyrand dopiero w roku 1808, od czasu Erfurtu.

Z punktu widzenia psychologicznego ciekawe jest, że Talleyrand pragnął zachowywać i zachowywał pewną swoistą etykę w stosunkach swych z osobami, od których brał łapówki; jeśli wziął — to wykonał, jeśli nie mógł wykonać, to łapówkę zwracał. Na przykład: gdy Napoleon, który podczas zimy kwaterował z wojskiem w Warszawie, polecił Talleyrandowi w styczniu 1807 roku opracowanie projektu przywrócenia Polsce niepodległości, minister niezwłocznie zażądał od polskich magnatów czterech milionów złotych polskich. Ci zorganizowali składkę, zebrali spiesznie cztery miliony i doręczyli je w terminie Talleyrandowi. Obiecał on za to zająć się sprawą sumiennie i z całą starannością. Istotnie, referując

sprawę cesarzowi mówił z głębokim przekonaniem o błędzie nie do darowania, który popełniła Francja pozwalając na rozbiór Polski, i o opatrnościowej roli oraz obowiązku jego cesarskiej mości wskrzeszenia tego nieszczęsnego kraju. Gdy jednak sprawa przyjęła taki obrót, że Napoleon, który w sześć miesięcy później zawarł w Tylży przymierze z Aleksandrem I, nie był w stanie uczynić dla Polaków tego, co przedtem zamierzał, Talleyrand zwrócił cztery miliony. Co prawda ten heroiczny gest możemy sobie wytłumaczyć również strachem, by poszkodowani i oszukani Polacy nie podali wszystkiego do wiadomości cesarza. Mogło to pociągnąć za sobą przykrości...

W każdym bądź razie Talleyrand mądrze i ostrożnie opracowywał te ciemne sprawy, a przede wszystkim nigdy nie czynił najmniejszej nawet próby użycia swych wpływów, by zmienić na niekorzyść Francji bieg wypadków w kwestiach zasadniczych i mających poważniejsze znaczenie. Korzystał jednak z każdej dyplomatycznej okazji i zawsze znalazł sposób ściągnięcia ze swych kontrahentów mniej lub bardziej okrągłej sumki. Zresztą od czasu do czasu (w pierwszym okresie) sprawa kończyła się skandalem; działo się to wtedy, gdy książę Talleyrand trafił na ludzi, którzy stosunkowo od niedawna przyswoili sobie starą europejską cywilizację. A więc na przykład w roku 1798 wynikł następujący przykry ewenement. W Paryżu przebywali już od jesieni 1797 r. nadzwyczajni pełnomocnicy amerykańscy, którzy przyjechali w związku ze zbytnim przeciąganiem się sprawy wyjednania dla amerykańskich armatorów prawnie należących się im kwot pieniężnych. Talleyrand przeciągał sprawę i nasyłał swych agentów, którzy tym słabo orientującym się Amerykanom wyjaśniali w języku angielskim, że minister chciałby uprzednio otrzymać od nich „słodycze”, „*the sweetness*” — tak tłumaczyli bowiem owi

agenci francuskie wyrażenie „*les douceurs*”. Tych „słodczy” zażądano w tak nieproporcjonalnie wielkich rozmiarach, że cierpliwość Amerykanów wyczerpała się. Nie tylko bowiem delegaci zwrócili się z oficjalną skargą do swego bezpośredniego zwierzchnika, prezydenta Stanów Zjednoczonych, lecz i sam prezydent Adams wyłuszczył te oskarżenia w piśmie swym z 3 kwietnia 1798 roku, skierowanym do Kongresu. Przedstawiciele amerykańscy z wyrzutem przypomnieli przy tej okazji niedawny okres emigracyjny Talleyranda. „Przecież tym ministrem rządu francuskiego, do którego zwróciliśmy się prosząc jedynie o sprawiedliwość, jest właśnie człowiek, który doznał od nas jak najprzychylniejszej gościnności. Ten oto nasz niewdzięczny gość, ten biskup, który wyrzekł się swego Boga, nie zawahał się wymuszać od nas pięćdziesięciu tysięcy funtów sterlingów, owych «słodczy»-, «*the sweetness*»-, pięćdziesięciu tysięcy funtów na zaspokojenie swych namiętności”.

Skandal wybuchł niewiarogodny. Wszystko przedostało się do prasy. Talleyrand odpowiedział niedbale i z wysoka, składając winę na jakichś nieznanych oszustów i na „brak doświadczenia” amerykańskich pełnomocników. Następnie minister zadośćuczynił niezwłocznie żądaniom Amerykanów, zrezygnowawszy ze „słodczy”. Przykrości tego typu mogły się jednak wydarzyć tylko wówczas, gdy miało się do czynienia z niezdartymi, upartymi, dzikimi purytanami znad Missisipi lub z Gór Skalistych. Europejczycy byli o wiele cierpliws i unikali skandali. Ich sytuacja była bardziej niebezpieczna: nie odgradzał ich od Francji Ocean Atlantycki.

Równocześnie z dorabianiem się ogromnej fortuny Talleyrand troszczył się jeszcze i o inne

sprawy. W swoim czasie nie życzył on sobie powrotu Bourbonów, chociaż bowiem nie obawiał się „łamania kołem”, czym mu grozili emigranci, zdawał sobie jednak sprawę, jak niedogodna i niebezpieczna byłaby dla niego Restauracja. To też gdy niektóre reakcyjne odłamy burżuazji zaczęły przemyślać o tej możliwości, Talleyrand z zadowoleniem powitał wypadki 18 fructidora — nieoczekiwane aresztowanie rojalistów i ich zesłanie oraz rozgromienie partii rojalistycznej. Talleyrandowi potrzebna była inna forma reakcji, mianowicie monarchia lub nawet dyktatura, lecz bez Bourbonów, tj. to samo, co potrzebne było lub wydawało się w owej chwili potrzebne „nowym bogaczom” i nowym właścicielom ziemskim, całej nowej burżuazji; ustrój, który by zabezpieczył ich nie tylko od Babeufa, nie tylko od ludzi prairiala, lecz i od nowego Robespierre’a, a który by zarazem uniemożliwił reakcję feudalną, próbę powrotu do przedrewolucyjnych stosunków społecznych i ekonomicznych.

Gdy w kwietniu 1797 roku zwycięstwa Bonaparte’go zmusiły Austrię do podpisania preliminarza pokojowego w Leoben, Talleyrand, który od dawna przewidywał, że zwycięskiego generała czeka „wspaniały los”, pisał do Ameryki w liście do swego tamtejszego „przyjaciela” od spraw finansowych, Olive’a: „Oto należy się spodziewać, że ostateczny pokój będzie wkrótce zawarty, gdyż warunki wstępne są już podpisane. Cóż to będzie za wspaniały pokój! Lecz jakież to jest człowiek ten nasz Bonaparte! Nie ma on jeszcze 28 lat, a już jest wokół niego sława wojenna, pokojowa, sława umiarkowania i szlachetności. Zdobył on wszystko”. I następnie Talleyrand radośnie zawiadamia, że „w Paryżu jest całkiem spokojnie” i że za rok będzie tu można robić dobre interesy (tj. spekulacje), gdyż „kapitały z zewnątrz zaczynają napływać” do Francji.

Przed Talleyrandem otwierała się przyszłość pełna nadziei. Zarówno stara, przedrewolucyjna, jak i nowa, porewolucyjna burżuazja, zmiąwszy ostatnie próby plebejskich mas Paryża, rozbrowiwszy w prairialu 1795 roku mieszkalców przedmieść St. Antoine i St. Marcel, obchodziła swe zwycięstwo nad wrogami z lewej i przeciwnikami z prawej strony. Jednocześnie wschodziła gwiazda młodego zwycięzcy, który miał zostać wyrazicielem dążeń i interesów wielkiej burżuazji. Czuł też Talleyrand, że nadeszła jego godzina, że kariera polityczna, ta prosta dla niego droga do osobistego wzbogacenia się, jest już bliska.

Toteż jego urzędowe pisma do wojującego po tamtej stronie Alp młodego generała stawały się coraz bardziej uważne i schlebiające, coraz pełniejsze szacunku i serdeczności. Już w latach 1797 i 1798 pisał on do Bonapartego nie jak minister do generała dowodzącego jedną z kilku armii republiki, ale raczej jak zakochany w swym monarsze poddany. Był on jednym z pierwszych, którzy odgadli i zrozumieli, że Bonaparte to nie tylko zwycięski rębacz, lecz coś o wiele bardziej złożonego i potężnego. Zrozumiał on, że człowiek ten jest o wiele silniejszy od „adwokatów” i że, należy wobec tego zawczasu przymocować swą wątłą łódź do tego wielkiego, wpływającego na szerokie wody okrętu. Słuszne będzie w tym miejscu poświęcić choć parę słów ogólnej charakterystyce stosunku Talleyranda do Napoleona, tym bardziej że przeważająca część jego pamiętników dotyczy okresu jedynowładztwa Bonapartego. Należy oczywiście pozostawić na uboczu własne wypowiedzi Talleyranda; dają nam one wyłącznie pojęcie o tym, w jakim świetle sam autor chciałby przedstawić swój stosunek do cesarza — i nic ponadto. Rozpatrzmy raczej fakty na podstawie obserwacji osób postronnych.

Jest oczywiste, że Talleyrand pojął wcześniej od wielu innych, jakie uzdolnienia, jakie możliwości kryje w sobie ten posępny młody dowód-

ca, który zaczął swą wojenną karierę od tak nieprzeciętnych czynów bohaterskich. Zdawałoby się, że ci dwaj ludzie nie mogą mieć nic wspólnego. Pierwszy — wytworny, zniewieściały przedstawiciel starej arystokracji, drugi — potomek zbiedniałej szlachty z dalekiej i dzikiej rozbójniczej wyspy. Pierwszy miał zawsze (z wyjątkiem okresu emigracji) możność przeżułania w ciągu jednego wieczoru za biesiadnym stołem lub przy kartach więcej, aniżeli drugi mógł wydać w ciągu kilku lat swej skromnej, koszarowej egzystencji. Dla pierwszego wszystko polegało na pieniądzach i uciechach, na sybarytyzmie, tak że nawet kwestia szacunku ludzkiego stała na drugim planie, dla drugiego, sława i władza, a raczej stałe dążenie do nich, były jedynym celem życia. Pierwszy — mając lat 43 posiadał dobrze ustaloną opinię człowieka, który kupia w sobie wszelkie najbrudniejsze cechy charakteru, lecz mimo to był jednak ministrem spraw zagranicznych. Drugi cieszył się opinią znakomitego wodza i w wieku lat 28 zawojował był już rozległe i gęsto zaludnione kraje, zwyciężył Austrię, a trawiąca go ambicja pchała go wciąż dalej i dalej. Dla jednego — polityka była „nauką o możliwościach”, sztuką osiągnięcia najlepszego z możliwych wyników przy najmniejszym wysiłku; drugi zaś — i to była jedyna luka w jego nieprzeciętnym umyśle — nie mógł nigdy odgraniczyć rzeczy możliwych od chimery. Lecz mieli też i wiele wspólnego. Po pierwsze, w chwili gdy zetknęła ich historia, dążyli obaj do jednego celu: do utworzenia dyktatury burżuazji, której ostrze skierowane byłoby przeciwko Babeufowi, Robespierre'owi i powtórzeniu się prairiala, a jednocześnie przeciwko próbom wskrzeszenia dawnego ustroju. Zachodziła tu co prawda pewna różnica, która ich jednakże bardziej jeszcze zbliżała: Bonaparte właśnie siebie samego przeznaczał na przyszłego dyktatora, Talleyrand zaś wiedział doskonale, że on sam tego stanowiska

nie obejmie, że nie dałby sobie na nim rady, że jest mu ono niepotrzebne i że na ogół wykracza to poza jego możliwości; natomiast może on zostać jednym z pierwszych sług Bonapartego i uzyskać za to o wiele więcej aniżeli wszystko, co mogli mu dać „adwokaci”. Po drugie, zbliżyły również obu tych ludzi niektóre wspólne cechy charakteru, na przykład pogarda wobec innych, bezwzględny egoizm i egocentryzm, niechęć i nieumiejętność podporządkowywania swych zachcianek jakiegokolwiek „moralnej” kontroli, wiara we własne powodzenie — opanowana u Talleyranda, niecierpliwa zaś i wrząca u Bonapartego. Życie emocjonalne Bonapartego było bardzo intensywne i postronnemu obserwatorowi często mogło się wydawać, że kipi w nim jakiś z trudem tylko powstrzymany wulkan; u Talleyranda wszystko wydawało się martwe, wygasłe, pokryte warstwą lodu. Nawet w najbardziej tragicznych chwilach książę ledwo cedił słowa i zdawało się, że jest całkiem obojętny. Czy to była poza? Jeżeli tak, to grał on po mistrzowsku swą rolę i prawie nigdy się nie zdradził. Bonaparte, posiadający więcej zainteresowań niż Talleyrand, był też od niego o wiele bardziej wykształcony. Trudno sobie nawet wyobrazić, żeby Talleyrand zainteresował się średniowiecznym szkockim bardem Osjanem (nawet w sfalsyfikowanej redakcji Macphersona), irytował się z powodu stronniczości Tacyta, litował się nad cierpieniami młodego Werthera, gawędził z Goethem i Wielandem tak jak Napoleon w Erfurcie lub dyskutował z Laplace'em o gwiazdach i o istnieniu lub nieistnieniu Boga. Wszystko, co było „abstrakcją” (a więc wszelka nauka, filozofia, literatura) i nie stało w bezpośrednim czy też pośrednim stosunku do kieszeni i kariery Talleyranda, było mu w najwyższym stopniu obce, niepotrzebne, nudziło go, wprost odpychało.

Czy te dwie egoistyczne natury rozumiały siebie nawzajem? „Jest to intrygant, człowiek po-

zbawiony wszelkiej moralności, lecz posiadający wielki rozum i z pewnością najzdolniejszy ze wszystkich moich ministrów" — oto jak przy końcu swego życia wyrażał się Napoleon o Talleyrandzie. Pomimo to jednak Napoleon nie doceniał go i zbyt późno przekonał się, jak niebezpieczny może być Talleyrand, gdy interes jego wymaga, by zdradzić i sprzedać swego pana i mocodawcę. Co zaś do Talleyranda, to jest bardzo możliwe, iż nie kłamał on twierdząc, że szczerze sprzyjał Napoleonowi na początku jego kariery, a odsunął się od niego dopiero przy końcu, gdy zaczął pojmować, jak beznadziejną i niebezpieczną grę z losem wszczął cesarz, do jakiego gwałtu nad historią i nieosiągalnego celu człowiek ten dąży. Należy oczywiście pojmować to w ten sposób, że Talleyrand zatrwożył się nie o Francję, jak to starał się przedstawić, gdyż „Francja była dla niego również tylko „abstrakcją”; zatrwożył się natomiast o siebie, o swój dobrobyt, o możliwość spokojnego korzystania wreszcie z uzbieranych milionów bez ciągłego, codziennego uczucia, że się jest na krawędzi przepaści.

W każdym bądź razie jeśli ksiązę Talleyrand był w ogóle zdolny „zapalić się” do kogokolwiek, to można powiedzieć, że w okresie ostatnich lat przed 18 brumaire'a „zapalił się” właśnie do Bonapartego. Uważał, że we Francji należy wykonać herkulesową pracę, i widział wówczas w osobie Bonapartego takiego Herkulesa. Talleyrand nie przeciwstawiał się i nie rywalizował z nim, przyznawał natomiast z całą gotowością, że wspólne ich siły i możliwości są wprost nieograniczone i że Bonaparte będzie zawsze rozkazodawcą, a on, Talleyrand — sługą.

Już 10 grudnia 1797 roku (20 frimaire'a VI roku ery rewolucyjnej), gdy odbywał się w Paryżu uroczysty, obchód ku czci zwycięskiego generała Bonaparte, który dopiero co wrócił z Włoch do Paryża, Talleyrand wygłosił w obecności Dyre-

ktoriatu i zebranych tłumów mowę pełną jak najbardziej poddańczego pochlebstwa, jak gdyby Bonaparte był już samowładnym monarchą, a nie zwykłym republikańskim generałem; w mowie tej Talleyrand przebiegle podkreślał rzekomą „skromność” generała i jego dążenie (które w rzeczywistości nigdy nie istniało) do odsunięcia się od hucznego świata w cień samotności — jednym słowem, potrafił wypowiedzieć wszystko, co było niezbędne, by osłabić podejrzenia nurtujące członków Dyrektoriatu w stosunku do przyszłego dyktatora oraz wzrastający w nich niepokój o własną egzystencję.

Wkrótce potem „przyjaźń” tych dwóch ludzi została bezpośrednio spojona kolejnym przedsięwzięciem generała Bonaparte — napadem na Egipt. Dla Bonapartego podbicie Egiptu było pierwszym krokiem do opanowania Indii, było groźbą dla Anglików. Według Talleyranda, który wówczas właśnie wysunął myśl stworzenia nowych kolonii, Egipt powinien stać się bogatą kolonią francuską. Talleyrand z ferworem broił tego projektu wobec Dyrektoriatu, specjalnie podkreślając szerokie perspektywy handlowe związane z podbojem tego kraju. Ekspedycja została postanowiona. Bonaparte udał się do Egiptu z najlepszym wojskiem, a dla Dyrektoriatu wkrótce nastąpiły ciężkie dni. Znow pól Europy ruszyło na Francję. We Włoszech pojawił się w 1798 roku wielki rosyjski wódz Suworow i wszystkie rezultaty zwycięstw Bonapartego z lat 1796—1797 zostały przekreślone.) Niepopularność Dyrektoriatu rosła z dnia na dzień. Ministrów — a specjalnie Talleyranda — oskarżano o zdradę, o to, że umyślnie dla dogodzenia wrogowi wysłali do Egiptu Bonapartego, który mógłby uratować ojczyznę.

Musiał więc Talleyrand od razu i bezwzględnie odseparować się od niepopularnego rządu. Biorąc za pretekst jakąś sprawę o oszczerstwo, w której pociągnął do odpowiedzialności oszczer-

cę, lecz proces przegrał, podał się on całkiem nieoczekiwanie do dymisji. Stało się to 13 lipca 1799 roku. W tydzień później, 20 lipca, dymisja została przyjęta, a po trzech miesiącach, 16 października, przybył do Paryża z Egiptu nieoczekiwany i niedogodny gość — generał Bonaparte.

Nadmienić należy, że Talleyrand, który przeżuwał w Napoleonie przyszłego dyktatora i witał go odpowiednio, miał jednak pewne powody do powątpiewania, czy pierwsze spotkanie ze zdobywcą Egiptu, tak nieoczekiwanie powracającym do kraju, będzie bardzo czułe. Sprawa przedstawiała się następująco:

Udając się na wyprawę egipską, generał Bonaparte zobowiązał Talleyranda, że niezwłocznie po odplynięciu floty z Tulonu pojedzie on jako poseł francuski do Konstantynopola. Bonaparte uważał za konieczne zachować fikcję pokojowych, a nawet wręcz przyjacielskich stosunków między Francją a Turcją w okresie zdobywania Egiptu, który był w owym czasie prowincją turecką. To dość karkołomne dyplomatyczne zadanie mógł z całkowitym powodzeniem wykonać jedynie Talleyrand. Tak się zdawało generałowi Bonaparte. Obietnicę Talleyrand dał, lecz nie dotrzymał jej i do końca swego życia nigdy w Turcji nie był.

Jak wytłumaczyć ten postępek Talleyranda? Najnowsza praca amerykańskiego pisarza C. L. Lokke'a nie zadowala się żadną z wypowiedzianych dotychczas opinii: ani przez Raimonda Guyot, który w swym obszernym dziele („*Le Directoire et la paix de l'Europe*”, Paris 1911) wyraża pogląd, że Talleyrand nie chciał opuścić Paryża w związku z mającymi się odbyć wyborami na wakujące miejsce członka Dyrektoriatu; ani przez Boulet de la Meurthe („*Le Directoire et l'Expedition d' Egypte*”, Paris 1885), który uważa, że Talleyrand wolał pozostać w Paryżu na bardziej spokojnym i bezpiecznym stanowisku ministra spraw zagranicznych aniżeli objąć nie-

bezpieczne stanowisko posła w Konstantynopolu i przebywać wśród Turków rozdrażnionych przeciwko Francuzom w związku z napaścią Bonaparte'go na Egipt. Do zdania Boulet de la Meurthe'a przyłącza się również autor trzypięciotomowej biografii Talleyranda, Lacour-Gayet („*Talleyrand*”, t. I, Paris 1930). Z powyższymi opiniami Lokke nie zgadza się i daje własną hipotezę. Uważa on, iż Talleyrand odmówił wyjazdu do Konstantynopola w związku z otrzymanym od Dyrektoriatu zleceniem prowadzenia ważnych pertraktacji z Amerykanami. A gdy właśnie w kwietniu czy też maju wybuchła tzw. afera „XYZ”, tj. gdy Talleyrand oskarżony został o łapownictwo, Dyrektoriat początkowo przyjął na wiarę referat, który złożył mu 31 maja w zapale szlachetnego oburzenia „oczerniony” przez amerykańskich armatorów Talleyrand; następnie było już za późno, by usunąć Talleyranda ze stanowiska ministra, gdyż wyglądałoby to na dezawuowanie go. Ponieważ pertraktacje z Amerykanami przebrały w lecie i na jesieni 1798 roku korzystny obrót, w tak zmienionych okolicznościach odpadła zatem konieczność wysłania Talleyranda do Konstantynopola. Stąd wniosek Lokke'a; z początku zarówno Dyrektoriat szczerze chciał wysłać Talleyranda do Turcji, jak i sam minister pragnął również w dobrej wierze dotrzymać danej Bonapartemu obietnicy. Jeżeli więc w następstwie Bonaparte wpadł w złość i oskarżał Talleyranda, że go oszukał, to działał pod wpływem nieuzasadnionego rozdrażnienia .

Wszystkie te teorie bynajmniej nie są przekonujące. Pertraktacje z Ameryką wcale nie interesowały tak bardzo Dyrektoriatu, jak się to wydaje profesorowi Kolumbijskiego Uniwersytetu Lokke'mu, a mianowanie Talleyranda nadzwyczajnym posłem pełnomocnym w Konstantyno-

polu wcale nie oznaczało, że dyrektoriat dezawuuje go. Postępek ten, to jest niedotrzymanie dla względów egoistycznych obietnicy wyjazdu do Turcji, tak bardzo pasuje do Talleyranda i tak dokładnie zachowuje styl wszystkich jego posunięć i chwytów, że nie ma potrzeby uciekać się do jakichkolwiek zawiłych wyjaśnień. Talleyrand po prostu nie widział żadnej osobistej korzyści w porzuceniu bardziej dochodowego i wyższego stanowiska ministra w Paryżu, by w tak drażliwej zwłaszcza sytuacji jechać do Turków, którzy w napadzie złości potrafią zamknąć posłów zagranicznych w siedmiobasztowym zamku i trzymać ich tam całymi latami, jak to uczynili z posłem rosyjskim Jakubem Bułhakowem. Bonaparte walczy przeciwko Turkom i ich wasalom w Egipcie, a Talleyrand ma przez ten czas zamydlać oczy Turkom w Konstantynopolu i uprzejmie przekonywać ich, że odbierając Egipt sułtanowi Francuzi czynią to właśnie dla jego dobra...

Niedotrzymanie słowa było oczywiście poważnym sprzeniewierzeniem się ze strony Talleyranda w stosunku do swego przyjaciela Bonapartego. Generał tak też to ocenił. Było to pierwsze odstąpienie ze strony Talleyranda, pierwsze, lecz bynajmniej nie ostatnie.

Wówczas jednak, w październiku 1799 roku, wszelkie obawy Talleyranda okazały się płonne. Nie tylko on potrzebował Bonapartego, lecz i Bonaparte potrzebował Talleyranda.

Bonaparte dążył przeciw do zagarnięcia władzy i ludzie pokroju Talleyranda byli mu niezbędni. Talleyrand dobrze był obeznany z machiną administracyjną Dyrektoriatu, znał cały wyższy aparat rządowy, wszystkie słabe strony administracji państwowej i jej nie zabezpieczone, łatwe do zaatakowania punkty.

Zachwyt i owacje, z jakimi witano Napoleona na przetrzeni całej długiej drogi od Fréjus, gdzie wylądował 9 października, aż do Paryża,

dokąd przybył 16 października, jasno wykazały wszystkim, że dni dyktatoratu są już policzone. Istotnie, od chwili zjawienia się Bonaparte'go w stolicy Dyktariat istniał tylko przez dwadzieścia trzy dni.

Dla Talleyranda był to okres najbardziej zajętych i aktywnych intryg. Bonaparte potrzebował go, potrzebował doświadczonego polityka, znającego wszystkie arkana, wszystkie sprężyny mechanizmu państwowego, wszystkie nastroje wśród członków Dyktatoratu i innych wysokich dyktatorów. Talleyrand całą duszą służył w ciągu tych gorących trzech tygodni wschodzącej gwiazdzie, torując Napoleonowi drogę do przewrotu państwowego. W dniu przewrotu, 18 brumaire'a (9 listopada 1799 roku), przypadła Talleyrandowi w udziale delikatna misja namówienia członka Dyktatoratu, Barrasa, by podał się do dymisji. Bonaparte za pośrednictwem Talleyranda przekazywał Barrasowi dość pokaźną sumę, której wysokość dotychczas nie została ściśle ustalona. Barras, na ogół dość odważny, tym razem stchórzył wyrażając całkowitą gotowość natychmiastowego podania się do dymisji; ta nieoczekiwana okazja przywłaszczenia sobie w ogólnym zamęcie przeznaczanej dla Barrasa sumy tak ucieszyła Talleyranda, że w uniesieniu wdzięczności... ucałował mu rękę, z zapalem wyrażając uznanie w imieniu ojczyzny za „dobrowolne” zrzeczenie się stanowiska. O całym tym zajściu opowiada nam Barras, który dopiero później dowiedział się, jak drogo kosztowała go zbyt pospieszna rezygnacja podczas ранnej rozmowy z Talleyrandem w dniu 18 brumaire'a. Talleyrand natomiast skromnie przemilcza całe to zajście, uważając widocznie, że nie należy zajmować uwagi potomnych podobnymi drobiazgami.

Dni 18 i 19 brumaire'a 1799 r. oddały Francję w ręce Napoleona. Republika zakończyła się dyktaturą wojskową. A po jedenastu dniach od przewrotu pierwszy konsul Bonaparte mianował

Talleyranda swym ministrem spraw zagranicznych.

Te decydujące chwile, wieczór 18 i cały 19 brumaire'a, Talleyrand spędził w centrum działań, w St. Cloud. Zaopatrzył się jednak na wszelki wypadek w pojazd i dwa rasowe konie, na których rączosć mógł z całą pewnością liczyć. Jeżeli przewrót uda się generałowi Bonaparte, można będzie drobnym truchtem wrócić do Paryża wprost do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jeżeli zaś przewrót nie uda się i Bonaparte zostanie zabity — można będzie klusem, przechodząc w galop, umknąć za granicę.

Rozdział 3

Talleyrand w okresie Konsulatu i Cesarstwa

I

Zarówno w okresie Cesarstwa, jak i później, do końca swego życia, Talleyrand stale powtarzał słowa, które zapisał w swych pamiętnikach: „Lubiłem Napoleona. Pomimo jego wad byłem do niego prawdziwie przywiązany; gdy przemawiał — czułem, że pociąga mnie ku niemu nieprzeparty urok, który jest cechą wielkich ludzi; za jego dobrodziejstwa byłem mu szczerze wdzięczny... Korzystałem z jego sławy i jej odbłasku, promieniującego na wszystkich, którzy dopomagali mu w jego szlachetnych poczynaniach”. Nawet w testamencie politycznym, pisany 1 października 1836 roku przez osiemdziesięciodwuletniego wówczas, zgrzybiałego i nieczylich łask już nie potrzebującego Talleyranda, gdy panował Ludwik Filip, gdy uważano, że dynastia Bonapartych jest na podstawie klauzul kongresu wiedeńskiego raz na zawsze usunięta od tronu, i nikt nie mógł przewidywać, że sążone jest jej raz jeszcze panować — znajdujemy następujące słowa: „Bonaparte sam postawił mnie wobec konieczności wyboru pomiędzy nim a Francją: wybór mój podyktowany był poczuciem obowiązku, któremu oprzeć się nie mogłem. Zdecydowałem się, oplakując niemożliwość połączenia w jednym i tym samym uczuciu interesu mej ojczyzny i interesu Napoleona. Niemniej będę jednak do ostatniej chwili wspominać, że był on moim do-

broczyńcą, gdyż majątek, który zapisuję siostrzeńcom, powstał w większej części z tego, co od niego otrzymałem. Siostrzeńcy moi nie tylko nie powinni nigdy o tym zapominać, lecz mają mówić to swym dzieciom, a dzieci ich — swemu potomstwu, tak by pamięć o tym fakcie uwieczniona była w mej rodzinie z pokolenia w pokolenie: aby moi bezpośredni spadkobiercy i ich potomkowie przyszli z najbardziej wydatną pomocą każdemu, kto nosi nazwisko Bonapartych, gdyby pomocy tej lub poparcia potrzebował. W ten sposób okażą najlepiej wdzięczność dla mnie i poszanowanie dla mej pamięci".

Co wyrażają te słowa? Czym tłumaczyć to stanowisko Talleyranda? Dlaczego z takim uporem wyróżniał Napoleona spośród rządów i ludzi, których w przeciągu swego długiego życia zdradzał i sprzedawał? Być może częściowo dlatego, że i jedynie Napoleon imponował mu swym rozumem, swymi olbrzymimi zdolnościami, swą wielką rolą odegraną w historii.) W pewnym stopniu może i dlatego, że Talleyrand, który wyjawiał swe najgłębsze uczucia w bardzo rzadkich, wyjątkowych wypadkach, czynił to zawsze i wyłącznie w związku ze swą nie zaspokojoną nigdy żądzą zysku i złota; widzieliśmy już na przykład, jak zachowywał się w pierwszych chwilach po mianowaniu go ministrem w roku 1797 lub też 18 brumaire'a 1799 roku, gdy zrozumiał, że może skrycie przywłaszczyć sobie kwotę przeznaczoną na przekupienie Barrasa. O ile więc w tym zinnym, odrętwiałym sercu mogło wykluczyć się uczucie wdzięczności za szybkie wzbogacenie się, to zapewne zaszczerpił je właśnie Napoleon, jego „dobroczyńca" — według słów Talleyranda.

Czym było dla Talleyranda cesarstwo napoleońskie? Był to splendor i niebywały przepych dworskiego życia, wprowadzający w podziw nawet posła rosyjskiego Kurakina, magnata z czasów Katarzyny, który niejedno już w życiu widział; było to stanowisko ministra służącego po-

tężnemu władcy i grabieżcy najbogatszych na świecie terenów i narodów, których konglomerat na terenie Europy przewyższał obszar dawnego Cesarstwa Rzymskiego; byli to płaszcący się przed Talleyrandem królowie, królowe, księżęta, arcyksiężęta; ciągle, stałe pochlebstwo, uniżone hołdy, ubieganie się o jego względy przez niezliczonych koronowanych i nie koronowanych lenników; było to złoto, złoto, złoto, które nieprzerwanym potokiem wpływało do jego kieszeni.

W szczęśliwej dla siebie chwili objął Talleyrand kierownictwo spraw zagranicznych Francji pod rządami pierwszego konsula. Austria została zwyciężona w 1800 roku, Prusy zachowywały wyczekującą neutralność od czasu pokoju w Bazylei w roku 1795. Co zaś do Rosji, to w roku 1800 i na początku 1801 zanosilo się na ścisłe z nią zbliżenie i choć od czasu zamordowania Pawła ucichły krążące w Europie pogłoski o przymierzu, jednak i za następcy Pawła utrzymywały się przez dłuższy czas znośne stosunki.

Już od dwu dni car Paweł leżał w trumnie z twarzą zakrytą muślinem, gdy 14 marca (st. st.) 1801 r. przybył z Paryża do Petersburga kurier, który przywiózł rosyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych, hrabiemu Teodorowi Wasiliewiczowi Rostopczinowi, list od księcia Talleyranda mający szczególne znaczenie ze względu na zawarte w nim aluzje. List przytaczamy w całości: „Panie Hrabio. Kurier Neuman, który wiezie odpowiedź Pierwszego Konsula dla Jego Cesarskiej Mości, wysłany byłby wcześniej, gdyby nie to, że czekaliśmy na wiadomość o przybyciu do Francji hrabiego Kołyczewa. Obecnie mamy pewność, że będzie on w Paryżu za kilka dni, muszę więc wyrazić zadowolenie, jakie odczuwamy widząc, iż nadeszła chwila, gdy drogą szczerych i zasadniczych pertaktacji co do wszystkich spraw dotyczących naszych wspólnych interesów możliwe się stanie zapewnienie pokoju na kontynencie i doprowadzenie do oswobodzenia mórz. Proszę

przyjąć, Panie Hrabio, wyrazy mego wysokiego poważania. Charles-Maurice de Talleyrand" .

Jakiż jest ukryty, a jednak całkiem wyraźny sens przebijający z wymuskanych francuskich zdań tego listu, który w tak fatalny sposób spóźnił się o dwie doby? Chodzi tu o formalne załatwienie sprawy francusko-rosyjskiego porozumienia, które ma ustalić trwały pokój na kontynencie, tj. według opinii zarówno Napoleona, jak i Rostopczina zapewnić sojuszowi francusko-rosyjskiemu panowanie na kontynencie europejskim. Drugi zaś cel — „oswobodzenie mórz” — oznacza wojnę Francji i Rosji przeciwko Anglii, wojnę prowadzoną wszelkimi środkami na morzu i na lądzie, zwłaszcza na szlakach wiodących do Indii.

Po zabójstwie Pawła w nocy na 12 marca 1801 roku tego rodzaju porozumienie stało się oczywiście niemożliwe, jednak w tym początkowym okresie ani pierwszy konsul, ani jego minister spraw zagranicznych nie mogli się dopatrzeć jakichkolwiek wrogich zamiarów Rosji w stosunku do Francji. Nowy car oceniał dopiero sytuację i nie kwapił się z przyłączeniem ani do francuskiego, ani do angielskiego ugrupowania państw. Po nocy 12 marca było oczywiście nie do pomyslenia, by kontynuować politykę ścisłego zbliżenia z Bonapartem. Z drugiej jednak strony dyplomacja rosyjska nie miała żadnych pobudek do otwartego opowiedzenia się po stronie Anglii i niezwłocznego ściągnięcia na siebie w ten spo-

sób niechęci pierwszego konsula i jego wasali. Dokumenty znajdujące się w radzieckim Archiwum Polityki Zagranicznej dowodzą, że w niektórych wypadkach Aleksander bynajmniej nie uchylał się od bezpośredniej dyplomatycznej współpracy z Napoleonem.

Nadmienić należy, że i nawiązane wkrótce po śmierci Pawła stosunki pomiędzy Talleyrandem i Aleksandrem były w pierwszym okresie nacechowane wyjątkową wprost uprzejmością. W latach 1801—1802 nowy car dopiero zaznajamiał się z sytuacją i sondował grunt w rozmaitych kierunkach. W chwili zgonu Pawła stosunki między Rosją i pierwszym konsulem były nader przyjacielskie i w Europie panowało przeświadczenie, że zanosi się na zaczepno-obronne przymierze francusko-rosyjskie. Aleksander jednak nie skłonił się ku przymierz, odwołał niezwłocznie kozaków wysłanych dla celów wywiadowczych na szlaki do Indii, wszedł z Anglią w jak najbardziej pokojowe stosunki, nie miał jednak jeszcze żadnego zamiaru poróżnienia się z potężnym Bonapartem. W latach tych, gdy pierwszy konsul zaczął rządzić się w zachodnich Niemczech jak na własnym podwórku, tasować udzielnych ksiąząt i biskupów jak królów karcianych, nagradzając jednych kosztem drugich itd. — stało się rzeczą wyjątkowej wagi, by zabezpieczyć sobie poparcie Rosji, a przez to całkowicie unieszkodliwić możliwy opór monarchii habsburskiej i Prus. Wówczas to Talleyrand wciągnął do pracy nad przebudową zachodnich Niemiec i nowym rozdziałem ich obszarów rosyjskiego przedstawiciela w Paryżu, hrabiego Morkowa. W radzieckim Archiwum Polityki Zagranicznej znajduje się list (brulion — „projekt listu”) księcia Kurakina do Talleyranda, który to list jest nader interesujący ze względu na treść, a zwłaszcza na ton. Opisy zachowania hrabiego Morkowa w Paryżu sugerują zwykle, że jakoby kłótniwy i nieustepliwy charakter posła i jego jawnie wrogie nastawienie do rządów kon-

sularnych były przyczyną gwałtownego popsucia się stosunków między Paryżem a Petersburgiem. W każdym razie w roku 1802 sprawa wyglądała inaczej. Stosunki między Talleyrandem i Morkowem ustaliły się w taki sposób, jak to przyjęte jest między przedstawicielami blisko zaprzyjaźnionych państw. Wystarczy zapoznać się z treścią poprzednio wymienionego listu, by spostrzec, do jakiego stopnia jeszcze latem 1802 roku stosunki między obydwoma państwami były nie tylko uprzejme, lecz bliskie i „przyjacielskie”. Talleyrand wspólnie z posłem rosyjskim rozstrzygali sprawy odszkodowań i wynagrodzeń dla drobnych niemieckich władców, przy czym o żadnych trudnościach, nie mówiąc już o protestach ze strony Rosji, nie było mowy. Nie dość na tym: Kurakin wyrażał zadowolenie, że to „potężne pośrednictwo” oraz wmieszanie się Francji i Rosji do spraw niemieckich winno mieć i będzie miało „konsolidujący” wpływ na wszystkie decyzje powzięte wspólnie przez niego i przez Talleyranda.

Przy okazji car prosi jedynie, by wzięte zostały pod uwagę sprawy dwóch jego protegowanych: księcia Mecklenburg-Schwerin i księcia-biskupa Lubeki.

Wszystko to w zupełnie innym świetle ukazuje zarówno rolę Morkowa w Paryżu, jak i ogólny charakter stosunków francusko-rosyjskich w przededniu pokoju w Amiens pomiędzy Francją i Anglią.

II

Po zawarciu w roku 1801 pokoju w Luneville z Austrią, a w roku 1802 pokoju w Amiens z Anglią, po ustaleniu poprawnych stosunków z Aleksandrem I, miał Bonaparte rozwiązane ręce do ograbiania sąsiadów.

W tych latach prawie nieustannych zaborów i przetasowań terytoriów rola francuskiego ministra spraw zagranicznych nie była zbyt uciążliwa: pierwszy konsul (który wkrótce przemienił się w cesarza) zagarniał cudze terytoria, a Talleyrand nadawał formę stylistyczną komunikatowi o dokonanej fackie. Tak na przykład w jesieni 1802 roku pierwszy konsul obsadził swym wojskiem Szwajcarię, a Talleyrand pospieszył wyjaśnić pismem okólnym, że stało się to „nie po to, by pozbawić Szwajcarię wolności, lecz by uśmierzyć nekające ją rozruchy” (które wcale nie miały miejsca).

Takie oto były metody zarówno władcy, jak i sumiennego wykonawcy jego rozkazów, księcia Talleyranda, który w następstwie z takim szlachetnym smutkiem zapewniał, jak ciężko mu było stać się „katem Europy”.

Napoleon sprzyjał swemu ministrowi, co powodowało wzmocnienie wpływów Talleyranda z jednoczesnym olbrzymim wzrostem jego docho-

dów. W tym okresie powodziło się Talleyrandowi pod każdym względem.

Jego towarzyskie sukcesy były wprost niewiarygodne. Jako pięćdziesięcioletni mężczyzna potrafił on oczarowywać kobiety nie gorzej niż w okresie rozkwitu swej młodości.

Jedna z tych przygód, zupełnie nieoczekiwanie dla księcia, skończyła się poważną przykrością — ożenkiem. Incydent ten jest interesujący z punktu widzenia historii obyczajów.

Było to jeszcze w roku 1798, gdy Talleyrand jako minister spraw zagranicznych przy Dyrektoracie poznał młodą rozwódkę, panią Grand, której dawny mąż był urzędnikiem w Indiach, gdzie urodziła się ona i wychowała. Po osiedleniu się w Paryżu p. Grand została aresztowana jako podejrzana o korespondowanie z emigrantami. Talleyrand wstawił się za nią do Barrasa zarówno ustnie, jak i pisemnie, skutkiem czego Dyrektoriat (z pewnymi trudnościami) zwolnił ją. Pani Grand miała wyjątkowo ładną główkę i posiadała klasycznie piękną figurę. Talleyrand oczarował ją tak, jak zawsze umiał oczarowywać kobiety, których pożądał. W rezultacie zamieszkała ona w jego domu. Działo się to w 1802 roku. Wówczas jednak żony posłów i inne dyplomatyczne damy dały do zrozumienia, że są z tego powodu dotknięte w swych najświętszych uczuciach moralnych i że wobec tego przestaną bywać na balach w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ta przykra sprawa dotarła do Napoleona. Z początku zaproponował on Talleyrandowi dwa wyjścia: albo niezwłocznie wypędzić panią Grand z domu, albo (również niezwłocznie) ożenić się z nią. Po swym widzeniu się z panią Grand pierwszy konsul nalegał już jedynie na ożenek. Stosownie do pogłosek, które krążyły wówczas w sferach towarzyskich Europy, został Bonaparte w delikatny sposób powiadomiony (być może za namową samego Talleyranda), że pani Grand wyróżnia się niesłychaną, bezgraniczną głopotą. Jak wiadomo

jednak, Napoleon wcale nie uważał, że rozum jest dla kobiety przedmiotem pierwszej potrzeby. Pozostał więc nieugięty. Talleyrand wiedział, że Napoleon jest despota od stóp do głów, że ożeni, wyda za mąż lub rozwiedzie kogo będzie chciał i z kim będzie chciał. Z okazji małżeństwa Talleyranda Fryderyk Loliée cytuje na podstawie nie ogłoszonych danych z rodzinnego archiwum następujący wypadek. Pewnego razu Napoleon nakazał udzielnemu księciu zachodnich Niemiec, Ahrenbergowi, stawić się przed nim i oznajmił mu bez ogródek: „Jutro ożeni się pan”. — „Wasza Cesarska Mość, serce moje nie jest wolne, obrana przeze mnie narzeczona liczy na moje słowo i na to, że jesteśmy związani na wieki”. „No więc cóż z tego, niech się pan uwolni (*désengagez vous.*) Ożeni się pan jutro, i to z tą osobą, którą ja wybrałam. Gdyby pan chciał się temu sprzeciwić, to zobaczymy się w zamku Vincennes!” Po tej obietnicy swaty niezwłocznie osiągnęły cel. Ślub odbył się nazajutrz wieczorem. Panna młoda, która również od dawna zaręczona była z kim innym, dowiedziała się o swym losie oraz o tym, kto jest jej nowym narzeczonym, równie nieoczekiwanie, jak Ahrenberg dowiedział się o imieniu swej przyszłej żony.

Talleyrand rozumiał, że jeżeli w ten sposób obchodzono się z suwerennymi książętami, to on tym bardziej nie może liczyć na żadne względy. Zresztą na dworze Napoleona nikomu nie przyszło nawet do głowy, by sprzeciwić się woli władcy. Ociąganie się było całkiem bezcelowe. Talleyrand machnął ręką i wstąpił w związek małżeński.

Istnieje legenda, że już wówczas gdy Talleyrand zabiegał wobec Dyrektoriatu o zwolnienie tej piękności, w której był zakochany, w takich słowach wyrażał się wobec władz o swej przyszłej żonie: „Proszę wziąć pod uwagę, że jej głupota przekracza wszelkie możliwe granice i że ona w ogóle nic nie rozumie”.

Osoba ta nie odegrała większej roli w życiu Talleyranda. „Przecież głupia żona nie może kompromitować mądrego męża — mawiał książę Talleyrand — kompromitować może tylko taka, która uchodzi za mądrą”. Mamy zresztą ściśle dane, że ta legendarna głupota księżnej Talleyrand w żadnej mierze nie przeszkadzała jej w braniu łapówek od interesantów, na przykład od księcia Bentheima. Miała dosyć rozumu, by wykonywać tego rodzaju zlecenia swego męża.

Małżonkowie zamieszkali oddzielnie od chwili, gdy Talleyrand zaprzyjaźnił się z żoną swego siostrzeńca, księżną Dino, którą osiedlił pod swoim dachem i która pełniła rolę pani domu aż do samej śmierci księcia.

Z każdym rokiem robił Talleyrand coraz większą i wspanialszą karierę na dworze. Jego gwiazda była w zenicie.

Napoleon mianował Talleyranda kolejno ministrem spraw zagranicznych, wielkim szambelanem dworu, wiceelektorem, udzielnym księciem i księciem Benewentu. Nie licząc jego uposażenia jako ministra spraw zagranicznych, Talleyrand za wszystkie te funkcje otrzymywał rocznie prawie pół miliona franków w złocie (495 tysięcy, a z uposażeniem ministerialnym — przeszło 650 tysięcy rocznie). Dla porównania przytoczymy, że w tym samym okresie robotnicza rodzina w Paryżu, która wspólnym wysiłkiem wszystkich swych członków mogła zarobić półtora tysiąca franków rocznie, uważana była za dobrze sytuowaną i wyjątkowo wyróżnioną przez łaskawy los.

Pócz olbrzymich legalnych dochodów miał Talleyrand jeszcze i dochody ukryte, bez porównania większe; o dokładnych ich rozmiarach można jedynie wypowiadać domysły na podstawie liczb przypadkowo ujawnionych. Te nielegalne dochody obliczane są nie na setki tysięcy, lecz na miliony. Podbiwszy Europę Napoleon zamienił w wasalów i pokornych lenników nawet tych monarchów, którym częściowo pozostawił ich po-

siadłości; stale tasował i wymieniał tych podwładnych mu wielkich monarchów i małych królików, przerzucał ich z jednego tronu na drugi, obcinał jedne obszary i przyłączał nowe tereny do innych terytoriów. Zainteresowani, starzy i nowi, wielcy i mali monarchowie objali się o progi pałaców Tuileries, Fontainebleau, Malmaison i St. Cloud. Napoleon jednak nie miał czasu, a zastać go i uzyskać audiencję było niełatwo wobec ciągłych jego wojen i kampanii. Ponadto Napoleon decydował jedynie po wysłuchaniu opinii swego ministra spraw zagranicznych.

Z łatwością można sobie wyobrazić, jakie nieograniczone możliwości otwierały się w tych warunkach przed Talleyrandem. Tu można już mówić nie o skromnych „słodyczach” (sweetness) w wysokości pięćdziesięciu tysięcy funtów sterlingów, o które w tak nieprzyzwoity sposób awanturowali się w swoim czasie „nieociosani kmiotkowie” ze Stanów Zjednoczonych. Zresztą nawet te „małpoludy” z dziewiczych prerii nabrały ostatecznie stołecznych manier. Tak na przykład gdy Robert Livingston zawierał w imieniu Stanów Zjednoczonych traktat handlowy z Francją, wypłacił posłusznie Talleyrandowi dwa miliony franków w złocie celem uniknięcia zwłoki (która też nie nastąpiła). Gdy Napoleon zawarł pokój z Austrią po zwycięstwie pod Marengo, podarował Talleyrandowi za jego trudy trzysta tysięcy franków, co nie przeszkodziło temu ostatniemu otrzymać jednocześnie od austriackiego cesarza Franciszka czterystu tysięcy franków; niezależnie od tego i dzięki sprytnym posunięciom w sprawie zamaskowanej kontrybucji, którą winna była zapłacić Austria, Talleyrand zarobił na niespodzianym podpisaniu i ogłoszeniu traktatu pokojowego z roku 1801 (w Lunewille) około piętnastu milionów franków. Z tej sumy siedem i pół miliona otrzymał on jako „zaliczkę” w okresie pertraktacji. Z natury rzeczy jedynie bardzo rzadko daje się ustalić wysokość

pobranym przez niego łapówek. Na przykład gdy Napoleon wydał rozkaz sprzedania Luizjany Stanom Zjednoczonym, a pertraktacje co do wysokości sumy prowadził Talleyrand, Amerykanie zamiast zapłacić osiemdziesiąt milionów, o których była mowa na początku, zapłacili Francji tylko pięćdziesiąt cztery miliony; dotychczas nie udało się wyjaśnić, jaka była dokładna cena argumentów, którymi Amerykanie zdołali uzyskać tak daleko idące ustępstwo francuskiego ministra spraw zagranicznych Talleyranda.

Czy Napoleon wiedział, jak oszukuje go i okrada jego minister? Oczywiście, że wiedział; zdawał sobie z tego sprawę równie dobrze jak Piotr I z wyczynów Aleksandra Daniłowicza Mienszykowa. Napoleon przez dłuższy czas nie usuwał Talleyranda dla tej samej przyczyny, dla której Piotr nie oddał Mienszykowa, a tylko bił go kijem. Zresztą Napoleon nie bił Talleyranda i jedynie raz jeden, co prawda z dużym wysiłkiem fizycznym, schwycił go publicznie za kołnierz. Rozstał się z nim niechętnie dopiero znacznie później, i to właściwie nie tylko z powodu łapówek. Był on zbyt potrzebny i dogodny dla Napoleona.

Jako przyczynek do historii „obyczajowości” można by przytoczyć sporo ciekawych dokumentów z okresu, gdy Talleyrand był ministrem Napoleona. Wprawdzie zarówno dający łapówkę, jak i otrzymujący ją, bardzo skromnie zazwyczaj, skąpo i niechętnie powierzają papierowi dane o tych sprawach — ponieważ jednak w praktyce Talleyranda łapówki były rzeczą codzienną, zachowały się niektóre szczegóły.

Książę Bentheim-Steinfurt był jednym z tych drobnych niemieckich magnatów, którzy całymi tygodniami, miesiącami, latami objęli progi Talleyranda, zabiegając o własne włości lub o ich powiększenie. Jednak nic z tego jakoś nie wynikało. Poseł duński Dreyer poucza księcia, że nie obejdzie się bez łapówki i że najlepiej zrobić to

przez żonę Talleyranda. Książątko jednak boi się. Wówczas Dreyer podejmuje się delikatnych pertraktacji z małżonką ministra spraw zagranicznych, która wyróżniała się nie tylko zdumiewającą urodą i bezgraniczną głupotą, lecz jednocześnie nieprawdopodobną chciwością. Miesiące upływają — Bentheim przyjechał w grudniu 1803 roku, a nadszedł już maj 1804 roku — sprawa jednak nie ruszyła z miejsca. Wówczas wręczył swemu przyjacielowi Dreyerowi pięćdziesiąt tysięcy franków w złocie w celu oddania księżnej. Ale nic z tego: „Dreyer — pisze książę Bentheim — miał straszną scenę z panią Talleyrand, która używając najbardziej ubliżających wyrażań zażądała od niego stu tysięcy franków, uważając, że pięćdziesiąt tysięcy to za mało”. Trzeba było dać i sprawa została natychmiast załatwiona; Talleyrand zreferował ją niezwłocznie Napoleonowi, który podpisał bez żadnych kwestii. Wypadki takie zdarzały się co dzień.

Sainte-Beuve w roku 1869 zamieścił w piśmie „Tems” kilka artykułów o Talleyrandzie w związku z dość powierzchowną książką angielskiego historyka i beletrysty Bulwer-Lyttona, dodając od siebie kilka ciekawostek na podstawie opowiadań osób, które francuski krytyk zastał jeszcze przy życiu. Oto jedno z tych wspomnień.

„Panie Talleyrand, w jaki sposób zdołał się pan tak wzbogacić?” — zadał złośliwe pytanie Napoleon. — „Sire, sposób był bardzo prosty: kupiłem rentę państwową w przededniu 18 brumaire’a, a sprzedałem ją nazajutrz” — odpowiedział zgrabny pochlebca, przypominając w ten sposób Napoleonowi, że zaraz po przewrocie, który z Napoleona uczynił samowładcę, wszystkie francuskie papiery wartościowe poszły w górę. „Na

„Melanges”, p. 70—72.
• Sainte-Beuve, Monsieur de Talleyrand, p. 85.
(Jest to przedruk artykułów z 1869 roku z uzupełnieniami).

taką odpowiedź nie można było się gniewać; chytrym, właściwym sobie manewrem lis wymknął się z pazurów lwa" — uzupełnia swe opowiadanie Sainte-Beuve.

Co jest najciekawsze, że obydwaj mieli rację, zarówno cesarz, jak i podwładny. Napoleon słusznie podejrzewał Talleyranda o oszustwo i łapownictwo, a Talleyrand odpowiadając groźnemu indagatorowi również miał ze swego punktu widzenia słuszność, gdyż istotnie wzbogacił się wielce na spekulacjach giełdowych po przewrocie 18 brumaire'a. Przez całe swe życie szachrował i grał na giełdzie, przy czym jedno nie przeszkadzało drugiemu, wręcz przeciwnie.

Bogactwo rosło do olbrzymich rozmiarów. Stendhal i inni obserwatorzy zawsze podkreślali, że Talleyrand sam nauczył ludzi, by „gardzić drobnymi nikczemnościami, gdy nie są one warunkowo użyteczne” .

Złoty deszcz spadał na Cesarstwo, które stopniowo ujarzmiło wprost lub pośrednio znaczną część Europy. Skarb Cesarstwa był niewyczerpany, dostawcy robili ogromne majątki i uzupełniali szeregi wyższej burżuazji. „W czasie Cesarstwa nikt się nie targował Talleyranda i to tylko wtedy, gdy sprzedawał on swe noty i opinie. Jeśli nie wystarczało pieniędzy w jednym miejscu — dostarczała ich kontrybucja w drugim lub dwie kontrybucje w trzecim” — ta uwaga Hercena, którą w swych notatkach z podróży „Widoki alpejskie” rzucił nawiasem w związku z rządami Napoleona w Szwajcarii, świetnie pasuje do sformułowanych powyżej uwag o epoce Napoleona w ogóle i o postępowaniu jego wspaniałego ministra spraw zagranicznych w szczególności.

III

Cesarz znał oczywiście Talleyranda i pogardzał nim za jego charakter i „moralność” (o ile można jako osobliwość użyć tego słowa będącego tu całkiem nie na miejscu), lecz zachwycił się sprawnością tego umysłu, umiającego szukać i od razu znaleźć rozwiązanie dla najbardziej skomplikowanych, zawitych problemów dyplomatycznych. Za tę umiejętność przebaczał mu wszystko. W ogromnej, apokryficznej literaturze o Napoleonie, jaka pojawiła się we Francji już w połowie XIX wieku, spotykamy się ze zdaniem, które Napoleon miał wypowiedzieć o swym ministrze policji Fouché, gdy ten za pomocą prowokacji wykrył terrorystyczny spisek: „Ci, którzy chcą mnie zgładzić, to durnie, ci zaś, którzy mnie od tego ratują — to szubrawcy”. Prawdopodobnie Napoleon nie powiedział tych słów, a w każdym razie nie publicznie. Lecz taki apokryf mógł z łatwością powstać, gdyż wszystkim wiadomo było, jak ustosunkował się cesarz do Fouché. Co zaś do Talleyranda, to z punktu widzenia moralnego Napoleon czasami porównywał go z Fouché, gdy jednak szło o cenę jego intelektu, nigdy nie stawiał tych dwóch ludzi na tym samym poziomie.

Policyjna, wykrętna, krecia chytryść i prowokatorska zręczność Fouché niezbędne były Napoleonowi, gdy szło o ochronę jego życia, natomiast rozum Talleyranda potrzebny mu był do formułowania, systematyzowania i wykonywania funkcji dyplomatycznych celem realizacji tych zadań, w których Napoleon upatrywał swą rolę historyczną.

Talleyrand, który zachował maniery dygnitarza starego reżymu, potrafił w odpowiedni sposób przekazywać rozkazy Napoleona, potrafił w trudnych wypadkach porozumieć się z zagranicznymi dyplomatami bez użycia szorstkich słów, bez koszarowego grubiaństwa, bez tych paroksyzmów

gniewu, które miewał Napoleon najczęściej szczerze, czasem zaś jako wybryk komediancki, i które właśnie w tych wypadkach, gdy nie były sfingowane, najbardziej mu szkodziły.

Przez całe pierwsze osiem lat dyktatury współpraca Talleyranda z Napoleonem była bardzo zgodna. Wbrew temu, co sam w następstwie twierdził — Talleyrand w tym okresie nigdy nie ośmielił się powstrzymać Napoleona, namawiać go do częściowego choćby pohamowania zaborczej, grabieżczej polityki, nigdy nie starał się skłonić go do umiarkowania i rozważa, o czym tak obszernie opowiada w swych pamiętnikach. Zdradził on Napoleona dopiero wówczas, gdy widział w tym swój osobisty interes. Lecz było to znacznie później. W oczach potomnych czytających jego pamiętniki chciałby Talleyrand uchodzić za schillerowskiego markiza Posę, mówiącego prawdę Filipowi II, lub też (gdyby znał historię Rosji) — za księcia Jakuba Dołgorukiego, który działał w analogicznej roli przy Piotrze; jednym słowem — chciał spełniać niebezpieczne, lecz zaszczytne zadanie nieustraszonego miłośnika prawdy, który uczciwie służy po to, by powstrzymać swego monarchę od wybryków samowoli. Pretensja ta jest aż do śmieszności pozbawiona wszelkiego uzasadnienia: byłby nawet palcem nie kiwnął, żeby choć raz jeden powstrzymać lub uspokoić Napoleona, ostrzec go przed czynem niesprawiedliwym i okrutnym. Najlepszym pod tym względem przykładem może być sprawa egzekucji księcia d'Enghien, z którą tak ściśle związane jest imię Talleyranda pomimo uporczywych jego wysiłków ukrycia i skażenia rzeczywistości; jak bardzo mu na tym zależało, widać choćby z tego, że już na początku Restauracji czynił specjalne poszukiwania celem zniszczenia oficjalnych dokumentów (w kwietniu 1814 r.).

Rola Talleyranda w tym dramacie była następująca. On właśnie dał Napoleonowi fałszywe in-

formacje (w rozmowie 8 marca 1804 roku), że jakoby książę d'Enghien, zamieszkujący na terytorium Badenii, stoi na czele spiskowców, którzy przygotowują zamach na życie pierwszego konsula; powiedział jednocześnie, że można by bardzo łatwo i dogodnie dać zlecenie szefowi żandarmerii pogranicznej, generałowi Caulaincourt, by po prostu wysłał oddział żandarmów na terytorium badeńskie, schwytał tam księcia d'Enghien i przywiózł go do Paryża. Pewnego rodzaju trudność polegała na tym, że trzeba było w okresie pokojowym w bardzo drastyczny sposób pogwałcić nietykalność obcego terytorium. Lecz Talleyrand podjął się od razu załatwić tę sprawę i nadać jej odpowiednią formę, wysyłając odnośne pismo do rządu badeńskiego. W obawie jednak, by książę d'Enghien nie dowiedział się o tym zawczasu, co dałoby mu możliwość ucieczki z Badenii, Talleyrand polecił generałowi Caulaincourt wręczyć badeńskiemu ministrowi pismo pełne fałszywych oskarżeń już po aresztowaniu księcia i wywiezieniu go do Francji.

Mimo zupełnego braku poszlak książę d'Enghien, schwytany przez francuskich żandarmów i przywieziony do zamku w Vincennes, został niezwłocznie skazany przez sąd wojskowy i tejże nocy, 21 marca 1804 roku — rozstrzelany. Sam Napoleon, który nigdy nie lubił zrzucić na innych odpowiedzialności za swe czyny, po wielu latach, jak przekonamy się następnie, w przystępie gniewu rzucił Talleyrandowi publicznie prosto w oczy następujące twarde słowa: „A ten nieszczęśnik? Kto doniósł mi o tym, gdzie on się znajduje? Kto namawiał mnie, bym ostro się z nim rozprawił?” Talleyrand nie ośmielił się nic na to odpowiedzieć. W ten sposób wziął on czynny udział, a właściwie odegrał rolę inicjatora tego krwawego wydarzenia. Było mu to potrzebne, po pierwsze, by dowieść Napoleonowi, jak gorliwie ochrania jego życie od zamachowców, po drugie, by sterroryzować rojalistów przez stra-

cenie członka rodziny Bourbonów; Talleyrand obawiał się bowiem nadal o swój los na wypadek restauracji starej dynastii. Jednym słowem, uważał on wówczas, że zabójstwo to jest celowe, wobec czego podsunął Napoleonowi ten projekt i czynnie dopomógł do wykonania dzieła.

A oto co Napoleon powiedział w tej sprawie angielskiemu lekarzowi Wardenowi na Wyspie Św. Heleny: „Ministrowie nalegali na aresztowanie księcia d'Enghien, choć przebywał on w strefie neutralnej. Jednak wciąż jeszcze wahałem się. Książę Benewentu dwukrotnie podawał mi tekst rozkazu i z całą energią, do jakiej był zdolny, nalegał, bym złożył swój podpis... Miałem pełne uszy opowiadań (*j'avais les oreilles rabattues*), że nigdy nowa dynastia nie będzie umocniona, dopóki istnieć będzie choćby jeden Bourbon. Talleyrand nigdy nie odstępował od tej zasady. Był to kamień węgielny jego politycznego credo... Po rozważeniu kwestii przyłączyłem się do zdania Talleyranda”.

Rozmawiając o tej sprawie z lordem Elbringtonem, Napoleon dodał, że był wzruszony dowiedziawszy się, iż książę d'Enghien (już po wyroku) chce się z nim rozmówić. „Lecz Talleyrand przeszkodził mu, powiedziałszy: Sire, nie należy kompromitować się Bourbonem! Wasza Cesarska Mość nie zdaje sobie sprawy, jakie to może pociągnąć za sobą następstwa!”

List, który książę d'Enghien napisał przed rozstrzelaniem do Napoleona i który mógł wpłynąć na ulaskawienie, został z tego właśnie powodu wstrzymany przez Talleyranda i wręczony cesarzowi już po wykonaniu wyroku śmierci. Sten-dhal widział odpis tego listu u Las Cases'a .

Nie przeszkodziło to w żadnej mierze Talleyrandowi przedstawić w następstwie sprawy

w taki sposób, jak gdyby on sam nic nie zawinił i całkowicie potępiał niesprawiedliwy, barbarzyński postępek Napoleona. Nie przeszkodziło mu to zarazem (co jest jeszcze ciekawsze i bardziej skomplikowane z psychologicznego punktu widzenia) odegrać później rzeczywiście wstrząsającej sceny spotkania z ojcem rozstrzelanego księcia d'Enghien, jakiej nie powstydziliby się ani Szekspir, ani Dostojewski.

Działo się to w roku 1818, już podczas Restauracji. Książę Talleyrand był wówczas wielkim szambelanem króla Ludwika XVIII (sprawował więc tę samą funkcję przy dworze, co i za Napoleona I) i bardzo mu to nie dogadzało, że właśnie w owym czasie, w roku 1818, przeniósł się do Paryża stary książę Condé, ojciec rozstrzelanego przed czternastu laty księcia d'Enghien. Starzec nie mógł się w żaden sposób pocieszyć po stracie jedyne go, ubóstwianego od dzieciństwa syna. Przykre spotkanie pomiędzy tym krewnym króla a wielkim szambelanem Talleyrandem było nie do uniknięcia. Sytuacja stawała się krępująca. Wówczas Talleyrand w bardzo zrezygnowany sposób zaznajamia się z kobietą z najbliższego otoczenia księcia Condé i powierza jej wielką, świętą tajemnicę, którą dotychczas skromnie przechowywał w swym szlacheckim łonie, a którą obecnie decyduje się wyjawić: zarzucają mu zabójstwo księcia d'Enghien, lecz niesłusznie oczerniają go, gdyż on, książę Talleyrand, zaryzykował nawet własną głowę, byle uratować nieszczęsnego młodzieńca! O tak! On potajemnie wysłał list do księcia uprzedzając go, by się niezwłocznie ratował ucieczką, lecz książę nie posłuchał rady, pozostał na miejscu i następnego dnia, schwytyany przez francuskich żandarmów, wywieziony został do Vincennes. Jest chyba jasne, że gdyby Napoleon dowiedział się o tym zuchwałym postępku swego ministra — głowa Talleyranda stoczyłaby się z gilotyny. Czy można żądać od człowieka większej szlachetności i wspaniałomyślności?...

Zbyteczne jest dodawać, że cała osobiwa i bezsensowna historia jest całkowicie zmyślona. Lecz choć może się to wydawać dziwne, ksiązę Conde uwierzył (nie należy zapominać, że w owym czasie nie wszystkie poszlaki przeciwko Talleyrandowi były znane), i przy najbliższym spotkaniu starzec ze łzami objął Talleyranda dziękując mu za ofiarną, niemal że bohaterską, choć niestety bezowocną próbę uratowania jego nieszczęsnego syna. Talleyrand przyjął te oznaki wdzięczności z takim samym taktem, spokojnym umiarem i pełną godności skromnością, z jakim w swoim czasie, za Napoleona, przyjmował specjalne nagrody (w tej liczbie wstęgę komandorską Legii Honorowej), które posypały się na niego wkrótce po rozstrzelaniu księcia d'Enghien za zasługi w sprawie zdemaskowania i aresztowania księcia. Nagrody te otrzymał Talleyrand przed samym przyjęciem przez Napoleona tytułu cesarza.

Koronacja Napoleona w roku 1804 była jedynie czysto zewnętrzną zmianą tytułu przez samowładcę, który zagarnął najwyższą władzę już 18 brumaire'a 1799 roku. Lecz oto w jaki krasomówczy sposób przedstawił Talleyrand znaczenie koronacji z dnia 2 grudnia 1804 roku w oficjalnej odezwie do posłów francuskich za granicą. „Namaszczenie i koronowanie Jego Cesarskiej Mości zakończyło rewolucję. Francja uzyskała przez to rządy, które przystoją jej wielkości i jej tradycji — rządy, których zrzekła się ona po czternastu stuleciach jedynie po to, by zanurzyć się w mgliste rezonerstwo, nie mające związku z jej przeszłością i nie dające żadnej gwarancji na przyszłość”. Opisując następnie cały przepych koronacji, „entuzjazm” ludu pod adresem „tego, który uratował ojczyznę, umocnił ład wewnętrzny, spełnia nadzieje wszystkich”, Talleyrand podkreśla, że obecnie władza cesarza jest uświęcona .

IV

Skończyły się uroczystości koronacyjne, na których Talleyrand odgrywał tak wspaniałą rolę, i rozpoczął się okres podobny do obrazu feerycznego: nieustanne wspaniałe bale w Paryżu i okolicznych pałacach, od czasu do czasu wyjazd do własnego, nowego, wspaniałego zamku Valencay. Wyjazdy w świącie cesarza do Boulogne, gdzie przygotowywano wyprawę na Anglię; wyjazdy do Wiednia i pod Austerlitz w związku z wyprawą przeciwko Austrii; do Berlina, Warszawy, Tyłży w związku z wyprawą przeciw Prusom — i znów powrót do Paryża, gdzie życie ministra cieszącego się łaską cesarską i obsypywanego nagrodami płynęło wśród przepychu i ogólnego szacunku, wśród nowych przygód miłosnych i różnorodnych uciech, przeplatane audyencjami i poufnymi rozmowami z cesarzem, z których Talleyrand dowiadywał się o nadchodzących zmianach w losach Europy i otrzymywał instrukcje. Po dawnemu nie śmiał przeciwstawiać się Napoleonowi — przeciwnie, potakiwał mu we wszystkim; nie ośmielił się, na przykład, napomknąć nawet o tym, iż za zgubne przedsięwzięcie uważa blokadę kontynentalną, którą Napoleon ogłosił w Berlinie 21 listopada 1806 roku. A jednak tak właśnie zapatrywał się Talleyrand na tę blokadę. Przez rozgromienie Prus Napoleon został władcą całych Niemiec. Wszyscy korzyli się w prochu przed cesarzem i wszyscy szukali ocalenia jedynie w łaskawym wstawiennictwie ze strony Talleyranda. Król saski na znak swej wdzięczności za różne uzyskane korzyści dał Talleyrandowi milion franków w złocie. W ogóle złoty deszcz nie przestawał spadać na ministra spraw zagranicznych. Wydawał on pieniądze również bez wszelkiego rachunku: na upiększenie swego zamku w Valencay i pałacu w Paryżu, na wspaniałe bale, bankiety i kolacje, na których bywało do pięciuset zaproszonych gości, na polowania i na grę w kar-

ty — a nowe i wciąż nowe stopy złota uzupełniały jego kasę.

Lecz w okresie nowej wojny, w latach 1806 i 1807, Talleyrand po raz pierwszy zaczął na serio zadawać sobie pytanie: czym się to wszystko skończy? Co prawda, szczęście wciąż sprzyjało Napoleonowi. Prusy zostały zgniecione i po amputacji dokonanej przez traktat tyłżycki pozostał z nich zaledwie niewielki trzon; armia rosyjska doznała porażki pod Frydlandem; w Tyłży Aleksander zmuszony był zawrzeć z Napoleonem przymierze. Talleyrand jednakże dobrze pamiętał świeże jeszcze pobojowisko pod Iławą, gdzie poległy dziesiątki tysięcy po każdej stronie i gdzie wbrew biuletynowi Napoleona Rosjanie wcale nie zostali rozbici. Te cztery miesiące pomiędzy Iławą i Frydlandem Talleyrand spędził w niepokoju. Jednak i tym razem wszystko skończyło się dobrze: Napoleon powrócił do Paryża w świeżej aureoli, osiągnąwszy nowy wzrost swej potęgi. Lecz czy na długo?

Talleyrand zawsze twierdził, że jeszcze na wiosnę i w lecie 1806 roku, przed wojną z Prusami, czynił wszystko, co było w jego mocy, by wojny tej uniknąć. Pragnął on pokoju z Anglią i Rosją. On właśnie prowadził skomplikowane pertraktacje z lordem Yarmouth, a następnie z lordem Laurdell o pokój z Anglią. Jemu właśnie udało się oczarować dyplomatę rosyjskiego Oubri'ego i nawet zrehabilitować projekt traktatu pokojowego z Rosją, który nie został jednak ratyfikowany przez Aleksandra I. W lecie 1806 roku Napoleon przychylił się, choć bez zapału, do tego programu pokojowego. Talleyrand jeszcze przed rozgromieniem Prus w latach 1806—1807 miał zdecydowane przekonanie, że nie ma żadnej racji, by nieustannie stawiać na jedną kartę tę wspaniałą sytuację, jaką Francja osiągnęła w pierwszych latach napoleońskiej dyktatury.

Lecz Napoleon już był zatracił wszelkie poczucie możliwości i niepowstrzymanie dążył do dalszego powiększenia swej potęgi.

Talleyrand widział jasno, że na tej drodze zatrzymać się trudno i że Napoleon mierza prosto do stworzenia imperium światowego, które dla swej konsolidacji wymagać będzie obalenia pozostałych jeszcze dwóch przeszkód — Anglii i Rosji. Książę był przekonany, że cała impreza jest nieziszczalną fantazją i że Napoleon musi zginąć, jeśli się będzie przy niej upierał."

Gdyby się nawet dało urzeczywistnić myśl o ogólnoświatowym imperium, byłoby ono tworem efemerycznym, nieunikniona zaś zguba nienasyconego zdobywcy pociągnie za sobą katastrofę dla Francji. Tymi zapatrywaniami tłumaczy Talleyrand swą prośbę o dymisję, którą zgłosił nieoczekiwanie 10 sierpnia 1807 r., niezwłocznie po pokoju tylżyckim. Nienasycona żądza podboju i okrucieństwo, które przejawiał Napoleon w Tylży, miały rzekomo zmusić Talleyranda do tego kroku. „Nie chcę być katem Europy” — miał się przy tym wyrazić odchodzący minister. W tyranii i samowoli zwycięzcy widział Talleyrand nieuniknione zaczątek nowych wojen, a w ich wyniku zgubę Napoleona — chciał więc na czas odejść i „pomyśleć o przyszłości”. W taki sposób wyjaśnia swą dymisję najbardziej tu zainteresowana osoba, bo sam Talleyrand. Wysłuchajmy tego, co mówi Napoleon: „To człowiek z talentem, lecz trzeba mu zawsze i wszędzie płacić za wszystko. Król bawarski i król wirtemberski tyle razy mi się skarżyli na jego chciwość, że odebrałem mu portfel ministra”. Gdzie jest prawda? Jak to zwykle bywa (choć bynajmniej nie zawsze) i w tym wypadku prawda zapewne leży pośrodku. Talleyranda w rzeczy samej odstraszyło właśnie to, że całkowite zwycięstwo nad zachodnią Europą przy jednoczesnym zmuszeniu Aleksandra I do zawarcia przymierza uczyniło z Napoleona władcę ujarzmionych krajów europejskich, co oczywiście musiało stać się powodem nowych rozpaczliwych wojen i ogromnego przelewu krwi; minister Talleyrand rzeczywiście już się rozglądał za

odpowiednią pozycją na wypadek nadejścia oddalonej jeszcze chwili, gdy dogodniej będzie mu znaleźć się nie po stronie Napoleona, lecz w przeciwnym obozie. Dla tych więc powodów odszedł chętnie po Tylży, a, być może, odszedłby nawet już po Iławie. Z drugiej zaś strony, ze swego punktu widzenia ma rację Napoleon, który uważał, że to on, cesarz, usunął Talleyranda za zbyt beczelne wymuszanie pieniędzy od królów-lenników. Zarówno jedno, jak i drugie wchodziło w grę. Napoleon z pewnością robił zarzuty Talleyrandowi z powodu łupiestwa i łapownictwa. Nie po raz pierwszy jednak, lecz co najmniej dziesiąty rozmawiał cesarz ze swym majestatycznym ministrem na delikatne tematy; minister zawsze potrafił wysłuchać wszystkiego z taktem, wśród pełnych godności ukłonów, i dworsko przemilczeć sprawę lub skierować rozmowę na mniej śliski temat. Lecz w tym wypadku, skoro Talleyrand sam zastanawiał się nad odejściem, mógł on oczywiście skorzystać z pretekstu i zgłosić dymisję.

Uczył to w sposób tak subtelny i mądry, że Napoleon uznał za konieczne wynagrodzić szczerze swego odchodzącego ministra i w cztery dni po dymisji wydał senatowi zarządzenie mianowania Talleyranda księciem Benewentu, wielkim wiceelektorem z tytułem „Jego Wysokość” (jak księżęta krwi), z prawem do nazwy „Serenissimus” i ponadto z pensją roczną trzystu tysięcy franków w złocie. Obowiązki Talleyranda polegały od tej chwili jedynie na tym, by w stroju z czerwonego aksamitu ze złotym szamerowaniem i białych atłasowych spodniach zjawiać się w dni galowe na dworze i stawać przy boku cesarskiego tronu. Wszystko to w zupełności dogadzało Talleyrandowi. Można było teraz z oddali i bezpiecznie oczekiwać rozwoju wypadków, oddzielając odtąd swój osobisty los od losu Napoleona, z którym jednak po tej pełnej łaskawości nominacji stosunki ułożyły się jak najlepiej.

Napoleon wiedział oczywiście, że ani pierwszy

następca Talleyranda na stanowisku ministra spraw zagranicznych — książe de Cadore, ani następcą tego ostatniego — sekretarz stanu Maret w żadnej mierze pod względem swych uzdolnień nie dorównują Talleyrandowi.

Obserwując pyszałkowane zachowanie się Mareta, którego w niesłychaną dumę wbił nadany mu przez Napoleona tytuł „księcia Bassano”, Talleyrand powiedział: „Obecnie Francja ma jeszcze głupszego niż Maret człowieka, jest nim książe Bassano”.

Tego rodzaju docinki Talleyranda przedostawały się daleko poza granice Francji wzbudzając nieprzejednaną nienawiść do niego ze strony nowych ministrów, których po dymisji Talleyranda i Fouché zmuszony był kreować Napoleon. Toteż książe Bassano i jego żona przeszkodzili w roku 1812 nominacji Talleyranda na pełnomocnego przedstawiciela w Warszawie na miejsce Pradta, nad czym w pewnej chwili zastanawiał się Napoleon. Cesarz skarżył się później księciu Caulaincourt na te „intrygi” małżonków Bassano.

Talleyrand zaś zdecydował, że można obecnie, nie ponosząc żadnej formalnej odpowiedzialności, korzystać bez przeszkód z tej dogodnej sytuacji, jaką stwarzają bliskie stosunki z cesarzem. W roku 1808 (właściwie jeszcze w 1807, wkrótce po pokoju w Tylży) postanowił Napoleon zdobyć Hiszpanię i Portugalię. Talleyrand mówił później, że uważał to zamierzenie za przejaw dzikiego, oburzającego, a przede wszystkim niepotrzebnego gwałtu, gdyż obydwie panujące na Półwyspie Pirenejskim dynastie, zarówno Braganzów — w Portugalii, jak i Bourbonów — w Hiszpanii, niewolni-

czo słuchały Napoleona, drżały przed każdym jego słowem, w lot chwytaly rozkazy, zgadywały i wykonywały wszelkie jego zachcianki. Dlatego też powtarzał wiele razy, że napaść na Hiszpanię i Portugalię była niezwykle poważnym, zgubnym błędem i że cesarz osłabił się przez ten postępek.

Jednakże wszystkie te rozsądne zdania zaczął Talleyrand wypowiadać trochę później...

Można obecnie uważać za udowodnione, że jeszcze w roku 1807 Talleyrand całkowicie aprobował plany Napoleona dotyczące Hiszpanii i publicznie wyrażał się (na przykład do damy dworu, pani Rémusat), że hiszpańscy Bourbonowie to nieodpowiedni dla cesarza sąsiedzi i że byłoby dobrze tę dynastię zlikwidować („nie przypuszczam, by można było ich utrzymać”). Wiadomość o tej sprawie dotarła do Hiszpanii. W każdym bądź razie, gdy hiszpański następca tronu, Ferdynand, wysłany został na przymusowy pobyt do zamku Talleyranda w Valencay, goście hiszpańscy nie potrafili ukryć swej obawy i niechęci do dystyngowanego i „gościnnego” właściciela zamku. Nie przeszkodziło to jednak Talleyrandowi, w chwili gdy skomplikowały się hiszpańskie sprawy Napoleona, rozpowszechniać wiadomości, że odradzał on jakoby cesarzowi wszczynać hiszpańską awanturę, ale cóż można zrobić z cesarzem, jeżeli nie chce on słuchać rozsądnych rad swych wiernych sług?

Zacytujmy dodatkowo zeznanie uczestnika wojen napoleońskich, Stendhala: „Talleyrand stale powtarzał Napoleonowi, że jego dynastia nie będzie mogła istnieć spokojnie, dopóki nie zniszczy on Bourbonów. Nie wystarczy pozbawić ich tronu...” Wypowiedział to z okazji pozbawienia tronu dynastii hiszpańskich Bourbonów w 1808 roku. Stendhal doskonale orientował się w hiszpańskich sprawach Napoleona i tego rodzaju zdanie współczesnego obserwatora wzmacnia inne, analogiczne świadectwa.

Jakkolwiek Talleyrand namawiał prawdopodobnie Napoleona, by zgładzić ze świata całą hiszpańską linię Bourbonów, cesarz nie zdecydował się na to, ograniczając się do aresztowania ich i wysłania na długie lata niewoli do Francji.

Gdy w następstwie wiosną 1808 r. lud hiszpański zaczął zupełnie nieoczekiwanie stawiać zaciekle opór najeźdźcy, Talleyrand tym bardziej utwierdził się w przekonaniu, że ten nie gasnący pożar wojny ludowej w Hiszpanii jest początkiem nadchodzącej katastrofy potężnego Cesarstwa. Wszystko to książę z wielkim krasomówstwem opowiada w swych pamiętnikach oraz w rozmowach ze swymi przyjaciółmi (tymi, do których miał zaufanie, np. pani Rémusat); a jednak nie tylko nie ostrzegł on Napoleona przed zgubnym krokiem, lecz odwrotnie, chwalił, schlebiał mu, z każdego nowego napoleońskiego podboju starając się wydobyc jakieś korzyści dla siebie. Potakiwał cesarzowi tak wiernopoddańczo i z takim oddaniem, że po schwytaniu w Bajonnie następcy tronu hiszpańskiego, Ferdynanda, i dwóch innych książąt królewskiej rodziny hiszpańskiej (sprowadzonych tam podstępem) cesarz wysłał tych książąt jako jeńców do zamku Talleyranda w Valencay, gdzie pozostawali oni prawie do samego końca Cesarstwa. Talleyrand z żalem wspomina w swych pamiętnikach o tym, że cesarz obrał sobie jego dobra, by dla hiszpańskich Bourbonów „zrobić z jego zamku więzienie”. Zapomina jednak dodać, że widocznie w celu złagodzenia swego szlachetnego żalu zaczął on po jakimś czasie domagać się od skarbu państwa dwóch milionów franków na remont zamku Valencay, co było jakoby niezbędne wobec przebywania tam książąt. W samej jednak rzeczy ogromny, już uprzednio z przepychem urządzony i umeblowany zamek z wieloma przybudówkami nie wymagał absolutnie żadnego remontu po to, by w nim umieścić trzy osoby wraz z kilkorgiem służby. Zresztą na utrzymanie więźniów skarb wypłacał od pierwszej chwili bardzo znaczne sumy.

W Hiszpanii sytuacja zaogniła się coraz bardziej. Pod Baylen Hiszpanie zmusili do kapitulacji cały francuski korpus generała Duponta. Europejskim lennikom, koronowanym wasalom i niewolnikom Napoleona, spoglądającym w stronę Hiszpanii, poczęły świtać jakieś niejasne nadzieje; krążyły pogłoski o austriackich zbrojeniach; niemiecka młodzież uniwersytecka zaczęła się buntować przeciwko groźnemu zdobywcy. I oto nieoczekiwanie Talleyrand otrzymuje zawiadomienie, że Napoleon życzy sobie zabrać go ze sobą do Erfurtu na spotkanie z Aleksandrem I, pomimo że ksiądz przestał już być ministrem.

Nastąpiła zatem nowa decydująca chwila, nowy zwrot w losach Talleyranda.

v

Aleksander Pawłowicz, imperator wszechrosyjski, jechał do Erfurtu we wrześniu 1808 r. na spotkanie z Napoleonem w niezbyt podniosłym nastroju. Przed samym wyjazdem otrzymał długi list od matki. W liście tym, który odzwierciedlał ogólne zaniepokojenie i niechęć szlachty i dworu do zawartego w 1807 roku w Tylży przymierza pomiędzy carem i francuskim zdobywcą, Maria Teodorowna wyrażała również w ostrej formie niepokój w związku z wyjazdem cara do tak oddalonego miasta, zajętego przez wojska Napoleona. Żywe jeszcze było w pamięci ogółu wspomnienie, że zaledwie przed czterema miesiącami, w maju tegoż 1808 roku, po przyjacielsku zaproszona przez Napoleona do Bajonny hiszpańska rodzina królewska została zdradziecko aresztowana, przy czym jednych jej członków wysłano do Fontainebleau, innych (jak już wspomniano) — do zamku Valencay. Jakaż gwarancja, że Napoleon nie uczyni tego samego z Aleksandrem, którego będzie miał całkowicie w swym ręku? Interesy handlowe rosyjskiej szlachty i kupiectwa w ostry sposób cierpiały na skutek narzuconej Rosji przez Napoleona konty-

nentalnej blokady i uniemożliwienia eksportu rosyjskiego zboża i surowca do Anglii. W Pałacu Zimowym otrzymywano pisma anonimowe, w których przypominano carowi o losie, jaki spotkał jego ojca, Pawła, właśnie w chwili, gdy również wstąpił na drogę przyjaźni z Bonapartem. Wartość nabywcza rubla zmniejszała się szybko. Oczywiście na list matki Aleksander odpowiedział w sposób stanowczy i szczegółowy, podkreślając konieczność pozostawania w stosunkach pokojowych z ogromnym cesarstwem francuskim. Austerlitz, Frydland i Tylża, dwie przegrane wojny i „hambnby” pokój, nauczyły go ostrożności. Jednak ani Aleksander I, ani jego świta nie spodziewali się niczego dobrego po tym spotkaniu. Potęga Napoleona wydawała się w owym czasie monolitem. Na kontynencie panowała cisza przerywana jedynie niewyraźnymi pogłoskami, które szły z Hiszpanii, pogłoskami o powszechnym powstaniu chłopstwa, o zaciętych walkach partyzanckich i o masowych rozstrzeliwaniach partyzantów przez Francuzów. Reszta Europy była jednak pokorna, zastraszona i milcząca.

Spotkanie dwóch cesarzy nastąpiło w Erfurcie 28 września 1808 roku. W orszaku Napoleona było tylu królów i innych monarchów, francuska gwardia cesarska była tak liczna i wspaniała, defilady i przeglądy — nieledwie po dwa dziennie — były tak świetne, że w umysłach gości rosyjskich mogło się jeszcze wzmocnić przekonanie o niezwyciężonej potędze Napoleona.

Lecz tu oczekiwało Aleksandra najbardziej niezwyczajne i nieoczekiwane zdarzenie. Wiązało się ono ze spotkaniem cara z Talleyrandem.

Należy jednak uprzednio powiedzieć parę słów o opinii, jaką miał w Rosji Talleyrand.

W Rosji nie tylko dobrze znano cnoty duchowe księcia, lecz od dawna wiadome tam były ze wszystkich szczegółami liczne konkretne fakty, dotyczące jego szerokiej działalności. Wiedzano na przykład, że w końcu roku 1804 Talleyrand z powo-

dzeniem kupczył dużymi i małymi księstwami Europy środkowej, szukał nabywców na Holandię i chętnie wzięłby od któregokolwiek z reflektantów czternaście milionów franków . W Rosji było rzeczą ogólnie wiadomą, że to właśnie Talleyrand na rozkaz Napoleona ubrał w formę prawną ostateczny podbój Holandii, układając odnośne dekrety i deklaracje. „Czy widział już kto bardziej oburzającą (deklarację) niż ta, która ogłoszona została w «Monitorze» z 18 kwietnia i która oczywiście mogła jedynie wyjść spod pióra tego nikczemnika Talleyranda, tego mnicha pozbawionego kapłaństwa, tak samo ułomnego duchowo, jak fizycznie?" — pisał 25 kwietnia 1806 roku Nesselrode, ówczesny przedstawiciel Rosji w Hadze.

I oto Talleyrand we własnej osobie stanął w Erfurcie przed rosyjskim carem.

Pewnego wieczoru, gdy po jednym z tych męczących galowych dni w Erfurcie Aleksander znalazł się w salonach księżnej Thurn-Taxis, przybył tam Talleyrand i wygłosił dziwne przemówienie.

Nadmienić należy, że do tej chwili stosunki osobiste między Aleksandrem a Talleyrandem nie odznaczały się serdecznością. Aleksander dobrze pamiętał, jak śmiertelnie obraził go Talleyrand w roku 1804 w swej słynnej odpowiedzi na protest Aleksandra z powodu pogwałcenia terytorium Badenii i aresztowania księcia d'Enghien. Przecież — głosiła owa odpowiedź — gdyby Aleksander dowiedział się, że zabójcy nieboszczyka jego ojca, Pawła I, znajdują się niedaleko od rosyjskiej granicy, choćby na obcym terytorium, i gdyby nakazał schwytać tych zabójców, Francja nie zgłosiłaby żadnego protestu. Aleksander wiedział, że napisane to zostało wówczas na wyraźny rozkaz Napoleona, lecz wszakże to właśnie Talleyrand redagował tę

notę, zawierającą przejrzystą aluzję do udziału Aleksandra w zabójstwie ojca. Car nie zapomniał urazy, a przy tym był bardzo przebiegły; Talleyrand nie domyślał się, jakie żywi on do niego uczucia.

I otóż obecnie w Erfurcie ten człowiek, który ośmielił się znieważyć go, ów książę Talleyrand przemawia do cara bez żadnych wstępów i ogródek takimi słowy: „Wasza Cesarska Mość, dlaczego pan tu przyjechał? Pan powinien ratować Europę, a może się to Waszej Cesarskiej Mości udać jedynie w tym wypadku, jeśli przeciwstawi się pan Napoleonowi. Naród francuski jest cywilizowany, jego zaś cesarz — nim nie jest; car rosyjski jest cywilizowany, a naród — nie; wynika z tego, że car rosyjski powinien znaleźć się w sojuszu z narodem francuskim”. Była to jedynie uwertura, po której nastąpiło jeszcze kilka potajemnych spotkań. Jeśli wziąć rzecz formalnie, Talleyrand prowadząc tego rodzaju rozmowy oczywiście ryzykował głową; dopuszczał się w ścisłym znaczeniu tego słowa zdrady stanu i nie miał żadnej gwarancji, że nie zostanie nazajutrz aresztowany.

Niechby tylko Aleksander chciał, dowieść Napoleonowi swych przyjaznych dla niego uczuć i szczerze opowiedział mu o tym postępku — Talleyrand zginąłby bez wątpienia. Lecz przenikliwość Talleyranda i jego zdolność dokładnej oceny charakterów ludzkich pomogły mu i w danym wypadku. Postępowanie Talleyranda nigdy nie uzasadniało rozpowszechnionego, lecz dość powierzchownego zdania, że człowiek sądzi innych według samego siebie, w takim bowiem wypadku Talleyrand nigdy nie zdecydowałby się dokonać tego niebezpiecznego kroku w Erfurcie bez uprzedniego wysondowania gruntu i zabezpieczenia się w odpowiedni sposób. Wiedział jednak z całą pewnością, że Aleksander pod żadnym pozorem nie wyda go, że z tej strony niebezpieczeństwo nie grozi. Nie dlatego, by Aleksander posiadać miał duszę białą jak śnieg i był pod każdym względem bez zarzu-

tu — przeciwnie, Talleyrand był całkowicie przekonany, że Aleksander jest człowiekiem fałszywym, że brał on udział w zabójstwie swego ojca, i to w celu zdobycia korony; swe zdanie opierał Talleyrand po prostu na tym, że każdy ma swoiste właściwości oraz metody działania i że nie leży w naturze Aleksandra, by wydać na zgubę człowieka, który mu zaufał, nawet gdyby nie zorientował się on, że stosunek z księciem Talleyrandem jest dla niego korzystny. Podobnie Napoleon, który jak rabuś, nie mając po temu żadnego prawa, nie opierając się na żadnej ustawie lub zasadach sprawiedliwości, siłą oręża lub nawet bez wojny przywłaszczał sobie obce kraje i grabił bezlitośnie obce narody — jednocześnie odnosił się z obrzydzeniem (o czym Talleyrand wiedział z własnego smutnego doświadczenia) do najmniejszej nawet próby ze strony swych bliźnich uzyskania od interesantów „słodocy” („*les douceurs*”); według Napoleona nie ma nic złego w tym, by brać otwarcie, hańbiące natomiast jest branie potajemnie. Słowem, cała rzecz polega na tym, by pojąć, jakie dana osoba ma usposobienie i do czego czuje wstręt.

Taka oto była filozofia księcia Talleyranda, która nie zawiodła go i tym razem.

Słowa Talleyranda były dla Aleksandra po prostu rewelacją. Dojrzał on zupełnie słusznie w tym wystąpieniu niedostrzegalną jeszcze dla innych, lecz złowieszczą rysę w gmachu wielkiego imperium. Ten człowiek, zasypywany wprost dobrodziejstwami przez Napoleona, posiadający ogromne latyfundia, pałace, miliony, tytuł „Jego Wysokość”, ten człowiek, któremu składają hołdy jak osobie koronowanej, decyduje się całkiem nieoczekiwanie na zdradę! Ciekawy szczegół, że w Erfurcie Aleksander raczej przysłuchuje się Talleyrandowi, aniżeli sam się odzywa. Milczał też prawie bez przerwy. Widocznie z początku car nie wykluczał możliwości prowokacji ze strony księcia Talleyranda na rozkaz Napoleona. Lecz podejrzenia te rozwiały się bardzo szybko.

Napoleon nie domyślał się niczego. Codziennie obaj cesarze ukazywali się razem, wymieniając uprzejmości, demonstracyjne uściski, uczestnicząc w rewiach i defiladach; co rano Napoleon odbywał poufną naradę z komandorem Legii Honorowej Talleyrandem o tym, jak najlepiej wzmocnić przymerze francusko-rosyjskie, a nieledwie co wieczór w zacisznym mieszkaniu księżnej Thurn-Taxis kawaler Orderu Sw. Andrzeja Talleyrand informował Aleksandra i starał się go natchnąć do walki z Napoleonem. Ren, Alpy, Pireneje — oto gdzie kończą się podboje Francji; wszystko pozostałe to podboje cesarza, Francji one nie interesują (*la France n'y tient pas*) — tak mówił on do Aleksandra. Owyymi „pozostałymi” terenami były: Hiszpania, Portugalia, Włochy, Belgia, Holandia, prawie całe Niemcy, połowa Austrii, Polska, część Półwyspu Bałkańskiego, obszary od Lizbony do Warszawy, od Hamburga do Nowo-Bazarskiego sandzaku, od Gdańska do Neapolu i Brindisi. W imieniu Francji Talleyrand rzekał się tego wszystkiego, jak gdyby oddając w nagrodę temu, kto wybawi Francję od Napoleona.

Jednocześnie widział Aleksander, że Napoleon ufał swemu byłemu ministrowi i że ta niezrozumiała dla wielu dymisja ministra spraw zagranicznych nie zmniejszyła w istocie wpływu Talleyranda na politykę zagraniczną Francji. Właśnie w Erfurcie za pośrednictwem Talleyranda poinformował Napoleon po raz pierwszy Aleksandra o swym zamiarze rozwiedzenia się z Józefiną i szukania nowej żony pomiędzy siostrami cara. Rano Talleyrand z polecenia Napoleona układał i nadawał ostateczną redakcję projektowi umowy między Rosją i Francją, wieczorem zaś tenże Talleyrand wszelkimi siłami; starał się wytłumaczyć niezdecydowanemu jeszcze Aleksandrowi, że umowy tej nie należy podpisywać, zanim nie zostaną usunięte z niej te lub inne punkty. Car postępował zgodnie z tymi wskazówkami. Napoleon wprost nie wiedział, czym tłumaczyć sobie ten za-

dziwiający upór Aleksandra i skarżył się wciąż Talleyrandowi, przypisując niezrozumiałe to zjawisko niepomyślnemu dla Francuzów obrotowi wojny ludowej w Hiszpanii; wówczas Talleyrand z szacunkiem rozkładał ręce i wyrażał cesarzowi swe współczucie.

Talleyrand wszedł na nową drogę bezpowrotnie. W pamiętnikach swych usiłuje zapewnić czytelników, że miał na względzie jedynie przyszłe dobro Francji. Zapewne jednak myślał on o sobie, a nie o Francji. Z obiektywnego punktu widzenia jest to jednak obojętne: przewidział nieuniknioną katastrofę w dobie największego rozkwitu światowej monarchii, na sześć lat przed jej całkowitym upadkiem. Powróciwszy z Erfurtu do Paryża zaczął stopniowo zbliżać się do Metternicha i, jak zobaczymy, w cztery miesiące potem zapoczątkował tajne z nim pertraktacje, nie zaprzestając swej konspiracyjnej korespondencji z Aleksandrem.

VI

Posel austriacki w Paryżu, Metternich, wyczuł niezwłocznie po Erfurcie, że Talleyrand zaczął nową i bardzo skomplikowaną rozgrywkę. Wiedział zresztą i Talleyrand, że w tej nowej grze politycznej nie będzie się mógł obejść bez Austrii.

„Trzeba być w Paryżu, i to dość długo; by zdać sobie sprawę z rzeczywistej sytuacji p. Talleyranda — pisał Metternich do Wiednia 24 września 1808 roku w liście do ministra Stadion — w Talleyrandzie należy odróżnić człowieka z moralnego punktu widzenia od polityka. Nie byłby on tym, czym jest, gdyby nie był amoralny... Z drugiej zaś strony jest on przede wszystkim politykiem, a jako polityk musi działać według planu. Może być w związku z tym pożyteczny lub niebezpieczny, w chwili obecnej jest pożyteczny". W dalszym ciągu Metternich z wyjątkową przenikliwością zgaduje, że obecnie panują dwa „systemy” we francuskiej polityce: na czele pierwszego stoi cesarz,

drugi zaś reprezentuje Talleyrand. „System” Napoleona — to dalsze podboje, wojny bez końca, rozgromienie Europy; system Talleyranda i ministra policji Fouché — to stabilizacja, umocnienie osiągniętych sukcesów i zapewnienie trwałego pokoju. „Oczywiście Talleyrand jest bardziej niebezpieczny, aniżeli nim był jakiś niezdolny minister, dowiódł on nam tego w ciągu dwunastu lat. Lecz o ile Talleyrand był dla nas niebezpieczny, gdy popierał wrogą nam politykę, o tyle staje się nam potrzebny jako głowa opozycji”. Niebezpiecznie jest, rzecz prosta, całkowicie mu zaufać, lecz co robić? „Ludzie typu Talleyranda są jak brzytwy, z którymi przecież igrzać niebezpiecznie; jednak ciężka choroba wymaga wyjątkowych zabiegów i człowiek, któremu zlecono leczenie, nie powinien cofać się przed użyciem takich instrumentów, które najlepiej tną” .

Upłynęło kilka miesięcy od Erfurtu i Metternich przestał mieć jakiekolwiek wątpliwości co do tego, że Talleyrand i Fouché zdecydowanie zerwali z „systemem” Napoleona i że dyskontują już niezawodny upadek jego panowania nad światem. „Wyczuwam, że Talleyrand i jego przyjaciel Fouché niezmiennie zdecydowani są wykorzystać wypadek, jeżeli się on nadarzy, lecz nie mają dość odwagi, by taki wypadek sprowokować. Przypominają oni pasażerów, którzy widzą ster okrętu w rękach szalonego sternika, szukającego z lekkim sercem (*de gaieté de coeur*) skał, o które może rozbić się okręt. Gotowi są zawładnąć sterem w chwili, gdy niebezpieczeństwo stanie się jeszcze groźniejsze niż obecnie i gdy pierwsze zderzenie się okrętu wywróci samego sternika” — tak pisał Metternich do Wiednia 17 stycznia 1809 roku.

Była to korespondencja oczywiście bardzo za-

konspirowań -i Talleyranda oznaczano w niej najróżnorodniejszymi imionami. Przekazywał on potrzebne dane członkowi poselstwa rosyjskiego, Nesselrode, ten zaś pisał do Rumiancewa lub Speranskiego. Szło tu o życie Talleyranda i w listach trzeba było zachować jak najdalej idącą ostrożność. Komunikowanie się z Metternichem było jeszcze niebezpieczniejsze: zapowiadało się nowe starcie z Austrią, która zamierzała wykorzystać groźnie rozszerzającą się na całą Hiszpanię wojnę ludową przeciwko Napoleonowi.

Stanowisko zajęte przez Talleyranda nie mogło, rzecz prosta, pozostawać długo tajemnicą dla ministra policji Fouché. Nie wiedział on oczywiście wszystkiego o zdradzieckich stosunkach Talleyranda z Rosją i Austrią, wiedział natomiast, jak negatywnie odnosił się Talleyrand do szaleńczego pomysłu zawojowania Półwyspu Pirenejskiego, do niebezpieczeństwa, które kryło się w niepohamowanej samowoli Napoleona w sprawach polityki zagranicznej itd. I oto, ku niemałemu zdziwieniu wyższych sfer towarzyskich Paryża, rozeszła się pogłoska o ścisłym zbliżeniu, nieledwie przyjaźni, tych dwóch mężów stanu. W rzeczywistości Fouché zaczął przekonywać się o słuszności przewidywań Talleyranda i postanowił widocznie nie zwalczać go, lecz zająć raczej stanowisko bacznej i niejako przyjacielskiej neutralności.

Talleyrand jednak ociągał się jeszcze z wejściem w potajemny kontakt z Metternichem. Zadowolał się wzmocnieniem swego stosunku z Rosją.

Przeprowadzał tajne rozmowy z radcą poselstwa rosyjskiego w Paryżu, Nesselrode, o których tenże regularnie zawiadamiał Petersburg.

W tajnej korespondencji między hrabią Nesselrode i Petersburgiem Talleyrand oznaczany był kilkoma pseudonimami: „mój kuzyn Henri”; „mój przyjaciel”; „Ta”; „Anna Iwanowna”; „nasz księgarz”; „piękny Leander”; „radca prawny”. W ten sposób pisał Nesselrode do hrabiego M. M. Speranskiego, uznając że jego adres jest mniej niebez-

pieczny niż bezpośredni adres kanclerza Rumiancewa .

VII

Wchodząc w przyjazne stosunki z ministrem policji Fouché i wtajemniczając go częściowo w swoją zdradziecką robotę, Talleyrand, jakby się to zdawać mogło, zabezpieczył się od grożącego mu zdemaskowania, a nawet od niebezpiecznych pogłosek.

Lecz Napoleon posiadał kilka rodzajów policji; jedna, z Fouché na czele, która pilnowała całej ludności Francji, druga zaś, jeszcze bardziej tajna, specjalnie do śledzenia samego Fouché. Był ponadto La Valette, główny dyrektor poczty, który miał na oku tę policję, która śledziła Fouché.

Dzięki temu w połowie stycznia 1809 roku, w największym wirze krwawych walk przeciwko hiszpańskiej rewolucji (tj. przeciwko hiszpańskim chłopom i rzemieślnikom, którzy zdecydowali się bronić swego kraju przed napaścią Napoleona), przebywający gdzieś w głębi Półwyspu Pirenejskiego cesarz otrzymał jednocześnie kilka doniesień. Po pierwsze, że Austria zbroi się gorączkowo, licząc na trudną sytuację, w której znalazł się Napoleon w Hiszpanii, po drugie, że Talleyrand i Fouché prowadzą jakieś podejrzaną naradę, przy czym Talleyrand nieprzychylnie odzywa się o polityce cesarza. Napoleon niezwłocznie przekazał marszałkom dowództwo nad armiami, sam zaś pomknął do Paryża, nie zatrzymując się niemal po drodze. Zaraz po przyjeździe wezwał do siebie najwyższych dygnitarzy i niektórych ministrów.

Wtedy właśnie, 28 stycznia 1809 roku, nastąpiła słynna scena, opisywana setki razy w literaturze historycznej i w licznych pamiętnikach. Cesarz rzucił się literalnie z pięściami na Talleyranda.

„Jest pan złodziejem, łotrem pozbawionym sumienia! — krzyczał Napoleon z wściekłością. — W Boga pan nie wierzysz, przez całe życie gwałcisz wszystkie swe zobowiązania, oszukiwałeś wszystkich, sprzedawałeś, dla pana nie ma nic świętego, sprzedałbyś rodzzonego ojca! Obsypałem cię dobrodziejstwami, a pan zdolny jesteś do każdej podłości przeciwko mnie! I jedynie dlatego, że fałszywie wyobraża pan sobie, iż mi się nie powodzi w Hiszpanii, od dziesięciu miesięcy z całą bezczelnością opowiadasz pan każdemu, kto chce słuchać, że zawsze potępiałeś moje poczynania w stosunku do tego państwa; a przecież pan pierwszy poddałeś mi tę myśl i z całym uporem pchałeś mnie do tego!... A ten człowiek, ten nieszczęśnik? Kto doniósł mi o tym, gdzie on się znajduje? Kto namawiał mnie, bym ostro się z nim rozprawił? Co pan właściwie zamierza, na co pan liczy? Niech się pan ośmieli mi powiedzieć! No, ośmiel się pan! Zaslugujesz pan na to, bym cię stłukł jak szkło i mam dostateczną władzę, by to uczynić, lecz zbyt pogardzam panem, żebym się fatygował! Dlaczegoż dotychczas nie powiesiłem cię na sztachetach pałacu Carrousel? Ale mamy jeszcze czas! Jesteś pan gnojem w jedwabnych pończochach! Gnój! Gnój!...”

Jego Wysokość najjaśniejszy udzielny książę Benewentu, wielki szambelan cesarskiego dworu, wiceelektor francuskiego cesarstwa, komandor Legii Honorowej, książę Talleyrand-Perigord stał bez ruchu, zupełnie spokojnie, słuchając z szacunkiem i uwagą tego, co wykrzykiwał rozwścieczony cesarz. Obecni przy tym dygnitarze drżeli, nie śmiejąc wprost spojrzeć na Talleyranda, lecz on, zdawało się jedyny na sali, zachował w pełni spokój i pogodę ducha. Było jasne, że Napoleon dowiedział się już o tym i o owym, lecz że na pewno nie wie nic o erfurckich wyczynach swego byłego ministra ani o tym, że stoi przed nim „Anna Iwanowna”, która i obecnie, po Erfurcie, szpieguje

na rzecz cara Aleksandra I. A więc nie grozi natychmiastowe rozstrzelanie. Na razie Talleyrandowi chodzi tylko o to.

Na całym dworze panowało podniecenie, wszyscy łamali sobie głowę domysłami, jak zareaguje Talleyrand na te straszne publiczne obelgi, jakich nie usłyszeli nigdy od cesarza nawet jego niezliczeni dworscy lokaje, forysie i stangreci; co zrobi książę po tym gniewnym oskarżeniu go o faktyczne zabójstwo księcia d'Enghien i wreszcie — po zagrożeniu mu wręcz powieszeniem.

Ciekawości tej stało się zadość już nazajutrz, 29 stycznia. Na dworze odbywał się zwykły wielki raut, a obecni na nim dygnitarze i dworzanie ze zdziwieniem dojrżeli w sali tronowej księcia Talleyranda ubranego w swój wspianiały z czerwonego aksamitu ze złotem strój, ozdobiony wszystkimi gwiazdami i wstęgami. Stał on na swym oficjalnym miejscu, ustalonym przez protokół, pomiędzy najwyższymi dostojnikami Cesarstwa, o dwa kroki od tronu. Napoleon rozmawiał z jego sąsiadami, a na niski ukłon księcia nie zwrócił najmniejszej uwagi. Lecz Talleyrand starał się nie dostrzegać tego, wyniośle stał na miejscu i z całym spokojem milczał przez cały wieczór.

Dworzanie podziwiali ten spokój. Nie brali pod uwagę, że jeśli w każdej duszy są nie znane innym tajniki, to dusza Talleyranda jest cała jak mrok nie do przebicia. Z czasem i Napoleon zrozumiał to, lecz było za późno.

Talleyrand, który bez słowa zniósł publicznie hańbiącą torturę nie spotykanych wprost obelg i który nie przestał z całą sumiennością wypełniać swych dworskich funkcji, uważał się w rzeczy samej za tak śmiertelnie znieważonego, że zdecydował się na nowy krok, nie mniej niebezpieczny niż ten, który zrobił w Erfurcie. Jest oczywiste, że skoro Talleyrand już w Erfurcie nakreślił sobie jako linię wytyczną współdziałanie w obaleniu Cesarstwa w mniej lub bardziej oddalonej przyszłości, to logicznie biorąc musiało go to z czasem do-

prować do nieuniknionego podniesienia, że tak powiemy, diapazonu swej zdrady, tj. do potajemnego komunikowania się z drugim (po Rosji) wielkim mocarstwem, które pozostało jeszcze na europejskim kontynencie, mianowicie z Austrią. Lecz pałaca krzywda publicznej hańby zmusiła go, wbrew wszelkiej ostrożności, do gwałtownego przyspieszenia sprawy. Człowiek ten, który tak nie lubił ryzykować, który tak umiał poskramiać swe uczucia, nie wytrzymał. Jak powiedzieliśmy, w niedzielę 29 stycznia zjawił się on w pałacu i z zimną krwią wypełniał swe dworskie obowiązki na oczach zdziwionych i pogardliwie spoglądających dworzan. Nikt jednak nie wiedział, że na kilka godzin przed przybyciem do pałacu, tegoż 29 stycznia, był on w innym miejscu: widział się z posłem austriackim.

Oto co doniósł do Wiednia o tym znamienym fakcie Metternich: „X. (Metternich oznacza Talleyranda literą „iks”) całkowicie zdjął wobec mnie maskę. Wydaje mi się, że jest zupełnie zdecydowany nie czekać... na rozgrywkę. Przedwczoraj powiedział mi, że chwila już nastąpiła i że uważa za swój obowiązek wejść w bezpośredni stosunek z Austrią. Zakomunikował mi, że w swoim czasie odmówił propozycji uczynionej mu przez hrabiego Ludwika Cobenzla, lecz w chwili obecnej propozycję tę przyjąłby... Swoją ówczesną odmowę motywował zajmowanym przez siebie stanowiskiem. «Obecnie jestem wolny i sprawę mamy wspólną. Mówię to panu z pełną szczerością, gdyż myślę, iż panowie chcieliby mi wyświadczyć przysługę». Dał mi do zrozumienia, że potrzebuje paruset tysięcy franków, gdyż cesarz [Napoleon] nadszarpnął jego fortunę zlecając mu utrzymanie hiszpańskich książąt... Odpowiedziałem, że cesarz [Franciszek I] rad będzie dowieść mu swej wdzięczności, jeżeli zgodzi się on służyć wspólnej sprawie. Odrzekł, że sprawa ta jest również jego sprawą i że pozostaje mu tylko albo wraz z nią zwyciężyć, albo razem z nią zginąć. «Czy

pan dziwi się propozycji, którą panu czynię?* — zapytał mnie. «Nie — odpowiedziałem — zapatruję się na to jak na prawdziwy zastaw złożony dla wspólnej sprawy»" .

Mamy tu przed sobą całego Talleyranda. Został publicznie znieważony, zmieszany z błotem, pohąbiony, pełen jest żądzy zemsty do tego stopnia, że nie licząc się z żadną ostrożnością, pod okiem tajnej policji cesarskiej, odważa się na spotkanie z Metternichem — a jednak i w tych warunkach nie może zaniechać swej zwykłej chciwości: „mści się” on na Napoleonie zdradą stanu, a jednocześnie stara się wyżebrać od Austriaków „kilkaset tysięcy franków”. Nie tylko zdradza cesarza, lecz i sprzedaje go za gotówkę, łącząc według swego zwyczaju przyjemne z pożytecznym.

W ten oto sposób Talleyrand i Austria mają obecnie „wspólną sprawę”, „*une cause commune*”: obalenie Napoleona. W Erfurcie Aleksander z uporem zachowywał milczenie. Metternich, jako przedstawiciel państwa, które gotowe było za parę miesięcy walczyć przeciwko Napoleonowi, nie miał żadnego powodu do zachowywania tak daleko posuniętej ostrożności wobec nowo kreowanego przyjaciela i współpracownika. Samo przez się jest zrozumiałe, że Talleyrandowi z całą gotowością wypłacona została suma, o którą prosił w zamian za swą zdradę. Minister Stadion zakomunikował z Wiednia Metternichowi: „Cesarz rozkazał mi, by dać panu nieograniczone pełnomocnictwa (*carte blanche*) w sprawie X.; ma pan prawo dać mu w granicach rozsądku wszystko, o co będzie prosić, z chwilą gdy się pan przekona, że rzeczywiście może on i chce oddać nam prawdziwie ważne

usługi". Służba Talleyranda na rzecz Austrii zaczęła się niezwłocznie. Już 7 marca 1809 roku zawiadomił Metternich ministra Stadionia w Wiedniu: „Stosunki moje z X. są bardzo ożywione. O wszystkim, co może nas interesować, dowiaduję się przeważnie za jego pośrednictwem. Prosiłbym bardzo Waszą Ekselencję, by raczył dać sumę, o którą prosilem. Uzyskałem z gabinetu cesarza [Napoleona] dwa memoranda co do obecnej sytuacji, które powinny wzbudzić duże zainteresowanie". Ponieważ w maju 1809 roku zaczęły się już działania wojenne pomiędzy Francją a Austrią, przeto Talleyrand był cenny przede wszystkim ze względu na wojskowo-szpiegowskie informacje. „Choć kwota wydaje się bardzo wysoka [ta, o którą prosił Talleyrand], jest ona o wiele niższa od zwykle ponoszonych ofiar, a wyniki zatrudnienia go (*les résultats de son emploi*) mogą być ogromne... Dopiero co X. uprzedził mnie, że generał Oudinot otrzymał rozkaz wymarszu na Augsburg i Ingolstadt. X. jest zdania, że należałoby niezwłocznie wykorzystać przesunięcie Oudinota jako pretekst do mobilizacji (*mise sur le pied de guerre*)" W ten sposób Talleyrand nie tylko informuje o tajnych zleceniach Napoleona dawanych korpusom armii, lecz udziela rad, jak Austriacy mogliby celowo wykorzystać te informacje! Oczywiście, zarówno Metternich, jak i cesarz austriacki Franciszek usiłowali przezwyciężyć trudności, jakie powstawały podczas wojny, w otrzymywaniu informacji od cennego nowego przyjaciela; postanowiono więc, że ośrodkiem szpiegostwa i punktem przekazywania wiadomości ma być na okres wojna miasto Frankfurt.

Gdy na wiosnę 1809 roku rozpoczęła się od dawna oczekiwana wojna Napoleona z Austrią, wielu, a w tej liczbie i Talleyrand, przewidywało, że tym razem walka będzie o wiele cięższa aniżeli podczas kampanii 1805 roku. Według domysłów Emila Darda, gdy Metternich jeszcze w styczniu 1809 r. skarżył się w raporcie do ministra Stadionia, że

choć Talleyrand i jego „przyjaciel” Fouché zdecydowali się wykorzystać odpowiedni, ewentualnie nadarzający się „wypadek”, to jednak „nie posiadają dostatecznej odwagi, by wypadek taki spowodować” — miał on wówczas na myśli zabójstwo cesarza i właśnie w tym sensie należy rozumieć słowo „wypadek”. Przy tej okazji Emil Dard wspomina o „angielskich agentach”, którzy w roku 1800 zorganizowali zamach na Napoleona za pomocą „maszyny piekielnej”. Lecz Dard bezwzględnie się myli. Ani Talleyrand, ani Fouché nie posiadali bowiem nawet cienia tych uczuć fanatyzmu i odwagi, jakie cechowały tamtych spiskowców, Metternich zaś nie miał tej stanowczości, jaką przejawiał w 1800 roku Wilhelm Pitt i jego otoczenie. Rzecz jasna, że zarówno Metternich, jak Talleyrand i Fouché marzyli na wiosnę 1809 roku o śmierci Napoleona,! nadzieję jednak pokładali nie w sobie samych i nie w spiskowcach, lecz w celności strzelców austriackich i w dokładnym obstrzale austriackiej artylerii podczas przyszłej wojny. Nadzieje te omal się nie ziściły: już w pierwszym okresie wojny, w bitwie pod Ratyzboną, cesarz został ranny. Dowiedziawszy się, że rana nie jest śmiertelna, Talleyrand zasiada niezwłocznie do biurka (przy którym w owym czasie sporządzał dla Wiednia swe szpiegowskie raporty o posunięciach wojsk francuskich) i śle cesarzowi najgorętsze pozdrowienia: „Sire! Sława Waszej Cesarskiej Mości to nasza duma, lecz życie Twoje — to podstawa naszej egzystencji (*mais votre vie fait notre existence!*)”.

Napoleon prowadził wojnę z Austrią. Z formalnego punktu widzenia Rosja, jako sprzymierzeniec cesarza francuskiego, również uważana była

za stronę walczącą przeciwko Austrii. Sytuacja Talleyranda w roli tajnego agenta Austrii i Rosji, a jednocześnie jawnego wielkiego szambelana cesarza Francji, stała się niełatwa. Należało zachować wzmoczoną ostrożność, by nie zgubić się przy wykonywaniu tych trzech tak różnorodnych funkcji. Ów rok 1809 był na ogół pełen kłopotów dla Talleyranda. Trzeba było bywać w pałacu i czynić wszelkie starania, by Napoleon zamienił gniew na łaskę, dawać tajne informacje Austriakom i utrzymywać stosunki z Nesselrodem, pomimo że Rosja formalnie znajdowała się w stanie wojny z Austrią. Nesselrode nie śmiał (gdyż nie miał co do tego instrukcji od cara) wyjaśnić Talleyrandowi, że Rosja w rzeczywistości żadnego udziału w wojnie przeciwko Austrii nie bierze.

Stosunki, jakie Talleyrand nawiązał z Austrią, bynajmniej nie były powodem, by zapomniał on o najważniejszej dla siebie sprawie: o swych tajnych doniesieniach dla Rosji. Wśród listów pisanych własnoręcznie przez Talleyranda do cara Aleksandra, które znajdują się w radzieckim Archiwum Polityki Zagranicznej, bardzo charakterystyczny jest list pisany 10 lutego 1809 r., tj. ściśle dwa tygodnie po owej okropnej scenie, jaką cesarz zrobił 28 stycznia w Tuilerych swemu wielkiemu szambelanowi. Talleyrand dziękuje Aleksandrowi za jego łaskawość, za wydatną pomoc cara w sprawie małżeństwa siostrzeńca Talleyranda (z córką i spadkobierczynią bogatej księżnej Kurlandii), wyraża wdzięczność za cały osobisty stosunek cara do niego. Na czym polegały te „łaski” („*bontés*”), wiemy dobrze. Jednak oprócz uprzejmości i podziękowań list Talleyranda zawiera jeszcze coś, co przypomina raczej kryptogram niż zwykłe pismo. Kryptogram ten zresztą nie jest w treści swej bardzo zagadkowy: Talleyrand zaleca carowi najbardziej odpowiednie i bezpieczne sposoby dalszej tajnej korespondencji. Widocznie car musiał zawiadomić, że listy należy w Petersburgu doręczać Speranskiemu, który oddawać je

będzie Aleksandrowi. Talleyrand zaś ze swej strony zapewnił sobie wiernego człowieka, niejakiego Duponta, który „zręcznie dopilnuje” tej potajemnej korespondencji. Ma więc Speranski wejść w bezpośredni stosunek z p. Dupontem. Kim jest p. Dupont, nie powiedziano. Dalej Talleyrand wyraża podziękowanie carowi za jego „szlachetne i mądre wytrwanie” w zamiarze prowadzenia z nim korespondencji.

Na wiosnę 1810 r. „kuzyn. Henri” zdradził hrabiemu Nesselrode szereg ważnych szczegółów dotyczących nowego małżeństwa Napoleona oraz pewnych zamierzeń związanych z tym zdarzeniem. Otrzymał za to 3 000 franków. Praca ta była akordowa, od sztuki. Minęło zaledwie dwa dni od chwili otrzymania przez „kuzyna Henri” trzech tysięcy franków, gdy „Anna Iwanowna” zażądała jeszcze czterech tysięcy za nowe informacje. Wobec niepowstrzymanego wzrastania apetytów „Anny Iwanowny” Nesselrode prosi o przysłanie mu od razu 30 do 40 tysięcy franków .

Informacje Talleyranda były od początku cenne. Zawiadamiał on, że stan armii francuskiej jest obecnie gorszy niż poprzednio; wskazywał na konieczność (wbrew radom Napoleona) jak najszybszego zakończenia wojny z Turcją; podawał dane o najbliższych planach Napoleona, o których wiadomości dochodziły do niego. Nastawiwszy się na przyszłe nieuniknione zerwanie stosunków między Napoleonem a Rosją, Talleyrand w swych tajnych rozmowach z hr. Nesselrode wyrażał swoje pełne zadowolenie z powodu zamierzeń rządu rosyjskiego, mających na celu wzmocnienie sytuacji finansowej Rosji. „Kuzyn Henri bardzo jest z tego zadowolony” — komunikuje Nesselrode do Petersburga. „Jego stała rada polega na tym, abyśmy skorzystali z tej chwili spokoju i zebrali siły... Chce on, bym uspokoił (nie powiedziano kogo — przyp. aut.) co do Austrii; w obecnej chwili nie **Obawia** się on niczego z tej strony i jest przekonany, że księżę Metternich opuści Paryż nie biorąc na siebie żadnych zobowiązań, które byłyby niebezpieczne dla Rosji”. Talleyrand zapewniał rosyjskich dyplomatów, że „ściśła łączność pomiędzy wiedeńskim i petersburskim dworem to najlepszy środek wpojenia Francji bardziej pokojowych zamiarów” oraz że taka „łączność” jest jeszcze możliwa pomimo małżeństwa Napoleona z Marią Ludwiką.

Wśród dokumentów radzieckiego Archiwum Polityki Zagranicznej zachował się ciekawy własnoręczny list Talleyranda do Rumiancewa z dnia 9 maja 1809 roku. M. P. Rumiancew, rosyjski minister spraw zagranicznych, od października 1808 do 3/15 lutego 1809 roku mieszkał w Paryżu i zbliżył się do Talleyranda.

Szpiegując w tym okresie na koszt i na korzyść Austrii, nie mógł oczywiście Talleyrand w „legalnym” własnoręcznym i podpisanym przez siebie

liście napisać inaczej, aniżeli to uczynił. Poza tym nie wiedział on, czy Rumiancew zna jego tajemnicę. Jest pełen zachwytu z powodu zwycięstw wielkiego cesarza nad Austriakami, spodziewał się zawsze tych cudów itd. Lecz cóż na to poradzić, że się nie jest już młodym i że człowiek pomimo woli „obawia się”, staje się trochę tchórzem (un *peu trembleur*). Jest to aluzja do nader trudnej sytuacji Napoleona, który tym razem wbrew własnej woli wciągnięty został w nową i ciężką wojnę z Austrią. Talleyrand schlebia rosyjskiemu magnatowi w zupełnie bezwstydnym sposób. Oświadcza, że „codzienne światowe rozrywki” Talleyranda i jego przyjaciół polegają na rozmowach o hrabim Rumiancewie. „Mówi się często, że łączy pan w sobie francuską uprzejmość z angielską głębią, włoską zręcznością i rosyjską stanowczością”. Cały list jest w tym stylu. Dygnitarz miał duże wpływy i Talleyrand zdecydował się przesadzić na wszelki wypadek, w przekonaniu, że ludzie bardzo chętnie wybaczą nadmiar pochlebstwa. Zawsze hołdował tej zasadzie i rzadko na tym tracił.

Gwiazda Mikołaja Piotrowicza Rumiancewa świeciła w tym czasie wyjątkowo silnie. Po długich i niełatwych pertraktacjach ze Szwecją Rumiancewowi udało się podpisać 5 września 1809 r. traktat pokojowy, który oddawał Rosji całą Finlandię aż do rzeki Torneo. W dwa dni później, 7 września, Aleksander mianował Rumiancewa kanclerzem cesarstwa rosyjskiego.

Talleyrand zachwycał się Rumiancewem i entuzjazm ten bynajmniej nie był wywołany jedynie chęcią schlebiania wpływowemu dygnitarzowi. W rzeczy samej uważał on, że zawarty przez Rumiancewa pokój we Fredrikshamn jest wyrazem umiarkowania, że został obliczony na przyszłe przyjazne stosunki między zwycięzcą a zwyciężonym, że wyraża on bezpośrednio chęć ustalenia

z czasem stosunków pokojowych z Anglią; jednym słowem, pokój ten miał wszystkie cechy, których nie posiadał żaden z traktatów pokojowych zawieranych przez Napoleona zarówno przed, jak i po usunięciu Talleyranda ze stanowiska ministra spraw zagranicznych. Do czasu tej dymisji Talleyrand, co prawda, sam redagował tego rodzaju groźne traktaty, czyniąc to wbrew własnemu przekonaniu na żądanie swego władcy; po swej dymisji, będąc już w niełasce, chwalił się, że nie chciał nadal pozostawać „katem Europy”. Z tych więc powodów oceniał Talleyrand tę względnie „liberalną” łagodność rosyjskiego kanclerza po zwycięstwie Rosji nad Szwedami jako szczyt mądrości męża stanu.

Hrabia Rumiancew posłał Talleyrandowi swe memorandum w sprawie pokoju między Rosją i Szwecją oraz w sprawie przyłączenia Finlandii.

Talleyrand odpowiedział nowym listem pełnym pochlebstw i szeregu aluzji charakterystycznych dla jego obecnej sytuacji politycznej. Na wstępie składa on rosyjskiemu kanclerzowi powinszowania i nazywa go „wielkim mężem stanu”. — „Użył pan dla swego monarchy i swego kraju wielką prowincję, mającą duże znaczenie dla waszej stolicy. Tych, którzy ustępują wam te obszary wynagradza pan za ich ofiarę zupełnie realnymi korzyściami, schlebiającymi uczuciom mieszkańców miast, a choć stanowią oni mniejszość ludności i nienajlepszy jej element, lecz są właśnie tymi, «którzy jedynie umieją wypowiadać się, z którymi należy się liczyć i których [wypowiedzi] nazywa się opinią publiczną”. W tych liberalnych politycznych i ekonomicznych zarządzeniach polityki rosyjskiej w stosunku do Finlandii i Szwecji dopatrywał się Talleyrand „przychylnego” stosunku do handlu angielskiego. W nie szyfrowanym liście do rosyjskiego dygnitarza, i w dodatku zwolennika przymierza francusko-rosyjskiego, nie mógł Talleyrand wyjawić swej od dawna ustalonej opinii, że blokada kontynentalna jest w ogóle dla

Francji, Rosji i Europy szkodliwa, że w szczególności utrudnia ona zaprzestanie tych nie kończących się wojen. Dla tej więc przyczyny swą tajemną myśl ubiera on w następujący, prawdziwie dyplomatyczny styl: „Pan również okazuje trochę życzliwości Anglikom. Dowodzi to, że wierność dla systemu kontynentalnego nie wyłącza jednocześnie pewnego rodzaju przychylniej ugodowości. W ten sposób toruje pan innym państwom drogę do bardziej liberalnych idei i wskazuje pan, że rząd pański z przyjemnością widziałby powrót na tę drogę”. Ten własnoręczny list nie został opublikowany, a jego przekład nie oddaje wszystkich odcieni umyślnie zawołanego, doniosłego, a zarazem ostrożnego stylu Talleyranda. Podajemy wobec tego również oryginał powyższego zdania, zachowując błędy pisowni. Jako prawdziwy arystokrata starego reżymu, Talleyrand lekcewał sobie przepisy gramatyki, które obowiązywały pospółstwo (*les roturiers*), i jego własnoręczne listy w języku francuskim pełne są błędów, pomimo że prócz francuskiego nie znał żadnego innego języka i nie pozostawił po sobie ani jednego zdania nie pisanego po francusku.

Talleyrand stawia zresztą bezstronnie francuską prozę Rumiancewa wyżej od własnej: „Wszystko to jest wyższa i bardzo kunsztowna polityka, a wyraził to pan (*vous l'avez redigée*) w naszym języku jak najprawdziwszy publicysta, jak najbardziej dystygowany i najpoprawniej wyrażający się członek Akademii. Moja miłość własna mogłaby wywołać we mnie uczucie zawiści, lecz

przyjaźń moja dla pana jest o wiele silniejsza i żywo to odczuwa".

Zachowując całą ostrożność i używając wszelkich możliwych zastrzeżeń, Talleyrand namawiał niejako kanclerza Rumiancewa do nieprzestrzegania blokady kontynentalnej i do zbliżenia z Anglią. Był to próbny balon. Lecz „historyczna data” jeszcze nie nastąpiła. Rumiancew z aluzji nie skorzystał.

Zdradzając Napoleona na korzyść Rosji, Talleyrand nawiązał tajne stosunki z Austrią i przy tej okazji zdradzał Rosję na korzyść Austrii, o czym Nesselrode nie wiedział, gdyż Talleyrand maskował to natarczywymi radami co do konieczności zbliżenia Rosji z Austrią. Nesselrode nie zdawał sobie sprawy, że Talleyrand prowadzi nie podwójną lecz potrójną grę: „Henri jest zdania, że winniśmy przy pertraktacjach okazać pewne zainteresowanie w stosunku do Austrii, a mianowicie przy porozumieniu dotyczącym Serbów; w ten sposób nie zamkniemy sobie drogi do porozumienia się z nią (Austrią) w przyszłości.

Było dobrze wiadome Talleyrandowi, że Metternich nie życzył sobie bynajmniej rozgromienia (*la destruction*) Rosji, uważając, iż byłoby to niebezpieczne dla Austrii. Taki pogląd Metternicha ułatwiał Talleyrandowi jego skomplikowaną i niebezpieczną grę wobec powstających nieporozumień francusko-rosyjskich.

Wojna Napoleona z Austrią została zakończona.

Ponownie rozgromiwszy Austrię w 1809 roku, zmusiwszy ją w Schoenbrunn do podpisania nowego hańbiącego i zabójczego pokoju, ożeniwszy się wkrótce potem z córką austriackiego cesarza, panując wprost lub pośrednio przez swych namiestników i wasalów nad całą Europą, Napoleon zaczął już nie w drodze wojen, lecz zwykłymi dekre-

tami przyłączać coraz to inne kraje do swego olbrzymiego imperium.

Gdy każdy rok przynosił nowe objawy zupełnie już niepohamowanej agresywności zdobywcy, Talleyrand coraz bardziej nabierał przekonania, że wypadki toczą się w kierunku nowej wielkiej rozgrywki i ostatecznego upadku tego nienaturalnie wielkiego konglomeratu krajów i narodów, stworzonego w drodze gwałtu i utrzymywanego przemocą.

VIII

Mijały lata. Usunięty od aktywnego udziału w sprawach politycznych i od bliższego kontaktu z Napoleonem Talleyrand, magnat i milioner, właściciel pałacu w Paryżu i zamku w Valencay, wiódł życie pełne komfortu i rozrywek lecz pozbawione tych porywających zainteresowań, jakie mu dawało jego poprzednie stanowisko. Pozornie Napoleon wybaczył mu, cofnął swą niełaskę, lecz zaufania swego nie przywrócił. Talleyrand pojawiał się w pełnym galowym stroju na sali tronowej, na salach balowych, w poczekalniach i salonach Tuileries. Do gabinetów, w których cesarz pracował, nie miał już jednak dostępu. Jego cesarska mość kiwał mu łaskawie głową przy okazji wielkich przyjęć, lecz bez słowa mijał go swym żołnierskim krokiem.

W tych warunkach, tak trudnych do uzyskiwania tajnych informacji, pomocny był bardzo Talleyrandowi jego współnik, minister policji Fouché.

Fouché wiedział o stosunkach księcia i właśnie od niego pochodziły te w najwyższym stopniu interesujące Talleyranda oraz jego rosyjskich korespondentów informacje o wewnętrznym wrzeniu w cesarstwie francuskim. W tajnej korespondencji hrabiego Nesselrode oznaczony jest Fouché umówionymi zakonspirowanymi wyrazami: „Natasza”, „prezydent” i „Berżen”. Wewnętrzne wrzenie we Francji oznaczano słowami „an-

gielskie rolnictwo" lub „miłosne igraszki Butiagina" (było to nazwisko sekretarza rosyjskiego poselstwa w Paryżu).

Lecz oto w lecie 1810 r. powstała przykra przeszkoda: „Obiecali mi nowe płody rolnictwa angielskiego, lecz nie dotrzymali słowa" — skarży się 6/18 czerwca 1810 roku Nesselrode. I nic dziwnego: główne źródło informacji o wewnętrznych sprawach francuskiego cesarstwa (o „angielskim rolnictwie") raptownie wyszło; 3/15 czerwca 1810 r. Napoleon zdymisjonował Fouché. „Odejście prezydenta bardzo mi przeszkadza, -właśnie przez niego nasz radca prawny [Talleyrand] używał informacji, które przekazywałem panu..." „Przewiduję, że się to odbije na mojej korespondencji" . Tak pisał Nesselrode do Petersburga 6/18 czerwca 1810 roku.

Nieoczekiwana dymisja Fouché była ciężkim ciosem dla Talleyranda. Jego informacje musiały się skurczyć; tajne komunikowanie się z Aleksandrem trwało nadal, było jednak coraz niebezpieczniejsze i zdawało się, że pod względem politycznym stosunek ten musi stać się jałowym. Zbyt potężny był po dawnemu Napoleon, wbrew wszelkim przepowiedniom Talleyranda...

Zgodnie z przewidywaniami hrabiego Nesselrode usunięcie Fouché w rzeczy samej odbiło się niezwłocznie na ilości i wartości tajnych informacji komunikowanych rosyjskiemu poselstwu przez Talleyranda. Trudno było pracować, gdy zabrakło „Nataszy". I w ogóle bez niej życie stało się jakoś niespokojne. Nowy minister policji generał Savary (książę Rovigo), wierny wojskowy sługa cesarza Napoleona, gotów był bez najmniejszego wahania chwycić za gardło każdego zdrajcę, nie licząc się ani z tytułami, ani z gwiazdami, ani ze wstęgami. Za jego czasów wskazane było powstrzymywanie się od stawiania w paryskich salonach dociekliwych pytań znajomym z wielkiego

świata, należało unikać zbyt serdecznych i częstych stosunków z radcą poselstwa rosyjskiego, hrabią Nesselrode.

Informacje Talleyranda stawały się zdecydowanie bezbarwne. Trwało tak przez kilka miesięcy.

Było to może przyczyną, że Aleksander jak gdyby trochę ochłódł — nie wobec samego Talleyranda, któremu nigdy nie okazywał sympatii, lecz wobec jego informacji i porad, do których po prostu stracił chwilowo zainteresowanie. Na domiar złego Talleyrand napisał do cara (15 września 1810 r.) list utrzymany w najbardziej wzniosłym i krasomówczym stylu, z lekka zabarwionym uczuciami serdeczności i przyjacielskiego zaufania. Posługując się rzadko spotykaną u niego najwytworniejszą prozą, godną pióra Chateaubrianda lub Jana Jakuba Rousseau, Talleyrand zawiadamia Aleksandra, że poniósł trochę wydatków ostatnimi czasami i że byłby niezmiernie rad, gdyby car zechciał dać swemu wiernemu poufnemu korespondentowi, powiedzmy, półtora miliona franków w złocie. Następnie szła informacja, już z góry uprzejmie na wszelki wypadek przytoczona, jaki jest najlepszy sposób przesłania tych pieniędzy, mianowicie przez którego bankiera we Frankfurcie należy je przekazać, co napisać do rosyjskiego konsula generalnego w Paryżu, Łabińskiego, i co jeszcze dodać, by Łabiński nie miał żadnych wątpliwości itd.

Lecz tym razem trafiła kosa na kamień. Aleksander I był specjalnie drażliwy na zbytne wyzyskiwanie jego naiwności. Właśnie to, jak mówiono, było powodem późniejszego załamania się kariery baronowej Krüdener, a następnie i innych cudotwórców, za pośrednictwem których Duch Święty miał oświecić cesarza co do konieczności przyznania pewnych kredytów z kasy Rady Opiekuńczej. Talleyrand zepsuł sam swą sprawę powołując się na początku listu na swoje zasługi erfurckie, jak również czyniąc delikatną aluzję, że jego finanse zachwiane są właśnie dlatego, iż od czasu Erfurtu ciąży na nim gniew Napoleona. Aleksan-

der odpowiedział uprzejmą co do formy, lecz zjadliwą w swej treści odmową. Car, niestety, nie może i nie chce mu dać pieniędzy, a to dlatego, by nie narażać księcia Talleyranda na podejrzenia i by go przez to nie skompromitować. Talleyrand godnie wyczekał pewien czas, następnie zaczął zabiegać przez hrabiego Nesselrode o licencje na handel z Rosją i inne skromniejsze podarki.

Lecz oto rozległy się grzmoty, na razie jeszcze głucho, i błyskać się zaczęło od dalekich piorunów. Już od drugiej połowy 1810 roku chłody z każdym miesiącem coraz wyraźniej stosunki między tyłzyckimi sprzymierzeńcami. Cesarz francuski czuł się głęboko dotknięty grudniowym rozporządzeniem zawierającym nową taryfę rosyjską, która zdaniem Napoleona w rażący sposób gwałciła ekonomiczne interesy Francji, a przede wszystkim godziła w jej eksport. Nowe podboje cesarza w północnych Niemczech stawały się dość przejrzystą pogróżką pod adresem Rosji. Do Petersburga dochodziły złowieszcze pogłoski.

W grudniu 1810 roku Talleyrand dostarczył rosyjskim dyplomatom szeregu tajnych informacji, które potwierdzały najgorsze obawy petersburskiego dworu. Mianowicie, że Napoleon zamierza przywrócić niepodległość Polski; że odbierze Prusom Śląsk i odda królowi saskiemu, by wynagrodzić mu utratę Księstwa Warszawskiego; że Austrii zabierze (również na korzyść Polski) Galicję, by zaś wynagrodzić za to swego wasala (i teścia), cesarza austriackiego, odda Austrii miasta Triest i Fiume, jak również Dalmację „i całe wybrzeże”. Jednocześnie z opracowaniem tych planów nastąpi nowy pobór rekruta (w ilości 120 000 ludzi). „Takie oto mają być projekty cesarza w Fontainebleau... jak mnie o nich informuje kuzyn Henri” — pisze 5/17 grudnia 1810 r. Nesselrode do Petersburga. I nadal w każdym jego raporcie dźwięczy nuta, że „kuzyn Henri” uporczywie doradza Rosji jak naj-

szybciej zawrzeć pokój z Turcją¹⁰. Przestrzega on, by nie pokładać zbyt wielkich nadziei w trudnościach, jakie Napoleon napotyka w Hiszpanii, gdyż według jego oceny cesarz ma ogromne zasoby. Nie wierzy on również w jakąkolwiek możliwość zawarcia pokoju między Napoleonem i Anglią.

Na coraz częstsze skargi Napoleona rozdrażnionego z powodu niedochowania przez Rosję klauzul blokady kontynentalnej doradza Talleyrand Rosjanom, by wykazywali choć pozorne skruchę, a jednocześnie po cichu nadal gwałcili tę blokadę. „W sprawie produktów kolonialnych Henri doradza robić wiele szumu, lecz w istocie działać niewiele. Na ogół zaś odpłacać zdecydowanym fałszem (*payer d'une grande fausseté*) tym, którzy płacą nam tą samą monetą” . Jednocześnie informuje Talleyrand hrabiego Nesselrode o tajnych poczynaniach cesarza francuskiego, mających na celu przeciwdziałanie w zawarciu pokoju między Rosją a Turcją.

Gdy postanowiono, a w następstwie rozpoczęto w Bukareszcie długie i żmudne pertraktacje rosyjsko-tureckie, Talleyrand, prowadząc potrójną grę, z jednej strony doradza nadal Rosji, by jak najszybciej zgodziła się na pokój i uzyskała przez to możliwość przeciwstawienia się wszystkimi siłami Napoleonowi, z drugiej zaś strony daje Rosjanom równie „przyjacielską” radę: nie upierać się przy żądaniu ustąpienia przez Turcję Mołdawii i Wołoszczyzny na rzecz Rosji, natomiast „zgodzić się” na ustąpienie tych dwóch prowincji... na rzecz Austrii, która przecież wcale z Turcją nie walczyła. Co Rosja otrzyma w zamian? Otóż właśnie — przyjaźń Austrii dla przyszłej pomyślnej walki obydwóch cesarstw przeciwko Napoleono-

w i . Z niezmaconym spokojem Karol Wasiliewicz Nesselrode przyjmuje powaznie wszystkie te przyjacielskie rady „kuzyna Henri" i na mysl mu nie przyjdzie, ze „kuzyn" sprzedajacy mu Napoleona jednoczesnie sprzedaje jego samego Metternichowi i w ten sposob podwaja swoje zarobki. Co do jednej tylko rzeczy mowi Talleyrand bezwzeglada prawde: uprzedza stale, ze Napoleon usilnie gotuje sie do najazdu na Rosje. Juz w marcu 1811 roku przepowiada Talleyrand poczatek wojny w najblizszej przyszlosci i nawet precyzuje date: zdaniem jego wojna zacznie sie dokladnie za rok, 1 kwietnia 1812 roku. Doradza, by juz obecnie, w marcu 1811 roku, wszczac odpowiednie tajne rozmowy z Anglią. Ten gwałtowny wybuch sympatii Talleyranda do Anglii zbiega sie z nastepujacymi wypadkami: Napoleon zaczal (w celu polepszenia finansow Francji) udzielac pewnym osobom licencji na handel z Anglią, a Talleyrand doradza Rosjanom, by robili to samo, z chwila gdy juz sam Napoleon odstepuje od zasad blokady kontynentalnej. Za swa mądra rade „kuzyn Henri" pragnalby uzyskac dla siebie samego tego rodzaju licencje, i to jak najprędzej, gdyz „byloby dla niego istotne, by mogl ją otrzymac przed wszystkimi innymi" .

Przygotowania wojenne ida juz we Francji cala para. Rowniez w Rosji przedsiwzięto odpowiednie kroki.

Informacje i rady Talleyranda znów nabieraja wartosci dla jego rosyjskich korespondentów. Lecz w tym okresie, w 1811 i w pierwszych miesiacach 1812 roku, dzialal juz w Paryżu pułkownik Aleksander Iwanowicz Czernyszew, który doskonale zorganizowal wojskowa siec szpiegowska. Uzyskiwal on wiadomosci, o jakich Talleyrand nawet snic nie mogl.

Talleyrand doradzał Rosji, by w żadnym razie nie rozpoczynała wojny pierwsza, lecz wciąż uporczywie wskazywał na konieczność wzmocnienia obrony, w każdym bowiem wypadku wybuch wojny jest nieunikniony na wiosnę 1812 roku. Do tego czasu można sobie pozwolić na najszerszy handel, nie licząc się z blokadą kontynentalną. „Takie jest zdanie naszego radcy prawnego” — pisze Nesselrode .

W końcu marca 1812 roku poseł rosyjski książę Kurakin, całkowicie już przekonany, że wojna Napoleona z Rosją jest nieunikniona, pisze do hrabiego Rumiancewa o niepokojących pogłoskach, jakoby dymisjonowany miał być minister spraw zagranicznych, pokojowo nastrojony książę Bassano, a na jego miejsce przewiduje się Talleyranda, księcia Benewentu, który w każdym razie będzie towarzyszył cesarzowi w przyszłej kampanii. „Co się tyczy księcia Benewentu, to nie zważając na wdzięczność wyrażaną w stosunku do naszego Najjaśniejszego Pana, do której jest obowiązany za opiekę okazywaną mu przez Jego Cesarską Mość, szczególnie przy okazji małżeństwa jego siostrzeńca, i pomimo jego zamiłowania do pokoju, które wielekroć wyrażał publicznie — jest on wszakże przede wszystkim dworzaniem i dąży do ponownego pozyskania łaski Napoleona; trudno więc liczyć na to, że będzie stanowczo i wytrwale bronić swych opinii i że się im nie sprzeniewierzy, by podporządkować się poglądom cesarza”. Taki zwrot w postępowaniu Talleyranda jest zdaniem Kurakina możliwy tym bardziej, że książę znalazł się właśnie w trudnej sytuacji, sprzedał dom, zwracał się już do cesarza Napoleona o pomoc i wykorzysta okazję, by choć cokolwiek otrzymać. Zwłaszcza — dodaje Kurakin — że Talleyrand nie może już obecnie mieć nadziei „na nowy, równie obfity plon” (*...nouvelles récoltes aussi abondantes*), jak ten, który pracowicie zbierał poprzednio

z okazji różnych odszkodowań i kompensacji w krajach niemieckich.

W tym czasie datki pieniężne od Rosji widocznie już się urwały. Na żadną nominację w chwili tej Talleyrand oczywiście nie liczył i liczyć nie mógł. Czy to on sam rozpowszechniał te pogłoski, wskazując z jednej strony, że miał znaczne wydatki, z drugiej, że może być pożyteczny carowi — trudno ustalić. W każdym razie wiadomość, że cesarz zabiera Talleyranda ze sobą, została zupełnie inaczej oceniona.

Ocenę tę znajdujemy w późniejszym raporcie księcia Aleksandra Kurakina do kanclerza hrabiego Rumiancewa z dn. 23 marca (4 kwietnia) 1812 roku. Kurakin cofa swe poprzednie wyjaśnienie i daje inne na podstawie nowych i zdaniem jego zupełnie pewnych danych. Okazuje się, że Talleyrand wcale nie powrócił do łaski, lecz odwrotnie, Napoleon chce go zabrać ze sobą tylko po to, „aby osobiście pilnować człowieka, któremu nie ufa i którego uważa za zbyt niebezpiecznego, aby go można było pozostawić we Francji w chwili, gdy jego samego tam nie będzie, i to w tak krytycznym okresie”. Kurakin mówi o niespokojnych nastrojach i napiętej sytuacji, o niezadowoleniu panującym w cesarstwie Napoleona i dodaje: „Nikogo we Francji nie powinien on się tak obawiać, jak Talleyranda i Fouché. Obydwaj są z niego niezadowoleni, obydwaj doskonale są poinformowani o rzeczywistej sytuacji Francji i obydwaj utrzymują stosunki z partiami, które po cichu wicherzą... Tym bardziej nie chce on pozostawić ich obydwóch razem podczas swej nieobecności, zwłaszcza że od 1809 roku panuje między nimi całkowita zgoda...” Jednocześnie Kurakin potwierdza kategorycznie wiarogodność pogłoski, że Napoleon zdecydował się zabrać Talleyranda ze sobą na wyprawę, pomimo że sam ksiączę Talleyrand ogromnie

jest z tego niezadowolony, a nawet oświadczył, że podczas nieobecności Napoleona nie będzie zamieszkiwał w Paryżu. Lecz i ta próba rozwiązania sprawy w ten sposób, by pozostawiono go w spokoju i nie ciągnięto na wyprawę rosyjską, okazała się bezskuteczna .

W ostateczności jednak Talleyrandowi udało się wymigać: w nawale spraw Napoleon zapomniał o nim i pozostawił go we Francji. Niejeden raz wspominał później cesarz o tym swoim roztrągnięciu...

W Rosji aż do samego wybuchu wojny z dużym zainteresowaniem zadawano sobie pytanie, czy Talleyrand pojedzie z Napoleonem? Czy rzeczywiście ma cesarz zamiar mianować go swym pełnomocnikiem w Warszawie? Dopiero w przededniu wyjazdu Napoleona nastąpiło rozstrzygnięcie tej kwestii. "W sprawie nominacji księcia Benewentu zaszła bardzo dla niego przykra i nieoczekiwana zmiana; wygląda na to, że winien jest temu książe Bassano, dla którego przebywanie Talleyranda przy cesarzu byłoby zbyt uciążliwe. Żegnając się z księciem Benewentu Napoleon nie dał mu żadnego polecenia co do wyjazdu z nim razem do Warszawy, gdzie, jak mówiono, Talleyrand miał zreorganizować i objąć tymczasowe rządy w Polsce w projektowanej dla niej nowej postaci. Dlatego też Talleyrand, nie otrzymawszy od swego cesarza wyraźnego rozkazu, musiał obecnie pozostać tutaj i zapomnieć o ważnym zadaniu, do którego dzięki swemu doświadczeniu tak dobrze się nadawał. Ludzie, którzy widują go często, twierdzą, że zmiana w ustosunkowaniu się cesarza do niego napała go wielkim smutkiem i że chcąc się choć trochę od tego oderwać, wybiera się on wkrótce do wód leczniczych... Prosiłbym pana hrabiego, by zechciał wiadomość tę jak najszybciej przekazać

kanclerzowi, który spodziewa się czegoś całkiem odmiennego"

Tak donosił Kurakin, który otrzymał już był swój paszport i opuścił Paryż.

IX

Zbliżał się czas, kiedy przepowiednie Talleyranda miały się ziścić; Napoleon poszedł na Moskwę. Nadeszły ciężkie czasy — mówił Talleyrand jeszcze wtedy, gdy w Paryżu oczekiwano nowych biuletynów o zwycięstwach, do jakich się przyzwyczajono. Gdy rozpoczął się pogrom wojsk francuskich i katastrofalny odwrót wielkiej armii spod Moskwy, Talleyrand zaczął się wypowiadać bardziej odważnie (co prawda wobec najbliższych mu osób). „Oto chwila, by obalić go” — powiedział już pod sam koniec 1812 roku do markizy Coigny. Nie było jednak możliwości obalenia Napoleona przez wewnętrzną rewolucję, i to bynajmniej nie wskutek doskonałości aparatu policyjnego, który stworzony został przez Fouchégo i stał się następnie niedościgłym wzorem policji politycznych w państwach ucisku klasowego, poczynając od korpusu żandarmerii Mikołaja I, a kończąc na niemieckiej gestapo.

Siła Napoleona polegała na tym, że jeszcze w 1813 roku wielkie i materialnie potężne klasy społeczne uważały, iż jedynie on może rządzić Francją. Chłopi po dawnemu obawiali się, że w wypadku powrotu Bourbonów odebrana im będzie ziemia uzyskana podczas rewolucji i że powróci ustrój feudalny; wśród burżuazji istniały wahania; niezadowolenie rosło głównie wśród burżuazji handlowej, wśród armatorów, wśród kupców miast portowych zmarłych za czasów Napoleona; natomiast przemysłowcy widzieli w Bona-

partem wybawcę od angielskiej konkurencji i zdobywcę nowych rynków, chociaż przyznać należy, że brak surowców pochodzenia kolonialnego (specjalnie bawełny i barwników) ich również od dawna zaczynał już drażnić. Wiele jeszcze innych czynników podtrzymywało władzę Napoleona. A więc armia, żołnierze, szczególnie dawniej zaciężni, oraz korpus podoficerski. Na ogół byli oni mu jeszcze bardziej oddani niż korpus oficerski i generalicja. W tych warunkach miał Napoleon w latach 1813—1814 dostateczną jeszcze siłę, by tworzyć armię za armią i wymierzając sprzymierzonym potężne ciosy pod Lützen, pod Bautzen, pod Weissenfels, pod Dreznem, powoli wycofywać się z Niemiec i zmusić sprzymierzonych do dwukrotnego zaproponowania mu honorowego pokoju. Widział wobec tego Talleyrand, że byłoby jeszcze niebezpiecznie spieszyć się z odkrywaniem kart.

5 grudnia 1812 roku o godzinie 10 wieczorem Napoleon w asyście Caulaincourta, polskiego oficera Wąsowicza, mameluka Roustana i dwóch lansjerów wsiadł w miasteczku Smorgonie do sanek i rozpoczął swą daleką podróż. W pamiętnikach swych prawdomówny Caulaincourt poświęca wiele miejsca rozmowom prowadzonym z cesarzem „w sankach” i cały obszerny rozdział (142 stronicie ścisłego druku) nowego wydania jego pamiętników (t. II, str. 305—342) tak też jest zatytułowany: „W sankach z cesarzem”. Napoleon zawsze czuł sympatię do Caulaincourta i cenił w nim jeśli nie rozum, to charakter. Ludzie uczciwi i oddani trafiali się na dworze Napoleona wyjątkowo rzadko. W tej tak długiej podróży, pod wpływem potwornej katastrofy w Rosji, której był bezpośrednim sprawcą, Napoleon stał się szczerzy i w rozmowie prowadzonej w cztery oczy wypowiadał się o wielu sprawach, co do których w normalnych warunkach zachowywał milczenie.

W rozmowach tych interesują nas jedynie wypowiedzi odnoszące się bezpośrednio do Talleyranda. Przede wszystkim jasne jest, że Napoleon

nie miał najmniejszego pojęcia o zdradzie stanu Talleyranda rozpoczętej w Erfurcie w roku 1808 i trwającej do samego upadku Cesarstwa. Cesarz np. powiedział do Caulaincourta: „Zupełnie nie miałem racji, że gniewałem się na Talleyranda”. Wyrażał także żal, że nie mianował swym przedstawicielem w Warszawie Talleyranda, który, jego zdaniem, potrafiłby o wiele lepiej wykorzystać Polaków aniżeli Pradt. „To pański przyjaciel — powiedział on do mnie [Caulaincourta] i następnie dodał — jest to intrygant i człowiek pozbawiony wszelkiej moralności, lecz posiada wielki rozum i był bezwzględnie najzdolniejszy ze wszystkich ministrów, jakich miałem. Gniewałem się na niego przez długi czas, lecz już nie mam do niego żalu. Byłby i obecnie ministrem, gdyby zechciał”. Cesarz skarżył się, że rozdrażniły go ponownie intrygi księżnej Bassano i „pieniężne intrygi” (sic!) samego Talleyranda, tak że o mało nie aresztował księcia . Przyznał wobec Caulaincourta, że choć Talleyrand nie podjudzał go przeciwko Hiszpanii, w czasie gdy Napoleon napadł na ten kraj, to jednak był całkowicie przekonany, że jedynie „częściowa okupacja” Hiszpanii i Portugalii przez Francuzów mogłaby zmusić gabinet londyński do zawarcia pokoju. Co więcej, właśnie Talleyrand był „duszą pertraktacji” prowadzonych dla osiągnięcia tego celu w powyższy sposób . W sprawie rozstrzelania księcia d'Enghien Napoleon, jak wiadomo, nigdy nie okazywał skruchy. Lecz tu w obecności Caulaincourta, przyznał, że byłby ułaskawił księcia, gdyby nie pośpieszono się z rozstrzelaniem go w nocy, niezwłocznie po wyroku. „Berthier i Cambacérés wahali się, czy aresztować go [księcia].. Talleyrand nalegał na aresztowanie, zarówno jak Murat i Fouché. Napoleon

nie gniewa się już za to na Talleyranda i nie wyraża mu ponownie tego gniewnego zarzutu, jaki postawił ongiś podczas słynnej sceny w Tuilerych 28 stycznia 1809 roku. Gdy zaś przejeżdżali przez Warszawę, cesarz raz jeszcze z przykrością wspominał, że na skutek „głupich intryg” nie wysłał Talleyranda do Polski. Napoleon był do tego stopnia wprowadzony w błąd pochlebstwami „niewinnego” Talleyranda, który jakoby „przebaczył” cesarzowi wszystkie obelgi, iż wyjawiał Caulaincourtowi następujący, z punktu widzenia psychologicznego zdumiewający fakt: gdy cesarz podczas swych spotkań z Aleksandrem w Erfurcie zauważył, że ten ostatni zmienił się w sposób całkiem niezrozumiały, przypisał to niedyskrecjom i niewłaściwym wypowiedziom marszałka Lannes, najbardziej mu wiernego i do głębi duszy przywiązanego doń żołnierza. Ani Napoleon, ani przysłuchujący się mu Caulaincourt nie mieli najmniejszego pojęcia, kto w Erfurcie był rzeczywistym zdrajcą. Tym zaślepieniem tłumaczy się wiele rzeczy w następnych wypadkach, gdy Talleyrand mógł w decydującej chwili zadać Napoleonowi ciężki cios występując już zupełnie otwarcie przeciwko ginącemu cesarzowi.

X

Nadeszła zima 1813—1814 r. Wrogowie zbliżali się do Renu. Napoleon pracował dniami i nocami nad stworzeniem nowej wielkiej armii, z którą gotował się do rozpaczliwej obrony kraju. Pewnego wieczoru w okresie Bożego Narodzenia Charles Rémusat zastał gości w salonie swej matki, a wśród nich Talleyranda. Mówił jedynie Talleyrand, wszyscy inni milczeli. Oświadczył on wręcz, że Napoleon ginie. „Największym, nie do naprawienia złem jest jego osamotnienie” — mówił Tal-

leyrand. „Jest on samotny, jak tego chciał, samotny w całej Europie, ale to jeszcze nic wobec tego, że i we Francji jest osamotniony”. Czym jest namiętność i siła bez rozsądku, gdy siła zanika, a namiętność pozostaje? Cesarz zawieszony jest w próżni: „Nie napotyka sprzeciwu, lecz nie ma też oparcia. „Wielkim błędem władzy we Francji jest brak zaufania do ludzi potrzebnych... Cesarz słucha tylko tych, którzy odpowiadając mu powtarzają to, co on powiedział. Duroc widział zło, Berthier również widział coś niecoś. Jednak Duroc nie miał dość rozumu, by wyrazić to, co myśli. To samo można powiedzieć o Berthierze; Daru — to wół roboczy, a Cambacérésowi nie wystarcza odwagi”, Ostateczna konkluzja tego poufnego przemówienia Talleyranda w kole przyjaciół sprowadzała się do tego, że ani cesarz nie może już niczego oczekiwać od swego otoczenia, ani też poddani nie mają już na co liczyć ze strony swego cesarza .

Przybywszy na krótko do Paryża po klęsce pod Lipskiem, Napoleon podczas rannej audiencji w pałacu St. Cloud 10 listopada 1813 roku spotrzął wśród innych dworzan Talleyranda. „Co pan tu robi?” — zniecierpliwiony zwrócił się ze złością do niego i podrażnionym tonem wypowiedział między innymi takie zdanie: „Miej się pan na baczności, nic pan nie wygra walcząc przeciwko mojej potędze! Oświadczam panu, że gdybym ciężko zachorował, to pan umrze przede mną!” Była to groźba rozstrzelania. Jednak w tym samym czasie, w końcu 1813 roku, Napoleon nieoczekiwanie zaproponował Talleyrandowi ponowne objęcie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ten jednak odmówił. Napoleon, choć pogardzał Talleyrandem, nienawidził go i był obecnie prawie pewien jego zdrady, przypuszczał mimo wszystko, że księżę zawdzięcza zbyt wiele jego łaskom, że bałby się to

wszystko stracić w razie upadku Cesarstwa i że ma zbyt ważne powody, by obawiać się powrotu Bourbonów.

Nie wiedział on, że po Lipsku Talleyrand ostentacyjnie utwierdził się w przekonaniu, iż Napoleon będzie jednak obalony, i to nie przez rewolucję, lecz pod naciskiem sojuszniczych wojsk europejskich, przez „powstanie w Europie” przeciwko jego panowaniu, a nie przez powstanie we Francji. Nie wiedział cesarz, że i Bourbonowie zapomną o wszystkim i chętnie wybaczą Talleyrandowi jego dawne, a nawet przyszłe zdrady w stosunku do nich samych, o ile tylko popełni on obecnie nową zdradę, tym razem na ich korzyść. W styczniu 1814 r., nie wiedząc wciąż jeszcze o tym wszystkim, w chwili gdy walki przeniosły się na francuskie terytorium, gdy Napoleon przygotowywał się do zadania sojusznikom szeregu nowych ciosów, a oni za radą Metternicha zaproponowali mu pertraktacje pokojowe, cesarz w obecności ministrów ponownie chciał powierzyć Talleyrandowi prowadzenie tych pertraktacji. Lecz Talleyrand znów odmówił. Napoleon wpadł we wściekłość i potrząsając pięściami zaczął następować na Talleyranda, schwycił go za ramię, podniósł pięść... Książę cofnąwszy się uniknął ciosu. Odrażająca ta scena miała miejsce 16 stycznia 1814 roku.

Dlaczego tak bardzo chciał Napoleon, by właśnie Talleyrand, któremu obecnie już całkiem wyraźnie nie ufał, pojechał na ów kongres pokojowy rozpoczynający się 4 lutego 1814 r. w Chatillon? Wiadomo, że nawet wierny Caulaincourt, książę Vincenzy, odkomenderowany do Chatillon, musiał doświadczyć na sobie gniewu Napoleona; na przekazywane przez Caulaincourta z Chatillon propozycje sprzymierzeńców cesarz odpowiadał: „Niech pan przestanie mi ubliżać”. Bo Napoleon wcale nie życzył sobie pokoju w tej chwili, a kongres w Chatillon (który do niczego nie doprowadził i doprowadzić nie mógł) potrzebny mu był raczej dla zwłoki, dla wygrania na czasie, tj. dla wzglę-

dów czysto taktycznych. W tych warunkach byłby Talleyrand oczywiście o wiele odpowiedniejszy od Caulaincourta; wysłanie bowiem Talleyranda mogło w dużo większym stopniu wprowadzić w błąd sojuszników i dłużej utrzymywać ich w przekonaniu, że Napoleon na serio chce pokoju.

Cesarz wyjechał do armii. Talleyrand pozostał w Paryżu. Tu właśnie przeżył on w lutym i w początku marca krytyczne chwile. W momencie gdy tego już nikt nie oczekiwał, zaczęła się seria nowych sukcesów Napoleona. Nieledwie co trzeci dzień przychodziły do Paryża wiadomości o nowych zwycięstwach i Talleyranda ogarniał raz po raz tak wielki niepokój, że pisał wówczas do żony swego siostrzeńca (i swej kochanki), księżnej Dino, oraz do jej matki, księżnej Kurlandii, listy, które podobne były raczej do testamentów. W razie zupełnego i ostatecznego zwycięstwa mógł Napoleon dowiedzieć się o tajnych stosunkach Talleyranda z sojusznikami i w chwili gniewu po prostu kazać go rozstrzelać. Uratować go mogła jedynie porażka Napoleona. I oto razem z Vitrolles'em (i za jego pośrednictwem) Talleyrand przyspiesza pochód sojuszników na Paryż, powiadamia ich o braku dostatecznych sił do stawienia oporu, daje znać Bourbonom przez zaufane osoby, że zamierza im właśnie sprzyjać; wiadomo było bowiem ogólnie, że wśród sojuszników panuje tendencja osadzenia na tronie młodziutkiego syna Napoleona, króla rzymskiego — toteż Bourbonowie byli bardzo zaniepokojeni.

Lecz oto walki toczą się już pod samymi murami Paryża. Cesarzowa Maria Ludwika wraz z małym synkiem, następcą tronu cesarskiego, wyjeżdża ze stolicy w głąb kraju. Talleyrand jest w bardzo trudnej sytuacji: czy jechać w ślad za cesarzową, jak to nakazał Napoleon wszystkim wyższym dygnitarzom, czy też pozostać w Paryżu? Jeżeli nie posłucha cesarza i pozostanie w Paryżu, to w razie zwycięstwa Napoleona lub nawet w razie jego abdykacji i wstąpienia na tron króla

rzymskiego (Napoleona II) takie wiarołomne zachowanie się może Talleyranda drogo kosztować. Z drugiej zaś strony, jeżeli zwyciężą i wkroczą do Paryża sprzymierzeńcy, to szanse Bourbonów niebawem wzrosną; w tym więc wypadku, pozostając w stolicy, mógłby Talleyrand odegrać aktywną rolę i stać się naturalnym ogniwem między sojusznikami i Bourbonami z jednej strony oraz między senatem i pozostałymi urzędami Cesarstwa — z drugiej; mógłby przy swej wrodzonej zręczności wytworzyć takie warunki, by wyglądało na to, iż Francja przez usta swego senatu pozbawia tronu dynastję Bonapartych i powołuje nań dynastję Bourbonów. Wiedział on dobrze, że tego rodzaju pozory są bardzo potrzebne sojusznikom, a w większym jeszcze stopniu Bourbonom, aby już od pierwszej chwili ukryć pod jakimś bardziej lub mniej przyzwoitym listkiem figowym ten tak dotkliwy i bolesny dla narodowej miłości własnej Francuzów fakt przybycia przyszłego króla Ludwika XVIII „w furgonach sprzymierzeńców”. O tych „furgonach”, które w następstwie odegrały taką rolę przy agitacji przeciwko Bourbonom, zaczęto już właśnie wtedy mówić. Mógł więc Talleyrand liczyć na to, iż będzie mu przebaczona cała jego przeszłość, nawet zabójstwo księcia d'Enghien, o ile obecnie potrafi ułatwić i ująć w formę prawną objęcie tronu przez Bourbonów.

Należy wobec tego koniecznie pozostać w Paryżu... Ale jak to zrobić? Sprzeczności, które miały w tym okresie duszą Talleyranda, przedstawiają biografowie w autentycznych jego słowach: „Jakby to zrobić, by jednocześnie wyjechać i nie wyjechać z Paryża?” Na pierwszy rzut oka zagadnienie sprzeczne ze wszelkimi elementarnymi prawami fizyki i absolutnie nie do rozwiązania. Lecz księcia Talleyranda nie mogły odstraszyć żadne trudności. Właśnie w najcięższych chwilach swego życia przejawiał on największą pomysłowość. Zaczął więc od tego, że z jedną ze swych starych przyjaciółek, panią Rémusat

(a przyjaciółki miał w pogotowiu na wszelkie okazyje), pojechał do prefekta policji Pasquier i dał mu do zrozumienia (przy czym na wszelki wypadek ustąpił głosu pani Rémusat, a sam ograniczył się do nieokreślonych wykrzykników), że byłoby pożądane, aby przy wyjeździe z miasta „lud” nie chciał go puścić i „siłą” zmusił do powrotu do domu. Wobec małej domyślności prefekta pani Rémusat odpowiedziała mu jeszcze, że wskazane byłoby dać polecenie agentom, by z lekka podbuntowali „lud” do tego przymusowego zawrócenia Talleyranda z drogi. W ostatecznym wyniku umówiono się, że nie „lud”, lecz gwardia narodowa zatrzyma Talleyranda i zawróci go do domu. Ważne było zyskać na czasie, w chwili gdy wszystko się decydowało.

Niezwłocznie po tej zmowie wyruszył Talleyrand ze swego pałacu w otwartej karecie wraz z bagażem, sekretarzami i służbą, by uczciwie wypełnić wiernopoddańczy obowiązek i zgodnie z rozkazem jego cesarskiej mości Napoleona przyłączyć się do przebywającej w Blois cesarzowej oraz następcy cesarskiego tronu, małego króla rzymskiego. Lecz oto ku wielkiemu żalowi Talleyranda, na oczach wszystkich gwardia narodowa przeszkodziła mu w wykonaniu obowiązku wobec Napoleona, gdyż na skutek jakiegoś nieporozumienia karetą jego została zatrzymana na rogatce Passy i zawrócona do miasta! Talleyrand wysłał niezwłocznie raport o tym przykrym incydencie do wielkiego kanclerza Cambacérès. Zasekurowawszy się w taki sposób przed gniewem Napoleona, Talleyrand przystąpił niezwłocznie do pracy nad restauracją Bourbonów. Za pośrednictwem swych emisariuszy namawiał wahającego się marszałka Marmonta, by zaprzestał walki ze sprzymierzeńcami, którzy podeszli pod miasto, i by oddał stolicę wycofując swój korpus. Napoleon spieszył z resztkami armii w kierunku miasta. Lecz 31 marca, w pałacu Fontainebleau, dowiedział się o zdradzie Talleyranda ...

Jeszcze przed wejściem i zajęciem Paryża przez wojska sojusznicze Aleksander I wysłał do Talleyranda hrabiego Nesselrode i wówczas we dwóch zredagowali oni ową znaną, podpisaną przez Aleksandra deklarację, datowaną 31 marca 1814 roku, która zawierała oświadczenie, że sprzymierzeńcy nie będą prowadzić pertraktacji ani z Napoleonem, ani z jego rodziną, lecz uznają i gwarantują narodowi francuskiemu taki ustrój, jaki on sam sobie nada. Dodatkowo zaznaczone było, że sojusznicy proponują senatowi mianowanie tymczasowego rządu.

Talleyrand i restauracja Bourbonów.
Pokój paryski 30 maja 1814 r.

I

Po swym triumfalnym wjeździe do Paryża car Aleksander i król pruski przede wszystkim odwiedzili Talleyranda w jego pałacu. Talleyrand usiłował wówczas przekonać obu monarchów, że to właśnie Bourbonów, właśnie Ludwika XVIII życzy sobie Francja. Aleksander jednak wahał się. Sądząc z niektórych danych, a nawet wprost z jego wypowiedzi, wolałby on widzieć na francuskim tronie trzyletniego syna Napoleona, króla rzymskiego, z jego matką Marią Ludwiką jako regentką. Do Ludwika XVIII żywił car rosyjski szczególną antypatię. „W jaki sposób mógłbym się przekonać, że Francja życzy sobie dynastii Bourbonów?” — z niedowierzaniem pytał Talleyranda. Lecz ten bez wahania odpowiedział: „Za pośrednictwem uchwały, Wasza Cesarska Mość, uchwały, którą podejmuję się przeprowadzić w senacie i której następstwa będzie można niezwłocznie stwierdzić”. — „Czy jest pan tego pewien?” — „Odpowiadam za to przed Waszą Cesarską Mością”.

Nazajutrz Talleyrand zwołał senat. Instytucja ta nie odgrywała przy Napoleonie najmniejszej nawet roli i członkowie jej zadowalali się stanowiskiem i obowiązkami posłusznych, sumiennych kodyfikatorów oraz wykonawców woli cesarza. Przyzwyczajeni byli do zginania karku przed siłą, do bezwzględного posłuszeństwa wobec rozkazów. Jeżeli na wezwanie Talleyranda stawilo się zaledwie siedemdziesięciu czterech senatorów na

ogólną liczbę stu czterdziestu jeden, stało się to przede wszystkim dlatego, że nie oswoili się jeszcze z myślą o upadku Cesarstwa, nie pozbyli się strachu przed Napoleonem. Mając za sobą wszystkie armie sojusznicze, jakie znajdowały się w stolicy i na terenie Francji, Talleyrand, nie siląc się nawet na krasomówstwo, skłonił senatorów do powzięcia uchwał zgodnych z jego intencjami. Senat uchwalił utworzenie „rządu tymczasowego” złożonego z pięciu osób, których zadaniem było załatwianie spraw bieżących oraz opracowanie projektu nowej konstytucji; na czele tego rządu postawiono właśnie Talleyranda. Pozostali członkowie — to bezbarwne osobistości spośród rojalistów, figuranci drugiej kategorii.

Działo się to dnia 1 kwietnia, w którym to dniu doszło również do ciekawego spotkania między Talleyrandem a wysłannikiem Bourbonów, hrabią Semaillé. Talleyrand w roli centralnej osobistości, jako główny twórca dokonywanej się restauracji, z wyszukaną uprzejmością przyjął owego Semaillé, będącego osobistym przyjacielem Karola d'Artois, brata przyszłego króla Ludwika XVIII. Talleyrand przede wszystkim radził nakłonić Bourbonów, by przyjęli trójbarwny sztandar, na co niezwłocznie otrzymał pełną oburzenia odmowę. Bourbonowie życzą sobie powrócić pod swym białym sztandarem, symbolem starego reżymu. Zarówno rada, jak i odmowa były jednakoż znamienne.

Dzięki swemu wielkiemu doświadczeniu Talleyrand zdawał sobie jasno sprawę, że dla Francji Bourbonowie są zupełnie obcymi, nieznanymi ludźmi, o których nowe pokolenia na ogół nic nie wiedzą, że chłopstwo ich nie lubi i z góry boi się ich, a dawny biały sztandar będzie w oczach chłopów jak gdyby symbolem powrotu do feudalnych przeżytków zmiecionych przez rewolucję. Rozumiał też, że dla żołnierzy biały

Według innych danych stawilo się w rzeczywistości nie 74, lecz 63 senatorów.

sztandar był chorągwią znieawidzoną, którą widzieli dotychczas jedynie w rękę emigrantów walczących przeciwko ojczyźnie, w rękę białych zdrajców; — ich to właśnie bili ci żołnierze jeszcze w latach rewolucji. Trójbarwny zaś sztandar był sztandarem zwycięskiej rewolucji i zwycięskiego Napoleona. Talleyrand rozumiał, że przez zamianę trójbarwnego sztandaru na biały Bourbonowie działają na swą własną zgubę, że w rzeczy samej niczego się nie nauczyli. Lecz spór na ten temat był bezprzedmiotowy. Warto przypomnieć, że nie tylko w r. 1814, lecz i w latach 1871—1873, po dwóch rewolucjach i Komunie, Bourbonowie w osobie hrabiego Chambord odrzucili trójbarwny sztandar, odrzucając tym samym ponownie proponowany im tron Francji.

Sytuacja komplikowała się wskutek tego, że Aleksander nie tylko nie znosił Bourbonów, lecz wszelkimi sposobami starał się uniemożliwić powrót na tron dawnej dynastii. Był on przekonany, że Bourbonów w żaden sposób nie uda się utrzymać na francuskim tronie, nawet gdyby dostali się nań przy pomocy obcych armii. Talleyrand wiedział, do jakiej rozpacz doprowadził Aleksander agenta Bourbonów, barona de Vitrolles, który na dwa tygodnie przed wjazdem cesarza do Paryża gorąco go błagał, by zgodził się na restaurację Bourbonów. „Gdyby pan ich [Bourbonów] znał — powiedział wówczas Aleksander do Vitrolles'a z wyrazem niezadowolenia i żalu — doszedłby pan do przekonania, że ciężar takiej korony jest dla nich zbyt wielki... Długo zastanawialiśmy się nad tym, kto byłby odpowiedni dla Francji w razie upadku Napoleona. Był czas, gdy myśleliśmy o Bernadotte'em. Jego wpływy w armii, sympatie, które winien posiadać wśród zwolenników rewolucji, zatrzymały na nim przez chwilę naszą uwagę. W następstwie jednak pewne powody zmusiły nas do zmiany poglądów. Mówiono również o Eugeniuszu Beauharnais; jest on szanowany we Francji, lubiany przez armię, wywodzi się ze

szlachty. Możliwe, że miałyby bardzo wielu zwolenników. A może rozsądnie zorganizowana republika bardziej odpowiadałaby mentalności Francuzów? Niemożliwe przecież, by pozostały bez śladu idee wolności, które tak długo kiełkowały w waszym kraju! One to właśnie utrudniają ustanowienie bardziej scentralizowanej władzy".

Wysłuchawszy tych słów z ust rosyjskiego autokraty, rojalista, legitymista, gorący katolik Vitrolles — osłupiał: „Na jakimż świecie byliśmy, wielki Boże, 17 marca? Car Aleksander, król królów sprzymierzonych dla ratowania całego świata, prawi o rzeczypospolitej!" Vitrolles nazywa Aleksandra dokładnie tak samo, jak nazywano go w Rosji, mówiąc o latach 1814—1815: „wódz nad wodzami, dyktator cesarzy" (Żukowski w „Rocznicy Borodina"); „...gdy znaleźliśmy się w Paryżu, a cesarz rosyjski stał się wodzem cesarzy..." (Puszkina wariant opowiadałych urywków X rozdziału „Eugeniusza Oniegina"). Zauważyć należy, że nazywając Aleksandra „wodzem cesarzy" obecnych w 1814 r. w Paryżu, Puszkina nie ma bynajmniej zamiaru wysławiać cara, którego nie lubił, którego nazywał „arlekinem o zmiennych nawykach", z którego szydził uważając go za „referendarza od spraw zagranicznych". Używając wyrażenia „wódz cesarzy", wielki poeta po prostu stwierdza pewien fakt. Podobnie naoczny świadek i uczestnik wypadków 1814—1815 roku, legitymista francuski Vitrolles, nie mógł znieść Aleksandra Pawłowicza i chociaż nazywa go prawie dosłownie jak Puszkina (*le roi des rois* — król królów), używa tej nazwy nie jako komplementu, lecz z nienawiścią i rozpaczą, że ten wszechpotężny samowładca zaczyna nagle rozprawiać o republice. Vitrolles również stwierdza tylko fakt wszechmocy Aleksandra, czyli to, co wydawało się wówczas wszystkim rzeczą bezsporną. Wielkie zwycięstwo 1812 roku, uporczywa i w ostatecznym wyniku zwycięska walka lat 1813—1814 uczyniły Rosję, owej wiosny

roku 1814, na pewien czas dysponentem losów Francji i Europy kontynentalnej. Vitrolles nie posiadał się ze złości z powodu tego wysoku Aleksandra .

Oczywiście Talleyrand, któremu Vitrolles powtórzył całą scenę, absolutnie nie wierzył w „republikanizm” cara. Jednak zamieszanie wprowadzał już sam fakt, że Aleksander wymieniał kogokolwiek bądź — Bernardotte'a, Eugeniusza Beauharnais, Ludwika Filipa, młodziutkiego króla rzymskiego — syna Napoleona, a nawet republikę, by tylko podkreślić, że chce usunąć Bourbonów. Z politycznych możliwości Aleksandra Talleyrand zdawał sobie wówczas sprawę równie dobrze jak Vitrolles. Należało zmusić „króla królów”, by zmienił swe antybourbońskie nastawienie.

Francja pogodzi się z każdym ustrojem, byleby pozostały nienaruszone zasadnicze osiągnięcia rewolucji burżuazyjnej utrwalone następnie przez burżuazyjne cesarstwo; Francja pogodzi się z usunięciem Napoleona, o ile tylko utrzyma się stworzony przez rewolucję i skodyfikowany przez Napoleona ustrój. Takie oto tendencje były powodem, że w owe krytyczne dni kwietnia 1814 r. wymieniano kolejno to Bernadotte'a, to Ludwika Filipa. Siła Talleyranda polegała na tym, że jego kandydat Ludwik XVIII reprezentował zasadę legitymizmu, posiadał autorytet tradycyjnej monarchii, co w decydujący sposób wpływało na nienawidzących rewolucji monarchów, którzy wkroczyli do Paryża. „Gdy Paryż został wzięty, jedni proponowali na monarchę syna Napoleona, z ustaleniem regencji, drudzy — Bernadotte'a, inni wreszcie — Ludwika Filipa. Lecz Talleyrand odpowiedział: albo Ludwik XVIII, albo Napoleon. To jest zasada, reszta — to intryga” — przypo-

mina w związku z pewnym wydarzeniem Marks w swym liście do Arnolda Ruge.

Talleyrand, który żył intrygami, był tym razem w lepszej sytuacji, gdyż zupełnie logicznie opierał swój program na bardzo mocnej w owej chwili zasadzie, mocnej właśnie w oczach tych, których przede wszystkim miał przekonać. Marks mówi dwukrotnie, i to w różnym czasie i w związku z odmiennymi kwestiami, o stanowisku zajęтым przez Talleyranda, który "od razu zniweczył wszystkie dziecińne nadzieje [Bernadotte'a] i niezwłocznie zawiadomił radę sprzymierzonych monarchów, że «nie ma innego wyboru, jak tylko pomiędzy Bonapartem i Bourbonami — wszystko inne byłoby jedynie intrygą»". Bernadotte nie miał żadnych szans. Natomiast sprawa regencji Marii Ludwiki i osadzenia na tronie małego króla rzymskiego daleko bardziej niepokoiła Talleyranda.

Talleyrand był przekonany, że kandydatura Ludwika XVIII ma szanse powodzenia pod jednym nieodzownym warunkiem: należy uznać za niewzruszalne zasady ustroju społeczno-gospodarczego, stworzone przez burżuazyjną rewolucję i ostatecznie usankcjonowane przez burżuazyjne cesarstwo. Spuścizna po Napoleonie winna pozostać, spadkobiercą jednak powinien być nie jego syn, lecz „legalny monarcha” Ludwik XVIII. Taka była koncepcja Talleyranda na wiosnę 1814 r.

II

Caulaincourt i marszałkowie, którzy wraz z Napoleonem oraz resztkami francuskiej gwardii i armii przebywali w Fontainebleau, podjęli próbę skłonienia sprzymierzeńców, a przede wszystkim Aleksandra, do zapoczątkowania rokowań z Napoleonem.

31 marca Caulaincourt jako oficjalny przedstawiciel cesarza Napoleona zjawił się u Talleyranda, któremu jakoby siłą „przeszkadzono” poprzedniego dnia wyjechać z Paryża. Ponieważ jednak 31 marca wojska sojusznicze zaczęły wkraczać do stolicy, Talleyrand mógł już wtedy zaniechać wszelkiej komedii.

„Spieszyłem do niego — wspomina później Caulaincourt — by zasięgnąć języka (*pour prendre langue*), gdyż właśnie w Talleyrandzie pokładałem całkowicie me nadzieje i obawy, wszyscy bowiem opuścili Paryż po wyjeździe cesarzowej. Mało znaczący ludzie, którzy pozostali, nie zabierali głosu, a zresztą nie mogło z nich być żadnej korzyści... Wniknąć w plany Talleyranda nie było rzeczą łatwą. Przypuszczałem jednak, że ze względu na nasz dawny stosunek zechce wypowiedzieć się szczerze, czy jesteśmy przyjaciółmi, czy też wrogami. Miałem wrażenie, że zdziwił się zobaczywszy mnie. «Cesarz zgubił nas nie zezwalając panu na zawarcie pokoju w Chatillon» — to były jego pierwsze słowa. «Czy można w naszym nieszczęściu liczyć na pana?» — zapytałem go. «Dowie się pan wkrótce, że już dwa dni temu zrobiłem wszystko, by uratować tron, by zatrzymać cesarzową i jej syna, lecz cesarz potajemnie wydaje rozkazy, które niweczą wszystko. Nie dowierza on nikomu, jego list do brata [z rozkazem wyjazdu cesarzowej z Paryża] zepsuł całą sprawę. Wszystko paraliżuje strach, by mu się aby nie sprzeciwić, by mu aby dogodzić. Zgubił siebie i zgubił również Francję. Obecnie już nikt z nas nie jest w stanie go ocalić. Jak on mógł doprowadzić do tego? Dlaczego słuchał rad Mareta i innych pochlebców, zamiast rad oddanych mu ludzi, oddanych jego sławie i Francji?» «Nie czas zajmować się jego błędami — odpowiedziałem. — Wysłał mnie on do cara Aleksandra, by się obronić, by podpisać pokój, którego wszyscy pragną. Czy pomoże mi pan? Czy porzuci go pan w nieszczęściu? Czy pan chce poświęcić cesarzową, kró-

la rzymskiego, żywotne interesy Francji?» «Jeszcze w czasie ostatniej narady czyniłem wszystko, by ich uratować, by przeszkodzić ich wyjazdowi. Puściłem w niepamięć niesprawiedliwość cesarza w stosunku do mnie i niemal sam jeden walczyłem o niego, o nich — na próżno jednak, gdyż cesarz wydał właśnie odmienne rozkazy. Stracił on wszystko nawet w Radzie Regencyjnej. Dowie się pan o tych sprawach, jak również i o tym, że uczyniłem wszystko, co było moim obowiązkiem»".

W tym miejscu rozmowę przerwał hrabia Tołstoj, rosyjski marszałek dworu, a wkrótce po nim zjawił się rosyjski minister Nesselrode. Caulaincourt wyszedł nie doczekawszy się więcej ani jednego słowa od Talleyranda. Poczekalnia i sale recepcyjne w pałacu księcia były już zapelnione: przedstawiciele obcych monarchów, interesanci czyhający na zmiany, obywatele wystraszeni pojawieniem się obcego wojska — wszyscy oni pragnęli ujrzeć człowieka, w którym zwycięzcy chętnie widzieli przedstawiciela Francji przemawiającego rzekomo w imieniu kraju. 31 marca koło godz. 6 po południu Aleksander łaskawie zgodził się zamieszkać w pałacu Talleyranda.

Jeszcze przed wieczorem (zaraz po przyjeździe Aleksandra) przybyli tam król pruski, przedstawiciele Austrii Schwarzenberg i Liechtenstein, Karol Wasiliewicz Nesselrode, Pozzo di Borgo, Pradt i baron Louis. Wszystkich tych znakomitych gości Talleyrand zaprosił do wspaniałej sali w swym pałacu, gdzie sam zagał posiedzenie. W tej właśnie sali została zredagowana i podpisana decyzja sprzymierzeńców: w żadnym wypadku nie prowadzić rokowań ani z Napoleonem, ani z kimkolwiek z jego rodziny. Sprawa Talleyranda była wygrana. Wiedział on, że Aleksander nie sprzeciwi się osadzeniu na tronie bezpośredniego spadkobiercy Napoleona, młodziutkiego króla

rzymskiego. Talleyrandowi zaś odpowiadała jedynie restauracja rodziny Bourbonów.

Jeszcze podczas posiedzenia, które odbywało się w wielkiej sali, zameldowano Aleksandrowi o przybyciu Caulaincourta. Car kazał powiedzieć księciu, że przyjmie go o dziewiątej wieczorem, po posiedzeniu. Była to już druga rozmowa Caulaincourta z Aleksandrem. Pierwsza odbyła się w przeddzień wkroczenia wojsk sojuszników do Paryża. Wtedy już Aleksander kategorycznie odmówił prowadzenia jakichkolwiek pertraktacji. Obecnie, po naradzie, mógł on w bardziej jeszcze kategoryczny sposób powtórzyć swą poprzednią decyzję. W czasie rozmów z Caulaincourtem Aleksander podkreślił parokrotnie, że nie ma zamiaru narzucać Francji żadnej określonej formy rządu i że liczyć się będzie jedynie z życzeniami samej Francji. „Lecz cóż uważać za życzenia Francji? — odpowiedział Caulaincourt. — Do tej pory widzę jedynie, że są to życzenia pana Talleyranda, cele jego intryg”. „A jeżeli jest to życzeniem narodu?” — zapytał Aleksander. „Jednak Francja — to nie sam tylko Paryż, życzenia zaś Paryża również nie powstają w salonach tego domu!” — dodał Caulaincourt, który wyjaśnia jednocześnie czytelnikom swych pamiętników: „Miałem na myśli dom księcia Benewentu [Talleyranda], gdzie znajdowaliśmy się wówczas”. Rozmowa była skończona. Caulaincourt mógł wreszcie zrozumieć, że sprawa Napoleona jest przegrana. Nie wiedział on wówczas jeszcze, że już poczynając od 28 marca Talleyrand czynnie agitował wśród grupy pozostałych w Paryżu senatorów na rzecz powołania Bourbonów. Kłamliwie zapewniał, że takie jest jakoby życzenie Aleksandra, terroryzował senatorów (a tym samym i całe miasto) siejąc fałszywą pogłoskę, iż Rosjanie ogniem i mieczem zniszczą stolicę, jeżeli będą mieli podejrzenie, że Francuzi chcą pozostawić cesarza na tronie. Już bowiem pierwsze wieści o marszu wojsk rosyjskich wprost na Paryż wywołały w mieście ogólny popłoch.

W tym czasie powtarzano w rosyjskiej armii powiedzenie: „Witaj nam, batuszka Paryż! Jakże ty nam zapłacisz za mateczkę Moskwę?” Identyczne myśli, przy odmiennym oczywiście nastroju, bez przerwy nękały paryżan, gdy gwardia rosyjska, nie spotkawszy żadnego oporu, wkroczyła do stolicy.

Liczne źródła stwierdzają, że w chwili wejścia rosyjskiej gwardii do Paryża panika doszła do punktu kulminacyjnego. I oto nieoczekiwana, radosna wiadomość! Aleksander nie pozwolił nikomu robić krzywdy, armia rosyjska zachowuje się po przyjacielsku, nakazano prowadzić nadal handel na rynkach i w sklepach, Rosjanie ani myślą mścić się za Moskwę, za rok dwunasty. Miasto było upojone, oczarowane, przepełnione uczuciem niebywałej ulgi. Caulaincourt używa wprost słowa: „oczarować” (*ensorceler*): „Działalność księcia Benewentu, obecność wojsk sojusznicznych i wreszcie pełne przychylności słowa cara Aleksandra, które powtarzano i komentowano jako wypowiedzenie się za zmianą [dynastii], zawróciły wszystkim głowę. Nawet starzy senatorowie byli oczarowani. Pozbawszy się strachu przed hańbą, przed kompromitacją, działali bez namysłu, jakby potracili rozum... Ich zapał i strach (jedno i drugie wchodziło w grę) graniczyły z szaleństwem”. Talleyrand triumfował. W ciągu tych dni potrafił on wmówić zarówno senatorom, jak i Paryżowi, że Aleksander właśnie w nim, Talleyrandzie, pokłada swe zaufanie i że właśnie on uratuje Paryż od pogromu przez obietnicę restauracji Bourbonów, którą dał rosyjskiemu cesarzowi. Znamienne jest, że Talleyrand dobrze wiedział, iż Aleksander chciałby raczej widzieć na tronie małoletniego króla rzymskiego (Napoleona II), a nie Bourbonów. Lecz w tych krytycznych dniach można się było najłatwiej dostać do Aleksandra właśnie za pośrednictwem Talleyranda, który jako gospodarz tak gościnnie przyjmował rosyjskiego cara w swoim domu. Książę Talleyrand był zawsze uprze-

dzajaco grzeczny dla tego rodzaju wysoko postawionych gości, którzy mieli coś do powiedzenia na tym doczesnym świecie. Gość ten rozprządzał nadto w razie potrzeby znajdującą się przy nim i w pobliżu stutysięczną armię z artylerią i kawalerią, która nieprzerwanym potokiem napływała do Paryża i zalewała miasto.

Hercena zastanowiło kiedyś przeczytane zdanie, że Talleyrand spotkawszy się jako stary już człowiek z rozpoczynającym dopiero swą karierę młodym dyplomatą A. M. Gorczakowem „pouczał Gorczakowa, by gości częstował pieczenia uprzejmie — w zależności od ich siły lub słabości” Jasne jest, że podejmując i częstując Aleksandra książkę Benewentu przejawiał maksimum „uprzejmości”, a raczej, ściśle mówiąc, pochlebstwa.

Wśród ówczesnych dyplomatów nie było nikogo, wyjątkiem chyba księcia Talleyranda, kto mógłby rywalizować z Aleksandrem w kunszcie obłudy i kłamstwa, w umiejętności przybierania każdego oblicza i noszenia przez dowolnie długi czas wszelkiej maski, w sztuce wprowadzania, a raczej symulowania każdego nastroju pożądanego w danej chwili.

Te oto właściwości czarującego gościa mogły mocno niepokoić uprzejmego gospodarza. Jak nam wiadomo, Talleyrand miał istotnie o Aleksandrze tę samą opinię, którą w sto lat później, mówiąc o carze, sformułował w swej bezlitosnej charakterystyce wielki autor „Hadzi-Murata”: „obłudnik i ojcobójca”. Druga z tych cech nie dotyczyła i nie interesowała Talleyranda; nie mieszał się do legend rodzinnych ani — że tak powiemy — do spraw uczuciowych carskiej rodziny rosyjskiej. Wiedział jednak na pewno, że czeka go walka z niebezpiecznym obłudnikiem i symulantem, który mu w niczym nie ustępował. Przeczucie nie zawiodło gościnnego gospodarza, który pełen zachwytu

oczekiwał na chodniku (u wejścia) swego dobrotliwie uśmiechającego się, uprzejmego, a zarazem fałszywego gościa.

Współcześni, nawet tak mądrzy i przenikliwi, jak na przykład Stendhal, który osobiście obserwował z bliska wypadki w Paryżu, skłonni byli wyolbrzymiać znaczenie, jakie miała „talleyrandska intryga” w owe dni: „Car Aleksander zamieszkał u pana Talleyranda. Ten drobny wypadek zdecydował o losie Francji, a może o losach Europy... To było decydujące. Talleyrand miał szczęście gościć u siebie monarchę, który w ciągu miesiąca był gospodarzem i ustawodawcą Francji”.

Stendhal, który przebywał w Paryżu przez cały kwiecień 1814 roku, wielokrotnie wymienia w swej słynnej powieści „Czerwone i czarne” imię Talleyranda jako twórcy restauracji Bourbonów, całkiem bezpodstawnie wskazując zarazem na Pozzo di Borgo i Pradta. Pozzo di Borgo, jako rosyjski dyplomata, był w 1814 r. „jedynie zwykłym wykonawcą woli Aleksandra, a ksiądz Pradt żadnej wybitnej roli przy objęciu tronu przez Bourbonów nie odegrał.

III

Decydujące posiedzenie sojuszników, a następnie ostateczna rozmowa Aleksandra z Caulaincourtem

odbyły się wieczorem 31 marca. Nazajutrz zaś, jak wskazaliśmy wyżej, udało się Talleyrandowi zebrać 74 senatorów, tj. połowę wszystkich członków senatu. Zgodnie z żądaniem Talleyranda wybrali oni (choć faktycznie zgłosiły się jedynie 63 osoby) rząd tymczasowy złożony z pięciu osób, samych zacieklej legitymistów. Na czele tego rządu stanął oczywiście Talleyrand. Cała ta komedia z wyborami potrzebna mu była po to, by inscenizować wobec Aleksandra prawidłowość i legalność przejścia władzy od cesarskiego senatu w ręce nowego „rządu”. Dla uproszczenia sprawy zawiózł Talleyrand do swego domu (gdzie już od 31 marca mieszkał Aleksander) cały ten nowo utworzony „rząd tymczasowy”. Wykorzystując zdemoralizowanie i zastraszenie ludności oraz ogólne zamieszanie potrafił Talleyrand i skupiona wokół niego aktywna grupa rojalistów zorganizować kilka manifestacji, by dowieść sojusznikom, do jakiego stopnia Francja pragnie restauracji Bourbonów.

Przychylny stosunek Aleksandra do zwycięzonego kraju przyniósł uspokojenie umysłów burżuazji, która szybko jąła przechodzić na stronę Talleyranda. Jeden za drugim dygnitarze cesarscy zaczęli zjawiać się w pałacu Talleyranda, manifestując swe całkowite posłuszeństwo. Giełda zareagowała już 1, a szczególnie 2 kwietnia gwałtowną zwyżką renty: z 45 franków 29 marca na 63 franki 1 kwietnia. Ta klasa społeczna, która była najbardziej uprzywilejowana przez Cesarstwo, zaczęła jawnie je zdradzać. Wpływała na to beznadziejność kontynuowania walki zbrojnej przeciwko całej Europie oraz dające się już od dawna zaobserwować wśród rozmaitych warstw burżuazji rozdrażnienie z powodu wielu pociągnięć polityki Napoleona. Lecz robotnicy posepnie milczeli. Większości z nich powrót Bourbonów i widmo wskrzeszenia szlacheckiego feudalizmu wydawały się jeszcze większym złem aniżeli wojenny despot. Poza tym armia Napoleona nie była dotychczas całkowicie rozbita i trwała niezachwianie przy

swym wodzu, stojąc niedaleko, w Fontainebleau. Dnia 1 i 2 kwietnia Aleksander wahał się jeszcze, a myśl o osadzeniu na tronie króla rzymskiego i regencji Marii Ludwiki nie opuszczała go nadal. Talleyrand zdwoił swe wysiłki. Pomagała mu również i ta okoliczność, że sojusznicy zdawali sobie sprawę, iż w razie abdykacji cesarza, objęcia tronu przez jego trzyletniego syna oraz regencji Marii Ludwiki — wcześniej czy później władza zwierzchnia przeszłaby faktycznie znowu w ręce Napoleona. Sprzyjała również Talleyrandowi zupełna apatia i pokora stolicy. Sojuszników dziwiły ogromnie takie nastroje paryżan.

Żelazny despotyzm Napoleona oduczył obywateli francuskich wszelkiej aktywności. Pokolenie, które widziało tyle przemian w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, które przeżywało prawie przez dwadzieścia lat nieustanne walki napoleońskiej epepei, odczuwało ogromne zmęczenie i to również było jedną z przyczyn tych nastrojów, niezależnie od wymienionych wyżej motywów. Zachowanie się paryżan wywarło odpychające wrażenie na wielu rosyjskich wojskowych. Tak na przykład partyzant Denis Dawydow, bohater rosyjskiej wojny narodowej 1812 roku, oburzony był w roku 1814 brakiem patriotyzmu u Francuzów i „zdradą” ich wobec Napoleona. Późniejsze odgłosy podobnych nastrojów wśród Rosjan, którzy mogli oglądać ówczesny Paryż, przekazane zostały potomnym między innymi w zarzutach czynionych Francuzom przez Lermontowa: „...ze strachu, nie pojawiwszy hańby swej ogromu, jak niewolnicy wyście go zdradzili, jak niewiasta wiarolomna oszukali”. Godne uwagi jest, że gdy rojaliści usiłowali (2 kwietnia) zburzyć kolumnę Vendôme, zostali szybko przepędzeni z placu przez Siemionowski pułk rosyjskiej gwardii, który uratował w ten sposób kolumnę. W ogóle bez pomocy sojuszników rojaliści nie mogli liczyć na to, że po usunięciu Napoleona uda im się osadzić na tronie tak bardzo niepopularną dynastię Bourbo-

nów, strąconą 10 sierpnia 1792 roku podczas wielkich, niezapomnianych dni rewolucji. Wszystkie więc intrygi Talleyranda w tych pierwszych dniach kwietnia 1814 r. zmierzały do jednego: nie dopuścić do wprowadzenia na tron króla rzymskiego (Napoleona II) i regencji Marii Ludwiki, która to myśl ciągle jeszcze nie opuszczała Aleksandra. Porzucił ją jednak, gdy 4 kwietnia całkiem nieoczekiwanie dla wielu, jednak nie dla Talleyranda, marszałek Marmont zdradził Napoleona i w porozumieniu z sojusznikami wyprowadził swój korpus z Essonnes na zachód w kierunku Wersalu. Nakłaniał go do tego już od kilku dni Talleyrand, który wiedział, że zdrada Marmonta całkowicie uniemożliwi Napoleonowi podjęcie wstrzymanej na kilka dni walki.

Od tej chwili nie potrzebował już Aleksander zgadzać się na zaproponowany przez Caulaincourta kompromis, tj. na oddanie tronu spadkobiercy Napoleona z regencją Marii Ludwiki. A przecież Aleksander w rozmowach ze swymi sojusznikami mógł użyć jedynie tego argumentu, że w razie zgody na regencję Napoleon złoży ostatecznie oręż i tym samym odpadnie niebezpieczeństwo dalszego przelewu krwi. Popchnąwszy marszałka Marmonta do zdrady Talleyrand wytrącił z rąk Caulaincourta jedyną broń, jaka pozostała jeszcze w rękę stronników Cesarstwa.

Napoleon dobrze ocenił ten celny, nie do naprawy cios, który odciął mu wszelką możliwość dalszej zbrojnej walki. W swym testamencie, pisany przed samą śmiercią na Wyspie Św. Heleny, wymienia on marszałka Marmonta obok Talleyranda jako głównych zdrajców. Marmont przez całe swe życie usiłował zmazać z siebie tę niesławę, która — jak sam przyznawał — na zawsze splamiła jego honor i pozbawiła dobrego imienia. Upierał się w następstwie przy tym, że emisariusze z Paryża (przysłani przez Talleyranda) zmylili go, oszukali i tak zawikłali sprawę, iż myślał, „że czyni coś, co jest korzystne dla cesarza..”

Tak czy owak, posunięcia Marmonta nie można było naprawić. Na to właśnie liczył Talleyrand. Napoleon w Fontainebleau zdecydował się abdykować na rzecz syna, z regencją swej żony, cesarzowej Marii Ludwiki. Gdy jednak rankiem 5 kwietnia Caulaincourt oraz marszałkowie Ney i Macdonald przybyli do Paryża, by zakomunikować o tym Aleksandrowi, zrozumieli od razu, że sprawa jest beznadziejna. Po pierwsze, car powołał się na to, iż senat za namową Talleyranda powziął już uchwałę o zdetronizowaniu dynastii Bonapartych. Po drugie, jak się to wyjaśniło przy następnym audiencji marszałków u Aleksandra która nastąpiła tegoż dnia 5 kwietnia, po śniadaniu, sojusznicy (Austriacy i Prusacy) przestali się już całkowicie obawiać jakichkolwiek zbrojnych konfliktów i nie widzieli żadnej przyczyny, by godzić się na podobny kompromis z Napoleonem, jak osadzenie na tronie jego syna i regencję jego żony. Marmont, gdy się opamiętał, trapiiony wątpliwościami i gnany strachem przed ciężącą już na nim hańbą, przyłączył się co prawda do Caulaincourta, Neya i Macdonalda, gdy ci ponownie stawili się przed rosyjskim carem; ten ostatni, jak to stwierdza Caulaincourt, „wydawał się nieco zdziwiony” spostrzegłszy Marmonta w tej delegacji, która przybyła walczyć o regencję. Nie mogli oni już oczywiście nic osiągnąć. Raz jeszcze, w nocy z 5 na 6 kwietnia, pełnomocnicy Napoleona czekali w czasie swego nowego spotkania z carem na jakieś oznaki wahania z jego strony. Lecz właśnie tej nocy otrzymano w Paryżu ściśle informacje, że korpus Marmonta minął w pełnym składzie linie sojuszników i w istocie przestał należeć do szeregów armii napoleońskiej. Od tej chwili wszystko było skończone. 6 kwietnia Aleksander oświadczył, że regencja jest niedopuszczalna i że sojusznicy przyjęli ostatecznie jako jedyne wyjście powrót dynastii Bourbonów.

Dnia 6 kwietnia pełnomocnicy cesarza powrócili

z Paryża do Fontainebleau z wiadomością o niepowodzeniu swej misji i Napoleon podpisał abdykację.

IV

Sprawa osobista Talleyranda była załatwiona. Odpadło niebezpieczeństwo późniejszej zemsty ze strony zdradzonej przez niego dynastii Bonapartych. Przed „księciem Benewentu”, który zazdrośnie i skrzętnie zachowywał ten nadany mu przez Napoleona tytuł, otwierały się promienne perspektywy, związane z wdzięcznością dynastii Bourbonów, dla której zdradził Bonapartych.

Gdy jednak starania i intrygi starego księcia uwieńczone zostały całkowitym powodzeniem, niezwłocznie ujawniła się nieunikniona rysa w stosunkach pomiędzy nim a „sympatycznymi” Bourbonami. Właściwie za sympatycznych nigdy ich nie uważał, gdyż gardził nimi, oni zaś nie tylko nim pogardzali, lecz nienawidzili go również. W ciągu ostatnich trzech dni marca i podczas pierwszego tygodnia kwietnia 1814 r. Talleyrand na oczach sojuszników tak się uwijał, starał się i zabiegał o restaurację dynastii Bourbonów, że niektórzy (lecz w żadnym razie nie Aleksander) zaczęli na serio wierzyć, iż syn marnotrawny rojalizmu po tak wielu najróżnorodniejszych politycznych wędrówkach powrócił nareszcie do ojcowskiego domu i już od tej chwili pozostanie wierny białemu sztandarowi.

Lecz do tego nie doszło i dojść nie mogło. Od Bourbonów, a szczególnie od białej emigracji, która z nimi wróciła, dzieliło Talleyranda przede wszystkim to, że był człowiekiem przewidującym, podczas gdy emigranci prawie bez wyjątku odznaczali się wyjątkową tępotą w sprawach politycznych. Nie rozumieli oni absolutnie nowej Francji. Nie ocenili należycie faktu, że nieustającą wojenną rzezią, niepohamowanym wojskowym despotyzmem, ciągłym poborem rekrutów, który ogolaczał

wsie, Napoleon zmęczył i zniechęcił całe społeczeństwo; z faktu tego emigranci wyciągali fałszywy wniosek, iż burżuazja i chłopstwo (klasę robotniczą świadomie ignorowali), które nie poparły Napoleona i bez oporu przyjęły narzuconą im przez Talleyranda i rojalistów starą dynastię, z łatwością zrzekną się także wszystkich osiągnięć burżuazyjnej rewolucji 1789 roku, jak również tego wszystkiego, czego dokonał cesarz w dziedzinie ustawodawstwa cywilnego i administracyjno-sądowego oraz w samej organizacji państwa. W tym błędzie ludzie od nich mądrzejsi, w rodzaju Talleyranda, widzieli ogromne niebezpieczeństwo dla Bourbonów, jeżeli nie aktualne, to niechybnie grożące w przyszłości. Nawet tacy reakcyoniści i w całym tego słowa znaczeniu szaleńczy obskuranci klerykalni, jak np. Józef de Maistre, byli zdania, że Bourbonowie powracają nie na „tron praojców”, lecz na tron Bonapartych, gdyż innego już nie może być we Francji. Nawet król Ludwik Stanisław (który przybrał imię Ludwika XVIII) zrozumiał lub przynajmniej czuł instynktownie, że wszelka próba przywrócenia starego reżymu prowadzi niechybnie do zguby. Lecz jego rodzony brat, wódz nieokiełznanej rojalistycznej „legitymistycznej” reakcji, Karol d'Artois, nie rozumiał nic absolutnie — i między nim a Talleyrandem nastąpiło pierwsze starcie. Szło co prawda w danym wypadku jedynie o emblemat, o symbol, lecz Talleyrand znalazł od razu potwierdzenie opinii, którą, niezależnie od siebie, zarówno on, jak Aleksander I wyrazili o Bourbonach: „nie zapomnieli oni nic i niczego się nie nauczyli”, „nie poprawili się i nie nadają się do poprawy” (*incorrigés et incorrigibles*). Gdy tylko można było z całą pewnością uznać restaurację Bourbonów za fakt dokonany, tj. tego samego dnia, w którym cesarz abdykował, Talleyrand napisał do Vitrolles'a, rojalisty i przyjaciela Karola d'Artois, że usilnie doradza przypięcie przy wjeździe do Paryża trójbarwnej kokardy. Emblemat ten powstał

zaraz w pierwszych miesiącach rewolucji 1789 r. i gdyby Bourbonowie przyjęli go, a więc zgodzili się na trójbarwny sztandar, daliby tym do zrozumienia, że powracająca dynastia godzi się na te osiągnięcia rewolucyjnej epoki i napoleońskiego ustawodawstwa, które najbardziej cenione były przez nową burżuazję i klasy posiadające Francji w miastach i wsiach. Ten symboliczny gest królewskiego brata od razu wniósłby pewne uspokojenie w umysły tych wszystkich, którzy obawiali się, że Bourbonowie zaczną przywracać zniesiony przez rewolucję feudalizm. Talleyrand prosił Vitrolles'a, by w rozmowie z Karolem d'Artois podkreślił, iż nawet ówczesny możnowładca Francji, car Aleksander I, życzy sobie tego. „Jest zgodnym życzeniem wszystkich, by jego książęca wysokość hrabia d'Artois przypiął trójbarwną kokardę. Wydaje się, że armii bardzo na tym zależy. Toteż car rosyjski wyczuwa, że jest to pewnego rodzaju ustępstwo, na które rozsądnie byłoby pójść”.

Nic z tego jednak nie wynikło. Bourbonowie wybrali nie trójkolorową, lecz dawną, białą kokardę, dawny królewski biały sztandar, symbol feudalnej monarchii, znieawidzonej i przez burżuazję, i przez chłopstwo, i przez robotników. 6 kwietnia 1814 roku, a więc dosłownie od pierwszej chwili swego powrotu, dynastia w osobie Karola d'Artois weszła na tę drogę, która po szesnastu latach doprowadziła do lipcowej rewolucji 1830 roku i do bezpowrotnej, ostatecznej utraty tronu. Nawet groźna przestroga Stu Dni nie otworzyła im oczu i niczego ich nie nauczyła. Zresztą Talleyrand, widząc ten upór, przestał nalegać i zgodził się na białą kokardę.

W związku z tym trzeba zaznaczyć, co następuje. Dzięki swej subtelnej przenikliwości, której rozmiary nie ustępowały jego moralnemu zepsuciu, Talleyrand już wówczas, w pierwszych chwilach restauracji Bourbonów, przewidział nie tylko niebezpieczeństwo wynikające z niezrozumienia nowej Francji przez starą dynastię, lecz również

wielką groźbę zbyt bliskiego sąsiedztwa Napoleona na Elbie. Było wiele rzeczy, za które Talleyrand nienawidził Aleksandra: i za to, że ten fałszywy, chytry „bizantyjski Grek”, podejrzliwy, nieszczerzy car od dawna i do samego dna rozgryził i zrozumiał nawet jego, czcigodnego księcia Benewentu, najmędrszego ojca kłamstwa, patriarchę zdrady; i za to, że od chwili, gdy w roku 1808 w Erfurcie Talleyrand był na żoździe rosyjskim, żadne łaskawe nawet uśmiechy Aleksandra nie potrafiły ukryć pogardy, jaką car żywił do niego; i za to, że obecnie, w kwietniu 1814 r., gdy działali oni w znacznym stopniu solidarnie, car, który wszystkiego odmówił Caulaincourtowi i który szedł po tej samej linii restauracji Bourbonów, co i Talleyrand, gorąco jednak, serdecznie i po przyjacielsku ścisnął rękę Caulaincourta, publicznie chwalił księcia Vicenzy za wierność byłemu cesarzowi, wszelkimi sposobami okazując mu cały swój szacunek i swe osobiste pełne współczucie, co zaś do niego, Talleyranda, ograniczał się po dawnemu do łaskawych uśmiechów i oficjalnych uprzejmości, których cały fałsz książe w pełni oceniał. Specjalnie jednak drażnił go Aleksander swymi „aspiracjami do wspaniałomyślności”, przy czym te „aspiracje”, w które Talleyrand nie wierzył, doprowadziły do bardzo niebezpiecznej, zdaniem starego księcia, decyzji: do oddania Napoleonowi wyspy Elby w samodzielne władanie. Już od pierwszej chwili niepokoił Talleyranda ten projekt, który podsunął carowi Caulaincourt; on to uzyskał dla Napoleona prawo zatrzymania tytułu cesarza i oddanie mu wyspy, leżącej zarówno w pobliżu brzegów Francji, jak i Włoch, tj. dwóch krajów, nad którymi Napoleon tak długo panował.

Talleyrand brał pod uwagę i przyszłe bezmyślne błędy nie rozumiejących swej sytuacji rojalistycznych reakcjonistów, i charakter Napoleona oraz przywiązanie, które posiadał on wśród żołnierzy, i nieukrywaną nienawiść francuskiej armii do białego sztandaru, do sztandaru „zdrajców”, bia-

łych emigrantów, narzuconego wojsku przez Bourbonów od pierwszej chwili ich powrotu; uwzględniając te czynniki Talleyrand ocenił fizyczną bliskość „cesarza wyspy Elby” jako groźne niebezpieczeństwo. Gdy w marcu 1815 r. wszystkie te przewidywania Talleyranda całkowicie się spełniły, Metternich chwalił się, że i on, i Talleyrand uważali pobyt Napoleona na Elbie za niebezpieczny. „Rząd tymczasowy” pod kierownictwem Talleyranda czynił wszystko, co było w jego mocy, by za pośrednictwem hrabiego Nesselrode oraz wszelkimi innymi sposobami wpłynąć na Aleksandra i doprowadzić go do cofnięcia słowa danego Caulaincourtowi. Wysiłki te nie przyniosły jednak rezultatów — Aleksander odmówił złamania swej obietnicy.

Talleyrand nigdy nie żywił szacunku dla Bourbonów. Nie posłuchali oni jego rozsądnej rady w sprawie sztandaru i w ogóle wcześniej zrodziło się w nim przypuszczenie, że Restauracja może nie mieć trwałej egzystencji. Lecz za późno już było na wybór. Kończył więc dzieło poprzednio rozpoczęte. W kilka dni później, za namową Talleyranda, senat zwolnił armię i naród od przysięgi danej Napoleonowi, a dynastię uznano za usuniętą. Niezależnie od tego Napoleon podpisał w Fontainebleau abdykację. Na tron wstąpił Ludwik XVIII.

Tak oto Talleyrand dopiął swego. „Sprzedał on Dyktariat, sprzedał Konsulat, Cesarstwo, cesarza, sprzedał Restaurację, sprzedał wszystko i aż do końca dni swoich nie zaprzestanie sprzedawać wszystkiego: i tego, co się da, i tego, czego nie można sprzedawać” — tak mówiła o nim później pani de Staël, która gorzko żalowała, że pomogła mu w karierze, gdy w roku 1797 wyprosiła dla niego u Barrasa portfel ministra spraw zagranicznych. Ultraroyalistyczne karykatury i ulotki, które się wkrótce pojawiły, rozpoczynały listę zdrad Talleyranda nie od zdrady Dyktariatu, lecz starego reżymu i kościoła katolickiego.

Sytuacja była jednak tego rodzaju, że niکتó-

rzy ludzie, chociaż nawet wiedzieli, kim jest Talleyrand, zaczęli upatrywać w nim wybawiciela od szaleństw chciwej, bezczelnej, bezmyślnej, emigranckiej, szlacheckiej hordy, która załapała Francję.

„Przyglądałem się tu z bardzo bliska wspaniałemu przedstawieniu. Wszystko odbyło się z jak największą prostotą. Wielcy i mali działali zgodnie ze swymi osobistymi interesami i nie myśląc wcale, co się o tym powie (*sans songer au qu'en dira-t-on*) . Myślę, że hrabia d'Artois jest w kłopotcie, jak zadowolić wszystkich; 30 000 szlachty przybywa zewsząd, sami nic nie potrafią, a domagają się wszystkiego. Na szczęście mamy tu jednego bardzo mądrego człowieka, p. Talleyranda, który powinien zostać premierem" — tak pisał Stendhal do swej siostry 15 kwietnia 1814 roku .

Pisał tak w tydzień po oficjalnym oświadczeniu, że „z całą gotowością" (*avec empressement*) podporządkowuje się uchwale senatu, który niedawno proklamował detronizację Napoleona i powołał na tron Bourbonów.

Własny oportunizm nie przeszkodził Stendhalowi w roku 1814 być jak zawsze uważnym obserwatorem tego, co się działo.

V

13 maja 1814 roku Ludwik XVIII uczynił to samo, co Dyktoriał w 1797, a Bonaparte — w 1799 roku: mianował Talleyranda ministrem spraw zagranicznych. Oto w jaki pełen szacunku i wierнопoddańczy sposób Talleyrand (który użył i w

tym wypadku tytułu „księcia Benewentu” ofiarowanego mu przez „uzurpatora i tyrana”) zawiadania o swej nominacji rosyjskiego ministra, hrabiego Nesselrode: „W chwili gdy powróciwszy na tron swych przodków Jego Królewska Mość zajęty jest przywróceniem i umocnieniem węzłów pokoju i zgody, które podczas panowania jego przodków czyniły interesy całej Europy wspólną sprawą — ważne funkcje powierzone mi przez króla nabierają nowej wartości” itd.

Specjalnie śmieszne i zakrawające na cyniczne szyderstwo jest kłamstwo Talleyranda o arkadyjskiej idylli „wspólnoty interesów Europy” za czasów panowania przodków Ludwika XVI. Jest ono tym bardziej zabawne w ustach Talleyranda, że wiedział on lepiej niż ktokolwiek inny, jak otwarcie wrogie stanowisko zajmowała dyplomacja dworu wersalskiego właśnie w stosunku do Rosji, i to nie na przestrzeni dziesięcioleci, lecz z niewielkimi przerwami przez półtora wieku.

Aleksander przyjął nominację Talleyranda na ministra spraw zagranicznych z całkowitym, nieukrywanym zadowoleniem, a Nesselrode napisał do nowego ministra nader uprzejmy list, zapewniając jego książęcą mość (gdyż jako udziałny książę Benewentu Talleyrand zachował tytuł „Son Altesse”), że car interpretuje jego nominację jako „gwarancję”, iż król Ludwik XVIII chce utrzymać nadal z Rosją „jak najbardziej zażyłe stosunki”; „żaden inny wybór nie byłby równie miły carowi” .

W radzieckim Archiwum Polityki Zagranicznej znajduje się szereg dokumentów świadczących, z jakim uporem Aleksander i jego przedstawiciel

przy nowym dworze francuskim, Pozzo di Borgo, starali się przekonać Ludwika XVIII, jego rodzinę i przyjaciół o powadze i niepewności ich sytuacji: „Nie zaniechałem żadnego argumentu, nie ukryłem ani jednej informacji, która mogłaby się przydać do skierowania myśli króla na właściwe tory i dałaby mu ścisłe pojęcie o rzeczywistym położeniu” — tak donosi, specjalnie to podkreślając, Pozzo di Borgo ministrowi Nesselrode 18 kwietnia 1814 r. „Ileż to razy zmuszony był poseł rosyjski walczyć z tym bezdennym, dziecinnym brakiem zrozumienia cechującym całe otoczenie króla, które wywierało tak wielki wpływ na Ludwika XVIII!

Aleksander nie miał do Ludwika najmniejszego zaufania. Nie wierzył też w szczerość jego „konstytucyjnych” uczuć i dlatego właśnie zażądał od króla zwołania ciała ustawodawczego — w celu opracowania konstytucji — nie na 10 czerwca, lecz na 31 maja, gdyż car chciał koniecznie, by się to stało jeszcze podczas jego bytności w Paryżu.

Charles Dupuis, autor dwutomowej monografii, a ściślej biorąc wydawca dokumentów o ministerstwie Talleyranda w 1814 roku, z ironią zapytuje, dlaczego Aleksander, który był przecież samowładcą, w 1814 roku przejawiał taki zapał dla sprawy konstytucji Francji. Daje on na to następującą, zupełnie zresztą fałszywą odpowiedź: stanowisko to należy tłumaczyć chęcią, by przez nadanie wolności konstytucyjnych złagodzić podrażnienie, jakie panowało wśród Francuzów z powodu warunków pokoju oraz zmniejszenia obszaru Francji. Żadnych dowodów na to Dupuis nie przytacza, zresztą nie istnieją one wcale. Po pierwsze, większość Francuzów uważała, że wyszli

z tej sprawy bardzo fortunnie i że Europa, a specjalnie wszechpotężna wówczas Rosja, obeszła się z nimi niebywale łagodnie, wzięwszy pod uwagę pożar Moskwy, łupiestwo i despotyczny ucisk Napoleona. Po drugie, wiosną 1814 roku Francuzi nie mieli żadnej możliwości stawiania oporu. Nie to było przyczyną; Aleksander bał się, według słów mądrego ministra policji Pasquier, „nieostrożnych posunięć” (tj. bezsensownych reakcyjnych prowokacji) ze strony ultraroyalistów oraz brata królewskiego hrabiego d'Artois; wiedział bowiem, że rewolucję, którą mogą wywołać ci głupi, bezzelni, reakcyjni fanfaroni, będą musiały uśmierzać rosyjskie i inne obce wojska, gdyż armia francuska nienawidzi Bourbonów i w głębi duszy wciąż jeszcze uważa Napoleona za swego jedyne legalnego cesarza. Z tych samych powodów Talleyrand podzielał wówczas całkowicie zapatrywania Aleksandra aż do chwili wyjazdu cara z Paryża.

W tych wypadkach, w których „liberalizm” nie groził otwartym konfliktem z royalistami i królem, Talleyrand po dawnemu uprawiał politykę pojednawczą w stosunku do osób podejrzanych o sprzyjanie rewolucji lub Napoleonowi. Tak też przez dłuższy czas nie chciał podpisać traktatu pokojowego z Hiszpanią, dopóki król hiszpański Ferdynand VII, który powrócił do swego kraju z wygnania we Francji, nie ogłosi amnestii dla wszystkich tych, którzy służyli podczas rządów Józefa Bonaparte. Gdy jednak Talleyrand zorientował się, że nic nie osiągnie, poszedł na ustępstwa.

Projekt konstytucji, opracowany przez senat przy wybitnym udziale Talleyranda i całkowicie zaaprobowany przez Aleksandra, został przez Ludwika XVIII odrzucony. Doprowadziło to Aleksandra do wściekłości: „Nie wiem, czy nie będę jesz-

cze żałować, że wprowadziłem Bourbonów na tron — odezwał się car do księcia Eugeniusza Beauharnais. — Proszę mi wierzyć, drogi Eugeniuszu, to są ludzie źli; przebywali oni u nas w Rosji i wiem, co o nich należy sądzić". Lafayette'owi (dla którego był demonstracyjnie uprzejmy) Aleksander oświadczył wprost, iż nie spodziewa się niczego dobrego po Bourbonach, gdyż są oni przepojeni przesądami starego ustroju. Gdy Lafayette wyraził przypuszczenie, że Bourbonowie, być może, poprawili się, car wykrzyknął: „Poprawili się! Oni się nie poprawili i są niepoprawni!"... „Jeżeli Wasza Cesarska Mość jest tego zdania, to po co nam pan ich tu przywiózł?" — dość słusznie zauważył Lafayette, który mimo wszystko nie mógł jednak zapomnieć wzięcia Bastylli i pierwszych, promiennych dni rewolucji. „To nie moja wina" — odpowiedział car twierdząc przy tym, że Bourbonowie narzucili mu się sami, że Bourbonowie „zaleli go jak powódź". „To sprawa przegrana (*c'est une affaire manqué*, wyjeżdżam stąd bardzo smutny" — zakończył car. Wyjechał z Paryża 3 czerwca 1814 roku.

VI

Jeżeli Talleyrand przewidział los Bourbonów oraz następstwa pobytu Napoleona na Elbie, to sprawiedliwość nakazuje przyznać, że nie mniejszą przenikliwość wykazał również Napoleon co do losu Talleyranda, przynajmniej w niedalekiej przyszłości: „Talleyrand powołał Bourbonów, gdyż obawia się, że regencja (Marii Ludwiki) przyczyni się do mego powrotu. Lecz Bourbonowie przepędzą go, gdy tylko się umocnią i gdy nie będzie im już potrzebny" — tak powiedział Napoleon w Fontainebleau podczas swej rozmowy z Caulaincourtem wieczorem 6 kwietnia 1814 r., już po

podpisaniu abdykacji. Tylko w jednej rzeczy byłby Talleyrand bez wątpienia zgodny z Napoleonem, jeżeli nie jawnie, to w głębi ducha, a mianowicie co do przepowiedni wygłoszonej przez cesarza o losie Bourbonów. „...Naród pogodzi się z nimi jedynie w tym wypadku, jeśli usuną ze swego otoczenia te głowy w perukach i zaniechają dawnych roszczeń. Oznaczałoby to jednak żądać od nich rzeczy niemożliwych. Po roku wszyscy będą mieli ich powyżej uszu (aut bout d'un an on aura donc d'eux par-dessus la tete)” — oto, co przepowiedział Caulaincourtowi, który te prorocze słowa zanotował. Cesarz omylił się jedynie o tyle, że Bourbonowie „znudzili się” nie po roku, lecz już po jedenastu miesiącach, i to w takim stopniu, że on obalił ich sam i usunął z tronu w marcu 1815 roku, nie oddając ani jednego strzału.

Przed Talleyrandem otwierał się nowy, zresztą wcale nie ostatni etap w jego karierze. Wiele rzeczy go drażniło, niektóre zaś — wręcz go niepokoiły. Z jednej strony, wszyscy bez wyjątku byli zdania, że to on najbardziej przyczynił się do powołania Bourbonów na tron, o ile w ogóle można ustalić rolę poszczególnego człowieka w takich wypadkach historycznych. Napoleona obaliła Europa, obaliły go trzy krwawe wojny w latach 1812, 1813 i 1814. Lecz nawet Napoleon był przekonany, że to właśnie Talleyrand wprowadził Bourbonów na zwolniony przez niego tron i nazywał te dni kwietniowe 1814 roku „rewolucją Talleyranda”; to samo przekonanie dzielił również Aleksander oraz cesarz Franciszek i król Fryderyk Wilhelm; nie przeczyli temu sami Bourbonowie ani Ludwik XVIII, ani jego brat Karol d'Artois, ani synowie tego ostatniego, księżęta d'Angoulême i de Berry.

Dlaczego więc Bourbonowie i ich nowy dwór tak dziwnie spoglądają na Talleyranda, twórcę ich pomyślności, a niektórzy z nich ociągają się

nawet z podaniem mu dłoni? Co prawda, zostało mu powierzone pierwsze ministerstwo Restauracji, lecz i to niewiele pomaga, gdyż atmosfera nadal pozostaje chłodna. A co ważniejsze: dlaczego Aleksander, który był jego gościem w ciągu pierwszych dwunastu dni, wyjechał z Paryża nie pożegnawszy się ze swym tak uprzejmym gospodarzem, pomimo wszystkich jego starań i prośb o audiencję? Dlaczego car, który już uprzednio przeniósł się do Pałacu Elizejskiego, nie chciał nawet wytłumaczyć przyczyny tak ubliżającej odmowy przyjęcia Talleyranda? To było najgorsze, to najbardziej niepokoiło księcia. Ten publiczny policzek wymierzony ręką cara poważnie zachwiał pozycję Talleyranda na nowym dworze.

Bardzo drażniło księcia Benewentu również i to, że Aleksander, który nie mógł się zdobyć na zdawkową uprzejmość pożegnania się z nim, przysłał niezwłocznie pragnącego pożegnać go Caulaincourta i, co więcej, obszedł się z nim wyjątkowo łaskawie. Kogo? Tego księcia Vicenzy, który z początku ze wszelkich sił walczył przeciwko abdykacji Napoleona, a następnie tak uporczywie zabiegał o tron dla jego spadkobiercy i o regencję dla Marii Ludwiki! Dlaczego Aleksander głośno i demonstracyjnie wychwalał Caulaincourta za jego wierność wobec Napoleona, wroga Rosji, krwawego uzurpatora, a w ordynarny sposób obszedł się z nim, Talleyrandem, który przecież tak szybko i umiejętnie osadził na praojcowskim tronie „legalną” dynastię? Jakim politycznym wyrachowaniem kierował się w tym wypadku chytry „bizantyjczyk”? Wreszcie, dlaczego car oświadczył Caulaincourtowi, że bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność za wypełnienie wszystkich zobowiązań, które dotyczyły urzędzenia osobistego życia Napoleona i na które pod wpływem cara zgodzili się sojusznicy? Cień z wyspy Elby zawisł nad Francją.

Wszystko to zasłoniło czarną chmurą jasny horyzont, który zdawał się otwierać przed Talley-

randem po zamieszkaniu Bourbonów w pałacu tui-
leryjskim.

Zresztą bezpośrednio mogła niepokoić tylko jedna rzecz: jakie stanowisko zajmie Aleksander na kongresie wszystkich monarchów lub przedstawicieli Europy, który miał się jesienią zebrać w Wiedniu.

Obserwując Aleksandra w Paryżu, Talleyrand przeczuwał już wtedy, że zaniecha on dalszego udawania wielkiej wspaniałomyślności i całkowitej bezinteresowności. Musiała więc nastąpić walka. Wiedziała również o tym i przywrócona dynastia. Sądząc po sobie, mógł Ludwik XVIII stwierdzić, jak silny wstręt żywi do Talleyranda dziewięćdziesiąt dziewięć procent jego dworzan. Lecz cóż robić? Było wszakże nie do pomyślenia by posłać na kongres — do walki z Aleksandrem, Metternichem, Castlereagh'em — wiernego, oddanego, lecz bezmyślnego Polignaca lub któregoś z podobnych do niego przybyłych z powrotem emigrantów. Wbrew woli więc trzeba się było zwrócić do księcia Benewentu.

Sytuacja komplikowała się jeszcze o tyle, że przez krótki okres wspólnego pobytu w Paryżu, od chwili przybycia tam Bourbonów do chwili wyjazdu cara ze stolicy, stosunki między nimi bardzo się popsuly. Po pierwsze, Aleksander narzucił Bourbonom konstytucję; po drugie, Ludwik XVIII wszelkimi sposobami starał się wykazać swą całkowitą niezależność i pozwolił sobie w związku z tym na kilka „gestów”, które zadrasnęły miłość własną cara; po trzecie — co było właśnie sprawą zasadniczą wobec mającego się odbyć kongresu wiedeńskiego — Aleksander wyraził życzenie, by Caulaincourt, książe Vicenzy, został ponownie mianowany posłem francuskim w Petersburgu, gdzie spędził już kilka lat jako wysłannik Napoleona I (w latach 1808—1811). Bourbonowie uznali to za osobistą obrazę, zwłaszcza że propozycja ta poprzedzona została następującym przykrym epizodem, związanym również z Caulaincourtem. Książ-

żę Karol d'Artois nie chciał przyjąć Caulaincourta, oskarżając go o udział w aresztowaniu księcia d'Enghien w roku 1804. Wówczas Aleksander wydał wspaniały obiad, na który zaprosił zarówno Caulaincourta, jak i hrabiego d'Artois. Hrabia d'Artois nie miał odwagi nie przyjść, lecz nie brał prawie wcale udziału w rozmowie i natychmiast po obiedzie wyszedł. Zirytowany tym Aleksander pozwolił Caulaincourtowi ogłosić swój list do niego, w którym car wyraził przekonanie, że Caulaincourt nie miał nic wspólnego ze sprawą księcia d'Enghien. Ogłoszenie tego listu było nowym policzkiem dla Talleyranda, gdyż bardzo wiele osób już wówczas uważało udział jego w tej sprawie za całkowicie dowiedziony. Gdy więc po tych wszystkich przykrościach car napomknął ponadto o swym życzeniu, by do Petersburga został przysłany jako poseł właśnie książę Vicenzy, który niedawno tyle dokładał starań, by nie dopuścić starej dynastii na tron Napoleona, zarówno rodzina królewska, jak i Talleyrand byli tą propozycją w najwyższym stopniu urażeni. Prośba Aleksandra, podana w sposób bardzo przejrzysty, spotkała się z odmową. Car zaś, nie przyzwyczajony, by mu czegokolwiek odmawiano, a w szczególności, by mu odmawiali Bourbonowie osadzeni na tronie tylko dzięki zwycięstwu rosyjskiego oręża, podwoił swe wysiłki, chcąc bardziej jeszcze urazić Ludwika XVIII. Okazji miał aż nazbyt wiele. Aleksander zaczął bardzo często odwiedzać cesarzową Józefinę, pierwszą (rozwiezioną) żonę Napoleona i okazywał jej swój głęboki szacunek; demonstracyjnie bywał również u królowej Hortensji Beauharnais, córki Józefiny z pierwszego małżeństwa i żony byłego króla holenderskiego Ludwika Bonaparte, młodszego brata Napoleona. Gdy w Paryżu miała być odprawiona uroczysta msza żałobna za straconego podczas rewolucji Ludwika XVI i Marię Antoninę, Aleksander prawie cały ten dzień spędził z rodziną Hortensji. Na

dworze Bourbonów bywał jedynie z czysto oficjalnymi wizytami.

W ten sposób, zanim jeszcze Aleksander dokonał swej końcowej demonstracji przed wyjazdem z Paryża, tj. zanim odmówił Talleyrandowi możliwości złożenia wizyty pożegnalnej, Talleyrand i Ludwik XVIII byli wystarczająco zorientowani co do nastrojów cara. Rzecz jasna, że Talleyrand czynił wszystko, by poprawić swe stosunki, i pośpiesznie napisał do Aleksandra pokorny i pełen pochlebstw list, zawierający łagodny, dobrotliwy wyrzut, że car wyjechał i nawet nie dopuścił go przed oblicze swego „majestatu”. Wymówka ta utrzymana była w tonie zakochanego młodzieńca, zasmuconego oziębłością swej ukochanej. List jednak nie pomógł. „Władca słaby, lecz obłudny” — jak nazywał cara Aleksandra Puszkina — był jednak zacięty w swej antypatii, choć potrafił długo ukrywać ostre pazury. W latach 1814—1815 było w nim o wiele więcej „obłudy” niżeli „słabości”, a okazji do długotrwałych fałszywych rozgrywek miał nie mniej niż Talleyrand.

Na cztery dni przed wyjazdem Aleksandra z Paryża sojusznicy podpisali (30 maja 1814 roku) traktat pokojowy z Francją.

VII

Historyk, chcąc być zupełnie ścisły, winien zaznaczyć w tym miejscu, że to zasadnicze posunięcie, które obrońcy pamięci księcia Talleyranda zapisywali na jego dobro i które uważali za jego wielką dziejową zasługę wobec Francji i postępu (tj. zachowanie w całości obszaru Francji), dokonane było w Paryżu 30 maja 1814 roku, nie zaś w Wiedniu podczas kongresu, który zaczął się z końcem września 1814 roku, a zakończył się w czerwcu roku następnego. Podkreślić również trzeba, że powodzenie Talleyranda podczas tych ma-

jowych paryskich pertraktacji było w znacznym stopniu wynikiem nie tyle jego osobistego talentu, który zresztą zabłysnął wówczas w pełni, ile interesów, nastrojów i układu sił sojuszników, zwycięzców Francji, mających decydujący głos w tych naradach.

Waga sprawy polegała na tym, że dawna Francja, tj. obszar noszący nazwę Francji 1 stycznia 1792 r., zanim rozpoczęły się wojny, rewolucja i Cesarstwo, pozostał w całości przy narodzie francuskim, który zachował równocześnie całkowitą suwerenność państwową. Lecz to nie wszystko. Poza tym pozostały przy Francji jeszcze niektóre nowo nabyte obszary przylegające do Alzacji (do departamentu Górnego Renu), niektóre ościenne tereny południowej Belgii, część Sabaudii, Awinion i inne miejscowości.

Omawiając traktat pokojowy z 30 maja 1814 roku historycy francuscy, których cechuje specyficzna naiwność patriotyczna, wyrażają pewien żal, że Francja nie została „wynagrodzona” po tylu słynnych, zwycięskich wojnach, które trwały dwadzieścia dwa lata. W istocie jednak Francja poniosła całkowitą i ostateczną klęskę, nie wykazała w tym czasie najmniejszej zdolności ani chęci do walki i znajdowała się najzupełniej we władzy zwycięzców; mogła więc oczekiwać (i w rzeczywistości oczekiwała), że Paryż zostanie spustoszony, kraj okrojony, że najlepsze obszary będą odcięte, że nałożone zostaną wysokie kontrybucje, że, jednym słowem, nadeszła chwila, gdy sojusznicy postąpią z Francją tak samo, jak ona za czasów Napoleona postępowała przez długie lata z nimi. Ten odwet ominął Francję, pozostała ona wielkim mocarstwem, zachowała wszystko prócz terenów zdobytych, plonów swych agresywnych wojen. Burżuazyjna, porewolucyjna Francja, zwyciężona przez państwa szlachecko-feudalne, uniknęła jednak rozbioru i znizenia się do poziomu drugo- lub trzeciorzędnego kraju, uratowała również całkowicie swoją suwerenność.

Bez wątpienia traktat z 30 maja 1814 r. należy uważać za najlepszy, nieoczekiwanie szczęśliwy wynik nie tylko dla Francji, lecz z punktu widzenia politycznego i społecznego postępu również dla Europy, gdyż ustrój burżuazyjny reprezentował w tym czasie postęp.

Wszystko to jest prawdą, Talleyrandowi jednak dopomogła w bardzo wielkim stopniu sprzeczność interesów Rosji z dążeniami Prus. Prusy zainteresowane były w zwiększaniu swych posiadłości, w uzyskaniu Alzacji, a nawet, jeśli się to uda, również i Lotaryngii, w nałożeniu na Francję ciężkiej kontrybucji, w całkowitym osłabieniu Francji. Dyplomacji rosyjskiej natomiast odpowiadał zupełnie inny układ sił: mianowicie Francja, która przestała obecnie zagrażać granicom Rosji, winna być dostatecznie silna, by stanowić przeciwagę zarówno dla Prus i Austrii — na lądzie, jak również dla Anglii — na morzu. „Bądź w przyjaźni nie z sąsiadem, lecz z sąsiadem sąsiada” — to była dewiza rosyjskiej dyplomacji nieledwie od czasów bojara Ordyn-Naszcokina. Aleksander, dążąc do „przyjaźni” z sąsiadami, w żadnym wypadku nie życzył sobie jednak, by ci sąsiedzi mieli całkowicie zabezpieczone zaplecze na zachodzie. W maju 1814 roku, podczas prowadzonych w Paryżu rokowań, armia rosyjska była o wiele silniejsza od pruskiej i austriackiej. W ręku Aleksandra leżały losy państw, tak przynajmniej mogło się wydawać. Udając więc, że jak świątobliwy chrześcijanin „odpłaca wspaniałomyślnością” Francuzom, którzy zniszczyli Rosję i spalili Moskwę, car czynił po prostu posunięcia, które zdawały mu się konieczne i które w istocie miały wielką wagę polityczną. Wówczas już postanowił on inkorporować Polskę, a odebranie polskich ziem „wynagrodzić” Prusom przez oddanie im Saksonii. Właśnie z punktu widzenia rosyjskiej racji stanu to przyszłe zwiększenie potęgi Prus wymagało z całą stanowczością, by Francja, która znajdowała się na tyłach Prus, w żadnym razie

nie była zbyt słaba. „Rosjanie chcą, by Niemcy były nadal niezdolne do odparcia napadu!” — z rozpaczą skarżył się zażarty pruski patriota Stein w latach 1814 i 1815, po dwukrotnym spotkaniu się z odmową Aleksandra w sprawie udzielenia Prusom pewnej części terytorium Francji. Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że Stein prawidłowo uchwycił zasadniczą myśl Aleksandra: szło mu nie tylko o Prusy, lecz o całe Niemcy, o zespół państw niemieckich, który mógł się stać niebezpieczny dla Rosji.

Talleyrand, który na początku kwietnia kłamliwie wpajał we wszystkich przekonanie, że on sam tylko ocalił Paryż od zniszczenia i pogromu, obecnie przekonywał i twierdził, iż to on znowu 30 maja uratował Francję od rozbioru. Tak się złożyły okoliczności, że absolutystyczne, szlachecko-pańszczyźniane cesarstwo rosyjskie, mające na widoku swe własne cele, chcąc zabezpieczyć swe zachodnie granice przed zbyt silnym sąsiadem uratowało całość i suwerenność Francji, tj. kraju, który już przed dwudziestu pięciu laty przeszedł rewolucyjną drogę od szlachecko-feudalnego ustroju społecznego do ustroju burżuazyjnego. Rola zaś Talleyranda sprowadzała się głównie do tego, by popierać wszelkie zasadnicze propozycje przedstawicieli Rosji zmierzające do pozostawienia Francji w granicach 1792 roku oraz by uzasadnić przekazanie Francji niektórych wyżej wskazanych nowych obszarów. Ważnym czynnikiem był również fakt, że sojusznicy niezwłocznie po podpisaniu traktatu z dnia 30 maja 1814 roku wycofali się całkowicie z Francji.

W ten sposób tak bardzo żywotna i najbardziej dla Francji zasadnicza sprawa została 30 maja załatwiona. Należało jedynie spowodować, by zbierający się na jesieni kongres w Wiedniu traktował określenie granic Francji jako sprawę już ustaloną.

Powstała jednak konieczność powzięcia decyzji co do dwóch innych, również zasadniczych spraw,

które miały wielkie znaczenie dla Francji. Wokół tych dwóch nierozdzielnie ze sobą związanych kwestii, saskiej i polskiej, rozgorzał bój, w którym Talleyrand musiał wyteńczyć wszystkie swe siły.

VIII

Wielkie znaczenie dla Talleyranda miało ustosunkowanie się Aleksandra do Francji oraz do niego osobiście. I tym razem książę był daleki od optymizmu, pamiętał dobrze okoliczności towarzyszące wyjazdowi cara z Paryża w dniu 3 czerwca 1814 r.

W radzieckim Archiwum Polityki Zagranicznej zachował się w oryginale własnoręcznie pisany i podpisany przez Talleyranda list do cara Aleksandra . List ten zasługuje na szczególną uwagę.

„Nie widziałem Waszej Cesarskiej Mości przed jego wyjazdem i pozwałam sobie uczynić Panu wyrzut z pełną szacunku szczerością najgłębszego oddania" — tak zaczyna się pismo. Talleyrand rzadko i niechętnie pisał własnoręcznie listy; proza, której w nich używał, była równie sucha jak jego natura; ciężki, biurokratyczny styl, którym zawsze wyrażał nieszczerze uczucia i fałszywe myśli, daje się odczuć w każdym zdaniu tej długiej epistoły. „Sire, ważne kontakty dawno już odkry-

ły Panu moje utajone uczucia, a wynikiem jest Pański pozytywny stosunek do mnie. Był on dla mnie pociechą w ciągu wielu lat i dopomógł mi znieść ciężkie próby. Wcześniej dostrzegłem, jaka jest Pańska misja, i czułem, że pozostając nadal Francuzem (*tout Français que j'étais*) mogę współpracować przy projektach Pana, gdyż nigdy nie przestały one być wspaniałomyślne. Pan w całości urzeczywistnił wielką misję, do której był Pan przeznaczony. Skoro jednak postępowałem śladami Pańskiej szlachetnej kariery — niech mnie Pan nie pozbawia nagrody, proszę o to bohatera mej wyobraźni i, śmiem dodać, bohatera mego serca". Tak tłumaczy Talleyrand swe wyczyny w Erfurcie i następne wymuszane i otrzymywane przez całe lata datki pieniężne od „bohatera swej wyobraźni i serca". „Pan ocalił Francję, Pański wjazd do Paryża oznaczał koniec despotyzmu" — kontynuuje Talleyrand i przechodzi do meritum swego listu. Dla zrozumienia treści drugiej i trzeciej strony tej epistoły potrzebne są uprzednio pewne wyjaśnienia. Aleksander był zdania, że jedynym sposobem wzmocnienia chwiejnego tronu Bourbonów byłoby nadanie konstytucji mogącej choć w części uspokoić „niezadowolonych", do których należała armia (co było najbardziej alarmujące), oraz pewien odłam burżuazji i chłopstwa. Obserwując Ludwika XVIII, którego wielką troską w tym właśnie czasie było wykazanie Aleksandrowi za wszelką cenę, o ile to dynastia Bourbonów wspanialsza jest i starsza od dynastii Romanowów, car łatwo skłaniał się ku pogładowi, że przy tak nieprawdopodobnej głupocie, przy takim braku zrozumienia rzeczywistości, przy takich prawdziwie przedpotopowych poglądach król długo nie utrzyma się na tronie. A przy tym Ludwik XVIII był „najmądrzejszym" z Bourbonów, o wiele mądrzejszy od swego brata i następcy, Karola d'Artois, w którego otoczeniu zaczęto już otwarcie mówić o przywróceniu niektórych, uchylonych przez niegodziwych rewolucjonistów praw

pańszczyźnianych do ziemi. Aleksander wywierał nacisk na Bourbonów nie wskutek „liberalizmu” ani z chęci ograniczenia ich władzy, lecz wyłącznie ze strachu przed nowym przewrotem rewolucyjnym, który mogłyby wywołać prowokacyjne i z góry skazane na niepowodzenie zakusy napływającej do Francji emigracji. Talleyrand doskonale rozumiał, jak wielką niedorzecznością jest dążenie do przywrócenia starego ustroju. „Co zrobić z nimi? — powtarzano sobie słowa, które przypisywano Talleyrandowi. — Natura tak zrzędziła, że wszyscy ludzie mają oczy z przodu, by spoglądać w przód, Bourbonowie zaś mają oczy z tyłu, toteż patrzą oni w tył”.

W tych warunkach sytuacja Talleyranda stała się niełatwa.

Zdawałoby się więc, że będąc świadomym, jak szaleńcze i niebezpieczne dla przywróconej dynastii jest podobne postępowanie, powinien był sprzyjać dążeniom do ograniczenia władzy Bourbonów, tak słabo pojmujących chwiejność swej sytuacji. Toteż w kwietniu Talleyrand całkowicie poparł projekt nadania konstytucji. Jednak już w czerwcu, gdy car wyjechał, gdy wojska rosyjskie przygotowywały się do powrotu, gdy wreszcie Paryż i kraj okazywały pokorę — król i jego brat (oraz ich najbliższe otoczenie z księciem Polignac na czele) zaczęli przejawiać pewne zniecierpliwienie z powodu tych „liberalnych” rad i żądań dawanych przez Rosjan. Ze swej strony ultraraja-

liści naciskali usilnie na króla, aby zmusić go do zredukowania znaczenia przyszłych ciał ustawodawczych do roli organów doradczych. Pozbawiony poparcia ze strony cara, Talleyrand nie śmiał już bardzo nalegać na Ludwika XVIII, by wprowadzono konstytucyjne ograniczenia władzy królewskiej. Kameleon i oportunistą ujawnił się niezwłocznie: nie było w jego stylu ryzykowanie ostatecznego zerwania z rojalistami, którzy, nawiasem mówiąc, i bez tego z trudem przezwydzielali swój wstręt i głęboką nieufność do niego. I oto zaczyna on z zupełnie innego tonu: w ślad za Aleksandrem posyła list, w którym kłamie i zmyśla rzeczy niezrozumiałe o tym, że Francuzi są po synowsku przywiązani do swego króla i że wcale nie życzą sobie politycznej „wolności” narzucanej im przez cara itd. W tym miejscu stwarza Talleyrand w swoim rodzaju interesujący i skomplikowany obraz, który mógłby służyć za wzór świadomego kłamstwa, w treści swej uмышленie bezsensownego, chociaż na pierwszy rzut oka ubranego w prawidłową z punktu widzenia gramatyki formę. Talleyrand chce dowieść Aleksandrowi, że żadna w ogóle konstytucja nie jest Francuzom potrzebna. „Często nasza opinia, a raczej nasze gusty kierowały naszymi królami (Bonaparte mógłby jeszcze bardziej bezkarnie przelewać krew Francuzów, gdyby nie chciał podporządkować nas swym ponurym sposobom działania). Ze swej strony formy i manieri naszych monarchów ukształtowały z kolei nas samych (*nous ont façonnés à notre tour*). Z tego wzajemnego oddziaływania na siebie (*de cette réaction mutuelle*) narodzi się, jak pan zobaczy, taki sposób rządzenia i posłuszeństwa (*un mode de gouverner et d'obéir*), który w końcu zasłuży na miano konstytucji (*qui, après tout, pourrait finir par mériter le nom de constitution*)”.

Wszystkie te bzdury Talleyrand pisze do cara, który nigdy mu nie dowierzał, nawet wówczas,

gdy francuskiemu dyplomacie zdarzyło się powiedzieć prawdę.

Tak oto — w marcu, kwietniu i maju 1814 roku Talleyrand jasno pojmował całkowitą słuszość obaw Aleksandra pragnącego ustrzec Bourbonów od nieuniknionych następstw ich bezrozumnych kroków, przy czym zgadzał się najzupełniej z carem, że najlepszym środkiem do osiągnięcia tego celu jest konstytucja; w połowie zaś czerwca tegoż roku tenże Talleyrand zasiada przy biurku i pisze do cara pismo całkowicie odmiennej treści. Żadna konstytucja nie jest Francuzom potrzebna, im nawet nie bardzo potrzebna jest ojczyzna. Potrzebny im jest król: „We Francji król był zawsze czymś więcej niż ojczyzna. Nam wydaje się, że ojczyzna zamieniła się w człowieka”. A więc niech się car nie gniewa, „nawet gdy mu się będzie wydawać, że monarchia ma zamiar zagarnąć z powrotem (*ressaisir*) trochę więcej władzy aniżeli jemu, carowi, wydawałoby się słuszne, a nawet jeżeli będzie miał wrażenie, że Francuzi nie bardzo troszczą się o swoją niezależność (*et les Français — négliger le soin de leur indépendance*)!”

Tu nic nie można poradzić: taka oto jest mentalność Francuzów! Zbyt są oddani swemu ukochanemu królowi Ludwikowi XVIII. Tak są mu oddani, że dobrze im jest i bez konstytucji... a dalej:

Nie powinien Aleksander oczywiście przypuszczać, że Talleyrand zapomina o roli Rosji w zakończonej dopiero co wojnie: to właśnie carskie bagnety przywróciły Francuzom ich ukochanego ojca ojczyzny, króla Ludwika XVIII, bo bez tej pomocy ojciec ojczyzny w żaden sposób nie dostałby się do Tuileries. Lecz niech car zechce łaskawie w niczym już nie krępować króla, który własnym rozumem znajdzie właściwą drogę do uszczęśliwienia swego narodu. „Niech pan nie wątpi, Sire, że jeśli król, którego pan dla nas odzyskał (sic: „*que Vous nous avez reconquis*”),

zechce dać nam pożyteczne instytucje, to winien będzie, zachowując pewną ostrożność, odtworzyć w swej wspaniałej pamięci, czym byliśmy ongiś, by móc wydać sąd o tym, co dla nas będzie odpowiednie".

Innymi słowy Talleyrand niewolniczo powtarza tu wszystko, co w rozmaitych wariantach w dni te oświadczała księżę Polignac, hrabia d'Artois i cała ta wściekła, wygłodzona przez długie wygnanie, zajadła zgraja emigrantów, którzy wraz z nieprzyjacielem powrócili do Francji. W swych projektach politycznych dopuszczali oni jeszcze możliwość wznowienia w przyszłości starych, przedrewolucyjnych instytucji doradczych w rodzaju notabli lub stanów generalnych, w żadnym jednak razie nie godzili się na wydanie konstytucji, która by ograniczyła władzę królewską. T oto Talleyrand, który zawsze uważał i nazywał to arystokratyczne towarzystwo nic nie pojmującymi, tępyimi gadułami, zaczyna posłusznie wygłaszać te same cudaczne, bezsensowne, przedpotopowe rady, te chimeryczne wypowiedzi ludzi, dla których dwadzieścia pięć lat rewolucji i cesarstwa było nierealną senną marą i niczym więcej. Księżę Talleyrand nosił wiele masek, kolejno je zmieniał i mógł udawać, kogo chciał; najtrudniej jednak było mu udawać głupca. W liście do Aleksandra dał tego najlepszy dowód: nie znajduje nawet jasnych, ścisłych wyrazów, by wypowiedzieć te mgliste, trywialnie głupie cudze myśli, które z taką łatwością układały się w obszernej, pustej głowie Karola d'Artois, a które z dużym tylko trudem i wysiłkiem mogły się wcisnąć do głowy Talleyranda, obdarzonego innym umysłem.

Talleyrand wiedział, że Aleksander utrzymywał w Paryżu stosunki z wieloma osobami, a w tej liczbie z marszałkami Napoleona, którzy po jego abdykacji i za jego specjalnym zezwoleniem pozostali na służbie. Aleksander był informowany o bardzo wielu rzeczach, które działy się na nowym królewskim dworze, i wiedział, że rojaliści

typu księcia Polignac sami kopią sobie grób. Zre-
szta i Talleyrand referował mu wiele spraw, gdy
szukał potężnej protekcji cara. Lecz tak było
w marcu — kwietniu — maju, w połowie czerwca
zaś trzeba było konsekwentnie dostosować się do
ogólnego tonu. Nie było innego sposobu. „Sire,
zgadzam się z tym, że widział Pan w Paryżu wielu
niezadowolonych", lecz czym to sobie tłumaczyć
poza zbyt szybką zmianą wypadków? To bardzo
proste: „Paryż to miasto uposażeń", urzędniczych
płac (*les appointements*). Nawet od tego tyrana
Bonapartego Paryż odsunął się dopiero wtedy, gdy
zaprzestano wypłaty uposażeń. Gdyby Napoleon
kontynuował wypłatę pensji wyższym urzędnikom,
panowałyby nadal. Cała płytka trywialność tych
„wyjaśnień" jest tym bardziej dziwaczna, że
w rzeczywistości stanowi ona czystą fantazję: upo-
sażenia były urzędnikom wypłacane punktualnie
aż do końca Cesarstwa, krótka zaś przerwa spowo-
dowana była właśnie tym, że w krytyczne dni,
gdy duża ilość złotej monety wysunęła się z rąk
Napoleona, lecz nie doszła jeszcze do Bourbonów,
część tego złota zabłądziła po drodze do przestron-
nych kieszeni Talleyranda.

Ten na wskroś fałszywy w swej treści i tonie
list Talleyranda kończy się jednym z tych wysko-
ków, często stosowanych przez niego wobec Alek-
sandra, którego podejrzliwości nie doceniał, a któ-
rego sentymentalizm wyolbrzymiał. W rezultacie
rzecz taka nigdy mu się nie udawała. Mamy na
myśli jego pozornie „pod wpływem chwili powsta-

łe", a w rzeczywistości dokładnie obmyślane odwoływanie się do uczuć cara, do jego religijnych i monarchicznych ideałów. „Sire! Niech szlachetna dusza Pana nabierze trochę cierpliwości. Niech mi Pan Pozwoli jako prawdziwemu dobremu Francuzowi prosić Pana w starej francuskiej mowie o zezwolenie zachowania odwiecznego nawyku miłości do naszych królów. Chyba Pan nie będzie negował wpływu, jaki uczucie takie wywiera na wielki naród!" Innymi słowy, niech Aleksander uwierzy, że francuski naród nie mniej patriarchalnie przywiązany jest do swych Bourbonów niż rosyjski naród „kocha” swych carów. A jeżeli tak jest, to z konstytucyjnymi gwarancjami nie należy się spieszyć!

Oczywiście Talleyrand nie mógł przypuszczać, że tymi obłudnymi, patetycznymi frazesami w czymkolwiek przekona Aleksandra. Dla niego nie to jednak było ważne; należało przed wyjazdem na kongres do Wiednia umocnić swe stanowisko w Paryżu, na dworze Ludwika XVIII, gdzie — jak mu było wiadome — skrajni rojaliści kopali pod nim dołki. Częściowo osiągnął ten cel. W każdym razie mógł wyjechać na kongres bez obawy nagłej dymisji.

Talleyrand wiedział jednak, że w liście do Aleksandra nie można pisać rzeczy, które z całkowitą przychylnością i wiarą połknie bez skrzywienia ktoś w rodzaju Karola d'Artois. Dlatego też wypowiedziawszy te wszystkie banały o żywiołowej miłości francuskiego narodu do Bourbonów, Talleyrand staje się w ogóle liberałem na przestrzeni jednego czy też półtora wiersza swego listu. „Zresztą zasady liberalne zmieniają się wraz z duchem czasu, a więc trzeba będzie do nich wrócić; jeżeli

Wasza Cesarska Mość zechce zawierzyć memu słowu, to obiecuję Panu, że mieć będziemy monarchię połączoną z wolnością..."

Książę Benewentu nie miał sobie równego w umiejętności formułowania pustych i w niczym nie obowiązujących frazesów.

IX

Wydane po raz pierwszy w latach 1919—1920 przez Karola Dupuis raporty, pochodzące zarówno z pruskiego, jak i z austriackiego archiwum państwowego, jednomyślnie stwierdzają następujący fakt: od połowy czerwca do dnia wyjazdu do Wiednia Talleyrand zabiega o zbliżenie z Rosją, podczas gdy faktyczny pierwszy minister i faworyt Ludwika XVIII, hrabia Blacas, pracuje nad zbliżeniem z Austrią i Anglią. „Wydaje się, że książę Benewentu coraz ściślejsze utrzymuje kontakty z posłem rosyjskim... Możliwe, że takie stanowisko w stosunku do Rosji jest środkiem nie tylko do urzeczywistnienia swych celów, lecz również do utrzymania się przy władzy", gdyż wpływ jego w ministerstwie słabnie — tak pisze do Berlina przedstawiciel Prus, hrabia Holtz .

To samo potwierdza również austriacki agent Bombelles w raporcie z 14 czerwca do Metternicha. Bombelles przyjęty był przez Ludwika XVIII, który tak samo jak jego faworyt i minister, hrabia Blacas, propaguje zbliżenie Francji z Austrią. Z drugiej zaś strony „książę Benewentu w danej chwili nie ma żadnego wpływu. Często żali się on nawet z tego powodu, czyniąc to zresztą dość

niezgrabnie. Osoby dobrze poinformowane twierdzą jednak, że pozostanie on u władzy i że król, choć znacznie ogranicza zasięg jego działalności, zbyt jednak ceni jego rzeczywiste uzdolnienia, by obejść się bez niego całkowicie" — tak donosił Metternichowi Bombelles.

W ogóle po powrocie króla, gdy Bourbonowie i ich zwolennicy na dobre osiedli już, urządzili sobie życie i poczęli rozglądać się wokoło, sytuacja Talleyranda stała się niezbyt przyjemna. Co prawda, za swe ostatnie zasługi z marca i kwietnia udało mu się wyżebrać dla siebie od Ludwika XVIII portfel ministra spraw zagranicznych, a dla swych krewnych — rozmaite nominacje i datki. Poza tym, gdy (przed przyjazdem Bourbonów) stał on na czele rządu, zdołał wyszukać w urzędowych archiwach dokumenty dotyczące stracenia księcia d'Enghien, hiszpańskiej wojny i szereg innych kompromitujących go materiałów, które z łatwością udało mu się zniszczyć; zdążył również drogą rozmaitych machinacji przywłaszczyć sobie, większą ilość pieniędzy skarbowych w złotej monecie. Nam osobiście nie wydaje się przekonywająca podawana przez Barrasa suma otrzymanych łapówek i defraudacji dokonanych przez Talleyranda w roku 1814 w związku z restauracją Bourbonów (lub otrzymana za tę restaurację): dwadzieścia osiem milionów franków. Barras był wrogiem Talleyranda, a poza tym spoglądał zawistnym okiem na cudze łapówki. Tak czy owak, nowe miliony zostały uzyskane w ciągu tych dni (choć może nie dwadzieścia osiem) i szczęśliwie dodane do poprzednich zasadniczych milionów, pozostałych jako wynik służby Talleyranda przy Napoleonie. Poza pieniędzmi zachował również udzielne księstwo Benewentu, nadane mu przez Napoleona, oraz otrzymane od niego odznaczenia. Wszystko to sprawiało mu przyjemność.

Natomiast przykre było to, że w bardzo krótkim

czasie nowy król oraz cała rodzina Bourbonów, a za nimi dworzanie i nowi dygnitarze zaczęli okazywać bardziej niż negatywny stosunek do właściwości duchowych Talleyranda; wydawało się, że wcale nie mają oni zamiaru uważać go za głównego twórcę restauracji starej dynastii i za swego dobrodzieja. Książę d'Angoulême (brataniec króla) i jego żona objawiali w stosunku do niego uczucie bardzo zbliżone do obrzydzenia. Co zaś do samego króla, to był on nastrojony sceptycznie i ironicznie, umiał i chciał mówić mu rzeczy przykre. Dość opryskliwy był także brat króla, Karol d'Artois, późniejszy Karol X.

Również u dworskiej arystokracji papiery księcia Talleyranda nie stały wysoko. Arystokracja ta składała się ze starej, przeważnie emigranckiej szlachty, która powróciła z Bourbonami, oraz z nowej, napoleońskiej, która zachowała wszelkie tytuły nadane jej przez cesarza.

Jak jedni, tak i drudzy skrycie nienawidzili i pogardzali Talleyrandem. Starzy arystokraci nie mogli mu wybaczyć religijnego i politycznego odszczepieństwa na początku rewolucji, odebrania majątków duchowieństwu, wystąpienia przeciwko papieżowi w sprawie o wyświęcenie księży, tj. całego jego postępowania w okresie lat 1789—1792. Oburzano się z powodu jego udziału w zabójstwie księcia d'Enghien, z powodu jego aktywnej pomocy dyplomatycznej przy łowieniu przez policję arystokratów-emigrantów rozsianych po rozmaitych krajach. Poza tym napoleońscy książęta, hrabowie i marszałkowie dumni byli z tego, że z nielicznymi wyjątkami złożyli przysięgę Bourbonom dopiero po abdykacji cesarza i uczynili to jedynie wobec wyraźnego zezwolenia danego przez Napoleona już po abdykacji. Na Talleyranda, Fouché i Marmonta patrzyli jak na haniebnych zdrajców, którzy opuścili Napoleona i wbili mu nóż w plecy właśnie w chwili, gdy wszystkimi siłami walczył z całą Europą o zachowanie całości obszaru Francji.

Wreszcie, jedni i drudzy wiedzieli nie tylko o zbyt bezceremonialnym stosunku Talleyranda do pieniędzy skarbowych i o pobieranych bez przerwy i bez końca łapówkach, lecz jeszcze wyolbrzymiali uzyskane przez niego kwoty. Powtarzali oni dowcip, wymyślony przez niewiadomą osobę, który na początku 1814 roku dostał się do prasy (do gazety „*Le Nain Jaune*”): „Księżę Talleyrand dlatego jest taki bogaty, że zawsze sprzedaje tych, którzy go kupili”. Ta podwójna operacja handlowa, stanowiąca podstawę wszystkich transakcji finansowych Talleyranda na przestrzeni całego jego ziemskiego bytowania, bardzo dokładnie omawiana była nie tylko w salonach za plecami zainteresowanego, lecz również i w prasie.

Po raz pierwszy od czasu rewolucji poczuł Talleyrand na własnej skórze całą niedogodność nawet tak ograniczonej wolności prasy, z jakiej można było korzystać w 1814 r. po wprowadzeniu w życie przepisów konstytucji. Jeszcze przy Dyrektoriacie trzeba było znosić od czasu do czasu zuchwalstwa dziennikarzy, za to przy Napoleonie, w latach od 1799 do 1814, nikt nie ośmieliłby się drukować rzeczy nieprzyjemnych nie tylko o takich osobistościach, jak Talleyrand, lecz nawet o kucharzach i lokajach ówczesnych dygnitarzy. Jednak ostatecznie te docinki i przykrości mógł Talleyrand do czasu tylko ignorować. Był przecież potrzebny, niezastąpiony i Bourbonowie chcieli go całkowicie wykorzystać. Znaczenie jego znowu wzrastało. Został mianowany pierwszym ministrem z pozostawieniem mu teki ministra spraw zagranicznych. Wreszcie, na jesieni, udał się jako przedstawiciel Francji na kongres wiedeński.

Nowe dokumenty, pochodzące z Archiwum Państwowego w Wiedniu, które stały się dostępne dla Francuzów i Anglików dopiero w roku 1918, po rozgromieniu Austrii z końcem pierwszej wojny światowej, wydrukowane zostały przez Karola Dupuis z dużymi niestety skrótami i włączone w sposób nie usystematyzowany w jego pracę.

Rzucają one nowe światło na niektóre szczegóły działalności Talleyranda w Wiedniu podczas opracowywania umowy z dnia 3 stycznia 1815 roku. Okazuje się, że rodzina królewska (Ludwik XVIII i hrabia d'Artois) oraz minister Blacas nie zaniechali swych tajnych stosunków z agentem Metternicha Bombelles'em, który pozostał w Paryżu. Powodem tych kontaktów był przede wszystkim brak zaufania Bourbonów do swego uzdolnionego, lecz nie dość obojętnego na złoto rosyjskie przedstawiciela w Wiedniu; ta ich postawa, wyraźnie wroga w stosunku do Aleksandra i z tego względu przyjazna w stosunku do Austrii, spowodowała i przyspieszyła zbliżenie Talleyranda do Metternicha i do Castlereagh'a.

Metternich bowiem już we wrześniu 1814 r., w chwili rozpoczęcia kongresu, obawiał się zbliżenia między Talleyrandem a Aleksandrem, tak że Bombelles musiał go z Paryża uspokajać. „Nie wątpię — pisał Bombelles do austriackiego kancлера — że da pan sobie z nim [Talleyrandem] radę choć zobaczy pan, jak wiele jest w nim złej woli (*beaucoup de mauvaise volonté*)... Jestem zdania! że interes Francji i jej króla będzie zawsze dla pana z Benewentu (*M. de Benevent*) odgrywał drugorzędną rolę i że interes pana Talleyranda bez wątpienia będzie bliższy jego sercu" — tak ironizuje Bombelles w piśmie z dnia 15 września 1814 r. z Paryża .

Nowa karta otwarła się w życiu Talleyranda. Posiada ona wielkie dziejowe znaczenie, daleko większe aniżeli cała jego dotychczasowa działalność.

Rozdział 5

Talleyrand na Kongresie Wiedeńskim. Sto dni

Wrzesień 1814 — czerwiec 1815

I

Talleyrand musiał walczyć w Wiedniu w latach 1814—1815 z przeciwnikami, którzy, z wyjątkiem Metternicha i Aleksandra, nie przewyższali poziomu miernot dyplomatycznych i których w najlepszym razie należało określić jako „przeciętnych urzędników”. Tak na przykład Castlereagh'a i pozostałych angielskich dyplomatów, jak również przedstawicieli Prus mógł się zupełnie nie obawiać. Ludzie ci byli wprawdzie świadkami, a nawet uczestnikami doniosłych wydarzeń historycznych, najczęściej jednak nie pojmowali ani ich istotnego charakteru, ani znaczenia. Wlekli się wciąż jeszcze po tradycyjnych utartych szlakach dobrego, starego, wytwornego XVIII wieku, kiedy prowadzono — według ówczesnego określenia — „gabinetowe wojny” i uznawano jedynie „gabinetową politykę”, kiedy zamieniano, sprzedawano i kupczono „duszami” poddanych, tak jak to czynili właściciele pańszczyźnianych włości („duszami” — *les âmes* — nazywano też wprost przehandlowanych wiernych poddanych w dyplomatycznych dokumentach kongresu wiedeńskiego). Na kongresie wiedeńskim nie liczono się absolutnie z dążeniami, obyczajami i uczuciami poszczególnych narodów! „Naród milczał”. Talleyrandowi również nie wydawało się to wcale nienormalne i pod tym względem nie różnił się w niczym od Metternicha i Aleksandra.

Krytycy zarzucali Williamowi Pittowi Młodsze-

mu, który jednak o kilka głów przerastał swych następców, że w walce z Francją został zahipnotyzowany przez ten punkt na mapie, z którym walczyl od czasu młodości, i że nie dostrzegł tam zmiany ludzi. Nie zauważył, że na tym miejscu, w tym samym Paryżu, gdzie przez tak długi czas zmieniali się i kolejno przemawiali w imieniu Francji wystrojeni i sztywni, upudrowani starożytni eleganci wersalskiego dworu, stoi przed nim nie pudrowany wykwintniś, lecz Czingiz-chan, i że gra idzie już obecnie nie o przyłączenie lub oderwanie skrawków obszarów w Indiach, nie o prawo do połowu dorszy wokół brzegów Nowej Fundlandii, lecz po prostu o byt królestwa angielskiego.

Obecnie, w roku 1814, minął zaledwie krótki okres od chwili, kiedy po rozpaczliwych wysiłkach całej Europy ów Czingiz-chan został obalony. Mężowie stanu jednak, którzy zjechali się w jesieni 1814 roku do Wiednia dla przeprowadzenia nowego podziału obszarów i narodów, nie bardzo zdawali sobie sprawę z dziejowego znaczenia ubiegłego krwawego ćwierćwiecza. Przeciętny dyplomata, przeciętny polityk na kongresie wiedeńskim skłonny był przypuszczać, jak zresztą większość ludzi stanu szlacheckiego ówczesnej Europy, że rewolucja i Napoleon — to huragan, który przeszedł raptownie, który minął już na szczęście bezpowrotnie, i że obecnie należy tylko uprzętnąć szczątki, usunąć uszkodzenia i życie popłynie dawnym trybem}

Jedynie stosunkowo mała liczba osób pojmowała, że całkowite przywrócenie starego porządku na najwyższym odcinku, tj. dawnego ustroju społecznego i ekonomicznego, nie uda się ani we Francji, gdzie ustrój ten został obalony przez rewolucję, ani w pozostałych krajach, gdzie Napoleon zadał mu straszne ciosy, i że z tego też powodu niemożliwa będzie całkowita restauracja polityczna i obyczajowa. Między reakcjonistami rozumieli to i z goryczą stwierdzali tylko niektórzy myśliciele. „Próżno głosi Ludwik XVIII, że zasiadł na

tronie swych praojców, wstąpił bowiem i objął tron Bonapartego, o praojcowskim nie może już być mowy" — tak mówił z żalną ironią Józef de Maistre, wskazując na to, że we Francji zachowano cały społeczny, administracyjny i obyczajowy ustrój istniejący za czasów Napoleona, z tą tylko różnicą, że na szczycie, na miejscu cesarza siedzi król i że wydano konstytucję. W dziedzinie stosunków międzynarodowych istniało więcej jeszcze złudzeń, z budzącymi się wśród burżuazji „narodowymi” dążeniami nikt liczyć się nie chciał; do wszystkich tych metod dyplomacji „starego reżymu”, polegających na zupełnie bezceremonialnym traktowaniu całych narodów i państw, na ich kupowaniu, sprzedaży i wymianie, doszły jeszcze wspomnienia o niedawno przeżytym okresie napoleońskim. Jeżeli narody Europy cierpiały i milczały, kiedy w podobny sposób obchodził się z nimi Napoleon, to czy warto w przyszłości liczyć się z ich dążeniami i marzeniami?

Zasadę „legitymizmu”, którą przyjęła i oczywiście musiała przyjąć cała absolutystyczna reakcyjna Europa oraz rządząca w Anglii arystokracja, wykorzystał Talleyrand jako argument w obronie interesów Francji; w ówczesnych bowiem warunkach Francja mogła jedynie skorzystać na przywróceniu jej dawnej pozycji wielkiego mocarstwa i dawnych granic, których nie była w stanie wywalczyć siłą zbrojną. Ta sama zasada „legitymizmu”, zasada powrotu do granic państwowych sprzed rewolucji, pomogła Talleyrandowi ochronić Saksonię od przyłączenia do Prus, co miało wielkie znaczenie dla Francji.

Na kongresie wiedeńskim talent dyplomatyczny Talleyranda zabłysnął w pełni. Później, do końca swego życia, wskazywał na kongres wiedeński jako na ten okres, kiedy uporczywie — i skutecznie — walczył o sprawę swej ojczyzny przeciw zgrai wrogów w najtrudniejszych, zdawałoby się beznadziejnych warunkach, w jakich może znaleźć się

tylko dyplomata nie mający za sobą żadnej realnej siły.

Francja była pobita, wyniszczona przez długie, krwawe wojny, niedawno przeszła inwazję. Przeciwno sobie miała na kongresie, jak poprzednio na polach bitew, koalicję złożoną ze wszystkich większych mocarstw: Rosji, Prus, Austrii, Anglii. Gdyby państwa te umiały zachować na kongresie jakąkolwiek jedność w działaniu, Talleyrand musiałby ulec. Lecz sprzeczność interesów istniejąca w łonie koalicji stwarzała podatny grunt dla jego działalności.

Natychmiast po przyjeździe do Wiednia, we wrześniu 1814 roku, Talleyrand zaczął snuć skomplikowaną i misterną sieć intryg, która miała poróżnić wrogów Francji i przyspieszyć nieunikniony zresztą rozpad antyfrancuskiej koalicji. Pierwsze kroki nie były łatwe, a opinia, jaką miał książę, jeszcze bardziej utrudniała jego sytuację. Nie szło tu o ocenę charakteru księcia Talleyranda, nie o to również, że na kongresie nazywano go (oczywiście za jego plecami) największą kanalią stulecia, „*la plus grande canaille du siècle*”. Również nie to było ważne, że pobożny, faryzeuszowski, katolicki Wiedeń oraz wszyscy obecni na kongresie monarchowie i książęta, szukający wówczas w mistycyzmie najlepszego ich zdaniem antidotum przeciwko rewolucji, pogardzali pozbawionym święceń i ekskomunikowanym biskupem z Autun, który kiedyś zdradził i sprzedał rewolucjonistom katolicyzm. Nawet i to nie było ważne, że mimo wszelkich przebiegłych starań Talleyranda nie przestano go uważać ani na chwilę za zabójcę księcia d'Enghien. Inna rzecz drażniła ich w związku z jego osobą: wszyscy ci monarchowie i ministrowie stykali się przecież z Talleyrandem w ciągu pierwszej połowy panowania Napoleona. To właśnie on po każdym zwycięstwie Bonapartego ubierał w formę prawną terytorialne i pieniężne grabieże, których dokonywano na zwyciężonych zgodnie z rozkazami i poleceniami Napoleona. Nigdy, ani

razu, nie podjął nawet próby powstrzymania go od wszczęcia konfliktu lub agresji dyplomatycznej, od wojen i podbojów. Najbardziej nadęte, wyzywające noty, będące prowokacją do wojny, układał właśnie Talleyrand; on też był autorem najbardziej ubliżających i jadowitych pism redagowanych przy łada starciu dyplomatycznym; tak na przykład jego dziełem była wspomniana wyżej odpowiedź wysłana w roku 1804 do cara Aleksandra w sprawie stracenia księcia d'Enghien, gdy powołując się na zabójstwo Pawła dawał do zrozumienia, że Aleksander brał w tym udział.

Talleyrand działał jako posłuszne i utalentowane pióro Napoleona, a pióro to zraniło wielu spośród tych, którzy zebrali się obecnie w Wiedniu. Znacznie później, również i w swych pamiętnikach, Talleyrand szeroko i wylewnie biadał często nad tym, jak to Napoleon nie oszczędzał zwyciężonych, deptał ich godność ludzką itd. Ma co do tego zupełną słuszność, zapomina tylko dodać, że on właśnie był najbardziej sprawnym i dokładnym wykonawcą woli cesarza. Obecnie przedstawiciele państw, przez tak długi czas poniżanych i bezlitośnie eksploatowanych, oraz dyplomaci pamiętający jeszcze bolesne ukłucia przez tyle lat znoszone w pokorze — znaleźli się oko w oko z tym pyszałkowatym i obłudnym dygnitarzem, z tym „sekretarzem tyрана”, którego jarzmo udało im się wreszcie zrzucić.

Ku ogólnemu jednak zdziwieniu ten „sekretarz tyрана” zachowywał się na kongresie tak, jak gdyby był ministrem nie zwyciężonego, lecz zwyciężonego państwa; toteż nie bez racji powiedział o nim wówczas podrażniony tym Aleksander: „Nawet i tu udaje on ministra Ludwika XIV”. Talleyrand rzeczywiście po mistrzowsku prowadził swą tak trudną, na początku prawie beznadziejną grę i przyspieszył rozbicie antyfrancuskiej koalicji.

Ten sukces dyplomatyczny pociągnął za sobą drugi, nie mniejszy od pierwszego. Prusy rościły sobie pretensje do wszystkich posiadłości króla

saskiego, którego zjednoczona przeciwko Napoleonowi Europa chciała ukarać za jego sojusz z Napoleonem. Do takiego wzmocnienia Prus Talleyrand za wszelką cenę nie chciał dopuścić i istotnie nie dopuścił. Prusy otrzymały jedynie najmniej wartościową część Saksonii. Pomimo wszelkich starań nie mógł on wprowadzić zapobieg „połknięciu” Polski przez Aleksandra. Francja nie tylko zachowała wszystko to, co uzyskała dzięki poparciu Rosji na podstawie traktatu paryskiego, lecz Talleyrand nawet nie dopuścił w Wiedniu do postawienia na porządku dziennym jakichkolwiek punktów dotyczących tej kwestii, pomimo że niektóre państwa dążyły do rewizji traktatu. Talleyrand wysunął „zasadę legitymizmu” jako podstawę, na której od chwili obecnej winno być oparte całe prawo międzynarodowe. Owa „zasada legitymizmu” winna była na trwałe zapewnić Francji granice, które posiadała ona przed okresem wojen rewolucyjnych i napoleońskich; zasada była w danej sytuacji bez wątpienia dogodna dla Francuzów, nie mających siły do skutecznej obrony na wypadek nowych wojen.

Broniąc więc z powodzeniem interesów nowej burżuazyjnej Francji przeciwko feudalnej Europie, Talleyrand zastosował w tej sprawie właśnie z charakterystyczną dla siebie pomysłowością jak najbardziej feudalną, jak najbardziej monarchistyczną argumentację: „zasadę legitymizmu”. Szczęrzy zęby i gotowi do rozszarpania znieprawidzonego „kraju rewolucji” pruscy pretendenci musieli zrezygnować ze swej zdobyczy. Dokonać podziału pokonanej i osłabionej Francji nie udało się ani w Paryżu, ani w Wiedniu. Pomogła w tym Rosja. Jednak już wtedy, podczas kongresu wiedeńskiego, Talleyrand przekonał się wreszcie, że jest rzeczą niełatwą wprowadzić, lecz możliwą oszukać Castlereagh’a i nawet Metternicha, nie mówiąc już o Fryderyku Wilhelmie pruskim, natomiast wywieść w pole Aleksandra, którego Napoleon nazywał „chytrym bizantyjczykiem”,

jest bez porównania trudniej. Talleyrand wiedział, że Aleksander może w przyszłości wykorzystać „zasadę legitymizmu”, by w razie potrzeby, stosując nowe formy, dawną hegemonię napoleońską nad Europą zastąpić hegemonią rosyjską; lecz jako stary dyplomata zdawał sobie również sprawę, że Francja dzięki swym geograficznym i innym warunkom straci na tych ewentualnych zakusach o wiele mniej aniżeli Europa centralna, mniej nawet niż same Prusy, Austria i inne kraje niemieckie. Wprawdzie zależało mu (i to nawet bardzo), by Polski nie oddać Rosji, lecz w tej sprawie poniósł całkowitą porażkę.

Tu właśnie w Wiedniu, w czasie kongresu, dokonał Talleyrand śmiałej i całkowicie udanej próby oderwania Austrii od centralnej Europy, stanowiącej zawsze dla Francji szczególne niebezpieczeństwo. Przeciwno komu bowiem w pierwszym rzędzie skierowana była tajna umowa ze stycznia 1815 r., zawarta pomiędzy Anglią, Francją i Austrią, a zredagowana i zrealizowana przez Talleyranda? Oczywiście przeciwko Rosji i Prusom. Lecz kto poniósł szkodę na skutek tej umowy? Nie Rosja, lecz Prusy. Aleksander I chciał otrzymać Polskę i otrzymał ją, a żadne umowy tajne czy jawne, choć najwyraźniej skierowane przeciwko niemu, nie zmusiły go do opuszczenia Warszawy. W rezultacie Prusy wyszły poszkodowane, nie otrzymały bowiem Saksonii, tj. tej kompensaty, którą uzyskać miały za całkowitą zgodą Rosji. „Problem centralnej Europy”, a więc walki przeciw wzmocnieniu Prus, odwieczny problem dyplomacji francuskiej, został załatwiony dla kilku przyszłych pokoleń. Trzeba było najpierw zgubnych błędów Napoleona III w latach 1866—1870, a następnie, już w naszej dobie, w okresie hitleryzmu lat 1937, 1938 i 1939, świadomej zdrady narodowych interesów kraju, dokonanej dla osobistych korzyści przez kapitalistyczną „góre”, by dwukrotnie podważyć dzieło dokonane w latach 1814—1815, w najtrudniejszych

warunkach, w jakich się kiedykolwiek Francja znalazła, i by przygotować w obronie interesów wielkiej burżuazji haniebną kapitulację nieszczęsnego kraju w czerwcu 1940 roku.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach działalności Talleyranda w latach 1814—1815. Podałszy na wstępie ten schemat osiągnięć i najważniejszych posunięć Talleyranda w Wiedniu w tym celu, by czytelnicy mogli się łatwiej orientować w całej tej skomplikowanej sprawie. Obecnie zaś omówimy w chronologicznym porządku, zatrzymując się na najbardziej charakterystycznych szczegółach, ważniejsze zwycięstwa i porażki francuskiego ministra w owej walce dyplomatycznej.

II

Delegacja francuska przybyła do Wiednia 23 września 1814 roku.

Talleyrand miał już całkowicie opracowany plan działania, lecz doskonale zdawał sobie sprawę, że sytuacja jego nie będzie łatwa: był przecież osobiście pogardzanym przedstawicielem zwyciężonego państwa ...

Już 30 września wysunął Talleyrand ustnie (*verbalement*) następujące trzy zasadnicze żądania: po pierwsze, Francja uzna tylko te uchwały kongresu, które powzięte zostaną na plenarnych posiedzeniach przy udziale wszystkich członków. Po drugie, Francja życzy sobie, by Polska przywrócona została do granic z roku 1805. Po trzecie, Francja nie zgodzi się na rozbiór Saksonii, a tym mniej na pozbawienie jej niezawisłości. Jednocześnie wszczął Talleyrand agitację wśród przedstawicieli małych państw podając się za bo-

jownika o ich prawa przeciwko przemocy wielkich mocarstw, tj. Rosji, Austrii, Anglii i Prus. W krótkim jednak czasie ustalił sobie plan działania na najbliższą przyszłość: zbliżyć się z Anglikami i Austriakami przeciwko Rosji i Prusom.

Sieć intryg przeciwko Rosji, zapoczątkowana na szeroką skalę przez Talleyranda natychmiast po przybyciu do Wiednia, nie mogła oczywiście ująć niepostrzeżenie. Już 13 października austriacka tajna policja doniosła cesarzowi Franciszkowi, że oto markiz La Tour du Pin, należący do świty francuskiego posła, wypowiedział się nieopatrznie: „Francja chciałaby jedynie stworzyć przeciwwagę wobec Rosji. My nie dopuścimy, by z nas drwiono. Posiadamy 400 000 ludzi, którzy gotowi są do działania na pierwszy sygnał. Zbieramy się u Talleyranda codziennie o 4 rano (sic!) i każdy z nas otrzymuje od niego zlecenie”

Talleyrand nie zapominał również o swych osobistych zadaniach: „Bawiąc u księcia de Ligne wypowiadał się przeciwko Rosjanom i wyrażał obawę, jaką w nim budzą ich powodzenia. Podczas tego przemówienia zaanonsowano przybycie pewnego rosyjskiego generała. Talleyrand zmieni natychmiast temat rozmowy i rozplywa się w pochwałach nad Rosją. Księżę de Ligne szepcze mu półgłosem: Przyznaj pan, drogi księżę, że z pana prawdziwy Tartuffe. Na co Talleyrand odpowiada: Mnie wolno wszystko powiedzieć, wszak uważa mnie pan za gadułę”.

Niezliczona chmara szpiegów, szpiclów i innych agentów austriackich, a także obcych, krążyła wokół Talleyranda i jego kwatery w domu francuskiego posła już od pierwszych chwil po przybyciu księcia do Wiednia.

Agent Schmidt skarży się swemu szefowi, prezydentowi policji baronowi Hagerowi, na trudny charakter francuskiego delegata: „Kto choć trochę pozna usposobienie Talleyranda i prócz tego zada sobie trud zapoznania się z rozkładem jego domu, ten od razu zrozumie, jak niełatwą rzeczą jest zorganizowanie skutecznej inwigilacji księcia i śledzenie jego kroków. Obecnie dom ten to prawdziwa forteca, w której Talleyrand utrzymuje załogę złożoną wyłącznie z ludzi zaufanych. Pomimo to udało się nam w końcu zdobyć kilka dokumentów z jego kancelarii. Udało się również przekupić starego sługę, który był na służbie przy trzech francuskich posłach, i wreszcie pewnego dozorcę, czy też kancelistę, który uzyskał dla nas kilka podartych dokumentów znalezionych w biurku Talleyranda”.

Na początku Talleyrand natykał się na zjadliwe uwagi: „Chyba prawo decydowania nie należy do zwyciężonego?” — tymi słowami miał się w dniu 15 października ktoś do niego odezwać (w raporcie agenta do barona Hagera osoba nie została wskazana), gdy księciu przyszło do głowy przeciwstawić się przyłączeniu Belgii do Holandii. Jednak właśnie podczas tych pierwszych, najuciążliwszych dla Talleyranda dni kongresu starał się on ze wszystkich sił „nie spuścić z tonu”. Talleyrand wszelkimi sposobami namawiał Castlereagh'a do bardziej energicznego występowania w „sprawie saskiej”, sam zaś przybrał niejako „dyktatorski” ton przy komunikowaniu się z nim na ten temat. Ten ton był oczywiście przeznaczony

ny nie dla Castlereagh'a, lecz dla tych, którym miał odnośne pismo pokazać.

„Talleyrand i Castlereagh znów są w dobrych stosunkach. Talleyrand po dawnemu jest bardzo zły na Rosjan i Prusaków" — zaznacza w swych notatkach pod datą 16 października 1814 roku baron Hager.

W owym czasie kończył w Wiedniu resztki swego długiego żywota stary, dawno już zdymisjonowany austriacki feldmarszałek i dyplomata (belgijskiego pochodzenia), słynny w swoim czasie ksiązę de Ligne, przyjaciel i zausznik Katarzyny II. Z zainteresowaniem starego fachowca śledził on obrady kongresu, obserwując ludzi i sprawę.

Wkrótce po przybyciu Talleyranda do Wiednia powiedział mu ksiązę de Ligne: „Odgrywa pan obecnie bardzo ważną rolę; to pan jest królem francuskim, a Ludwik XVIII musi tak tańczyć, jak pan mu zagra, bo inaczej byłoby z nim źle". Talleyrand odpowiedział: „Drogi ksiązę, minęło już siedem lat od chwili, gdy Bonaparte zaczął mnie podejrzewać". „Jak to! — wykrzyknął de Ligne — dopiero od siedmiu lat! A ja pana podejrzewam już od lat dwudziestu". Dowcipny de Ligne wyraził w ten sposób powszechne zdanie o Talleyrandzie jako o działaczu, którego całe życie było pasmem zdrad.

W pierwszym okresie swego pobytu w Wiedniu musiał Talleyrand na każdym kroku wysłuchiwać tego rodzaju wątpliwych komplementów.

Język francuski ma jednak liczne aforyzmy, które są odpowiednikiem rosyjskiego przysłowia „obelgi nie czepiają się kożucha", toteż ksiązę

Talleyrand wkrótce zorientował się, że nie zawsze będzie w Wiedniu osamotniony.

Mógł on zauważyć już w pierwszych dniach swego pobytu w Wiedniu, że Rosja jest na kongresie raczej izolowana; nawet Prusy, które oczekiwaly, z łaski Aleksandra wielkich i szczodrych darów, bały się Rosji. Potwierdzają to również i tajni agenci Metternicha.

Tak jak i zawsze stosunek Prus do Rosji był w gruncie rzeczy wrogi, pomimo że z politycznego punktu widzenia były one tak ściśle z nią związane... Gdyby w ogóle doszło do wojny między Rosją a Austrią, to Prusy zawsze staną po stronie tej ostatniej

Tak oto wyglądali ci „najwierniejsi przyjaciele” Rosji na kongresie wiedeńskim, dla których uratowania przelał tyle krwi rosyjski żołnierz. O Metternichu zaś nie ma nawet co mówić, ten potajemnie (a wkrótce nawet otwarcie) wyjawiał swe wrogie uczucia. Cara i jego świtę otoczył siecią szpiegów.

Inwigilacja Rosjan zorganizowana została wyjątkowo starannie. Z zalem donosi 10 października tajny agent swemu bezpośredniemu szefowi, baronowi Hagerowi, o oburzającej podejrzliwości generała Jomini (należącego do świty Aleksandra): „Generał Jomini, który zamyka na klucz swoje akta, kazał przerobić wszystkie zamki, a klucze zabiera ze sobą. Byłoby rzeczą trudną i niebezpieczną w obecnej chwili robić jakieś próby otworzenia jego szuflad. Jednak trzeba będzie pomyśleć o tym, gdy generał wyzdrowieje i znów zacznie wychodzić z domu; wówczas będzie można wydostać na parę godzin któryś z jego notatników. Obecnie posiadamy już odciski nowych zamków”. Rosjanie niepokoiłi więc

Austriaków nie mniej niż Talleyranda i Anglików. Dojrzał spisek dyplomatyczny przeciw Rosji.

III

Agitacja i intrygi Talleyranda przeciwko Rosji miały przede wszystkim na celu szerzenie wśród wielkich państw obawy przed zagrażającą jakoby światu hegemonią rosyjskiego cara. Jeden z członków francuskiej delegacji, książę Dalberg, powtarzał każdemu, kto go chciał słuchać, to, co już w pierwszych dniach października oświadczył austriackiemu prezydentowi policji baronowi Hagerowi zaufanemu cesarza Franciszka: „Talleyranda wyprowadzą w pole. Oznajmiono mu, że co do wielu spraw doszło już do porozumienia. Gdy zaś Talleyrand chciał się dowiedzieć, o co idzie, odpowiadało mu, że stanowi to tajemnicę i że uzgodniono, iż dowie się on o tym we właściwym czasie... My bardzo dobrze wiemy, o co tu idzie. O Księstwo Warszawskie. O polską koronę, która została ustąpiona Rosji, o Saksonię, którą oddano Prusom. Oni doskonale zdają sobie sprawę z tego, że Talleyrand, Labrador (jeden z francuskich delegatów) i ja wsiądziemy do dyliżansu i wrócimy do Paryża w chwili, gdy ta tajemnica będzie nam wyjawiona. Nie rozumiemy wcale polityki p. Metternicha. Jeżeli oddaje on polską koronę Rosji, to przed upływem piętnastu lat Rosja wypędzi Turków z Europy i stanie się jeszcze większym niebezpieczeństwem dla jej wolności, aniżeli był nim kiedykolwiek Napoleon. Możliwe, że Prusy na skutek swego geograficznego położenia podporządkują się Rosji — lecz Austria? Dlaczego Austria zamiast pomagać i współdziałać na rzecz supremacji Rosji nie dąży szczerze do przeciwstawienia się temu kolosowi, który zgniecie ją jak i inne państwa?"

Nikogo nie zastraszały „pogróżki” francuskiej

delegacji, że opuści ona kongres, i mało kto w nie wierzył. Zupełnie inaczej odnoszono się do grózb Aleksandra, że jeżeli kongres nie pójdzie w pożądanym dla Rosji kierunku, car zapewne wróci do Petersburga. Aleksander zaś żądał właśnie tego, czego mu Talleyrand dać nie chciał — mianowicie Polski. Walka była nierówna. Talleyrand kłamał jak najęty na prawo i na lewo, dziś oświadczając, że Francja ma w pogotowiu dwustutysięczną armię, nazajutrz — że armia ta składa się już z 400 000 ludzi.

Pomimo swego sceptycyzmu Stendhal uwierzył legendzie, iż właśnie Talleyrand („człowiek o najbystrzejszym umyśle i najniższych instynktach”), który za pośrednictwem swego agenta generała Rinarda zręcznie szerzył wśród uczestników kongresu pogłoski, że Francja posiada dwustutysięczną armię, zbawił Saksonię dzięki tej „wspaniałej mistyfikacji”. Nie odpowiada to w niczym rzeczywistości. Na kongresie pogłoskom tym nikt nie dawał wiary. Saksonię zbawiło to, iż Aleksander nie miał zamiaru energicznie bronić interesów Prus z chwilą, gdy otrzymał „bez wszelkich zastrzeżeń” Polskę.

Talleyrand rzeczywiście od pierwszej chwili kongresu starał się wszelkimi siłami wywołać wrażenie, że Francja nie jest tak słaba, jak to pozornie wygląda. „Francuska delegacja zdecydowała się zająć na kongresie jak najbardziej energiczne stanowisko. Opracowała ona trzy noty, które przedstawi kongresowi na pierwszym posiedzeniu: w pierwszej z nich Francja prote-

stuje przeciwko przyłączeniu Belgii do Holandii; w drugiej wyklada swój pogląd na przyszły ustrój Niemiec, wysuwając propozycję, by południowe Niemcy znajdowały się pod protektorem Austrii, północne zaś — pod protektorem Prus; wreszcie trzecia nota odnosi się do sprawy polskiej". Wszelkim pogłoskom o rzekomo odbywającej się koncentracji francuskich wojsk itp., które szerzył Talleyrand i jego świta, nikt nie wierzył i nikt się ich nie bał. „Panuje jednak zdanie, że Talleyrand podnosi głos (*grossit la voix*) jedynie po to, by wzmocnić prestiż swego króla i swego kraju, lecz że zarówno on, jak i jego król nie myślą o użyciu siły, gdyż nie wróżyłoby im to nic dobrego. Armia nie jest przywiązana do nowego reżymu [Bourbonów] i w szeregach jej znajduje się wielu stronników Napoleona".

Tajni agenci austriaccy wiedzieli już w dniu 3 października, że Talleyrand przecenił siłę swego intelektu, a nie docenił Aleksandra, gdy i jego postanowił straszyć wojną Francji przeciwko Rosji. „Dobrze, będziemy więc mieli wojnę” — powiedział car; francuski dyplomata zdobył się tu jedynie na słowa, które nie mogły mieć najmniejszego wpływu na jego rozmówcę: „Wasza Cesarzka Mość straci swą sławę obrońcy pokoju świata, jedyną sławę, do której pretendował w Paryżu”. Tak wzniosłe słowa w ustach człowieka, któremu Aleksander w ciągu długich lat systematycznie płacił brzęczącą monetą za każdą szpiegowską informację o Napoleonie, nie mogły oczywiście wyrzucić żadnego wrażenia na carze. Jak zobaczymy, Talleyrand wyszedł z audiencji z niczym.

Pruski pełnomocnik Humboldt powiedział o Aleksandrze: „Car rosyjski jest fałszywy i uparty, przy

pertraktacjach z nim żadna ostrożność nie jest zbyt wielka" Humboldt znacznie lepiej zrozumiał Aleksandra aniżeli Talleyrand. Pierwsza dłuższa audyencja Talleyranda u cara wykazała to zupełnie jasno.

W Wiedniu spotkał się Aleksander z Talleyrandem po raz pierwszy w dniu 3 października podczas audyencji, której mu car udzielił w obecności Nesselrodego. Po kilku zapytaniach o sytuację we Francji, car przeszedł do dwóch ściśle związanych ze sobą zagadnień, które go najbardziej interesowały: do Polski i do Saksonii. „Zachowam to, co zająłem” — oświadczył Aleksander. „Wasza Cesarska Mość, będzie Pan chciał zachować jedynie to, co się prawnie należy”. — „Działam w porozumieniu z wielkimi państwami”. — „Ja zaś nie wiem, czy Wasza Cesarska Mość zalicza Francję do tych państw?” — „Tak, oczywiście, lecz jeżeli pan jest przeciwny temu, by każdy uzyskał to, co mu odpowiada (*ses convenances*), to czego właściwie pan sobie życzy?” — „Dla mnie — odpowiedział Talleyrand — na pierwszym miejscu stoi prawo, a potem dopiero idzie to, co mi odpowiada”. — „Prawem jest to, co jest niezbędne dla Europy!” — „Takie powiedzenie jest obce Waszej Cesarskiej Mości i serce Pana na pewno je odrzuca!” — „Ależ nie, powtarzam: prawem jest to, co jest niezbędne dla Europy”. — „Wówczas (kontynuuje swój raport do Ludwika XVIII Talleyrand) odwróciłem się ku gipsowej dekoracji, koło której stałem, oparłem o nią głowę i uderzając ręką w ścianę krzyknąłem: «Europo! Nieszczęsna Europo!» Obróciwszy się w stronę cara powiedziałem: «Więc trzeba będzie stwierdzić, Sire, że Pan zniszczył Europę?» — Na co on mi odpowiedział: «Raczej wojna, niżelibym miał rzec się tego, co zająłem». Ja zaś opuściłem ręce i przybrawszy postawę człowieka zgnębionego, lecz zdecydowane-

go, która miała wyrażać, że wina nie będzie po mojej stronie — zachowałem milczenie".

Książę Talleyrand rzadko wykazywał brak poczucia śmieszności, jednak w tym wypadku okazał ten mankament bardzo jaskrawo. Przecież to on właśnie w ciągu długiego szeregu lat sprzedawał Aleksandrowi swego „dobroczyńcę” Napoleona i otrzymywał za pośrednictwem hrabiego Nesselrode wynagrodzenie za tę systematyczną zdradę. Obecnie, przed obliczem tego samego Aleksandra i w obecności tegoż Nesselrode, odgrywa on jak najgłupszą komedię zawiedzionych uczuć, przypomina carowi nakazy surowej moralności, bije głową o ozdoby z gipsu, w pozornym nieutulonym żalu opuszcza ręce, w teatralny sposób rozpacza nad „nieszczęsną Europą” — wydaje mu się widocznie, że tą śmieszną pozą potrafi rozczulić Aleksandra, który go przecież zna jako zawodowego złodzieja, łapownika i zdeklarowanego zdrajcę. Obok stał Nesselrode i przyglądał się, jak ten szpieg rządu rosyjskiego (pseudonim: „Anna Iwanowna”), który latami otrzymywał osobiście od niego swą potajemną płacę, przybiera pozy, odgrywa komedię, wyraża pozorny żal lub fałszywą rozpacz i jawnie liczy na to, że Aleksander, uwzględniając ból jego szlachetnej i czystej duszy, szybko rzeknie się Polski, wycofując stamtąd wojsko.

IV

Po tej audiencji Talleyrand nie ukrywał swej irytacji i strapienia.

Tymczasem kierownik rosyjskiego poselstwa w Paryżu, Butiagin, informował hrabiego Nesselrode, że w Paryżu mówią podobno — powołując się na jakiś list Talleyranda — iż książę jest niezadowolony z przebiegu prac na kongresie.

W dniu 23 października 1814 roku odbyło się pomiędzy Talleyrandem a Aleksandrem drugie, decydujące starcie, z którego reprezentant Francji znów wyszedł pokonany, czego się zresztą należało spodziewać. Zbyt nierówne były siły antagonistów. „Jestem w Polsce, zobaczymy, kto potrafi mnie stamtąd usunąć”. Aleksander powtarzał to zdanie w Wiedniu kilkakrotnie, zarówno przed 23 października, jak i po tej dacie. Co mógł mu przeciwstawić Talleyrand? Jedyne wybiegi, które dowodzą, że rozumiał on cara o wiele mniej i sąd o nim miał bez porównania bardziej powierzchowny aniżeli Napoleon, który przed rozpoczęciem inwazji 1812 roku, wysyłając hrabiego Narbonne do Aleksandra przebywającego wówczas w Wilnie, ostrzegał: „Niech pan nie zapomina, że będzie pan rozmawiać z człowiekiem w najwyższym stopniu chytrym”.

Oto w jaki sposób przedstawia ową decydującą rozmowę sam Talleyrand w raporcie swym wysłanym królowi Ludwikowi XVIII do Paryża, w dwa dni po tej rozmowie.

Należy tu dodać, że Albert Sorel dosyć niedbale obszedł się z tym dokumentem. Po pierwsze, fałszywe jest twierdzenie Sorela, jakoby Aleksander był inicjatorem spotkania: Talleyrand pisze o rozmaitych powodach, „które skłoniły mnie do tego, by prosić cara o audiencję”. Po drugie, audiencja odbyła się nie 22, lecz 23 października, tj. w przededniu audiencji Metternicha u Aleksandra.

Po wypowiedzeniu paru uprzejmych frazesów rozpoczął Aleksander rozmowę w taki sposób: „W Paryżu twierdził pan, że istnienie państwa polskiego jest rzeczą niezbędną; jak to się stało, że zmienił pan zdanie?” — „Zdanie moje, wasza Cezarska Mość, pozostało bez zmiany. W Paryżu była mowa o wskrzeszeniu całej Polski. Zarówno wówczas, jak i obecnie chciałbym, by Polska zo-

stała niezależna. Lecz obecnie mówi się o czymś zupełnie innym. Kwestia uzależniona jest od sprawy ustalenia granic, które by Austrii i Prusom zapewniły bezpieczeństwo". — „Państwa te nie mają powodów do niepokoju. A zresztą w Księstwie Warszawskim mam dwieście tysięcy ludzi: niech kto spróbuje mnie stamtąd wygnać. Oddałem przecież Prusom Saksonię, Austria wyraziła na to zgodę". — „Nie wiem — zaproponował Talleyrand — czy Austria się na to zgadza. Trudno byłoby mi w to uwierzyć, jest to przecież zupełnie sprzeczne z jej interesami. Lecz czyż zgoda Austrii może oddać w posiadanie Prus obiekt należący do króla saskiego?" — „Jeżeli król saski nie zrzeknie się [tronu], to będzie wywieziony do Rosji, gdzie pozostanie do końca życia. Jeden król już tam zmarł". — „Wasza Cesarska Mość pozwoli, że nie dam wiary Jego słowom. Kongres został zwołany nie po to, by być świadkiem podobnego zamachu". — „Co, zamachu? Czyż król Stanisław nie wyjechał do Rosji? Co stoi na przeszkodzie, by i król saski tam pojechał? Sytuacja jednego z nich jest zupełnie podobna do sytuacji drugiego. Ja tu nie widzę żadnej różnicy". Po zacytowaniu tych słów pisze Talleyrand do króla Ludwika XVIII: „Zbyt wiele miałem do powiedzenia. Przyznam się Waszej Królewskiej Mości, że nie wiedziałem, jak opanować swe oburzenie". Cesarz mówił szybko. Jedno z wypowiedzianych zdań brzmiało tak: „Myślałem, że Francja ma pewne długi wdzięczności wobec mnie. Pan mi wciąż mówi o zasadach, lecz wasze międzynarodowe prawo jest dla mnie niczym, ja nie wiem, co to jest. Czy pan sądzi, że wasze pergaminy i traktaty mają dla mnie duże znaczenie?" Z tego opisu wynika, że pozbawiony wszelkich zasad car nie może w żaden sposób wznieść się do poziomu najszlachetniejszego, spoglądającego nań z żalonym wyrzutem, świątobliwego Talleyranda. Lecz wiemy przecież, z jaką pogardliwą ironią wyrażali się uczestnicy kongresu o wszystkich owych „szlachetnych" wy-

stąpieniach i oburzeniu wyrafinowanego szachraja i oszusta, złodzieja i łapownika, którego początkowo kupił Napoleon, a który następnie sprzedał tegoż Napoleona. Jest całkiem jasne, że Aleksander, patrząc w oczy sprzedajnego, zdrajcy, który osobiście od niego brał łapówki poczynając od 1808 aż do 1814 roku, ze zjadliwą ironią podkreślał słowa o „w a s z y c h” traktatach, „w a s z y m” prawie międzynarodowym i „w a s z y c h” pergaminach... Wszystkie te upokarzające obelgi, wszystkie dotyczące go osobiście zjadliwe przytyki Talleyrand stara się przedstawić — wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, gdyż zupełnie nie było to w stylu ostrożnego zawsze Aleksandra — jako cyniczne przyznanie się z jego strony do niemoralności politycznej, która gardzi wszelkim prawem międzynarodowym, wszelkimi traktatami.

Talleyrand, widząc, że w sprawie polskiej niczego od Aleksandra nie uzyska, skierował rozmowę na zagadnienie interesujące go o wiele bardziej, tj. na „problem saski”. Tu sprawa również nie poszła gładko. „Istnieje coś, co moim zdaniem stoi ponad wszystkim — jest to moje słowo. Obiecałem Saksonię królowi pruskiemu w chwili zawierania z nim przymierza” — oświadczył car. „Wasza Cesarska Mość obiecał pruskiemu królowi od dziewięciu do dziesięciu milionów dusz. Pan może mu je dać nie niweczając Saksonii”. Talleyrand miał na myśli swój projekt „wynagrodzenia” Prus kosztem drobnych niemieckich państewek. „Król saski zdradził” — powiedział Aleksander. Talleyrand oponował. Po chwili milczenia Aleksander zakończył audiencję słowami: „Król pruski zostanie królem pruskim i saskim, tak jak ja zostanę carem rosyjskim i królem polskim. Ustępliwość, jaką Francja wykaże w stosunku do mnie w tych dwóch sprawach, będzie miernikiem mojej ustępliwości w stosunku do Francji we wszystkich sprawach, które ją mogą interesować”.

Metternich, który nazajutrz (24 października) wznowił z ramienia Austrii atak na Aleksandra,

odszedł również z niczym. Nie dość na tym: między austriackim ministrem a rosyjskim carem wynikła tak gwałtowna kłótnia, doszło między nimi do tak ostrych wypowiedzi, że od tej chwili do samego prawie końca kongresu rozmówcy w miarę możliwości wzajemnie się unikali. Metternich występował na wpół otwarcie z pogrozkami, zaś Aleksander całkiem otwarcie dawał do zrozumienia, że się tych pogrozek nie boi. W każdym razie Metternich nie uciekł się do tych niesmacznych, komedianckich wybryków, do których poniżył się 3 października Talleyrand w nadziei, że swymi patetycznymi wykrzyknikami oraz szlachetnym wezwaniem do wspaniałomyślności i bezinteresowności zdoła cara pozyskać.

„Po słynnej swej rozmowie z Aleksandrem Talleyrand miał podobno oświadczyć, że na skutek rozdrażnienia cara odniósł był wrażenie, iż znajduje się przed obliczem drugiego Napoleona. Podobną uwagę wypowiedział również poseł szwedzki". — Tak donosili w swych tajnych raportach austriaccy agenci, szpiegujący dyplomatów i monarchów, którzy zjechali się w Wiedniu.

Ezeczywisty stosunek Ludwika XVIII do Talleyranda w okresie kongresu wiedeńskiego odsłania agent austriacki Bombelles donosząc 22 listopada (1814 r.) Metternichowi z Paryża: „Król zachował jeszcze nieco wyolbrzymione pojęcie o talentach księcia Talleyranda. Mam pomimo to poważne podstawy do przypuszczania, że daleki jest od okazywania temu ministrowi nieograniczonego zaufania. Talleyranda na dworze raczej się boją, aniżeli go lubią, jednak klika, którą ten kameleon potrafi stworzyć w sferach towarzyskich, wywiera pewien wpływ..." Równocześnie Bombelles opowiada o swej tajnej rozmowie z hrabią d'Artois,

który wyraźnie wypowiedział się za „całkowitym” porozumieniem między Austrią, Francją i Anglią, skierowanym przeciwko Rosji i Prusom²¹.

Wszystkie te spotkania były tajne. Wiedzieli o nich, po stronie austriackiej, Bombelles i Metternich, nie wiedział natomiast oficjalny kierownik poselstwa austriackiego w Paryżu, baron Vincent. Po francuskiej stronie o pertraktacjach pomiędzy królem, hr. d' Artois i ministrem Blacas nie wiedział nikt prócz trzech wymienionych osób, nie powinien był o nich wiedzieć również i Talleyrand.

Lecz książę Talleyrand potrafił się zwykle urządzać w taki sposób, by znać szczegółowo wszelkie sprawy, które miały być przed nim ukryte. Metternich zresztą, mocno zaniepokojony uporem Aleksandra i grożącym Austrii wzrostem potęgi Rosji i Prus, nie miał szczególnych powodów do tajemnicy przed Talleyrandem, że według jego informacji w Paryżu nie dają zgody na skierowane przeciwko Austrii porozumienie z Aleksandrem. Odwrotnie Metternichowi bardzo odpowiadało tego rodzaju zapobieżenie (zawsze, jego zdaniem, możliwym) intrygom Talleyranda na rzecz Rosji. Podkreślić jednak należy, że jeszcze na kilka tygodni przed rozpoczęciem kongresu wiedeńskiego, gdy Bombelles prowadził za plecami Talleyranda pertraktacje z królem, hrabią d'Artois i ministrem Blacas, Talleyrand ze swej strony rozpoczął za plecami króla, hrabiego d'Artois i ministra Blacas pertraktacje — nie z Austrią, lecz z Anglią. Już w sierpniu 1814 roku wiedział Talleyrand od Karola Stuarta, angielskiego pełnomocnika w Paryżu, że z dwóch ważnych dla Anglii powodów Castlereagh wcześniej czy później na pewno pójdzie na porozumienie z Francją: po pierwsze, ze względu na sprawę Polski, po drugie, w celu ostatecznego usunięcia króla Murata z Neapolu i oddania Królestwa Obojga Sycylii Ferdynandowi IV Bourbonowi. Anglia uważała, że powrót

neapolitańskich Bourbonów będzie najodpowiedniejszym rozwiązaniem z punktu widzenia interesów brytyjskich na Morzu Śródziemnym.

Czy można się więc dziwić, że treść rozmów hr. d'Artois z Bombelles'em o pożądanym porozumieniu pomiędzy Francją, Austrią i Anglią dotarła, mimo swego poufnego charakteru, do agentów Talleyranda? Przecież ludzie znający hr. d'Artois mówili, że gadulstwo jego w niczym nie ustępuje jego lekkomyślności.

Gdy te panujące na francuskim dworze nastroje doszły do wiadomości Talleyranda, nie zmieniły one w niczym linii jego postępowania, gdyż — jak na to już wskazano wyżej — on sam również dążył do zbliżenia z Austrią i Anglią przeciwko Rosji i Prusom. Nowe te wiadomości jeszcze bardziej go jednak utwierdziły w decyzji, a przede wszystkim przyspieszyły całą akcję. Niezależnie bowiem od ogólnych korzyści, jakie z tego wynikały dla Francji, szło mu o osobiście o to, by ubiec swych wrogów — hr. d'Artois oraz ministra Blacas, faworyta Ludwika XVIII, i dzięki własnym wysiłkom jak najszybciej odnieść zdecydowany dyplomatyczny sukces.

V

A więc wszystkie „ataki czołowe” zostały przez Aleksandra odparte. Stało się jasne, że car za nic Polski nie odstąpi i że udało mu się pozyskać w tej sprawie konkretną pomoc najbardziej wpływowych sfer polskiej arystokracji. Książa Adam Czartoryski złożył wizytę Talleyrandowi i oświadczył mu, że działa ręką w rękę z Aleksandrem, który obiecuje stworzyć z Księstwa Warszawskiego „Królestwo Polskie” z tym, że „król polski” będzie w Polsce królem konstytucyjnym, pozostając jednocześnie absolutnym monarchą w Rosji. Talleyrand odpowiedział, że wobec tego Francja cofa sprzeciw w sprawie planów Aleksandra. Na skutek przegranej 3, a następnie 23 paździer-

nika Talleyrand skoncentrował wszystkie wysiłki na sprawie saskiej, która od samego początku bez porównania bardziej interesowała Francję aniżeli sprawa polska. Tu dało mu się osiągnąć bardzo wiele. Oczywiście, że walka o Saksonię była łatwiejsza. Przede wszystkim najpotężniejsza osobistość kongresu wiedeńskiego, Aleksander, nie był osobiście zainteresowany w oddaniu Saksonii Prusom, a król pruski nie miał dostatecznej siły, by wywalczyć tę nagrodę obiecaną mu przez cara. Po drugie, Metternich, przegrawszy sprawę polską, postanowił w żadnym wypadku nie dopuścić do aneksji Saksonii przez Prusy; takie jednoczesne wzmocnienie i geograficzne zbliżenie do Austrii obu jej sąsiadów, mianowicie Rosji poprzez Polskę i Prus poprzez Saksonię, stanowiłoby na przyszłość jawne zagrożenie dla monarchii habsburskiej. Dlatego też Metternich uważał za rzecz całkiem naturalną porozumienie w tej sprawie z Francją. Talleyrand zaś za pomocą szeregu zręcznych posunięć skłaniał Metternicha do utworzenia koalicji wszystkich przeciwników Rosji, by przyłączając do niej Anglię, która zawsze gotowa była pójść na tego rodzaju kombinacje, zawrzeć pomiędzy trzema wielkimi państwami coś w rodzaju tajnej umowy, mającej na celu zwalczanie podczas kongresu żądań zarówno Prus, jak i Rosji. Sprawa rozwijała się dobrze, choć według oceny Talleyranda nie dość szybko. Jednak z końcem listopada mógł on już z radością zakomunikować Ludwikowi XVIII: „Do chwili obecnej car Aleksander jest pewny swego. Lord Castlereagh, który czuje się osobiście urażony, choć otrzymał niedawno od Rosjan delikatnie zredagowaną notę, mówi (nie do nas), że jeżeli car nie zechce zatrzymać się na Wiśle, to trzeba go będzie do tego zmusić za pomocą wojny; że Anglia zaangażowana w wojnie przeciwko Ameryce może wystawić jedynie niewielką ilość wojska, lecz że da subsydia, a jej hanowerskie i holenderskie oddziały mogłyby być użyte na dolnym Renie”. Austria ze swej strony

jest również nastrojona wojowniczo: „Księżę Schwarzenberg chce wojny, twierdząc, że obecnie dogodniej będzie ją prowadzić aniżeli za lat kilka”. Jednym słowem, robi się gorąco: „Austria, Bawaria i inne państwa niemieckie mogłyby wystawić trzysta dwadzieścia pięć tysięcy wojska. Dwieście tysięcy pod dowództwem księcia Schwarzenberga przeszłoby przez Galicję i Morawy nad Wisłę. Sto dwadzieścia tysięcy pod komendą generała Wrede wyruszyłoby z Czech do Saksonii, a stamtąd ku Odrze i Łabie”... Wojna winna zacząć się w marcu: „Plan ten wymaga współdziałania stu tysięcy Francuzów” . Wszystko to jest bardzo piękne, lecz niestety ani lord Castlereagh, ani Metternich nie mówią o tym wcale z Francuzami, a przecież jest to rzecz, której Talleyrand pragnie z całych sił; tego rodzaju pertraktacje pomiędzy Anglią i Austrią a zwyciężoną Francją, skierowane przeciwko Rosji i Prusom, oznaczałyby natychmiastowe zniweczenie „koalicji zwycięzców”.

Cały grudzień 1814 r. (a szczególnie jego druga połowa) przeszedł na bezowocnej zgoła korespondencji między delegatem Prus a Metternichem i na równie bezowocnych rozmowach pomiędzy Aleksandrem, Metternichem i Franciszkiem I. Sprawa nie ruszyła z martwego punktu. Jednocześnie problem przyłączenia Polski do posiadłości Aleksandra zawisł w powietrzu, chociaż wydawało się uprzednio, że zgoda innych państw jest zapewniona; lord Castlereagh zaczął protestować przeciwko temu o wiele energiczniej, aniżeli to czynił w październiku, a nawet w listopadzie. Wydawało się, że żadnymi dyplomatycznymi manewrami nie uda się skłonić Prus, by zrzekły się całej Saksonii, ani Aleksandra, by zrzekł się Polski. Wy-

siłki więc Talleyranda, jeśli już nie w obu sprawach — polskiej i saskiej — to przynajmniej w najważniejszej dla niego, uwiecznione zostały powodzeniem.

25 grudnia lord Castlereagh złożył wizytę Talleyrandowi. Po kilku wstępnych słowach Talleyrand zaproponował zawarcie „małej konwencji”, w której uczestniczyliby: on sam, Castlereagh i Metternich. „Konwencję? To znaczy, że pan proponuje mi przymierze?” — zapytał Castlereagh. „Ta konwencja — odpowiedział Talleyrand — może dojść do skutku bez przymierza, lecz jeżeli pan sobie życzy, będzie ona również przymierzem. Co do mnie, to nie mam nic przeciwko temu”. — „Przymierze oznacza wojnę, a my powinniśmy uczynić wszystko, by jej uniknąć”. Na to Talleyrand odpowiedział: „Ja myślę tak samo: należy uczynić wszystko z tym jednak, by nie poświęcić honoru, słusznej sprawy ani przyszłości Europy”. Następnie Talleyrand zaczął zapewniać Castlereagh'a, że wojna o wskrzeszenie Polski będzie popularna w Anglii. Postanowiono zwołać komisję (złożoną z przedstawicieli trzech państw) dla rozpatrzenia sprawy konwencji. Lord Castlereagh pozostał jednak przy swym zdaniu — które zakomunikował Talleyrandowi za pośrednictwem swego brata, lorda Stuarta — że podpis Talleyranda na tego rodzaju porozumieniu nie jest potrzebny. Talleyrand pisząc do króla twierdził, że oburzyła go ta sugestia i że wyjedzie z Wiednia, o ile Anglia i Austria będą się nadal uważać za sprzymierzone przeciw Francji jak za czasów Napoleona. W rzeczywistości jednak nic nie mogłoby go skłonić do wyjazdu z Wiednia, a do oburzania się nigdy nie był zdolny. Postanowił więc czekać, będąc przeświad-

czony, że wrogowie ustąpią. Nie czekał długo. Już 28 grudnia mógł zawiadomić króla, że w pracach komisji bierze udział delegowany przez Talleyranda Dalberg. AA 3 stycznia 1815 r. tajna umowa między Francją, Anglią i Austrią została podpisana.

VI

Nieoczekiwane i sprzyjające Talleyrandowi wydarzenie przerwało wahania lorda Castlereagh i przyspieszyło rozstrzygnięcie. W dzień Nowego Roku bowiem, 1 stycznia 1815, otrzymał lord w Wiedniu wiadomość, że w Gandawie podpisano 24 grudnia traktat pokojowy między Anglią i Ameryką. Traktat ten zakończył niezwykle trudną i wyjątkowo kłopotliwą wojnę, która trwała od 1812 roku. Rozwiązało to od razu ręce angielskiemu ministrowi. Już przedtem, w Paryżu, przy zawarciu ogólnego traktatu pokojowego 30 maja 1814 roku, Talleyrand wykazywał wielką ustępliwość w stosunku do Anglików. Poparcie ze strony Anglii w sprawach europejskich było mu o tyle potrzebne, że prowadzenie z nią całkiem beznadziejnego w tym czasie sporu o kolonie uważał za rzecz pozbawioną sensu.

Wszystkie zdobycze terytorialne, które Wielka Brytania uzyskała w roku 1814, znajdowały się poza Europą. Były to olbrzymie terytoria. Brytyjscy generał-gubernatorowie prowadzili od przeszło ćwierćwiecza, sami je zresztą prowokując, jedną wojnę za drugą na niezmiernych obszarach Indostanu. Lord Cornwallis — od 1786 do 1793 r., sir John Shore, jego następca, od 1793 do 1798 r., lord Wellesley (starszy brat księcia Wellingtona) od 1799 do 1807 r., lord Minto od 1807 do 1814 r. zdobyli olbrzymie tereny na północy, w centrum i na południu Indii. Całe bogate królestwa, jak Bengalia, Madras, Karnatik, Mysor, poza tym szereg wielkich obwodów zamieszkałych przez Mahratów, miasto i obwód Delhi itd.

wszystko to wpadło w ręce Anglików. W ten sposób położono nie tylko trwałe fundamenty ułatwiający podbój pozostałych obszarów Indii, lecz zajęto wypadowe i strategiczne punkty, potrzebne do całkowitego opanowania kraju w przyszłości. Posiadłości francuskie: Mahé, Chandernagor, Pondichéry, Carical, Yanaon sprowadzały się do paru ubogich, nie mających większego znaczenia miast i placówek. Od tej chwili Francuzi nie mogli już nawet myśleć o jakimkolwiek współzawodnictwie z Wielką Brytanią w Indiach. Ich odwieczny spór z Anglikami o Indie został zakończony, wszystkie zdobycze pozostały przy Anglii. W tych warunkach „wspaniałomyślna” zgoda Castlereagh'a na zwrot wyspy Bourbon zagarniętej przez lorda Minto w roku 1810, nie mogła być wielką pociechą dla Talleyranda, tym bardziej że Anglia zachowała dla siebie drugą, o wiele bogatszą wyspę z tej grupy — Ile de France (Mauritius). Anglicy zwrócili również Francuzom zagarnięte podczas rewolucji i panowania Napoleona wyspy St. Pierre i Miquelon, leżące obok wybrzeży Ameryki Północnej, z archipelagu Antylów Martynikę i Gwadelupę oraz trzy niewielkie znajdujące się koło niej wyspy, w Południowej Ameryce zaś — Gujanę. Anglicy zrzekli się również wyspy San Domingo, która jednak uznała faktycznie francuskie zwierzchnictwo dopiero znacznie później.

Jednym z głównych osiągnięć Anglii w walce przeciwko Napoleonowi było nie tylko zaniechanie przez rząd Bourbonów blokady kontynentalnej, lecz i wyrażenie przez nich zgody na wprowadzenie taryfy celnej, która od razu uczyniła z Francji wyjątkowo korzystny i bogaty rynek zbytu dla angielskich towarów. Dopiero od tej chwili uzyskali Anglicy możliwość zbierania obfitych plonów przewrotu przemysłowego drugiej połowy XVIII wieku.

Wszystko to należy sobie uprzytomnić dla zrozumienia, dlaczego stosunkowo tak łatwo zdołał Talleyrand przeprowadzić kombinację, która udać się mogła jedynie przy udziale Anglii. Natychmiast (1 stycznia 1815 r.) po otrzymaniu wiadomości o podpisaniu pokoju z Ameryką Castle-reagh dołączył się oficjalnie do tajnej umowy i w dwa dni później, 3 stycznia 1815 r., umowa została podpisana.

Talleyrand triumfował. Oto w jaki sposób opisuje on to wydarzenie Ludwikowi XVIII: „Koalicja i duch koalicji przeżyły pokój paryski. Moja korespondencja do dnia dzisiejszego dawała Waszej Królewskiej Mości liczne tego dowody. Gdyby projekty, które tu zastałem po mym przybyciu, uległy urzeczywistnieniu, Francja zostałaby izolowana w Europie na pięćdziesiąt lat i nie uzyskałaby żadnego wartościowego zbliżenia [z kimkolwiek]. Wzmogłem moje wysiłki, by uniknąć takiego nieszczęścia, lecz w najśmielszych nawet marzeniach nie przychodziło mi na myśl, bym mógł osiągnąć całkowite powodzenie. Obecnie jednak, Sire, koalicja jest zniweczona, i to zniweczona na zawsze. Nie tylko Francja nie jest już izolowana w Europie, lecz Wasza Królewska Mość bierze udział w takim systemie przymierzy, którego nawet trwające pięćdziesiąt lat rokowania dać by nie mogły". Francja działa w porozumieniu z dwoma wielkimi mocarstwami, trzema państwami drugorzędnymi, a wkrótce „wszystkie państwa nie wyznające zasad rewolucyjnych" pójdą za Francją. W ten oto sposób triumfuje konserwatywny i prawomyślny Talleyrand, który na zlecenie Dantona tak szybko i z takim powodzeniem zredagował 10 sierpnia 1792 roku, po obaleniu Ludwika XVI, prawdziwie rewolucyjną notę, świetnie wyjaśniającą Anglikom, dlaczego naród francuski miał prawo dokonać swej wspaniałej rewolucji. Obecnie jednak słowa dotyczące

„zasad rewolucyjnych" zamieścił Talleyrand w liście do rodzonego brata owego Ludwika XVI raczej dla upiększenia stylu: przecież w roku 1815 nie mogło być nawet mowy o państwach „wyznających zasady rewolucyjne". Jednak doniosłość dla Francji aktu z 3 stycznia, który rzeczywiście wymierzył ciężki cios antyfrancuskiej koalicji, Talleyrand pojął w całej pełni i obiektywnie prawidłowo ocenił.

Gdyby ten ściśle tajny traktat z 3 stycznia 1815 r. doszedł do wiadomości Aleksandra, mógłby wówczas jak najbardziej zepsuć stosunki między wielkimi mocarstwami. Traktat nosi nagłówek: „Tajny traktat o odpornym przymierzu, zawarty w Wiedniu pomiędzy Austrią, Wielką Brytanią i Francją przeciwko Rosji i Prusom 3 stycznia 1815 r." We wstępie mowa jest o tym, że trzy wymienione państwa, mając na względzie ochronę swego bezpieczeństwa i niepodległości (etat *de sécurité et d'indépendance*), zmuszone są „wskutek wysuwanych od niedawna świeżych roszczeń" pomyśleć o „możliwości odparcia wszelkiej agresji", która mogłaby być skierowana przeciwko ich posiadłościom. Wobec tego każde z trzech państw zobowiązuje się w razie napaści na którekolwiek z nich przyjść niezwłocznie z pomocą napadniętemu, przy użyciu wszystkich posiadanych środków. Ustalono, że każde z trzech państw (art. III) zobowiązuje się wystawić stu pięćdziesiąt tysięcy armię, przy czym (art. IV) składać się ona powinna ze stu dwudziestu tysięcy piechoty i trzydziestu tysięcy kawalerii wraz z odpowiednią ilością artylerii. W traktacie znajduje się zastrzeżenie: jeżeli Wielka Brytania nie wystawi w całości oznaczonej ilości wojska, wypłaca za każde-

go brakującego żołnierza dwadzieścia funtów szterlingów. Umowę podpisali Talleyrand, Metternich i Castlereagh.

VII

Warto zaznaczyć, że w Anglii, gdzie nigdy nie dowierzano ani jednemu słowu Talleyranda, nawet gdy mówił prawdę, panowało w dobie rozpoczęcia kongresu wielkie niezadowolenie z posunięć księcia. Książę Wellington, który przebywał jesienią 1814 w Paryżu, bynajmniej nie ukrywał swego rozdrażnienia. W końcu października tegoż roku stwierdził on publicznie: „Pan Talleyrand oszukiwał wszystkich, zapewniając o pokojowych nastrojach Francji, zaledwie przybył do Wiednia stworzył sobie partię z królów byłego [Reńskiego] Związku, by zaimponować czterem wielkim mocarstwom i zapewnić sobie ingerencję w sprawy Niemiec, chcąc tam przywrócić wpływy francuskie...” Wellington miał sam wielką ochotę uczestniczyć w kongresie wiedeńskim, a ponadto był przekonany, że z Talleyrandem sam Castlereagh nie da sobie rady i że takim zadaniu mógłby sprostać tylko osobiście on, książę Wellington. Jeśli chodzi o ocenę Castlereagha, książę miał niewątpliwie rację, błędnie tylko oceniał własną osobę. Nawiasem mówiąc, układ z 3 stycznia 1815 spotkał się z całkowitą aprobatą gabinetu brytyjskiego. Układ ten miał wszak na celu osłabienie dyplomatycznej pozycji Rosji, a o to właśnie Anglii chodziło. Co się tyczy Talleyranda, to jeszcze przed zakończeniem kongresu najbardziej nawet nieufni członkowie gabinetu przestali go podejrzewać o wojenne zamiary względem Anglii. Talleyrand nie czynił najłżejszych prób w kierunku rewizji układu z 30 maja.

Jednakże nawet Anglicy nie wyobrażali sobie

(jeszcze na miesiąc przed podpisaniem układu z 3 stycznia 1815), by bez udziału i wiedzy Talleyranda kongres mógł cokolwiek postanowić. „Odnoszę wrażenie, że p. Talleyrand dokonuje tutaj cudów. Przybył do nas w okresie, kiedy chciano całkowicie izolować Francję, teraz zaś obecność jej daje się odczuć wszędzie. Nie ma ani jednej komisji, w której Francja nie brałaby udziału i gdzie nie liczono by się z jej zdaniem” — oto wypowiedź La Tour du Pin w liście do markiza de Bonnay, a zdanie to podzielał właściwie cały kongres .

„Przebiegły Odyseusz”, jak nazywano Talleyranda, odbył zaiste ciekawą drogę w niespełna trzy miesiące od końca września 1814 roku — gdy jako delegat Francji na kongres nie został dopuszczony do ogólnych zebrań przedstawicieli czterech „sojuszników” — do 3 stycznia 1815, kiedy podpisał on z dwoma spośród owych czterech sojuszników tajne porozumienie wojskowe skierowane przeciwko dwóm pozostałym. Antyfrancuska koalicja została bezpowrotnie rozbita, leżała w gruzach. Zagwarantowane przez zwycięzców układem paryskim z 30 maja 1814 granice Francji pozostały nienaruszone i trwałe. Castlereagh i Metternich byli też zadowoleni, choć zapewne nie w tym stopniu, co Talleyrand. Nie mieli oni żadnej potrzeby „wyjścia z izolacji”, bo nigdy izolowani nie byli, nie odczuwali radości z powodu utrwalenia swoich granic, granicom bowiem Anglii i Austrii nic w danej chwili nie zagrażało. Układ jednak z 3 stycznia, w którym nie było nawet wzmianki o Saksonii czy Polsce, miał dla podpisujących go mocarstw o wiele większe, bardziej ogólne znaczenie: zapewniał obronę na wypadek, gdyby Aleksandrowi przyszyła „ochota wykorzystania daleko już wysuniętej straży prze-

dniej" — „Królestwa Polskiego" — jako bazy wypadowej przeciw Austrii i wskrzeszenia w ten sposób koncepcji ogólnoeuropejskiego imperium pod kierownictwem Petersburga zamiast Paryża. Wszyscy trzej sygnatariusze traktatu sojuszniczego pogodzili się z faktem, że o Polskę nie warto już kruszyć kopij i należy pozostawić ją w ręku Aleksandra; nie chcieli i nie mogli wdawać się z powodu Polski w awanturę wojenną. Aleksander zgodził się ustąpić Prusom Gniezno, Poznań i graniczące obszary z 850 000 ludności, a Wieliczkę i okręg tarnopolski z ok. 400 000 mieszkańców oddał Austrii; Kraków uznano za wolne miasto, całą zaś resztę, „Królestwo Polskie", zagarnął Aleksander.

Natomiast w sprawie saskiej „spiskowcy 3 stycznia" osiągnęli poważne sukcesy. Jeszcze 29 grudnia, podczas narady przedstawicieli Rosji, Prus, Austrii i Anglii, król pruski zażądał włączenia całego królestwa saskiego w skład Prus, czego domagał się zresztą od samego początku kongresu; Aleksander poparł go w pełni. Gdy jednak 8 lutego 1815 doszło w tej kwestii do ostatecznej, decydującej narady, król pruski zmuszony był ustąpić, zaskoczony stanowczym sprzeciwem Austrii, Anglii i Francji, którego nie umiał sobie wytłumaczyć nie wiedząc o tajnym układzie z 3 stycznia. „Aczkolwiek przyłączenie całego obszaru Saksonii jest dla monarchii pruskiej jedyną drogą do uzyskania tej jednolitości i tego ukształtowania (*cet ensemble et cet arrondissement*), jakie gwarantują jej traktaty; aczkolwiek niedogodności, które wynikają z podziału Saksonii i na które zwraca uwagę memoriał z 29 grudnia, mają niemałą wagę zarówno dla wymienionego kraju, jak i dla Prus, a również dla króla saskiego — jego wysokość [król pruski] postanowił... ponieść ofiarę, do której, jak widać, przywiązana jest tak wielka waga, i wyraża zgodę na to, by królowi saskiemu przywrócono część jego dawnych włości" — tymi

słowy, pełnymi goryczy, Fryderyk Wilhelm III zmuszony był poddać się smutnej konieczności. Król saski utrzymywał władzę nad 1 314 337 poddanymi, Prusom zaś przypadło terytorium o 723 380 mieszkańcach. Cały obszar Saksonii (744 mil) został podzielony na dwie, mniej więcej równe części. Najcenniejsze jednak jej tereny z 28 miastami i najbogatszymi przemysłowymi okręgami pozostały w ręku króla saskiego. Późniejsze niewielkie poprawki nie wniosły większej zmiany do owego planu podziału Saksonii. Nie trzeba chyba specjalnie podkreślać (jest to rzecz ogólnie znana), że podział saskich „dusz” i rozstrzygnięcie sprawy polskiej zapadły bez wysłuchania w najmniejszej choćby mierze zdania ludności i bez oparcia się na jej rzeczywistej woli.

Przegrawszy więc sprawę polską, a w znacznym stopniu wygrawszy saską, Talleyrand wygrał całkowicie najpoważniejszą dla siebie stawkę: oto nowa burżuazyjna Francja nie została podzielona przez feudalno-burżuazyjne mocarstwa i ich sojuszniczkę Anglię, najsilniejszą pod względem ekonomicznym; od takiego rozdarcia na części uchroniła Francję Rosja jeszcze 30 maja 1814 r., teraz jednak Francja weszła do grona wielkich europejskich państw jako pełnoprawny członek, a układ z 3 stycznia 1815 r. rozbił groźną dla Francuzów koalicję. Ostatnie posunięcie było jednocześnie zdecydowanym ciosem wymierzonym w cara.

Takie oto były główne zwycięstwa dyplomatyczne Talleyranda; osiągnął je dzięki swej przenikliwości i wytrwałości, w walce z nieprzeciętnymi kontrahentami w osobach Aleksandra I i Metternicha.

Zbieg okoliczności sprawił, że już w pierw-

szych miesiącach 1815 roku, a następnie po zamknięciu Stui Dni, kiedy w szybkim tempie kończono obrady kongresu wiedeńskiego, z punktu widzenia Talleyranda rozstrzygnięte zostały bardzo korzystnie jeszcze dwa zagadnienia niezmiernie żywotne dla Francji: sprawa struktury politycznej Niemiec i sprawa włoska. Niemcy zostały nadal podzielone na drobne państewka, ten sam los przypadł również w udziale Półwypłowi Apenińskiemu. W obu wypadkach decydującą rolę odegrały interesy monarchii habsburskiej, które na kongresie reprezentował Metternich. Talleyrand, który w tych decyzjach nie brał czynnego udziału, jasno zdawał sobie jednak sprawę, że w ostatecznym rezultacie owe wysiłki polityki austriackiej stworzą sprzyjające warunki dla bezpieczeństwa granic Francji.

W taki sposób udało się Talleyrandowi pomóc Saksonii w odzyskaniu samodzielnego bytu i większej części swego terytorium. Nie protestował on natomiast przeciwko uchwale przyłączenia prowincji nadreńskiej do Prus. Wiele sporów wywołała kwestia, czy korzystniejsze było dla Francji zagarnięcie całej Saksonii przez Prusy, czy też przyłączenie do nich prowincji nadreńskiej. W pierwszym wypadku Prusy byłyby niewątpliwie potęgą znacznie większą niż w drugim. Francja byłaby jednak wówczas bardziej oddalona od Prus niż po zawładnięciu przez nie nadreńskimi miastami i ziemiami. Warto zaznaczyć, że na temat pertraktacji w Wiedniu krąży mnóstwo legend, poprzez które jak przez mgłę trudno dostrzec rzeczywiste kontury wydarzeń. Jedną z legend, mało zresztą prawdopodobną, wkłada w usta Talleyranda słowa powiedziane rzekomo do Aleksandra w odpowiedzi na zarzut, iż król saski jest zdrajcą, który walczył po stronie Napoleona: „Wina jego polega tylko na tym, że bał się Napoleona. Ale czyż większość królów, którzy biorą udział w kongresie, nie musiałaby się przyznać do tego samego? Nie należy patrzeć wstecz, Wasza Ce-

sarska Mość, bo każdy z nas musiałby się ru-
mienić".

Przypuszczając należy, że takich śmiałych wystą-
pień nie było, choćby już dlatego, że sam Talley-
rand nic o nich nie wspomina; przecież on bar-
dziej niż ktokolwiek lubił chwalić się swą rzeko-
mo bezkompromisową „szczerością” wobec cesa-
rzy...

Jest jednak rzeczą niewątpliwą, iż Talleyrand
usilnie podsycił obawy Metternicha i Castlereag-
h'a, że „zamiast kolosa nad Sekwaną może wyro-
snać kolos nad Newą”. Owo zagrożenie „rosyjskim
niebezpieczeństwem” stało się odtąd jednym z sza-
blonów francuskiej polityki zagranicznej. W każ-
dym razie Talleyrand nie mógł się już osobiście
niczego dla siebie spodziewać od Aleksandra, roz-
stali się więc chłodno po tym decydującym w ich
życiu spotkaniu politycznym.

VIII

Sojusz i przyjaźń z Anglią; a w miarę możności
również z Austrią w celu wspólnej obrony prze-
ciw Prusom, oraz walka z Rosją, gdyby zamierzała
ona popierać Prusy — oto podstawy, na których
Talleyrand pragnął odtąd oprzeć swą politykę za-
graniczną i bezpieczeństwo Francji. W dobie Re-
stauracji księżę niedługo stał u steru rządów; do-
piero od roku 1830, po rewolucji lipcowej, otrzy-
mał nominację na posła w Londynie i, jak to dalej
zobaczymy, na tym niezmiernie ważnym stanowi-
sku czynił wszystko, co było w jego mocy, aby
wcielić w życie swój program. Późniejsze pokole-
nia burżuazji francuskiej z dużym uznaniem odno-
siły się do działalności Talleyranda podczas kon-
gresu wiedeńskiego.

Dowodzą tego chociażby pełne zachwytu słowa,
które jeden z bohaterów powieści Balzaca „Ojciec
Goriot”, Vautrin, wypowiada o Talleyrandzie, nie
wymieniając zresztą jego nazwiska: „...księżę, na
którego każdy rzuca kamieniem i który gardzi

ludzkością na tyle, aby jej pluć w twarz tyle przysięg, ile odeń wymaga, zapobiegł podziałowi Francji na kongresie wiedeńskim. Powinno by mu się wic wieńce, a obrzuca się go błotem!" Owa myśl, tak gorąco propagowana, że krzywoprzysięzca może „plunąć” w twarz „ludzkości”, o ile tylko jego zdrady w ostatecznym wyniku zapewnią burżuazji realną korzyść i stworzą polityczny kapitał, owo cyniczne przeświadczenie, „że w polityce intelekt stoi ponad moralnością” — są niezmiernie charakterystyczne dla przełomowego okresu, w którym władza przeszła w ręce burżuazji. Bardziej jeszcze może charakterystyczne jest właśnie uroczyste, publiczne ogłoszenie tej zasady, połączone z nieukrywanym zachwytem w stosunku do księcia Talleyrand-Perigord, najdoskonalszego uosobienia całkowitej amoralności.

Nie wszyscy jednak odznaczali się taką swoistą szczerością jak drapieżny balzakowski bohater. Nawet ci działacze polityczni, którzy wszelkimi siłami starali się naśladować Talleyranda widząc w nim niedościgniony dla siebie wzór, nie przedstawiali go szkalować za jego plecami, bacznie śledząc przy tym, z jakim artyzmem ten mistrz intrygi i cyniczny komediant gra na światowej arenie zupełnie nową dla siebie rolę. Rzecz prosta, że najbardziej oburzeni tą niewzruszoną bezczelnością byli jego polityczni wrogowie, a więc dyplomaci feudalno-absolutystycznych państw, przede wszystkim Prus. Ich właśnie chciał Talleyrand w pierwszym rządzie wystrychnąć na dudków. Dyplomaci owi rozumieli, że Talleyrand w Wiedniu sprytnie wydarł im broń z ręki, zanim zdążyli się spotrzeć, i tą właśnie bronią z nimi walczy; powołuje się na „zasadę legitymizmu”, żąda w imię szacunku dla przywróconej we Francji „prawowitej” dynastii nie tylko nienaruszalności francuskiego terytorium, lecz również powrotu środkowej Europy do stanu sprzed rewolucji. W ten sposób

„prawowity” król saski zachował dawne swoje posiadłości, do których zgłosiły roszczenia Prusy.

Najbardziej oburzało przeciwników Talleyranda, że ów człowiek, który w swoim czasie bez wahania sprzedał legitymistyczną monarchię, który służył rewolucji, a potem Napoleonowi, który rozstrzelał księcia 6"Enghien właśnie za „prawowite” jego pochodzenie, który za rządów Napoleona w swych dyplomatycznych pismach i wypowiedziach niweczył, deptał wszystko, co zwano prawem międzynarodowym, wszelkie chociażby aluzje do „legitymizmu” lub podobnych praw — teraz z niezachwianym spokojem i bezwstydnym czołem oświadczył np. delegatowi na kongres wiedeński, Karolowi Wasiliewiczowi Nesselrode: „Pan mi proponuje transakcję, a ja transakcji zawierać nie mogę. Jestem szczęśliwy, że nie posiadam takiej swobody działania jak pan. Pan powoduje się swoim interesem, swoją wolą, ja natomiast muszę kierować się zasadami, a przecież zasady nie mogą być przedmiotem transakcji (*les principes ne transigent pas*)”. Interlokutorzy nie wierzyli wprost własnym uszom słysząc z ust księcia Talleyranda tak ostre wypowiedzi i surowe nauki moralne; był to przecież ten sam człowiek, o którym w tym właśnie czasie pisała cytowana już gazeta „*Le Na-in Jaune*”, że przez całe życie sprzedawał tych, którzy go kupowali. Ani Nesselrode, ani delegat Prus Humboldt, ani Aleksander nie wiedzieli jeszcze, że Talleyrand, który udzielał im podniosłych nauk moralnych, który nawoływał do niezłomnej wierności dla zasady legitymizmu i praworządności, w tym samym właśnie początkowym okresie kongresu wiedeńskiego otrzymał od króla saskiego łapówkę w wysokości pięciu milionów franków w złocie, a od króla badeńskiego milion; nie był im również wiadomy fakt, znany później z pamiętników Chateaubrianda, że Talleyrand miał otrzymać sześć milionów franków (według innych danych: trzy miliony siedemset tysięcy) za żarliwe popieranie w imię zasad legitymizmu roz-

ceń neapolitańskich Bourbonów do Królestwa Obojga Sycylii. Chcąc ułatwić pretendentowi do tronu, Ferdynandowi IV, przesłanie tych pieniędzy, Talleyrand posunął nawet swą uprzejmość i przeзорność tak daleko, iż wysłał do niego swego osobistego sekretarza Perreta.

Poświęcimy nieco uwagi temu ciekawemu incydentowi, tym bardziej że w radzieckim Archiwum Polityki Zagranicznej znaleźliśmy pewne interesujące dane, nie znane dotychczas żadnemu z biografów Talleyranda.

Zarówno Anglia, jak Austria poparły wniosek francuski o przywrócenie tronu Obojga Sycylii dynastii neapolitańskich Bourbonów w osobie króla Ferdynanda IV. Obawiając się, że dotychczasowy król Joachim Murat, figurant Napoleona i jego marszałek, utrzyma się na tronie, Ferdynand przyrzekł Talleyrandowi łapówkę za pomoc i poparcie swej sprawy. W listach do Talleyranda Ludwik XVIII stanowczo domagał się wypędzenia Murata i powrotu Ferdynanda do Neapolu. Talleyrandowi udało się uzyskać na to zgodę kongresu. Zataił jednak przed Ferdynandem fakt powzięcia nie ogłoszonej jeszcze uchwały mocarstw i zażądał od króla Neapolu sześciu milionów franków za życzliwe poparcie i pomoc. Ferdynand, wprowadzony w błąd, obiecał wypłacić tę sumę, dał jednak w końcu nie sześć milionów, ani nawet nie trzy miliony siedemset tysięcy, lecz sumę znacznie mniejszą.

Z końcem lipca 1815 zjawił się niespodzianie w Neapolu sekretarz księcia Talleyranda. Donosząc o tym fakcie hrabiemu Nesselrode, poseł rosyjski w Królestwie Obojga Sycylii, Mocenigo, powtarza zasłyszaną początkowo wiadomość, jakoby powodem przyjazdu sekretarza były sprawy Talleyranda związane z jego tytułem księcia Beneventu. Już jednak po kilku dniach Mocenigo mógł w szyfrowanym raporcie wyjaśnić, jak sprawa przedstawia się w rzeczywistości: oto sekretarz przybył ze zleceniem podjęcia dla Talleyranda

pieniędzy od króla Neapolu, Ferdynanda IV, ponieważ król „tajnie zobowiązał się do zapłacenia pewnej sumy za przywrócenie mu neapolitańskiego tronu”. W jednym z późniejszych (również szyfrowanych) raportów Mocenigo podaje już dokładną sumę otrzymanej przez Talleyranda łapówki: dwa miliony franków. Lecz również i te dwa miliony mogły łatwo ominąć przygotowaną na ich przyjęcie kieszeń.

Gdy Talleyrand, z wielkim opóźnieniem z powodu Stu Dni, wysłał do Neapolu swego sekretarza osobistego, Perreta, miał wszelkie podstawy do obaw; już teraz bowiem, w czerwcu i lipcu 1815 roku, mimo jego podstępów i mistyfikacji Ferdynand zdawał sobie dokładnie sprawę, że objęcie tronu nie zależało wcale od Talleyranda. Mógł więc król bez żadnych obaw odprawić z niczym Perreta, zgłaszającego się poniewczasie po łapówkę. Mimo to dał jednak trzecią część obiecanej kwoty. Gdy Perret powrócił z Neapolu do swego mocodawcy przywożąc wystawiony w należytej formie czek na kantor bankierski Baringa, podniecony niespodziewanym obrotem sprawy majestatyczny książę Benewentu nie potrafił opanować wybuchu radości i rzucił się swemu wysłannikowi na szyję ściskając go i całując. Wydaje się,

przynajmniej według danych, jakie posiadamy, że tak gwałtownego wzruszenia Talleyrand nie przeżywał już od roku 1797, gdy również uniesiony radością na skutek wiadomości o pierwszej swej nominacji na ministra spraw zagranicznych powtarzał w zapamiętaniu, iż na tym stanowisku można zrobić ogromną fortunę. Tylko takie przyczyny mogły widocznie wyprowadzić z równowagi tego opanowanego, wyniosłego, chłodnego i zupełnie na wszystko obojętnego człowieka.

(System wymuszania łapówek, który stosował on w czasie kongresu wiedeńskiego, był taki sam jak w pierwszych latach panowania Napoleona. W miarę możliwości również i teraz nie załatwiał za łapówki tych spraw, które mogły naruszyć interesy Francji, które, innymi słowy, stały w sprzeczności z zasadniczymi jego dyplomatycznymi celami. Brał jednak pieniądze od tych, którym zależało na jak najszybszym i całkowitym osiągnięciu tych celów. Tak na przykład niedopuszczenie do zagarnięcia ziem króla saskiego przez Prusy było przedmiotem bezpośredniego zainteresowania Francji — i Talleyrand bronił Saksonii. Ponieważ królowi saskiemu znacznie bardziej na tym zależało aniżeli Francji, więc dał on Talleyrandowi pięć milionów dla pobudzenia jego aktywności. Talleyrand oczywiście łapówkę wziął. I oczywiście wziął ją z cechującą go dyskrecją i „godnością” — tak jak niegdyś, w 1807 roku, wziął łapówkę od tegoż króla saskiego za wstawiennictwo u Napoleona.

Kongres dobiegał końca. Uczestniczący w nim monarchowie i przedstawiciele wielkich mocarstw wesolo spędzali w Wiedniu zimowy sezon pełen światowych rozrywek i przepychu, niezbyt przeciążając się pracą. „Kongres tańczy, lecz nie posuwa się naprzód” (*Le congres danse, mais U ne marche pas*) — mówił z ironią stary bywalec, arystokrata austriacki, książę de Ligne.

Przy końcu stycznia 1815 roku wszystkie najbardziej palące i drażliwe sprawy były niemal załatwione. Dla Talleyranda zwycięstwo w spra-

wie saskiej stanowiło rekompensatę za porażkę w sprawie polskiej. Wejście zaś w bliższy kontakt z Anglią i Austrią równoważyło chłodne stosunki z Rosją.

Dla wywołania specjalnego efektu i dla podtrzymania sławetnej „zasady legitymizmu” minister Francji postanowił skorzystać ze zbliżającej się rocznicy stracenia Ludwika XVI (21 stycznia), organizując w Wiedniu żałobne uroczystości.

Nie mało szyderstwa, wprawdzie tajonego, wywołał na kongresie Talleyrand — który przecież w początkach rewolucji sprzedał Ludwika XVI — swoim pomysłem uczczenia tej rocznicy uroczystym nabożeństwem żałobnym; zaprosił na nie wszystkich członków kongresu i wygłosił wysoce nastrojową mowę. „Ten, kto nie wiedział, czym jest Talleyrand — notuje jeden z naocznych świadków — mógłby powiedzieć: oto zapewne jeden ze starych przyjaciół króla, jeden z tych, którzy za jego rodziną powędrowali za granicę; to na pewno człowiek, który nie ma sobie nic do zarzucenia. Ponieważ jednak wszyscy świadkowie tej deklamacji znali całą przeszłość Talleyranda, uważali, że niesmacznie (platement) gra komedię”... „Ten łotr Talleyrand nieciekawie musi wyglądać w Wiedniu” — zauważył w tym samym czasie brat Napoleona, Lucjan Bonaparte .

Nawiasem mówiąc, nastrojowe przemówienie Talleyranda kosztowało skarb francuski sporą sumkę: za obchód 21 stycznia, na który złożyło się tylko nabożeństwo w kościele, książę nie omieszkał przedstawić rachunku nie wiadomo dlaczego na sumę ni mniej, ni więcej tylko dziesięciu tysięcy franków w złocie (realna wartość jednego franka w złocie w roku 1815 równała się w przybliżeniu wartości nabywczej dziesięciu franków w walucie z roku 1934) . Tak wysoko cenił Talleyrand porwy swych żałobnych uczuć monarchistycznych związanych z datą 21 stycznia.

IX

Nagle z jasnego nieba strzelił piorun. Napoleon niespodziewanie opuścił wyspę Elbę, wyładował w zatoce Jouan i dokładnie w trzy tygodnie po wstąpieniu na ziemię francuską przywrócił Cesarstwo. W dniu 20 marca 1815 roku triumfalnie wkroczył do Paryża, nie oddawszy w czasie tej ekspedycji ani jednego strzału, nie napotykając nigdzie najmniejszego oporu.

Powrót Napoleona z Elby, paniczna ucieczka Bourbonów i przywrócenie Cesarstwa zaskoczyły zupełnie na to nie przygotowanego Talleyranda. Stosunkowo niedawno (bo w maju 1933 r.) ukazała się w Paryżu wysnuta z wyobraźni autora książka Ferdynanda Bac „*Le secret de Talleyrand*”. Ów „sekret”, który odkryć miał tylko Bac, polega na tym, że... Talleyrand sam zorganizował ucieczkę Napoleona z Elby. Wymieniam tutaj tę dyletancką, fantastyczną książkę tylko jako curiosum i dowód, że nawet odległe pokolenia uważają, iż Talleyrand nie tylko był tak zdumiewająco podstępny i chytry, by powziąć każdy plan, lecz że był również dostatecznie obrotny i silny, aby każdy projekt zrealizować. Nie trzeba dodawać, że książka ta nie zawiera jakichkolwiek naukowych argumentów. Ucieczka Napoleona była na pewno dla Talleyranda ciężkim ciosem.

Przywracając Cesarstwo w marcu 1815 roku, Napoleon zawiadomił Talleyranda, że gotów jest dać mu stanowisko. Jednak książę wolał pozostać w Wiedniu, nie wierzył bowiem ani w łaskawość Napoleona (który natychmiast po ponownym objęciu władzy nakazał konfiskatę całego majątku Talleyranda), ani też w trwałość nowych rządów cesarza. Kongres wiedeński przerwał swe obrady.

Powrót Napoleona zamienił Talleyranda, autora antyrosyjskiego układu z 3 stycznia, w pokornego suplikanta zależnego od Aleksandra zarówno w najważniejszych, jak w drugorzędnych sprawach. Również jego Chrześcijańska Mość król

Francji Ludwik XVIII, przesiadujący w Gandawie, odstąpił jakoś od razu od swego najgłębszego przeświadczenia, że Bourbonowie są świetniejsi niż Romanowowie, i podobnie jak jego minister nie przestawał naprzykrzać się carowi dowodami swej czolobitności. W Szwajcarii (zwłaszcza w kantonie Vaud) ujawniły się w okresie Stu Dni pewne bonapartystowskie intryki i stosunki z Józefem Bonaparte. Książę Talleyrand powiadomił hrabiego Nesselrode, że król Ludwik XVIII usilnie domaga się od władz szwajcarskich wydalenia z kraju Józefa Bonaparte. Niestety, sam protest Jego Chrześcijańskiej Mości, przebywającego w Gandawie, nie posiadał widać dostatecznej mocy. Czy wobec tego cesarz wszechrosyjski nie raczyłby przyjść z pomocą, popierając w Szwajcarii żądanie króla francuskiego? Aleksander „łaskawie” zgodził się to zrobić.

W dniu 13 marca delegaci ośmiu państw, zebrani na kongresie, opublikowali słynną deklarację, która stwierdziła, że Napoleon Bonaparte znajduje się „poza nawiasm obywatelskich i społecznych stosunków”, że jest „wrogiem i mścicielem światowego pokoju”, zasługuje zatem na karę (*il s'est livré à la vindicte publique*). Oceniano wówczas tę deklarację jako wezwanie do zgładzenia wyjętego spod prawa Napoleona. Na dokumencie tym, wśród przedstawicieli Francji, figuruje na pierwszym miejscu podpis: „Książę Talleyrand”.

Napoleon przeszedł nad tym faktem do porządku dziennego. Nazbyt dobrze znał swego Talleyranda, nie znając nawet wszystkich jego sprawek. Tylko tym trzeba chyba tłumaczyć, że go w swoim czasie nie powiesił, chociaż nosił się z tym zamiarem i wybrał już nawet miejsce egze-

kucji: ogrodzony sztachetami plac Carrousel. Jak to już wyżej przedstawiliśmy, wyjawiał nawet Napoleon ten zamiar przed księciem, gdy podczas audiencji w Tuilerych doszło do znanej sceny 28 stycznia 1809 roku.

Teraz jednak Talleyrand był mu znów potrzebny, a ponadto powrót starego dyplomaty do służby cesarza wywarłby olbrzymie wrażenie w Europie. Jakież znaczenie mógł mieć podpis Talleyranda na deklaracji z 13 marca, małoż to różnych deklaracji podpisywał ten człowiek w czasie swego długiego żywota? Poza tym triumfalny wjazd Napoleona do Tuilerii odbył się przecież dopiero w tydzień po 13 marca. Słowem, postanowiono przekupić szanownego księcia i przy pierwszej nadarzającej się sposobności oderwać go od sojuszników. W zamiarze tym nie było nawet nic osobliwego, przecież sam Talleyrand u schyłku życia dobrodusznie żartował, że czternaście razy składał sprzeczne ze sobą przysięgi.

Jednym z pierwszych aktów Napoleona po ponownym objęciu przezeń władzy było mianowanie Caulaincourta, księcia Vicenzy, ministrem spraw zagranicznych. Dnia 22 kwietnia (1815 r.) cesarz dał swemu ministrowi następujące zlecenie: „Książę, upoważniam Pana do zawiadomienia księcia Benewentu, że otrzyma z powrotem swe posiadłości, o ile zachowa się jak Francuz i odda mi pewne usługi” .

Jednak Talleyrand pozostał nadal w Wiedniu, a gdy później opuścił to miasto, droga jego nie prowadziła do Paryża. Nie wierzył, by przywrócone Cesarstwo mogło być trwałe. Caulaincourt pismem odręcznym z dnia 24 kwietnia przekazał Talleyrandowi do Wiednia propozycje Napoleona: „Drogi książę, pan zna mój stary, przyjazny stosunek do pana. Mam nadzieję, że pan da wiarę temu, co panu powie i za co poręczy w naszym

Imieniu p. de Saint-Leon, który po przyjacielsku Zajął się pańskimi sprawami" .

Dokumenty te, znalezione w prywatnym archiwum rodzinnym księcia Vicenzy i po raz pierwszy Ogłoszone drukiem w nowym (cytowanym tutaj) wydaniu jego „*Mémoires*”, dowodzą niezbicie, że mimo czynnego udziału księcia Benewentu w przywróceniu tronu dynastii Bourbonów w marcu i kwietniu 1814, Napoleon uważał nadal **za** możliwe kupienie Talleyranda, a zrealizowanie tej transakcji oceniał jako rzecz dla siebie korzystną.

Lecz książę był głuchy na wszelkie pisemne i ustne propozycje. Przyjazd Saint-Leona i jego obietnice przyniosły mu jednak pewne korzyści: sojusznicy zaniepokoiли się i w obawie, by Talleyrand nagle nie przeszedł do obozu Napoleona, pośpieszyli wypłacić księciu na wszelki wypadek poważniejszą sumę. Zdawano sobie dobrze sprawę, że Talleyrand nie wierzy w trwałość Cesarstwa i prawdopodobnie skusić się nie da... Lecz małoż to niespodzianek robił ks. Benewentu? Nadmiar ostrożności w tym wypadku nie mógł szkodzić. Talleyrand z całą gotowością pieniądze przyjął i pozostał wierny sojusznikom.

Otoczenie Bonapartego nie od razu zaniechało prób pozyskania go dla służby cesarskiej.

Trzeba pamiętać, że Napoleon miał pewne podstawy do oceny sytuacji Talleyranda w Wiedniu jako bardzo trudnej. Gdy powrócił bowiem tak niespodziewanie z Elby do Tuilerii w dniu 20 marca, znalazł w biurku Ludwika XVIII, który Uciekł poprzedniego dnia, kopię tajnego antyrosyjskiego układu (jedną z trzech), sporządzonego w Wiedniu przez Talleyranda; układ ten, jak wyżej wspomniano, podpisali Talleyrand, Castlereagh i Metternich. Król Ludwik z takim pośpiechem uciekał z Paryża wieczorem dnia 19 marca, że straciwszy głowę zapomniał o tym fatalnym dokumencie. Na-

poleon, oczywiście, wysłał natychmiast znaną kopię przez specjalnego kuriera do Wiednia na ręce Aleksandra. Oburzenie cara było wielkie, gdy w tak nieoczekiwany sposób dowiedział się, jakie to księżę Talleyrand kopał w Wiedniu dolki pod Rosją. Talleyrand nie przypuszczał nigdy, aby Bourbon nawet w czasie panicznej ucieczki mógł pozostawić w biurku tak ważny dokument. Od tej chwili nieufność i antypatia, jaką Aleksander żywił zawsze do Talleyranda, przeszła w prawdziwą nienawiść. Okazuje ją, jak zobaczymy, w tymże 1815 roku.

Wbrew przewidywaniom Napoleona Aleksander nie zmienił swej polityki. Niewątpliwie jednak sytuacja Talleyranda stawała się bardzo drażliwa.

Mniej nawet oburzał cara fakt, że Metternich i Castlereagh weszli w tajną zмовę przeciw niemu, na co otrzymał tak niespodzianie niezbite dowody, Anglia bowiem i Austria nie miały w stosunku do Rosji takich zobowiązań, jak właśnie Francja, którą Rosja uratowała przed rozbiorem. Car postanowił kontynuować wspólną walkę przeciwko Napoleonowi i na razie nie dawał nawet do poznania Talleyrandowi, że żywi doń urazę.

Tymczasem Paryż ponawiał próby nawiązania stosunków z Talleyrandem.

„Szerzy się tu pogłoska, że do Wiednia udał się Montrond, człowiek o haniebnej reputacji, który utrzymuje kontakt z Talleyrandem. Fakt ten wzbudził żywy niepokój” — donosi z Brukseli Pozzo di Borgo hrabiemu Nesselrode. Wyjechał niemal równocześnie z Saint-Léonem. Sam poseł nie ujawniał z tego powodu zaniepokojenia: „ani jedno, ani drugie indywiduum szkodzić już nie może”. Chociaż król Ludwik XVIII odnosi się do Talleyranda z pełnym zaufaniem, społeczeństwo mu nie wierzy, „zaufania bowiem nie uzyskuje się na rozkaz” .

Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że Talleyrand ze swej strony odczuwał w głębi serca już nie tylko antypatię do Ludwika XVIII, ale wprost obrzydzenie.

Gdy w roku 1823 Ludwik XVIII wydał drukiem swój dziennik (z okresu ucieczki do Brukseli i Koblencji podczas rewolucji 1791 r.), książkę Talleyrand tak się wyraził o tym utworze: „To jest podróz arlekina, on (Ludwik) jadł i bał się, bał się i jadł”. Opinię tę podziela najzupełniej Stendhal, który dobrze znał króla.

W radzieckim Archiwum Polityki Zagranicznej można natrafić na ślady pewnych kontaktów między Paryżem a księciem Talleyrandem w okresie Stu Dni. Tak więc Nesselrode, pod datą 16 maja, komunikuje carowi Aleksandrowi z Wiednia, że niejaki Bréau przybył tam z listami dla Talleyranda i Metternicha; ów Bréau to osobnik „bez znaczenia”, który w swoim czasie przeprowadzał zawile intrygi, by uzyskać stanowisko przy dworze Napoleona. Treść przywiezionego listu pozostała jednak hrabiemu Nesselrode nie znana.

Rozdział 6

Gabinet Talleyrand—Fouché. Drugi pokój paryski

9 lipca — 24 września 1815

Krwawa bitwa pod Waterloo w dniu 18 czerwca 1815 r. zakończyła powtórne panowanie Napoleona.

Król Ludwik XVIII, który przez sto dni panowania cesarza przebywał w Gandawie, pospiesznie powrócił do Paryża. Otaczała go zgraja rozwścieczonych powtórny swym wygnaniem emigrantów.

Pozzo di Borgo, poseł rosyjski w Paryżu, pesymistycznie oceniał najbliższą przyszłość, przewidując, iż reakcja zacznie szaleć. Nie liczył bynajmniej na to, że Talleyrand będzie łagodził napięcie i przemawiał do rozsądku. W radzieckim Archiwum Polityki Zagranicznej znajdują się dowody, że już jesienią 1814 roku dyplomata rosyjski nie wierzył w możliwość realnego, stanowczego przeciwstawienia się przez Talleyranda ultraroyalistycznej reakcji.

Bystry Korsykanin Pozzo di Borgo od dawna znał dobrze Talleyranda i doskonale rozumiał, że wielkiej pociechy z przebiegłego księcia nie będzie, choćby miał on nawet zdrowy sąd o sytuacji Francji i zdawał sobie sprawę z bezmyślności Bourbonów oraz kliki byłych emigrantów. „Jego lenistwo i chłód”, jego obawa, by w kompromitujący sposób nie wiązać się z kimkolwiek, każą mu być echem bądź to nastrojów panujących na dworze, bądź też opinii publicznej i potakiwać każdemu

oświadczeniu, niezależnie od jego istotnej wartości.

W tych kilku zwięzłych wierszach raportu przesłanego hrabiemu Nesselrode przez posła rosyjskiego w Paryżu mieści się najbardziej realna i ścisła prawda historyczna, znana nam z obfitej dokumentacji. Kiedyż to Talleyrand omawiał to, co myślał, jeżeli dwór był innego zdania? Czy kiedykolwiek przestawał schlebiać — dziś Ludwikowi XVI, jutro Dantonowi, pojutrze Napoleonowi?

Pozzo di Borgo, a nawet sam Aleksander I już w okresie Stu Dni próbowali przekonać Ludwika XVIII, że wypędzenie dynastii Bourbonów z Francji należy przede wszystkim tłumaczyć nienawiścią, jaką czuje ludność do rozpasanej rojalistycznej reakcji.

W dniu **19 kwietnia (1 maja) 1815** roku przybył z Wiednia do Gandawy hr. Alexis de Noailles, przywożąc dla króla Ludwika XVIII depesze od Talleyranda. Ważniejszy znacznie niż wszystkie depesze był raport Talleyranda o rozmowie między nim a Aleksandrem, odbytej bezpośrednio przed wyjazdem Noailles'a. „Głównym celem tego doniesienia była niewątpliwie chęć przekonania króla o tym, że w przyszłości trzeba będzie koniecznie utworzyć ministerium zgodnie z konstytucją, tj. powołać gabinet jako odrębny organ, w którym obowiązywałaby zasada jednomyślności przy powzięciu uchwał i który byłby odpowiedzialny za swoją działalność. Byłby to jednym słowem taki gabinet, jaki istnieje w Anglii, gabinet, który sta-

nowi łącznik pomiędzy narodem a królem i któremu można wyrazić wotum zaufania lub nieufności, nie kompromitując przy tym tronu i osoby monarchy". Pozzo di Borgo podkreśla, że już od dawna stara się wpoić królowi te zasady (porywczy Pozzo di Borgo używa w tym miejscu nieco bardziej drastycznego czasownika: *inculquer*, co odpowiada mniej więcej określeniu „wbić w głowę”). Zdaniem posła rosyjskiego czas już najwyższy, by usunąć z ministerium Blacasa, przedstawiciela „osobistego reżymu”, typowego ultraroyalistę i faworyta Ludwika XVIII, tak chętnie rozprawiającego o boskim pochodzeniu władzy królewskiej; na czele konstytucyjnego gabinetu powinien stanąć Talleyrand. Choć jest również służalcem i intrygantem dworskim — jest jednak niezastąpiony.

W cztery dni po klęsce pod Waterloo przybył z Wiednia sam książę Talleyrand.

W radzieckim Archiwum Polityki Zagranicznej zachował się dokument, który dowodzi, że w przedniu swego przyjazdu do Mons Talleyrand widział się 22 czerwca w Brukseli z Pozzo di Borgo i odbył z nim „długą naradę”; w wyniku tej rozmowy poseł rosyjski wyraził nadzieję, że „sprawy potoczą się w sposób najbardziej właściwy” (*de la manière la plus convenable*).

Spotkanie to niewątpliwie zrodziło w Talleyrandzie przekonanie, że sytuacja jego jest mocna i niezachwiana.

Czasem Talleyranda zawodziły jego przewidywania. Zdarzało się to, gdy źle ocenił stosunek sił lub gdy przeceniał swe wpływy i liczył zbyt na niezdecydowanie przeciwnika. Jak wiemy, ujawniło się to np. podczas pertraktacji z Aleksandrem w sprawie polskiej. Nie znalazł się jednak chyba nigdy w tak upokarzającym i dziwnym po-

łożeniu, jak w czerwcu 1815 roku, gdy zupełnie niespodzianie cała jego kariera zawisła na włosku...

Sprawa tak wyglądała: w dniu 23 czerwca 1815 roku około godziny 6 po południu Talleyrand przybył do miasta Mons (w Belgii) do króla Ludwika XVIII, który niedawno opuścił Gandawę, gdzie ukrywał się w czasie stu dni panowania Napoleona. Ludwik wracał do Paryża i w Mons zatrzymał się tylko na czas krótki. Działo się to zaledwie w pięć dni po bitwie pod Waterloo i drogą na Paryż ciągnęły angielskie i pruskie wojska, ścigając niedobitki armii francuskiej.

Talleyrand sądził, zresztą bezpodstawnie, że jest równie potrzebny Bourbonom dla ponownego objęcia przez nich tronu, z którego ich stracił Napoleon w marcu tegoż 1815 roku, jak był im potrzebny w kwietniu roku poprzedniego, gdy czynił wszystko, by dobrze do nich usposobić Aleksandra. Mylił się jednak całkowicie. Po pierwsze, nie ulegało już obecnie żadnej wątpliwości, że nikt nie będzie prowadził pertraktacji ani z samym Napoleonem, ani z kimkolwiek z jego rodziny lub otoczenia. Było rzeczą jasną, że sojusznicy, którzy ze wszystkich stron spieszyli na czele swych armii do podbitej stolicy, uznają Ludwika XVIII za jedyne go prawowitego monarchę. Po wtóre, Francja i cała Europa doskonale wiedziały, że Talleyrand poważnie poróżnił się w Wiedniu z Aleksandrem i w ten sposób stracił najpoważniejsze swoje oparcie. Wreszcie było rzeczą wiadomą, że jeżeli Ludwik XVIII nigdy nie lubił Talleyranda i znosił go tylko jako zło konieczne, to rojaliści, żądni zemsty za hańbę wygnania z Francji w okresie Stu Dni, byli wręcz nieprzejednani i w żaden sposób nie zgodzą się na powrót tego renegata do władzy. Tym razem byli zupełnie zdecydowani wykonać zamierzenie, do którego zbrakło im odwagi w 1814 roku: oczyścić całkowicie wszystkie instytucje z byłych działaczy okresu Rewolucji i Cesarstwa.

Wszystko to Talleyrand stopniowo dopiero zro-

zumiał, ale gdy owego 23 czerwca, w pięć dni po Waterloo, stanął w Mons, był pełen optymistycznych złudzeń i zachowywał się, według relacji Chateaubrianda, tak jakby on właśnie był królem Francji. Pragnął z miejsca pouczyć Ludwika, jak należy cenić takiego ministra. Zamiast przeto natychmiast zgłosić się do króla — oświadczył, że jest zmęczony podróżą i odwiedzi go dopiero nazajutrz. W odpowiedzi na ten wybryk Ludwik oznajmił, że o godzinie trzeciej wyjeżdża. Powiedział te słowa do kogoś ze swego otoczenia, nie zlecając bynajmniej, by je powtórzono Talleyrandowi. Czy książę wiedział o tym zamiarze, czy też „przyjaciele” umyślnie utwierdzili go w błędnym przekonaniu, że chodzi o godzinę trzecią po południu następnego dnia — dość, że gdy król punktualnie o godzinie trzeciej w nocy opuścił Mons, zbudzony ze snu Talleyrand, ubrawszy się pośpiesznie, zaledwie zdążył dopędzić Ludwika przy wyjeździe z miasta i zamienić z nim kilka słów. Niezbyt pociesające były te słowa; król ni z tego ni z owego oświadczył mu: „Książę nas opuszcza? Wody lecznicze dobrze panu zrobią. Niech pan da znać o sobie”. Talleyrandowi w głowie nawet nie powstała myśl o jakichkolwiek wodach. Król odjechał nie dodawszy nic więcej. Sytuacja była całkiem niedwuznaczna. A upokorzenie tym większe, że wszystko to odbyło się w obecności Chateaubrianda, który gardził księciem Benewentu jak mało kim. Od Chateaubrianda pochodzi opis tej sceny. Była ona właściwie przygrywką do dymisji. Ale Talleyrand kurczowo trzymał się władzy i postanowił „nie rozumieć” tego, co zaszło w Mons. Jego udział w rządzie stał się jednak niebawem zupełnie niemożliwy i dokładnie w trzy miesiące po tym „spotkaniu” Talleyrand otrzymał dymisję.

W toku tych trzech miesięcy stopniowo cała Francja dowiedziała się, że Aleksander jest zdecydowanie wrogo usposobiony do Talleyranda. Również Ludwik XVIII zrozumiał, że odpadła

ostatnia przeszkoda, która nie pozwalała mu utracić Talleyranda jako ministra.

Okoliczności tak się jednak składały, że przy końcu czerwca i na początku lipca 1815 r., natychmiast po swoim ponownym powrocie do Paryża, król nie mógł uwolnić się od księcia Benewentu. Mało tego: Fouché, książę Otranto, o którym mawiano, że rodzaj ludzki nie wydał, poza Talleyrandem, równie fałszywego i występnego człowieka jak on, ten właśnie Fouché za pomocą szeregu sprytnych manewrów doprowadził do tego, że musiano go, choć na krótko, powołać do rządu. A przecież Fouché należał do tych członków Konwencji, którzy w roku 1793 głosowali za straceniem Ludwika XVI (był jednym z „królobójców”, *les régicides*, jak ich nazywano).

Obaj ci ludzie, Talleyrand i Fouché, byli poprzednio księżmi, obaj dla kariery przyłączyli się do rewolucji, obaj byli ministrami Napoleona i otrzymali od niego wysokie tytuły, zrobili w tym okresie wielkie fortuny, potem obaj zdradzili Napoleona; a teraz znów razem weszli do gabinetu ministrów Jego Chrześcijańskiej Mości, „prawowitego” monarchy, rodzzonego brata Ludwika XVI, który zginął na szafocie. Fouché i Talleyrand znali się nawzajem świetnie, dlatego tak chętnie chcieli razem pracować. Przy dużym między nimi podobieństwie, zwłaszcza pod względem absolutnego lekceważenia wszystkiego, co nie było własnym interesem, oraz zupełnego braku zaiaid lub hamulców moralnych przy realizacji powziętego planu, mieli jednak wiele cech odmiennych: Fouché należał do odważnych i przed 9 termidora postawił swe życie na jedną kartę organizując w Konwencji napad na Robespierre’a i obalając go. Było nie do pomyślenia, by Talleyrand mógł coś podobnego uczynić. Nie odważyłby się **też** pod żadnym pozorem na to, co robił Fouché w okresie terroru w Lyonie. Dlatego też wyemigrował, gdy tylko doszedł do wniosku, że pozostawanie w obozie „neutralnych” jest bardzo niebez-

pieczne w danej chwili, czynne zaś występowanie przeciwko kontrrewolucji pociągnie za sobą niebezpieczeństwo na przyszłość. Fouché — to była tęga głowa, po Talleyrandzie chyba najlepsza, jaką miał do dyspozycji Napoleon. Cesarz to rozumiał, okazywał im obu szczególne względy, obsypywał pieniędzmi i wysokimi odznaczeniami, dopóki nie popadli w niełaskę. Często wymieniał ich razem, tak np. po swej abdykacji wyraził żal, że nie zdążył powiesić Talleyranda i Fouché. Miał jakoby powiedzieć: „To zadanie pozostawiam Bourbonom”.

Jednakże, wbrew swej woli Bourbonowie zaraz po Waterloo i po powtórnym objęciu tronu nie tylko byli zmuszeni wyrzec się myśli o powieszeniu księcia Benewentu i księcia Otranto, lecz musieli ich nawet powołać do rządzenia Francją. Chateaubriand — trubadur i ideolog szlacheckoklerykalnej, rozwydrzonej reakcji, utalentowany poeta, lecz jako polityk niedorzeczny fantasta, nie umiał ukryć wściekłości na widok tych dwóch działaczy okresu Rewolucji i Cesarstwa, z których jednego splamiła krew Ludwika XVI i wielu innych straconych w Lyonie, drugiego zaś — krew księcia d'Enghien. Chateaubriand, obecny w pałacu właśnie w momencie, gdy kulawy Talleyrand pod rękę z Fouché wchodzili do gabinetu królewskiego — tak o tym pisze: „Nagle otworzono drzwi. W milczeniu wchodzi Występ ek wsparty na Zbrodni — pan Talleyrand podtrzymywany przez pana Fouché; ta piekielna zjawia przechodzi powoli obok mnie, kieruje się do gabinetu króla i tam znika”.

Nie tylko rojaliści unikali kontaktu z Talleyrandem. Sformowaniu przez niego nowego gabinetu stało na przeszkodzie również i to, że napoleońscy marszałkowie i generałowie, którzy nie opowiedzieli się za powracającym z Elby cesarzem, oświadczyli teraz, po Waterloo, iż mierzi ich siedzenie „obok dwu zdrajców” — Talleyranda i Fouché. Tak np. stary napoleoński generał Clarke,

książę Feltre, który w roku 1815 piastował tekę ministra wojny i wraz z Ludwikiem XVIII przebywał w Gandawie podczas Stu Dni, oświadczył po ponownym objęciu władzy przez Ludwika, że wobec powołania Talleyranda na stanowisko premiera składa swą dymisję. Rojalista hr. de Rochecouart, który będąc na emigracji przez dłuższy czas służył na południu Rosji pod dowództwem księcia Richelieu jako jego adiutant i przyjaciel, powtarza następującą rozmowę, którą miał z gen. Clarke: Książę Feltre przyznał się, że odczuwa pogardę dla Talleyranda i że nigdy tego przed nim nie ukrywał. Uczucie to wpoił w niego Napoleon, mówiąc mu kiedyś: „Clarke, zabraniam panu wchodzić w bliższe stosunki z Talleyrandem, bo jest on... dalej Napoleon użył zupełnie nieuczynnego wyrazu: *car ce n'est que de la m...* i może pana zabrudzić". Powtórzywszy tę zupełnie niedwuznaczną ocenę osoby Talleyranda daną przez Napoleona i zaznaczywszy, że to ostre określenie jest zupełnie słuszne, Clarke, książę Feltre, definitywnie opuścił urząd ministra.

Fouché sporządził listy proskrypcyjne. Zawierały one nazwiska osób, które dopomagały Napoleonowi do powrotu i objęcia władzy w okresie Stu Dni. Na jednej z tych list figurowało nazwisko Carnota, starego działacza rewolucyjnego; ten zdecydowany, uczciwy republikanin nie poszedł na służbę Napoleona i był w niełasce w ciągu długiego okresu pierwszego panowania cesarza. Zgłosił jednak swoje usługi podczas Stu Dni, gdyż podobnie jak wielu byłych jakobinów, którzy zdołali ocaleć, podobnie jak większość mas pracujących paryskich przedmieść — uważał w danej chwili Napoleona za mniejsze zło od Bourbonów. Teraz, po Waterloo i po powrocie Bourbonów, minister Fouché (niegdyś współpracownik Carnota w rewolucyjnych komitetach) skazał starego działacza na

wygnanie. „Dokąd mam się udać, zdrajco?” — spytał Carnot. — „Dokąd chcesz, durniu!” — odpowiedział nie zmieszany ani trochę Fouché.

II

Po zakończeniu wojny bitwą pod Waterloo nakazem chwili było opracowanie warunków nowego pokoju z sojusznikami. Do tej dyplomatycznej kampanii potrzebny był Talleyrand. Prusacy gwałtownie domagali się osłabienia Francji „na zawsze”, by wreszcie zapanował spokój. Blücher nastawał, by wysadzić w powietrze most Jenajski w Paryżu, ponieważ przypomina on rozbitcie Prusaków pod Jeną w roku 1806. Również i tym razem, tak samo jak w roku 1814, Rosja ocaliła Francję od rozbioru z tych samych pobudek, o jakich poprzednio wspomnieliśmy.

Formalnie rzecz biorąc, paryski traktat pokojowy z 30 maja 1814 r. przestał istnieć na skutek Stu Dni, toteż Prusy miały nadzieję, że tym razem uda im się uzyskać Alzację i Lotaryngię.

Od lipca do września 1815 r. toczyła się uporczywa walka Hardenberga, Steina, Fryderyka Wilhelma III i feldmarszałka Gneisenau przeciwko Aleksandrowi o nowy układ pokojowy z Francją. Pretensje Prus natrafiły na zdecydowany opór, przy czym Anglia w pewnej mierze poparła tezę Rosji co do nienaruszalności terytorium francuskiego. Zaborcze apetyty Prusaków zaczęły niepokoić nawet Wellingtona i Castlereagh'a. Stein, dla którego Aleksander był „bardzo łaskawy”, nie dawał carowi spokoju, nieustannie go molestując; „łaskawość” ta zresztą na nic się nie zdała, gdy w grę wchodziły interesy dyplomatyczne. Kiedy w dniu 14 sierpnia 1815 car objął i ucałował Steina, który zjawił się u niego w Paryżu, Stein nie posiadał się z zachwyty nad tą cesarską serdecznością; w tej

samej jednak chwili usłyszał: „Alzacczycy z największą niechęcią odnoszą się do projektu przyłączenia ich do Niemiec; ich interesy handlowe związane są z Francją”. Był to jak gdyby pogrzeb pierwszej klasy wszystkich nadziei Prusaków na oderwanie od Francji Alzacji i Lotaryngii. Pokój paryski, zwany „drugim”, w ostatecznej redakcji z dnia 19 września 1815 r. potwierdzał w ogólnych zarysach poprzedni układ z 30 maja 1814 r. poza drobnym wyrównaniem granic na korzyść sojuszników. Na Francję nałożono kontrybucję w wysokości 800 milionów franków; sojusznicy pozostawili we wschodnich i północnych departamentach 150-tysięczną armię okupacyjną „minimum na trzy lata, maksimum na siedem”.

Wśród Niemców zapanowało oburzenie. Przypisywali oni upór Aleksandra poparciu Anglików, a poparcie to — wpływom Talleyranda, Fouché oraz „intrygom” posła rosyjskiego Pozzo di Borgo.

Zdziwienie budzi fakt, że tak poważny uczony, jak Pertz (słynny wydawca zbioru dokumentów do średniowiecznej historii Niemiec „*Monumenta Germaniae historica*”), z powagą powtarza w swej wielotomowej „biografii” barona Steina bezsensowną, niesmaczną plotkę, iż Aleksander, odmawiając przedstawicielom Prus, Wirtembergii i innym oddania im Alzacji, działał pod wpływem mistycznej wiary w zdolności prorocze niejakiej pani Krüdener; osoba ta miała jakoby zasugerować carowi, że Bóg nakazuje zachowanie nietykalności granic Francji. I w tym wypadku Pertz okazał się słabym znawcą historii, jakim zresztą był zawsze, mimo iż jako wydawca dokumentów odznaczał się niepospolitymi walorami. Jego książka o Steinie nie jest właściwie ani pracą historyczną, ani biografią w ściślejszym tego słowa znaczeniu, lecz jedynie zbiorem listów i dokumentów odno-

szących się do działalności tego pruskiego polityka. Gdyby Pertz wnikliwie wczytał się w autentyczne dokumenty, które sam wydał drukiem, nie potrzebowałby z namaszczeniem, a tak nieudolnie, fantazjować na temat mistycznych poleceń, jakie rzekomo miała pani Krüdener dać carowi Aleksandrowi w sprawie Alzacji i Lotaryngii.

Oto co pisał do Arndta feldmarszałek Gneisenau 17 sierpnia 1815 roku, a więc dokładnie w trzy dni po decydującej rozmowie Steina z cesarzem: „Jeśli Rosja przemawia takim językiem, to należy rozumieć, że uprawia ona politykę własnych korzyści, że nie chce, by Prusy i Austria czuły się bezpieczne na swych zachodnich granicach; polityka rosyjska dąży do zachowania sobie Francji jako zawsze gotowego sojusznika”. Feldmarszałek Gneisenau, stary żołnierz i mądry człowiek, myślał bez porównania bardziej realistycznie niż uczony profesor Pertz, który szczerze i aż do śmieszności naiwnie oburzał się na rosyjską dyplomację, nie dość usilnie — jego zdaniem — dbającą o wzmocnienie Prus.

Aleksander przestał ukrywać swój wrogi stosunek do Talleyranda, mimo iż interesy ich były całkowicie zbieżne, gdy szło o wywalczenie niepodzielności terytorium Francji. Talleyrand był mu tym razem zupełnie już niepotrzebny. Teraz, po Waterloo, i przy 150 000 wojsk okupacyjnych we Francji, Aleksander nie lękał się w najmniejszym stopniu powstania przeciwko Bourbonom. Nie tylko więc Talleyrand stał się zbyteczny, ale mógł też Aleksander przestać wysilać się na liberalne posunięcia. Do pilnowania Bourbonów, po których zawsze można było spodziewać się jakichś nie przemyślanych i nierozsądnych postępów, wystarczyło umieścić na stanowisku premiera księcia Richelieu, umiarkowanego konstytucjonalistę, byłego (od r. 1803) generał-gubernatora

Odessy i Krymu, człowieka bardzo oddanego carowi.

Dni gabinetu Talleyranda były policzone.

Przypatrzmy się teraz, w jakich okolicznościach nastąpił jego upadek.

III

W gabinecie tym, utworzonym 6 lipca, a urzędowo ogłoszonym 9 lipca 1815, w którym premie-rem był Talleyrand, a ministrem policji Fouché, tekę ministra wojny powierzono napoleońskiemu generałowi Gouvion-Saint-Cyr; były i inne jeszcze podobne nominacje. Talleyrand zdawał sobie doskonale sprawę, że Bourbonowie zdołają się utrzymać wówczas jedynie, gdy postawiwszy krzyżyk na wszystkich swych osobistych urazach ustosunkują się do Rewolucji i Cesarstwa jako do bezspornego faktu o wielkim historycznym znaczeniu i porzucają wszelkie marzenia o dawnym ustroju. Szybko jednak zorientował się, że na taką politykę nie zgodzą się nigdy ani brat i następca króla, Karol, ani synowie Karola — księżę d'Angoulême i księżę de Berry, ani byli emigranci, którzy powrócili do Paryża. Przekonał się w roku 1815, że u dworu bierze górę klika rozjuszonych i nieprzejednanych szlachecko-klerykalnych reakcjonistów; ludzie ci byli opętani absurdalnym marzeniem zniweczenia wszystkiego, czego dokonała rewolucja i co utrwalił Napoleon; innymi słowy, dążeniem ich było przeobrażenie kraju, który wstąpił na drogę rozwoju handlowo-przemysłowego, w monarchię szlachecko-feudalną. Talleyrand rozumiał, że to marzenie ultraroyalistów jest zupełnie nieosiągalne; że mogą oni robić wszelkie głupstwa, jakie im przyjdą do głowy, lecz żeby na serio chcieć niweczyć nowe zdobycze Francji, jej instytucje, przepisy, prawo karne i cywilne ipozostawione przez Rewolucję i Napoleona lub chociażby tylko jawnie wystawić takie żądanie — do tego zdolny jest jedynie obłąkany. Jednakże

przekonał się niebawem, że ultrarjaliści robią istotnie wrażenie szalonych, gdyż wyzbyli się nawet tej odrobiny przezorności, jaką wykazywali jeszcze w roku 1814.

Niespodziewany powrót Napoleona w marcu 1815, Sto Dni i ponowne obalenie cesarza dokonane znów nie przez Francję, lecz przez ingerencję sojusznicznych armii — wszystkie te wstrząsające wydarzenia wyprowadziły do reszty z równowagi szlachecko-klerykalną reakcję. Wywołały one u niej jakiś głęboki uraz. Jak się to mogło stać, że człowiek nie mający broni, bez żadnych przeszkód lądował na południowym brzegu Francji, przez trzy tygodnie zdążył w kierunku Paryża i nie oddawszy jednego strzału, nie przeławszy ani jednej kropli krwi odebrał Francję „prawowitemu” jej królowi, wygnał tego króla za granicę, aby zająć jego tron i zgromadzić potężną armię do wojny z całą Europą? Któż to był ten człowiek? Despota, który przez całe swoje panowanie nie wypuszczał z ręki oręża, który wyniszczył kraj bezustanną branką, uzurpator nie liczący się z niczym na świecie; przede wszystkim zaś był to monarcha, którego dojście do władzy musiało niechybnie wywołać nową wojnę z Europą. I oto w marcu 1815 do stóp tego człowieka padła bez żadnych zastrzeżeń, bez próby oporu i nawet bez najmniejszych starań z jego strony cała Francja, całe chłopstwo, armia, burżuazja.

Ani jedna ręka nie podniosła się ku obronie „prawowitego” króla, ku obronie przywróconej w roku 1814 dynastii Bourbonów. Ultrarjaliści nie szukali wyjaśnienia niepojętego zjawiska w tym, że chłopci lękali się o zdobytą podczas rewolucji ziemię, ani w tym, że widmo szlachetczyzny było straszakiem zarówno dla chłopów, jak i dla burżuazji; ultrarjaliści nie byli w stanie wytłumaczyć sobie tego zdumiewającego wydarzenia, tych Stu Dni, jakimkolwiek ogólniejszym i głębszym podłożem społecznym — na to brakło im

rozumu i szerszych horyzontów, a także po prostu chęci. Wszystko, co się stało, woleli przypisywać zbytniej słabości i miękkości króla, jego niepotrzebnym liberalnym zapędom w pierwszym roku panowania, od kwietnia **1814** do marca **1815** roku. Gdyby wówczas król energicznie stłumił wszelkie zakusy buntownicze — twierdzili oni — tego rodzaju „zdrada”, jak w marcu **1815**, nie byłaby możliwa, gdyż Napoleona schwytano by natychmiast po wylądowaniu w zatoce Jouan. Teraz do hańby wygnania Bourbonów w marcu dołączyła się nowa hańba ich powrotu w czerwcu, lipcu, sierpniu po Waterloo, tym razem już istotnie „w furgonach” armii Wellingtona i Blüchera. Wściekłość ultraroyalistów nie miała granic. Jeśli król na razie trochę się im jeszcze przeciwstawił, jeśli mu na to jeszcze zezwalali, to tylko chwilowo: trzeba było przecież rozejrzeć się w sytuacji, gdyż niespodzianki nie były wykluczone.

Z tej właśnie przyczyny mógł powstać rząd z Talleyrandem i Fouché na czele. W miarę jak wciąż nowe i nowe zastępy Anglików, Prusaków, potem Austriaków, w końcu Rosjan zalewały Francję, zaś armia nieprzyjacielska okupując całe departamenty rozgaszczała się tym razem na długo, by zabezpieczyć Ludwika XVIII i jego dynastię zarówno od zakusów ze strony Napoleona, **Jak i** od jakichkolwiek prób rewolucyjnych — •krajna reakcja coraz energiczniej podnosiła głowę domagała się bezlitosnej zemsty, zgładzenia zdrajców, zgniecenia i zniszczenia wszystkiego, co wrogie starej dynastii.

Talleyrand zdawał sobie sprawę, do czego doprowadzą te szaleństwa. Podejmował nawet pewne próby, żeby pohamować opętanych. Przez dłuższy czas opierał się wprowadzeniu na listy proskrypcyjne nazwisk ludzi, którzy dopomogli Napoleonowi do powrotu i objęcia władzy. Prześladowania na tym tle były jawnym nonsensem, **bo** wszak cała Francja albo czynnie dopomagała cesarzowi, albo bez wahania poddawała się, sprzy-

jając mu tym samym. W tej jednak sprawie miał coś do powiedzenia Fouché . Zgilotynował on w roku 1793 lub potopił w Rodanie wiele setek mieszkańców Lyonu za to, że byli zwolennikami dynastii bourbońskiej, głosował za śmiercią Ludwika XVI, przez całe lata jako minister policji Napoleona rozstrzeliwał ludzi, którzy opowiadali się za Bourbonami; teraz jest znowu ministrem policji i równie gorąco nastaje na rozstrzeliwanie, tym razem jednak za niedostatecznie gorące przywiązanie do dynastii bourbońskiej. Fouché nie omieszkął sporządzić listy najbardziej winnych dygnitarzy i generałów, jak np. Neya, oraz osób cywilnych, które najwcześniej i najwydatniej współdziałały z Napoleonem ułatwiając mu ponowne objęcie tronu.

Talleyrand zdecydowanie protestował. Rozumiał, że dynastię nieodwołalnie skompromituje i pogrzyży przelanie krwi takich ludzi, jak słynny marszałek Ney, żołnierz o legendarnej sławie, ulubieniec całej armii, bohater spod Elchingen i uczestnik bitwy pod Borodino. Jednak policyjni umysł Fouché i zaciekla chęć zemsty dworu królewskiego zatriumfowały nad przezornością Talleyranda, któremu udało się ocalić tylko 43 osoby. Reszta pozostała na liście Fouché . Marszałka Neya rozstrzelano, co oczywiście dało powód do antybourbońskiej agitacji w armii i całym kraju.

Był to jednak dopiero początek. Francję, zwłaszcza południe kraju, zalała fala „białego terroru”, według ówczesnego (po raz pierwszy w dziejach użytego) określenia. Straszliwa masakra rewolucjonistów i bonapartystów, a mimochodem również protestantów (hugonotów), do której nawoływało duchowieństwo katolickie, wprowadziła Talleyranda w stan rozdrażnienia. Próbował walczyć z tą polityką, lecz nie było mu sądzone długo pozostawać w rządzie.

Zacząło się wszystko od Fouché . Minister policji starał się jak mógł, lecz mimo to rojaliści

nie chcieli mu przebaczyć śmierci Ludwika XVI ani całej poprzedniej działalności. Spróbował uciec się do wybiegu, który nieraz pomagał mu za Napoleona, mianowicie przedłożył królowi i swemu bezpośredniemu przełożonemu księciu Talleyrandowi raport o groźnych spiskach, które wykryto jakoby w kraju. Talleyrand jednak zdecydowanie nie uwierzył koledze i nawet nie starał się ukryć tego przed nim. Fouché myślał tylko, że zna Talleyranda, podczas gdy ten rzeczywiście przejrzał ministra policji na wylot. Całą politykę represji i prześladowań, którą prowadził Fouché, aby kupić sobie ultraroyalistów i zachować tekę ministra, oceniał Talleyrand jako niedorzeczną i niebezpieczną. Rozumiał on doskonale, że wszystko to nic nie pomoże: ultraroyalisci zbyt żywiołowo nienawidzili ministra Fouché, splamionego krwią ich krewnych i przyjaciół, dlatego też gabinet, w którego skład on wchodził, nie będzie mógł się ostać w dobie szalejącej reakcji szlachty i wojowniczej agitacji klerykałów. Z tych względów książę Talleyrand nieodwołalnie postanowił uwolnić się od osoby księcia Otranto. Całkiem dla siebie niespodziewanie Fouché otrzymał nominację na posła w Saksonii i niezwłocznie wyjechał do Drezna. Wyrzucenie za burtę tego balastu nie uchroniło jednak okrętu przed rozbitiem. Dokładnie w pięć dni po mianowaniu Fouché posłem w Dreźnie Talleyrand przeprowadził zasadniczą rozmowę z królem. Prosił go o danie mu wolnej ręki w walce z szaleńczymi ekscesami skrajnej reakcji, które w sposób zupełnie jawny podrywały zaufanie do dynastii. Przemówienie swe zakończył Talleyrand stanowczym ultimatum: jeżeli jego królewska **mość** odmówi gabinetowi całkowitego swego poparcia przeciwko „wszystkim”, kogo zwalczać Ujdzie potrzeba, to on, Talleyrand, złoży dymisję. I oto zupełnie nieoczekiwanie padła odpo-

wiedź: „Dobrze, powołam inne ministerium”.
Działo się to 24 września 1815 roku i dzień ten

przerwał polityczną karierę Talleyranda na lat piętnaście.

IV

Jest rzeczą niewątpliwą, że na decyzję króla udzielenia dymisji Talleyrandowi wpłynęło również życzenie cara Rosji. Jeżeli cokolwiek było w stanie wzmóc nieufność i pogardę, jaką odczuwał Aleksander do Talleyranda (i to od pierwszej chwili, od momentu gdy „Anna Iwanowna” wstąpiła do niego na płatną służbę szpiegowską), to niewątpliwie do wzmożenia tych uczuć przyczyniły się wybryki Talleyranda na kongresie wiedeńskim, gdy ten szacowny dyplomata odegrał przed carem (zresztą bez powodzenia) scenę rozpacz z powodu Polski. Potem, gdy podczas Stu Dni Napoleon pospieszył przesać Aleksandrowi znaleziony w gabinecie Ludwika XVIII tajny układ z 3 stycznia 1815 przeciwko Rosji opatrzony podpisami Talleyranda, Metternicha i Castlereagh'a, zachowanie cara dało Talleyrandowi jasno do zrozumienia, że nie może on liczyć ani na łaski carskie, ani na ruble rosyjskie. Posel Rosji w Paryżu, Pozzo di Borgo, który przestał już wierzyć w „konstytucyjne zamiary” księcia, uczynił wszystko, co było w jego mocy, by przyspieszyć dymisję gabinetu Talleyranda. Główną przyczyną tej dymisji była oczywiście konieczność liczenia się z rojalistyczną reakcją, która po Stu Dniach i powrocie Ludwika XVIII niesłychanie się wzmogła. Zastarzała swą nienawiść do ekskomunikowanego księdza, zdrajcy i zabójcy księcia d'Enghien rojaliści potrafili zataić aż do roku 1814, teraz jednak Talleyrand był im już niepotrzebny, a przyspieszył dymisję znany wszystkim fakt, że Aleksander wyraźnie odsunął się od Talleyranda.

Sir Henry Bulwer-Lytton, który o wielu ważnych faktach dowiedział się podczas osobistych rozmów z czołowymi dyplomataми Anglii, świad-

kami wydarzeń lat 1814—1815 i późniejszych, twierdzi nawet, że dymisja ta była spowodowana bezpośrednią interwencją i niemal groźbą Aleksandra. „... Car Aleksander, który nigdy nie wybaczył Talleyrandowi jego zachowania się podczas kongresu, przestał ukrywać osobistą antypatię do niego i oświadczył Ludwikowi XVIII, że dopóki Talleyrand stać będzie na czele gabinetu w Tuileryach, król nie może się spodziewać niczego od gabinetu petersburskiego; jeśli wszakże jego królewska mość powierzy księciu Richelieu stanowisko zajmowane dotychczas przez Talleyranda, cesarz gotów jest podjąć wszelkie starania, aby złagodzić surowość żądań sojuszników” .

Wszystko to działo się po Waterloo, po ponownej okupacji Paryża i części kraju, po pełnych wściekłości oświadczeniach Blüchera i innych przedstawicieli pruskiego żołdactwa, że rozprawią się ze zwyciężonym po raz wtóry krajem. Spierać się z Aleksandrem byłoby Ludwikowi trudno, nawet gdyby sam miał chęć pozostawienia Talleyranda w rządzie — lecz od takiej chęci był on bardzo daleki.

Generał hr. Rochemouart, człowiek bliski zarówno Aleksandrowi, jak księciu Richelieu, bezpośredni uczestnik wypadków 1815 roku, podaje dokładne dane co do sprawy dymisji Talleyranda: „Ciężka chmura rozdzieliła cara Aleksandra i księcia Talleyrand. Nie wiedziałem wówczas nic o nieporozumieniu, które spowodowało upadek gabinetu Talleyranda ... Oto co zaszło: car Aleksander dowiedział się, że podczas prac kongresu wiedeńskiego książę Talleyrand zaproponował księciu Metternichowi tajny układ...” Podawszy historię i treść znanego nam tajnego układu z 3 stycznia 1815, który tak nieoczekiwanie doszedł do wiadomości Aleksandra, Rochemouart opowiada, że Aleksander nie ukrywał swego nie-

zadowolenia na myśl, iż „ten sam dyplomata będzie kierował polityką zagraniczną Francji jako prezes Rady Ministrów”.

Powinien był hrabia dodać, że nie tylko przed bitwą pod Waterloo, lecz i bezpośrednio po niej (dopóki wojska sojusznicze nie utrwaliły jeszcze swej okupacji w zwyciężonym kraju) Aleksander uważał udział Talleyranda, a nawet Fouchégo w rządzie za zło konieczne, z którym do czasu trzeba się pogodzić. Teraz jednak, po dwóch i pół miesiącach, można już było obyć się bez nich.

Car odrzucił Talleyranda, gdy przestał on być mu potrzebny. Drugiemu dyplomacie podpisane mu pod układem z 3 stycznia, kanclerzowi Metternichowi, „przebaczył”, ponieważ wzajemne zabezpieczenie absolutyzmów Rosji, Austrii i Prus po rewolucji wydawało się Aleksandrowi konieczne; obrał on od roku 1815 tę drogę i szedł nią bez wahań, nie udając już nawet, że ma zamiar z niej zbroczyć.

24 września 1815 roku Talleyrand otrzymał dyplomę, a w dwa dni później, czyli 26 września, car Aleksander, Franciszek I cesarz Austrii i Fryderyk Wilhelm III król pruski podpisali akt „Świętego Przymierza” (inicjatywa wyszła od Aleksandra). Wiemy, w jaki sposób wypowiadali się klasycy marksizmu o roli żandarma, jaką carat narzucił Rosji, i jak na tę rolę zapatrywały się wszystkie późniejsze rewolucyjne środowiska Rosji i Europy.

Oto jak Hercen charakteryzuje w swym znakomitym dziele „Z tamtego brzegu” ówczesną politykę Aleksandra: „Napoleon wzburzył przeciwko sobie cały naród [rosyjski], tak iż naród ten zdecydowanie chwycił za broń, rzucił się w ślad za nim do Europy i zajął Paryż. Losy tej części świata spoczywały przez parę miesięcy w rękach cara Aleksandra. Nie potrafił on jednak wy-

zyskać ani swego zwycięstwa, ani swojej sytuacji. Ustawił Rosję pod tym samym sztandarem, co i Austrię, tak jak gdyby umierające cesarstwo mogło mieć cokolwiek wspólnego z młodym państwem, które dopiero co ukazało się światu w całej swojej chwale; tak jak gdyby najenergiczniejszy przedstawiciel słowiańskiego świata mógł mieć te same cele i zadania, co najbardziej zawzięty ciemieżca Słowian". Tak ocenia Hercen rolę Aleksandra; popełnia przy tym zawsze ten sam charakterystyczny błąd: zbyt wielką wagę przypisuje roli jednostki, zapominając, że najpotężniejsza nawet jednostka nie może mieć decydującego wpływu na bieg historii; z drugiej zaś strony nie uwzględnia Hercen ogólnych klasowych społeczno-politycznych interesów, które tworzyły więź pomiędzy austriacką i rosyjską reakcją.

Zaczęły się więc czasy Świętego Przymierza, czasy metternichowskiej polityki w Europie, czasy Runicza, Magnickiego i na pół obłąkanego Foltija w Rosji oraz ultraroyalistycznych szaleństw we Francji. Lecz tutaj światowa reakcja natknęła się na opór ze strony części burżuazji, a potem ze strony robotników.

Warto zbadać, jak odbiły się fluktuacje polityczne Francji na postępowaniu księcia Talleyranda, zdymisjonowanego ministra i członka Izby Wyższej (Izby Parów), w piętnastoletnim okresie Jego życia jako prywatnego człowieka.

Rozdział 7

Talleyrand w stanie spoczynku

24 września 1815 — 6 września 1830

I

Nieoczekiwana dymisja zaskoczyła niewątpliwie ministra Talleyranda, pomimo iż w swych pamiętnikach nadaje sprawie pozory jakiejś dobrowolnej patriotycznej rezygnacji i nie wiadomo dlaczego wiąże je ze stosunkiem Francji do jej zwycięzców. Nie o to jednak chodziło — i Talleyrand oczywiście najlepiej rozumiał, w czym tkwi sedno sprawy. Stary, chory, unieruchomiony przez podagrę Ludwik XVIII pragnął tylko jednego: nie być po raz trzeci skazany na wygnanie i spokojnie, jako król, umrzeć w pałacu królewskim. Instykt ostrożności podpowiadał mu, że Talleyrand prawidłowo ocenia sytuację, upatrując w szaleństwach białego terroru, w zawziętych okrzykach i postępowaniu ultrareakcyjnej partii groźne niebezpieczeństwo dla dynastii. Z partią tą jednak należało się liczyć, a w każdym razie nie drażnić jej takimi współpracownikami, jak Fouché albo Talleyrand.

Potrzebna była talleyrandowska polityka, ale wykonywana innymi rękami... Książę de Talleyrand nie zdawał sobie sprawy, że jest bardziej jeszcze zniechęcony niż Fouché; nie chciał zrozumieć, że większość ultraroyalistów (a nawet większość członków innych ugrupowań) chętnie powtarza słowa Józefa de Maistre: „Z tych dwóch ludzi Talleyrand jest większym zbrodniarzem niż Fouché”. Jeżeli Fouché był dla księcia Benewentu zbyt ciężkim balastem, to sam książę był balastem dla króla Ludwika XVIII. Tym się tłu-

maczy, że zaledwie Fouché zdążył wyjechać do **Drezna**, Talleyrand, który go usunął, został sam wyrzucony za burtę. Przy dymisji otrzymał tytuł dworski wielkiego szambelana, do którego przywiązane były pobory w wysokości stu tysięcy franków w złocie oraz „obowiązek” zajmowania się, czym zechce, i przebywania tam, gdzie mu **SIE** będzie podobało. Nawiasem mówiąc, Talleyrandowi za czasów Napoleona przysługiwał ten **mam** tytuł (poza wieloma innymi tytułami i godnościami), a obowiązki jego w owym okresie były równie mało uciążliwe i jeszcze lepiej opłacane. Rzecz prosta, że zachował również godność dożywotniego członka Izby Parów.

Wolny od obowiązków ministra, Talleyrand zajął się przeprowadzeniem z góry obmyślonej operacji finansowej, o której zresztą nic nie było wiadomo aż do ostatnich czasów, ściśle biorąc do dnia 15 grudnia 1933 r., kiedy to opublikowano we Francji niektóre tajne dokumenty.

Talleyrand, zupełnie już przeświadczony, że został na długo usunięty od udziału w rządach, przystąpił do sprzedaży pewnego cennego towaru i dnia 12 stycznia 1817 r. napisał list do Metternicha. Zwykłym sobie spokojnym i uroczystym tonem Talleyrand otwarcie stwierdza, że potajemnie „wyniósł” (emporté) z archiwów państwowych (dział Ministerstwa Spraw Zagranicznych) znaczną ilość dokumentów dotyczących korespondencji Napoleona. **I** aczkolwiek Anglia, Rosja czy Prusy zapłaciłyby mu bardzo dużo, nawet z pięćset tysięcy franków za te dokumenty, Talleyrand postanowił jednak, w imię dawnej serdecznej przyjaźni, jaka go łączy z Metternichem, sprzedać je tylko Austrii i nikomu innemu. Czy więc Austria nie zechce ich nabyć? Donosi przy tym Talleyrand, że ukradł nie tylko swoją korespondencję z Napoleonem, poczynając od wyprawy egipskiej, a kończąc na roku 1807, **ale** również korespondencję Bonapartego z późniejszymi ministrami spraw zagranicznych: księ-

ciem Cadore (Champagny) od roku 1807 do 1811 i księciem Bassano (Maret) od 1811 do 1813. Wszystko to są oryginały opatrzone własnoręcznym podpisem Napoleona — zachwała swój sprytnie wykradzony z archiwum towar. Metternich zareagował niezwłocznie, zwłaszcza że Talleyrand dał mu do zrozumienia, iż wśród oferowanych dokumentów znajduje się niejeden, który mógłby skompromitować cesarza Austrii, i że kupiwszy dokumenty rząd austriacki mógłby „pogrzebać je w swych archiwach lub nawet zniszczyć”. Transakcja doszła do skutku. Za pół miliona sprzedał Talleyrand skradzione osobiście dokumenty archiwalne. Kradzieży dokonał zawczasu, w roku 1814, gdy dwa razy stał przejściowo na czele rządu.

Cena, co prawda, była dość wygórowana: pół miliona franków. Lecz Talleyrand rozumiał doskonale, że jeśli się to wszystko wyda, to zgodnie z prawem będzie sądzony za kwalifikowaną zdradę kraju, z kradzieżą jako okolicznością obciążającą; toteż poza wymienioną sumą zażądał od księcia Metternicha obietnicy, że w razie jakichkolwiek nieprzyjemności (czytaj: dochodzenia karnego!) Austria zapewni jemu, księciu Talleyrand, oraz jego rodzinie azyl „w Wiedniu lub jakiegokolwiek miejscowości znajdującej się we władaniu Austrii, gdyby okoliczności wymagały... opuszczenia przez niego Francji”. Metternich zgodził się na wszystkie te warunki i przy zachowaniu należytych ostrożności oraz ścisłej konspiracji dokumenty (832 numery) znalazły się w Wiedniu u Metternicha, podczas gdy 500 tysięcy franków w złocie powędrowało do Paryża, do Talleyranda. Nie grało żadnej roli, że Talleyrand zupełnie bezwstydnie oszukał Metternicha, gdyż spośród sprzedanych 832 dokumentów tylko 73 były istotnie oryginałami podpisanymi przez Napoleona — resztę stanowiły odpisy służbowe, w dodatku niezbyt interesujące. Lacour-Gayet, wydawca „*Mélanges*”, który wydrukował

dokumenty dotyczące tej złodziejskiej transakcji, zaznacza, że byłoby błędem sądzić, iż Metternich padł ofiarą „sprytnego łotrzyka”: „Kancelerz nie był durniem, który kupuje kota w worku, a książę Talleyrand nie był tego typu łotrem, który chce oszukać na jakości towaru... Handlował, ale Jak uczciwy kupiec... Jeden sprzedawał dokumenty «cenne i częstokroć kompromitujące», o drugi świadomie «właśnie te» dokumenty kupował”. Posługując się delikatnie wtrąconą do listu aluzją szantażu, Talleyrand zmusił swego korespondenta do niezwłocznej zgody na kupno, a wśród mało ciekawej służbowej makulatury archiwalnej otrzymał jednak Metternich za swoje pieniądze nieprzyjemne dla Austrii dokumenty. Wspólnicy świetnie się wzajemnie rozumieli — wszak nie pierwszy to raz ze sobą współpracowali.

Może ten domysł Lacour-Gayeta nie ma należytych podstaw. Gdyby nawet hipoteza ta była pozbawiona słuszności, to nie należy zapominać, że kanclerz austriacki, tak czy owak, nie miał możliwości zareagować inaczej na postępek Talleyranda. Metternich zgodził się na wszystko i wypłacił całą żądaną sumę, a książę doręczył dokumenty w austriackim poselstwie w Paryżu dopiero po otrzymaniu pieniędzy. Potem już, gdy przedmiot kradzieży został wywieziony z Francji (Jako poczta dyplomatyczna poselstwa) i znalazł się w Wiedniu, kanclerz przekonał się, że sprzedający oszukał go w pewnym stopniu, bo, jak już wzmiankowaliśmy, wiele dokumentów nie było oryginałami, lecz kopiami bez podpisu Napoleona. Komu jednak można było poskarżyć się w tak delikatnej sprawie? Paser kupujący kradzione mienie musi być zawsze przygotowany, że go sprzedawca oszuka, o ile jest podstępny złodziejom. Na tym sprawa się zakończyła, stwierdzić jednak należy, że późniejszy stosunek Metterni-

cha do Talleyranda był bardzo chłodny. Nie przejmowało to, rzecz prosta, szacownego księcia Benewentu, któremu przecież nie zależało na nawiązywaniu z kimkolwiek serdeczniejszych stosunków.

II

Na razie zdawało się, że Talleyrand miał zamiar pędzić spokojny żywot dygnitarza w stanie spoczynku. Olbrzymia fortuna, wspaniały zamek w Valencay, świetny pałac w Paryżu, królewski przepych — oto co czekało na niego u schyłku życia. Brak zajęcia nie nużył go, nigdy właściwie nie lubił pracować. Zawsze tylko nadawał ogólny kierunek pracom swych podwładnych w ministerstwie, dawał wskazówki posłom za granicą, wreszcie jako premier — ministrom; wspomagał radami monarchów, którym służył, zarówno Napoleona, jak Ludwika XVIII, czyniąc to w rozmowach w cztery oczy. Pertraktacje i intrzygi dyplomatyczne najchętniej przeprowadzał bądź przy stole biesiadnym, bądź na balu, nieraz podczas gry w karty; osiągał najlepsze wyniki właśnie w różnorodnych okolicznościach swego światowego, pełnego rozrywek życia.

Natomiast codzienna, mrówcza, urzędnicza praca nie była mu ani znana, ani potrzebna: miał wszak do tego cały aparat doświadczonych i posłusznych mu dygnitarzy i urzędników, sekretarzy i dyrektorów. Zarówno w latach gdy nielaska Napoleona odsunęła go od udziału w rządach, jak i teraz, będąc zdymisjonowany, przyglądał się bacznie politycznej szachownicy, śledził porównania partnerów, sam na razie nie biorąc udziału w rozgrywkach. Widział zupełnie jasno, że Bourbonowie sami podkopują fundamenty swego istnienia, a jedyny wśród nich ostrożniejszy choć trochę człowiek, sam Ludwik XVIII, opada z sił w beznadziejnej walce przeciw skrajnym reakcjonistom; że po śmierci tego króla obejmie tron

lekkomyślny starzec, Karol d'Artois, który nie **tylko** nie będzie **się** przeciwstawiał projektowi przywrócenia dawnego reżymu, ale nawet **chętnie** sam podejmie inicjatywę w tym względzie, gdyż za mało ma rozumu, aby móc dojrzeć olbrzymie niebezpieczeństwo tej beznadziejnej gry, tych **nie** prowadzących do niczego, bezsensownych prób **Cofnięcia** historii; zabraknie mu nawet zwykłego Instynktu samozachowawczego — jedynej rzeczy, **która** jeszcze chroni starszego jego brata, Ludwika XVIII, od całkowitego przerzucenia **się** na **stronę** ultraroyalistów.

Odsunięty chwilowo od polityki Talleyrand zabrał się do pisania pamiętników. Napisał ich pięć tomów. Dla biografów pamiętniki te nie mają większego znaczenia. Należy jednak powiedzieć parę słów o tym utworze.

Bardzo rzadko **się** zdarza, aby pamiętniki działaczy burżuazyjnych odgrywających w historii ważniejszą rolę jaskrawo nie rozmięły **się** z prawdą. **Jest** to zupełnie zrozumiałe: autor, który zdaje sobie sprawę ze swej odpowiedzialności przed **historią**, **chce** przedstawić wypadki w taki sposób, **by** jego postępowanie ukazało **się** w najlepszym świetle, jeśli zaś postępowania **nie** da **się** wytłumaczyć na korzyść autora, stara **się** w ogóle **wyprzeć** udziału w wypadkach. Słowem, o wielu autorach pamiętników tego typu można powtórzyć słowa wypowiedziane przez Henryka Rochefort na temat wspomnień pierwszego ministra **I** końca Drugiego Cesarstwa, Emila Ollivier: „Ollivier **łże** tak, jakby był wciąż jeszcze **premierem**”. Doskonałą próbkę tego typu literatury **stanowi** dziewięć tomów wspomnień nieboszczyka Poincarégo (sądząc po skali, na jaką zostały zakrojone, **i** biorąc pod uwagę znaną pracowitość autora, należy przypuszczać, że w projekcie było jeszcze co najmniej dwanaście tomów). Całe dziewięć tomów Poincarégo to, **bez** wyjątku **nieleddie**, powtarzanie patriotycznych frazesów publikowanych w okresie działalności kilku gabinetów.

tów, którym przewodniczył, i jego prezydentury.

Pamiętniki Talleyranda wyróżniają się w pewnej mierze dodatnio wśród utworów tego rodzaju. Po pierwsze dlatego, że — mimo pierwotnych wahań pod tym względem — były przeznaczone tylko dla potomności i w żadnym wypadku nie miały się ukazać za życia autora (pierwszy nakład wyszedł w r. 1891, tj. w 52 lata po śmierci Talleyranda). Po wtóre, jak już zaznaczyliśmy, Talleyrand nie łudził się, aby ktokolwiek mógł uwierzyć jego pamiętnikom. Gdy bowiem działał jeszcze na światowej arenie i niejednokrotnie wywierał znaczny wpływ na bieg wydarzeń w decydujących momentach historii, wykazywał przy tym zawsze cyniczną bezczelność i nawet nie próbował usprawiedliwiać później swego postępowania. Dlatego właśnie, pisząc, obrał specjalną metodę. Przede wszystkim przeładował swe pamiętniki przedrukiem urzędowych dokumentów, służbowymi lub półsłużbowymi raportami, które sporządził w toku swej politycznej kariery, następnie zaś pomiął milczeniem wszystkie te wydarzenia, których nie można było przedstawić w kłamliwy sposób, ponieważ fakty były bezsporne i szeroko znane. Z tego powodu pamiętniki te nie posiadają takiej wartości i atrakcyjności, jakiej można by się po nich spodziewać zważywszy, z iloma wybitnymi ludźmi autor ich miał do czynienia! „Mówił on o sobie, iż jest wielkim poetą, bo stworzył trylogię z trzech dynastii: akt pierwszy to imperium Bonapartego, akt drugi to dynastia Bourbonów, akt trzeci to dynastia orleańska. Wszystko to uczynił w swoim pałacu; jak pająk czatujący w swej sieci kolejno wciągał do tego pałacu i opanowywał: bohaterów, myślicieli, wielkich ludzi, wojowników, królów, książąt, cesarzy — Bonapartego, panią de Staël, Sieyęsa, Chateaubrianda, Beniamina Constant, Aleksandra rosyjskiego, Fryderyka Wilhelma pruskiego, Franciszka austriackiego, Ludwika XVIII, Ludwika Filipa i wszystkie złote i po-

łyskliwe muchy, które brzęczą w historii ostatnich lat" — tak pisał o Talleyrandzie Wiktor Hugo **W** kilka dni po jego śmierci. O wszystkich tych osobistościach Talleyrand mówi bardzo niewiele, znacznie mniej, niż mógłby powiedzieć.

Pomimo wszystkich swych braków wspomnienia Talleyranda stanowią jednak dość pożyteczny wkład do pamiętnikarstwa historycznego i nie są bez znaczenia dla ludzi interesujących się historią.

Właśnie dlatego, że Talleyrand wiele spraw przemilcza, można z tym większym zaufaniem Odnieść się do tych, które porusza. Milczał bowiem o wydarzeniach powszechnie znanych; nie miał Umiaru w ten sposób „ukrywać” prawdy, dawał tylko do zrozumienia, że nie chce tych tematów poruszać. Mówił natomiast tylko o sprawach, które mógł naświetlić w korzystny dla siebie sposób, i co do których, być może, uważał w głębi duszy, iż nie są wcale hańbiące dla jego reputacji.

Wszystkie papiery i dokumenty Talleyrand przekazał w testamencie żonie swego siostrzeńca, księżnej Dino, zastrzegając równocześnie, żeby pamiętniki jego nie były wydane przed upływem **30** lat po jego śmierci. Gdy księżna Dino zmarła, wszystkie papiery przeszły na mocy jej ostatniej woli na Bacourta, który zaczął przygotowywać je do wydania drukiem. Ten zaś na łożu śmierci przekazał cały materiał dwom dyletantom, do których dołączył się później członek Akademii, książę Broglie, znany przywódca francuskich ległymistów i minister początkowych lat Trzeciej Republiki. Właśnie Broglie przygotował ostatecznie do druku pamiętniki Talleyranda, których pierwszy tom ukazał się w Paryżu w lutym, drugi I trzeci w czerwcu, a czwarty i piąty w sierpniu 1891 roku.

Ustalono już zupełnie ściśle, że wspomnienia **swę** obejmujące okres od pierwszych lat życia do dynisji otrzymanej w roku 1815, napisał Talley- I w czasach Restauracji, najprawdopodobniej

w pierwszych jej latach. Potem w pamiętnikach następuje poważna luka obejmująca cały okres dymisji, następnie przechodzą one bezpośrednio do rewolucji lipcowej 1830 roku i do ostatniej fazy aktywnego życia Talleyranda, gdy w latach 1830—1834 przebywał on w Londynie jako poseł Ludwika Filipa. Ta część pamiętników napisana jest najwidoczniej w latach 1835—1837, gdyż w roku 1838 Talleyrand często chorował i nie mógł już pracować.

Pierwsza część nosi wyraźne znamiona epoki, w której była pisana. Przybiera tu Talleyrand ton człowieka bolejącego zawsze w duszy nad błędami i niedolą „prawowitej” dynastii Bourbonów, ton umiarkowanego liberalnego arystokraty, który pragnąc się przyczynić do ratowania ojczyzny — wbrew nakazom swego serca zaczął służyć Konstytuancie, Dyktatoriatowi i Napoleonowi; jednakże (tak stara się wmówić czytelnikowi) serce ciągnęło go tylko do Bourbonów. Z tą nutą harmonizują doskonale dwie inne, również wyraźnie dźwięczące w pierwszej części pamiętników: a więc chętnie powracanie do szczegółów obyczajowych starego reżymu, które Talleyrand pamiętał z czasów dziecięcych, pyszałkowate twierdzenia, że człowiek nie należący do arystokracji nie może grać takiej roli i być tak poważany przez szerokie masy, jak członkowie starych rodów szlacheckich; druga nuta — to stałe zwracanie uwagi czytelnika na to, że autor przed rewolucją gorąco bronił praw i przywilejów kościoła, zwalczając tendencje władz świeckich nakładania na kościół coraz większych ciężarów. Jasną jest rzeczą, że myśląc wówczas o czytelnikach z lat 1815—1816 i następnych, Talleyrand chciał przedstawić się jako ich człowiek, mający te same szlacheckie, a często i klerykalne sympatie, które cechowały ówczesną, będącą u steru reakcję. Wiele oznak wskazuje, że Talleyrand z początku nie wyrzekał się myśli drukowania swych pamiętników jeszcze za życia, toteż przez pewien

OMB miał na względzie tego czytelnika, który **na-
dawał** ton przy Restauracji właśnie w pierwszych
Jej latach.

Odbiło się to nie tylko na świadomie kłamli-
wym przedstawianiu własnej roli i pobudek dzia-
łania za czasów Rewolucji i Cesarstwa, lecz także
na rozmyślnym pominięciu milczeniem niektó-
rych wydarzeń, jak np. sekularyzacji majątków
kościelnych w roku **1789** na jego własny wniosek
ltp. Poświęcając cały rozdział spotkaniu Napo-
leona i Aleksandra w Erfurcie, wspomina za-
ledwie pobieżnie i mglisto o swoich zdradzieckich
knowaniach w tym okresie. Porusza mimochod-
dem sprawę stracenia księcia d'Enghien, przy
czym sugeruje czytelnikowi, że moralnie nie miał
z nią nic wspólnego. Opowiadając o latach **1814 –
1815** daje wyraźnie do poznania, że myślał wów-
czas jedynie o ratowaniu ojczyzny. Aby zaś osta-
tecznie zamaskować przed czytelnikiem swą rolę
Inicjatora egzekucji księcia d'Enghien, wspomina
(**ni** stąd, **ni** zowąd), że księżę Condé (czyli ojciec
zamordowanego księcia d'Enghien) złożył mu po-
wieszowania z powodu wyników kongresu wie-
deńskiego. Zapomina wszakże dodać, że księżę
Condé wystąpił z takim powieszowaniem dopiero
znacznie później, gdy Talleyrand bezwstydnie
oszukał go i zdołał się bezczelnym kłamstwem
usprawiedliwić w jego oczach.

Każdy zresztą, kto zapoznał się z moją cha-
rakterystką Talleyranda i z bezspornymi fakta-
mi, jakie przytaczam, bez trudu sam doszuka się
przyczyn, dla których autor omawianych pa-
miętników woli o pewnych faktach nie wspominać,
a przedstawiając inne, odbiega wyraźnie od
prawdy.

Pomimo wszystko jednak historyk opracowu-
jący dzieje Francji, mianowicie koniec starego re-
lymu, Rewolucję, Cesarstwo, Restaurację, rewolu-
cję lipcową i monarchię Ludwika Filipa, nie
może się obyć bez pamiętników Talleyranda;
PRZYdatne są one również dla badacza historii

dplomacji europejskiej tego okresu. Nieraz można w tych tomach znaleźć ważne szczegóły, subtelne uwagi i charakterystyki zarówno ludzi, jak i wydarzeń: dodatnio występuje tu cecha charakteru Talleyranda, o której wspomniałem: brak mściwości, cecha, która nie wpływała zresztą z dobrodusznego charakteru, lecz po prostu z faktu, że Talleyrand nie potrafił nienawidzić, umiał tylko pomiatać ludźmi i wykorzystywać ich dla swych celów.

Pamiętniki te nie mają charakteru bojowego pamfletu, napisanego w celu upokorzenia wrogów i ukarania krzywdzicieli, jak np. analogiczne opracowania Tirpitz, Clemenceau, lorda Asquith czy hr. Witte albo jak falsyfikowane pamiętniki Bourrienne'a czy Bismarcka. Przeciwnie, Talleyrand z charakterystycznym dla niego spokojem i obojętnością odnosi się do każdego, kto już nie żyje lub kto nie może mu zaszkodzić. Wreszcie jest w tych wspomnieniach nieuchwytny, lecz bardzo ważny rys, który cechuje ludzi będących głównymi aktorami historycznego dramatu: pewna bezpośredniość, można powiedzieć poufałość, z jaką Talleyrand opowiada o wielkich wypadkach historycznych, dzięki czemu pod jego piórem rzeczywisty ich związek ujawnia się w żywych barwach. W pewnej mierze przyczynia się do tego nawet owa niedbałość, owa niechęć do rzetelnej pracy, tak bardzo charakterystyczna w tym człowieku. „Nie bądźcie zbyt gorliwi” — uczył początkujących dyplomatów. „Dobroczyncą ludzkości byłby ten, kto potrafiłby wpoić jego cesarskiej mości cesarzowi Napoleonowi trochę lenistwa (*un peu de paresse*)” — mawiał z westchnieniem w latach rozkwitu „wielkiego imperium”. Zdaniem księcia Benewentu jedyną właściwą dla dyplomaty taktyką jest działać bez pośpiechu i umieć odczekać, zbytnio nie interweniować i przede wszystkim niewiele pracować. Toteż w swe pamiętniki nie wkładał on wiele pracy, nie szlifował swych niedbale rzuconych szkiców, starał się być jak

najbardziej lakoniczny i jak gdyby dążył do tego, by możliwie szybko przejść do „aktu nr...”, jeśli U nim w jego mniemaniu można było jak za bezpiecznym parawanem ukryć się przed potomością.

Przedstawiając w niniejszej książce analizę życia i działalności Talleyranda mogłem oczywiście tylko w bardzo ograniczonym stopniu wyzyskać te pięć tomów jego pamiętników. Zdawałem sobie sprawę, że dla czytelnika najciekawsze będzie nie to, o czym Talleyrand mówi, lecz to, co przemilcza; oparłem więc swą pracę na zupełnie innych źródłach, starając się przy tym wydobyć z gąszczu faktów i przeanalizować tylko te sprawy, które uważałem za najbardziej znamienne charakterystyczne.

Pisanie pamiętników niezbyt bawiło księcia. Nie miał jeszcze najmniejszej ochoty złożenia samego siebie do archiwum.

III

W pierwszych latach Restauracji Talleyrand pragnął oczywiście powrócić do władzy. Zrzędził, wymyślał ministrom nawet publicznie, za co wreszcie ukarano go „pozbawieniem dworu”, czyli zakazano mu pojawiać się w Tuileryach (mimo iż piastował godność wielkiego szambelana). Wyrżał się z ironią o głupocie i nieudolności osób na stanowiskach kierowniczych, ostrzył sobie na nich język i pisał epigramy. Dawał do zrozumienia, komu należy, że on sam jest niezastąpiony. Nic to nie pomogło — nie powołano go do rządu. Jak na to wskazują rozmaite oznaki, Talleyrand przewidywał już wówczas, że zbliża się nieuchronnie chwila upadku Bourbonów. Nie tylko nie lubił on ich (w ogóle nikogo nie lubił), ale nawet ich nie szanował, tak jak na przykład szanował Napoleona. Był również przekonany, że cel, do którego dążą Bourbonowie i ich stronnicy, jest tak samo fantastyczny, jak „światowa mo-

narchia" ich groźnego poprzednika na tronie Francji.

Talleyrand jasno zdawał sobie sprawę, że rewolucja burżuazyjna zadała szlachcie jako klasie śmiertelną ranę, która nie tylko nie może się zagoić, lecz nieuchronnie zakazi zabójczym jadem dynastię Bourbonów.

Nie omieszkał Talleyrand dać do zrozumienia królowi, że nie czuje się jeszcze tak starym, by miał poprzestać na pisaniu pamiętników. Ludwиковi XVIII nie wypadało odmówić księciu nominacji na członka Izby Parów, potem zaś nie można już było pozbyć się go, jako że godność ta była dożywotnia.

Przekonawszy się, że w swoim czasie chybił fatalnie i że z błędu tego skorzystał pochopnie Ludwik, by odsunąć zawsze nie lubianego i niewygodnego dlań „przyjaciela i wiernego sługę”, Talleyrand zaczął cierpliwie tkać nową pajęczą sieć intryg przeciwko „niewdzięcznym” Bourbonom.

Oto co pisze poseł Pozzo di Borgo w liście swym z Paryża do Petersburga: „Pan de Talleyrand, który w swym rozgorzyczeniu przyjął najwidoczniej zasadę opozycji przeciwko wszystkiemu, co się tu dzieje, wywołał przeciw sobie, jak się tego można było spodziewać, równie niechętny stosunek wzajemny. W warunkach, w jakich się znalazł, każda jego opozycja, czy to słuszną, czy też bezpodstawną, przypisywana jest bądź jego żądzy władzy, bądź podstępny planom, skłonność do sarkazmu i podrażniona miłość własna. Skupiła się koło niego gromada wszelkiego rodzaju intrygantów, którzy go kompromitują, a ponieważ w Paryżu stracili grunt pod nogami, przeto jako teren działalności wybrali sobie Londyn, gdzie udaje się im umieszczać w prasie korespondencje. Na korespondencje te składają się dokumenty sfabrykowane na podstawie nieściśle podanych wypowiedzi oraz złośli-

we krytyki osoby króla i jego rodziny. Pan de Talleyrand jest w nich przedstawiany jako prześladowany mędrzec, którego nieobecność w składzie gabinetu spowodowała wszystkie te poddane krytyce niedociągnięcia..." Korespondencje skierowane są „i przeciwko naszemu [rosyjskiemu] dworowi, ganią bowiem «szacunek» rządu francuskiego dla Rosji oraz dążą do podważenia wpływów Rosji na sprawy francuskie". Pozzo di Borgo najwyraźniej lęka się, by Talleyrand teraz, w 1816 roku, nie zaczął rozpowszechniać „liberalnych” rozmów, jakie z nim prowadził Aleksander w kwietniu i maju 1814 roku. Sądząc z kilku dyskretnych, zawołowanych uwag, Pozzo di Borgo, Talleyrand i jego otoczenie rozpowszechniali jakoby pogłoskę, że król pozbył się Talleyranda za wierne przestrzeganie w swym postępowaniu „liberalnych rad” cara. Od wiosny 1814 roku, kiedy miały miejsce te rozmowy, do roku 1816, po zawarciu „Świętego Przymierza”, tyle wody upłynęło, iż trudno się dziwić, że car nie miał już najmniejszej ochoty wracać pamięcią do wielu spraw minionych.

Talleyrand zaś od dawna bardzo dobrze rozumiał że „liberalne” i „konstytucyjne” tendencje cara w dziedzinie wewnętrznej polityki francuskiej (bo oczywiście nie rosyjskiej!) były podsytkowane wyłącznie obawą przed powtórzeniem się rewolucji we Francji i niczym innym. Dla zrozumienia tego nie potrzebował Talleyrand oczekiwać na dowody w postaci rozpasania arakczej wsteczności, zesłań wojennych, golicynowskiego wstecznictwa, rozkwitu „Świętego Przymierza”, zachowania się cara w Opawie, w Laibach i w Weronie.

Mimo iż Talleyrand był w stanie spoczynku, i to, jak się okazało, na długo, bo od 24 września 1815 aż do rewolucji lipcowej 1830 roku, dwór

odczuwał nadal nie tylko nienawiść, lecz i strach przed nim; najwidoczniej nie od razu się zorientowano, że jest rzeczą możliwą obejść się już bez usług tego człowieka. Budziła obawę jego chłodna złośliwość, ostry język, który nikogo nie szczędził, jego złowróźbne przepowiednie.

„Księżę Talleyrand powrócił do Valencay przed zakończeniem uroczystości weselnych [w związku ze ślubem księcia de Berry]. Król i księżęta starali się wobec niego tak zachowywać, by nie dać mu żadnego pretekstu do skarg. Chociaż człowiek ten podkreśla, że wycofał się ze spraw publicznych, to jednak przez jakiś jeszcze czas nie pozostanie bez pewnego znaczenia we Francji (*ne sera pas encore de quelque temps tout à fait indifférent en France*). Najlepszym sposobem stępienia ostrza jego krytyki byłoby nie narażać **Się** na nią przez własne błędy. Oto argument najczęściej przeze mnie wysuwany wobec tych, którzy się go boją, lecz narażają się na jego intrygi jedynie wskutek własnych nieostrożnych postępów" — tak donosi z Paryża Pozzo di Borgo latem 1816 roku.

IV

Niechęć Talleyranda do króla i jego ministrów, bez względu na to, kim byli i jaką prowadzili politykę, nie miała wprost granic. Oto jeden z przykładów. W roku 1817 wniesiony zostaje do Izby projekt ordynacji wyborczej, obniżający nieco cenzus czynnego prawa wyborczego: prawo głosowania ma odtąd przysługiwać obywatelom płacącym rocznie 300 franków podatków bezpośrednich. Skrajnym reakcjonistom prawo to wydaje się wywrotowe, rewolucyjne, groźne dla monarchii, rozpoczynają więc burzliwą agitację, A członek Izby Parów, Talleyrand, który dobrze

wie, że tępa, nieprzejednana arystokratyczna reakcja gubi monarchię, staje na czele tej **reakcyjnej** kliki, byle tylko obalić gabinet. Poseł **rosyjski** Pozzo di Borgo, orientujący się w grze Talleyranda i w jej pobudkach, komunikuje hrabiemu Nesselrode i cesarzowi: „Pan Talleyrand spodziewa się, **iż** cała ta intryga dopomoże mu do wypłynięcia. Udaje, **że** broni zagrożonych **interesów** szlachty, **że** podziela obawy książąt [krewnych królewskich] **i** występuje w roli zagorzałego obrońcy legitymizmu, któremu mógłby zagrażać **zły** wybór posłów... W tej nowej roli ukazał się **On** znow w Izbie Parów w towarzystwie Mateusza **de** Montmorency, Chateaubrianda i innych, uważanych za posłuszne narzędzia książąt”. „**Książęta**” — to brat królewski Karol d'Artois i jego synowie, książęta d'Angouleme i de Berry.

Istnieje pewien bardzo znamienity dokument, którego wynika, **że** Talleyrand w okresie swych knowań przeciwko królowi **i** rządowi wykazywał wielką aktywność i przedsiębiorczość oraz **że** **posunięcia** jego były najprawdopodobniej skoordynowane z intrygami brytyjskiej polityki zagranicznej przeciwko ks. Richelieu, uważanemu, **słusznie** zresztą, **za** człowieka Aleksandra. Jest to **dokument** dużej wagi, sporządzony przez pierwszego ministra, ks. Richelieu, **we** wrześniu **1817** roku w odpowiedzi na zapytanie rosyjskiego **rządu**, czy wycofanie okupacyjnych wojsk sojuszniczych z Francji nie będzie zagrażało bezpieczeństwu odrestaurowanej dynastii bourbońskiej.

Richelieu rozwiewa te obawy zaręczając, **iż** nie mowy o powstaniu przeciwko rządowi i dynastii; nie tai wszakże, **że** do niedawna poczynania ultraroyalistycznych reakcjonistów mogły budzić niepokój: „Ta partia, nastrojona buntowniczo i burzliwie (*factieux et turbulent*), bądź popierała najbardziej absolutystyczne doktryny, bądź

też przerzucała się do skrajnej, niepohamowanej demokracji (sic!), a to wszystko tylko po to, by sprawić jak największą trudność królowi. Uciekała się ona do wszelkich ostateczności (à tous les extrêmes): do p. Talleyranda, p. Canninga, ks. Wellingtona, do gazet angielskich, do oszczerstwa, do kłamliwych alarmów — wszystko było wyzyskane, gdy szło o wywołanie wrzenia" . W całym swym długim raporcie książę Richelieu nie podaje ani jednego nazwiska francuskiego poza nazwiskiem księcia Talleyranda, którego wymienia w związku z angielskimi działaczami politycznymi, wspólnie z Talleyrandem prowadzącymi intrygi przeciwko rządowi Francji. Świadcstwo ks. Richelieu jest jeszcze jednym dowodem wiarygodności przytoczonych wyżej informacji Pozzo di Borgo.

Tak oto działał Talleyrand na korzyść stronników absolutystycznej reakcji, choć tylokrotnie wypowiadał pogląd, że polityka tych właśnie Polignaców, hrabiów Blacas i hrabiów d'Artois jest nie do przyjęcia, jako bezsensowna i zgubna. A oto jakich środków chwycił się „patriota” Talleyrand, który wszak zawsze usprawiedliwiał swoje zdrady tym, że nie Francji się sprzeniewierzał, lecz rządowi prowadzącym politykę szkodliwą, jego zdaniem, dla żywotnych interesów narodowych. Dowiadujemy się więc z uzupełniającego raportu skierowanego przez Pozzo di Borgo do Petersburga pod tą samą datą, że minister Richelieu prowadzi uciążliwe pertraktacje w sprawie stopniowego wycofywania wojsk sojuszniczych z francuskiego terytorium. Talleyrand, który czynił wszystkie możliwe wysiłki, aby ściągnąć do swego pałacu przedstawiciela brytyjskiego w Pa-

ryżu, księcia Wellingtona, i nawiązać z nim jak najbardziej zażyłe stosunki, zdołał mu w jakiś sposób donieść, że kierownik wydziału podatków pośrednich, Barante, wyraził się ordynarnie o okupacyjnych oddziałach sojusznicych stacjonujących we Francji. Samego wyrażenia użytego przez Barante'a prasa nie podała, ale Wellington dowiedziawszy się w domu Talleyranda o tym fakcie uniósł się gniewem, narobił wielkiego hałasu i tak nastraszył ks. Richelieu, że ten gotów był usunąć Barante'a. Dzięki wstawiennictwu posła rosyjskiego załagodzone wreszcie sprawę i udobruchano Wellingtona. Nie udało się więc Talleyrandowi wywołać incydentu międzynarodowego i trzeba było pogrzebać „wszelkie nadzieje, jakie intryga p. Talleyranda obudziła wśród jego stronników” — dodaje Pozzo di Borgo.

Wreszcie książe Benewentu zaczął działać w sposób tak wyzywający, że Ludwik XVIII zabronił mu pokazywać się na dworze; nie zdobył **SIĘ** jednak na to, by pozbawić księcia godności „wielkiego szambelana dworu królewskiego”. Ta zabawna „kara”, która dowodziła tylko wielkiego strachu króla i ministrów przed dalszymi intrygami doświadczonego szambelana, została wkrótce zniesiona (w lutym 1817) „na prośbę księcia Richelieu” — jak pisze Pozzo di Borgo. Niewątpliwie pobudką tej „wielkoduszności” były obawy przed dalszymi intrygami Talleyranda. Richelieu wiedział bowiem doskonale, że Talleyrand go nie cierpi, że to on właśnie rozsiewa plotki, jakoby Aleksander najpierw powierzył ks. Richelieu zarząd noworosyjskiej guberni [Odessy] i Krymu, a potem Francji; Talleyrand dodawał jeszcze złośliwie, że książe Richelieu jest dlatego najwłaściwszym człowiekiem do rządzenia **Francją**, że ze wszystkich Francuzów najlepiej zna Krym.

Odpowiednie „podziękowanie” za łaskawość królewską nie dało na siebie długo czekać. „Jak już donosiłem Waszej Wysokości, księżę Richelieu z dobroci serca wpłynął na króla, by zezwolił panu Talleyrand na zjawienie się u dworu i ponowne objęcie obowiązków wielkiego szambelana. Niestety, ta wyrozumiałość dała pole do nowej intrygi” — donosi poseł rosyjski hrabiemu Nesselrode .

To, co zaszło, nie zasługiwało właściwie na szumne miano „intrygi”; używając stylu dawnych skrybów można by to wydarzenie określić jako „fortel i kabałę”. Rzecz miała się tak: Talleyrand zwrócił się bezpośrednio do Ludwika XVIII (pomijając zarówno pierwszego ministra Richelieu, jak i kanclerza pieczęci Pasquier) z prośbą o nadanie mu tytułu księcia Valencay od jego okazałego pałacu w miejscowości Valencay. Ponieważ Talleyrand nosił inne, znacznie wspanialsze tytuły, jak „książę Benewentu”, „książę Talleyrand-Perigord” itd., król Ludwik, dłużej się nad tym nie zastanawiając, podpisał podsunięty mu przez Talleyranda akt. W ministerstwie zawrzało na wieść o tej nowej sztuczce: przecież właśnie w swoim pałacu w Valencay więził Talleyrand, z rozkazu Napoleona członków hiszpańskiego domu królewskiego, podstępnie zaaresztowanych przez cesarza w Bajonnie w roku 1808! Wyglądało więc na to, że Ludwik XVIII post factum pochwała postępowanie Napoleona w stosunku do hiszpańskich Bourbonów.

Kanclerz pieczęci Pasquier, do którego Talleyrand zgłosił się z podpisanym przez króla aktem nominacyjnym, natychmiast udał się do ks. Richelieu, ten zaś do króla; Ludwik XVIII, zorientowawszy się, na jaki skandal polityczny chciał go narazić Talleyrand, z miejsca cofnął swoją zgodę: przecież w 1817 r. na tronie hiszpańskim

ZASIADA właśnie Ferdynand, dla którego **zamek** Valencay był w roku 1808 więzieniem.

Owa zatuszowana w zarodku sprawa z „księstwem Valencay” jest pod pewnym względem znamienna. Odtąd opozycja Talleyranda przestaje być reakcyjna, jaką była jeszcze w roku 1816 I na początku 1817 oraz niekiedy w ciągu 1818—1819, przybiera zaś charakter „liberalny”. Od czasu do czasu Talleyrand zacznie wspominać o swej działalności w okresie rewolucji lub przy okazji rzuci słówko pochwały dla „wielkiego cesarza”.

Walka, jaką toczył Talleyrand w latach 1817—1819 przeciwko „liberalnym” ministerstwu — najpierw księcia Richelieu, a potem Decazes'a — była właściwie kontynuacją taktyki, którą ujawnił w liście swym z czerwca 1814 roku **do** Aleksandra. Wówczas, dla utrzymania się przy władzy i wbrew swemu zasadniczemu i słusznemu pogładowi na zgubne skutki ultraroyalistycznych zamierzeń, postanowił połączyć się z tymi właśnie ultraroyalistami, by unieszkodliwić „konstytucyjne” wpływy Aleksandra. Następnie, gdy znienawidzony za swoją przeszłość został przez ultraroyalistów usunięty, skorzystał z nominacji na członka Izby Parów i zaczął tak manewrować, by znów się do nich zbliżyć, tym razem na gruncie walki przeciwko Richelieu i Decazes'owi, w nadziei, że w taki sposób uda mu się powrócić **do** władzy. Lecz oto nadchodzi rok 1820: po zabójstwie księcia Berry „liberalni” ministrowie otrzymują dymisję — rozpoczyna się niczym nie hamowana reakcja. Teraz już nie tylko Talleyrand zdaje sobie sprawę, że opór liberalnej burżuazji przeciwko szlachecko-absolutystycznym tendencjom będzie narastał z roku na rok i że musi ile to skończyć albo przyjęciem przez dynastię zasad burżuazyjnej monarchii konstytucyjnej, albo nową rewolucją. Beznadziejna polityczna ślepotą i tępotą reakcji, a zarazem jej słabość, stają się z każdym rokiem coraz bardziej oczywiste.

W tych warunkach Talleyrand decyduje się na ostry zwrot w lewo, tym razem już bezpowrotnie zrywając z reakcją; służył jej tylko przejściowo z osobistych względów, licząc, że mu to dopomoże w karierze, co zresztą całkowicie zawiodło. W latach 1821 i 1822 wygłasza w Izbie Parów mowy w obronie wolności prasy!(w związku z reakcyjnymi projektami rządowymi o cenzurze), w roku 1823 stacza walkę przeciwko reakcyjno-klerykalnym nowym projektom wysłania francuskiej ekspedycji karnej do Hiszpanii w celu stłumienia ruchów rewolucyjnych i przywrócenia absolutyzmu Ferdynanda VII.

Na tej politycznej drodze wchodzi Talleyrand w coraz zażyłsze stosunki z młodymi przywódcami liberalizmu burżuazyjnego, takimi jak Thiers, Mignet, i stary wódz liberalnych doktrynerów, Royer-Collard.

Wystąpienia Talleyranda w Izbie Parów były bardzo rzadkie, lecz zawsze wywierały wrażenie. Jednym z najbardziej udanych było przemówienie w roku 1823 przeciwko zamierzonej przez ultraroyalistów i jezuitów francuskiej interwencji zbrojnej w Hiszpanii. Liberalowie zachwycali się tą mową, a nawet Stendhal, subtelny znawca wartości literackich, napisał o niej płomiennie sprawozdanie do jednego z londyńskich czasopism, którego był korespondentem. Stendhal uważał tę mowę za wydarzenie nie tylko polityczne, lecz również literackie, pisząc że według opinii publicznej „od czasu słynnych przemówień Mirabeau nie słyszało się nic podobnego”

„Panowie Thiers, Mignet, tłumacz Goethego Stapfer i oficer Carrel założyli dziennik *«Le Na-*

tioal», który tymczasem jeszcze nie wyszedł poza granice miernoty. Ulokowali w nim wszystkie SWE niewielkie zasoby, resztę dołożył p. Talley-RAND...

...Stary, kończący swój żywot, siedemdziesięcioletni Talleyrand oświadczył publicznie, że W roku 1814 powołał Bourbonów, aby zawrzeć pokój, ale w 1829 należy ich wygnąć, aby mieć spokój" — pisał Stendhal w liście prywatnym, na pół roku przed rewolucją lipcową .

W ostatnich latach Restauracji Talleyrand zbliżył się nie tylko do liberałów i konstytucjonalistów, jak Armand Carrel, Thiers, Royer-Collard, Mignet, lecz również do bonapartystów, jak hrabia Flahaut (bliski przyjaciel królowej Hortensji). Właśnie będąc w domu hr. Flahaut stworzył Talleyrand ów dowcip o konieczności wygnania Bourbonów, „aby mieć spokój”.

Stendhal nie pragnął bynajmniej rewolucji, widział jednak, że nadchodzi ona nieuchronnie. On, który zawsze interesował się Talleyrandem, nie mając zresztą żadnych złudzeń co do jego osoby, coraz bardziej utwierdza się w przekonaniu, że jedynie ten „występny starzec” potrafi uratować Francję od groźnych skutków głupoty i zachłanności skrajnej reakcji. Jakże charakterystyczne pod tym względem są niektóre korespondencje Stendhala do pism angielskich w okresie, gdy reakcja przestała się z czymkolwiek liczyć! „Ten zręczny mąż stanu (Talleyrand), który od lat trzydziestu wykazuje tyle przenikliwości politycznej przewidując niczym jasnowidz przyszłe losy Francji, w różnych swych memorandum wykazał ultraroyalistom, że nie może być mowy o przywróceniu dawnego reżymu” — pisze Stendhal 1 lutego 1825 roku. „Stary

i chytry Talleyrand — to najlepsza głowa Francji", ale „otoczenie Karola X to zero", które, mimo iż zdaje sobie sprawę ze swej miernoty „w obliczu geniuszu Talleyranda", nie chce powierzyć mu kierownictwa spraw. A dlaczego? „Pod śmiesznym pretekstem, że jest on jednym z najbardziej niemoralnych ludzi we Francji". Cała ta klika arystokratów, przywódców byłej emigracji, to niedołęgi i „jeżeli nie poddadzą się kierownictwu Talleyranda, najsprytniejszego szubrawca Europy, to będą robili głupstwo za głupstwem",

To, co pisał Stendhal w ostatnich latach przed rewolucją lipcową, pokrywało się z poglądami licznego odłamu francuskiej burżuazji.

Dla Stendhala nie ulega żadnej wątpliwości, że Talleyrand — to „szubrawiec". Co prawda Stendhal uznawał chętnie za szubrawców wszystkich w ogóle działaczy politycznych, np. Martignaca, który właściwie nic hańbiącego nie uczynił, ale Talleyranda uważał oczywiście za znacznie gorszego. „Potrzebny mi jest taki premier, który byłby szubrawcem i zajmującym człowiekiem, jak np. Walpole lub p. Talleyrand". W powieści Stendhala „Lucjan Leuven" ojciec bohatera radzi swemu synowi „być szubrawcem jak Talley-

rand". Talleyrand zdawał sobie zupełnie jasno sprawę, że i poza krajem, „na zewnątrz”, nikt Bourbonów nie ostrzeże i nie ocali. Z chwilą swego zwrotu ku lewicy Talleyrand zaczął odzywać się o Aleksandrze z ironicznym współczuciem: „Biedna głowa cara Aleksandra” nabita jest kontrrewolucyjnymi i mistycznymi bredniami oraz lękiem, w którym utrzymuje go Metternich. Jeszcze w roku 1814 Aleksander rozumiał, że Bourbonowie muszą zginąć, jeśli nie pogodzą się z nową Francją, ale w latach dwudziestych przestał już o tym mówić. Jest rzeczą charakterystyczną, że w tym okresie Restauracji Talleyrand stale wspominał Napoleona z odzieniem szacunku i lubił przy sposobności przeprowadzać porównania, zawsze bardzo niekorzystne dla jego następców. Oschłemu, niezdolnemu do żadnych romantycznych porywów serca Talleyrandowi obce być musiało uczucie, jakie wyraził Byron w odnoszących się do Napoleona słowach: „czyż po to obaliliśmy lwa, by przed wilkami się korzyć?” Ody jednak Talleyrand brał pod uwagę swe własne imię, które ma przekazać potomności, gdy myślał o swej historycznej reputacji (czym zresztą nie przejmował się zbytnio) — musiał zdawać sobie sprawę, że nieśmiertelność w historii zdobędzie przede wszystkim ten, kto losy swe związał z „rozdawcą sławy”, jak w 1812 roku określił Napoleona partyzant rosyjski Denis Dawydow. Toteż przygotowując w tych właśnie latach swoje pamiętniki, książkę szczególnie mocno podkreślił, że byłby nadal służył duszą i ciałem Napoleonowi, gdyby cesarz nie rozpoczął zgubnej dla Francji nieokiełznanej polityki podbojów.

Od czasu śmierci Ludwika XVIII i objęcia tronu przez Karola X w 1824 roku, ksiądz Talleyrand w oczekiwaniu na wypadki coraz bardziej zbliżał się do przywódców liberalnoburżuazyjnej opozycji: Royer-Collarda, Thiersa, historyka Mignet.) Katastrofa wydawała się już nieunikniona: nowy król na oślep zdążył ku przepaści. Talleyrand, choć przyjmował w swoich wspaniałych pałacach w Valencay i w Paryżu wodzów opozycji burżuazyjnej, bywał mimo to u króla. Ale z Karolem X nie robił sobie żadnych ceremonii, właśnie dlatego, że spodziewał się z dnia na dzień jego upadku. „Król, który jest zagrożony, ma tylko dwa wyjścia: tron albo szafot” — powiedział kiedyś do Talleyranda Karol X, który lubił powtarzać, że tylko ustępstwa zgubiły w swoim czasie Ludwika XVI. „Wasza Królewska Mość zapomina, o trzecim wyjściu — o karecie pocztowej” — odparł Talleyrand. Przewidując szybką detronizację Bourbonów nie miał nic przeciwko temu, by tym razem obeszło się bez gilotyny i skończyło tylko na wygnaniu dynastii.

Ponieważ znaczna większość burżuazji, zwłaszcza wiejska jej część — bogate chłopstwo, wyraźnie obawiała się i nie chciała republiki, przeto, jak wspomniano, Talleyrand od roku 1829 począł szukać zbliżenia z Ludwikiem Filipem Orleańskim, kandydatem do tronu. W dniu 8 sierpnia 1829 Karol X mianował premierem Juliusza Polignaca; człowiek ten nigdy nie taił, że za pierwszy krok do niezbędnych „reform” w państwie uważa przywrócenie pełni władzy królewskiej. Innymi słowy: należało się spodziewać zamachu na konstytucję i przewrotu państwowego w celu wskrzeszenia następnie feudalno-absolutystycznego ustroju.

Talleyrand był najzupełniej pewien, że Karol X zginie przy próbie wydarcia burżuazji i uwłaszczonemu chłopstwu zdobyczy, które dała im rewolucja. Nie przewidział wszakże, że klasa robotnicza, której rewolucja dała bardzo mało,

Ci trzej działacze burżuazyjni typu Thiersa spoglądali z wielkim szacunkiem na wspaniałą postać siedemdziesięciosześcioletniego, chorego, kulawego starca: jak nikt inny był on symbolem wielkich historycznych wydarzeń, w których odegrał swoją rolę i z którymi tak czy inaczej imię jego zostało po wieczne czasy związane.

Jeszcze przed rewolucją łączyły Talleyranda pewne, zawile zresztą stosunki z księciem Orleańskim („Filipem Egalite”), straconym później w latach terroru. Teraz, w roku 1829 i 1830, zaczął usilnie zabiegać o stosunki z jego synem Ludwikiem Filipem i córką Adelajdą. Talleyrand wiedział, że opozycja burżuazyjna chciałaby widzieć Ludwika Filipa na tronie w razie obalenia „starszej linii” Bourbonów w osobie Karola X (książęta Orleańscy byli „młodsza linia” Bourbonów).

Schorowany starzec Talleyrand nie chciał rozstawać się z życiem. Wciąż jeszcze myślał o przyszłości i snuł marzenia o nowej karierze, wciąż kopał dołki pod wrogami i torował drogę przyjaciółom, a przyjaciele jego rekrutowali się zawsze spośród tych, których w danej chwili fala historii utrzymywała na swym grzbiecie. I tym razem sprawdziły się jego przewidywania.

Przebywał we wspaniałych apartamentach swego miejskiego pałacu w dniu, w którym Polignac i król zdecydowali się ostatecznie przeprowadzić swe szaleńcze zamiary, wydając słynne Ordonnances z 25 lipca 1830 roku, uchylające de facto konstytucję. Już nazajutrz rewolucja wydawała się nieunikniona. Wybuchła ona 27 lipca i w przeciągu trzech dni zmiotła z powierzchni tron Karola X. Podczas tych dni przy Talleyrandzie obecny był osobisty jego sekretarz Colmache. Co chwila nadchodziły nowe wieści o walkach między rewolucjonistami a wojskami rządowymi. Wsłuchując się w grzmot wystrzałów, warkot bębnow i w bicie dzwonów ze wszystkich dzwonnicy, Talleyrand powiedział do Colmache'a: „Niech pan słucha, biją dzwony! Zwyciężyliśmy!” —

„My?! Kto to my? Kto właściwie zwyciężył, wasza książęca mość?" — „Cicho, ani słowa więcej; jutro to panu powiem!"

Owa tak charakterystyczna dla Talleyranda rozmowa miała miejsce w dniu 28 lipca.

A nazajutrz, 29 lipca 1830 roku, bitwa dobiegła **końca**. Zwyciężyła rewolucja. Znowu dynastia Bourbonów została zmieciona z francuskiego tronu, tym razem już na zawsze. Po obaleniu jej **przez** rewolucję 10 sierpnia 1792 roku — wróciła. **Wróciła** również po wygnaniu jej 20 marca 1815 **roku** przez Napoleona. Ale po obaleniu jej przez rewolucję lipcową 1830 roku nie powróciła już nigdy.

Rozdział 8

Talleyrand w okresie monarchii lipcowej. Poselstwo w Anglii. Ostatnie lata

6 września 1830 — 17 maja 1838

I

Już w dniu 29 lipca, w chwili gdy oddziały wojska, które jeszcze nie przeszły na stronę rewolucji, poczęły ustępować z miasta, Talleyrand postał notatkę do siostry Ludwika Filipa, księcia Orleańskiego, doradzając, by księżę bez chwili zwłoki stanął na czele rewolucji skierowanej ku obaleniu starszej linii Bourbonów.

Tak wielki był autorytet księcia Talleyranda jako nieomylnego proroka najbliższej przyszłości politycznej, że na skutek jego rady nowy kandydat do tronu, przebywający poprzednio w Reims, przybył do Paryża. Nie dość na tym. Gdy w dniu 31 lipca posłowie z opozycji zaproponowali Ludwikowi Filipowi tymczasowy tytuł „głównego namiestnika królestwa” pod warunkiem, że natychmiast zerwie oficjalnie z Karolem X i w ogóle ze starszą linią Bourbonów — Ludwik Filip zawahał się. Było mu już wiadome, że poprzedniego dnia, czyli 30 lipca, Karol X abdykował na rzecz swego małoletniego wnuka, księcia Bordeaux (hrabiego Chambord), jego zaś, Ludwika Filipa, wyznaczył jako opiekuna, nadając mu ten sam tytuł „głównego namiestnika”. Ludwik Filip miał więc teraz do wyboru: albo zostać „głównym namiestnikiem” z nominacji Karola X, a zarazem

opiekunem do czasu pełnoletności „prawowitego króla, albo też od razu zerwać z „legitymistyczną” monarchią i przyjąć koronę z rąk zwycięskiej rewolucji burżuazyjnej; bowiem „namiestnictwo” przyjęte nie od króla Karola, lecz **od** opozycji byłoby pierwszym krokiem do wstąpienia Ludwika Filipa na tron.

Wahając się co do wyboru, Ludwik Filip oświadczył posłom, że udzieli odpowiedzi dopiero po zasięgnięciu rady Talleyranda, po czym wysłał niezwłocznie generała Sebastianiego do starego księcia z zapytaniem, jak należy postąpić. Książę niezwłocznie odpowiedział: „przyjąć!”, tj. przyjąć tron ofiarowany przez zwycięską rewolucję i raz na zawsze wyrzec się „zasady legitymizmu”, którą przed szesnastu laty ten sam książę Talleyrand zrezygnował dla osadzenia na tronie Bourbonów, obalonych obecnie również przy czynnym jego współdziałaniu. Rada Talleyranda przerwała wszelkie wahania. Po upływie dziewięciu dni, **9** sierpnia **1830** roku, Ludwik Filip Orleański został uroczyście ogłoszony królem.

W pierwszych więc dniach nowego panowania wyszło na jaw, że chociaż zwycięska rewolucja lipcowa była niezaprzeczoną i już ostatecznym triumfem burżuazji nad arystokracją, jednakże... jest na świecie pewien arystokrata, najzupełniej autentyczny i najczystszej krwi, bez którego zwycięska burżuazja w żaden sposób nie może się obyć. Jest to zawsze ten sam książę Talleyrand-Périgord, chory, siedemdziesięciosześcioletni starzec wsparty na lasce, którego gazety już niejednokrotnie pochowały. Wypląnął on znów na pierwszy plan nie tylko dlatego, że ze zwykłą sobie polityczną dalekowzrocznością zdążył zawczasu, na długo przed lipcem **1830**, nawiązać bliski kontakt z przyszłymi zwycięzcami: Ludwikiem Filipem, Adelajdą, Thiersem, lecz również dlatego, że praca jego mózgu była potrzebna **1** wydawała się Ludwikowi Filipowi tak samo

nie do zastąpienia, jak wydawała się niezbędna Konstytuancie, Dyrektoriatowi, Napoleonowi, Bourbonom, ponownie Napoleonowi (propozycja w okresie Stu Dni), a po Stu Dniach znowu Bourbonom.

Położenie Ludwika Filipa było z początku niełatwe, szczególnie wobec obcych mocarstw. Dla nikogo nie było tajemnicą, że najpotężniejszy żandarm Europy, car rosyjski Mikołaj I, jest zdecydowanym zwolennikiem interwencji mającej wręcz na celu obalenie „króla barykad” Ludwika Filipa i wprowadzenie z powrotem na tron usuniętych Bourbonów. Wiadomo było nawet, że chcąc przyspieszyć porozumienie z Prusami co do wspólnego natarcie na Francję, car posłał do Berlina generała Dybicza. Przez pewien czas nosił się też uparcie z zamiarem „nieuznania” Ludwika Filipa jako króla. W tych warunkach było dla Francji sprawą pierwszorzędnej wagi zapewnienie sobie dyplomatycznego poparcia Anglii. Po rewolucji lipcowej Francja znalazła się w niebezpiecznym odosobnieniu. Chcąc się z niego wydostać nowy król i nowy rząd zwrócili się właśnie do Talleyranda. I oto ledwie minął miesiąc od rewolucji lipcowej, Europa dowiedziała się ze zdumieniem, że Talleyrand został mianowany posłem francuskim w Londynie. Gdy przy oficjalnym powitaniu jego fregaty zagrzębiały przybrzeżne baterie Dowru, Talleyrand nie mógł sobie odmówić przyjemności sięgnięcia pamięcią do chwili, kiedy to w roku 1794 wyjeżdżał z tego kraju jak nędzarz, zaszczyty, prześladowany przez intrygi francuskich rojalistów, wysiedlony z Anglii na rozkaz policji...

Z licznych świadectw wynika, że pomoc, jaką Talleyrand okazał Ludwikowi Filipowi w okresie obejmowania przezeń tronu, była lub przynajmniej wydawała się wielu ludziom nader istotną. „Wiadomość, że p. Talleyrand uznał nową dynastię, a nawet dopomógł jej do objęcia władzy, wywarła niemały wpływ na opinię innych dwo-

rów, a ściślej mówiąc, spowodowała ich decyzję niezwłocznego uznania [nowej dynastii]" — twierdził sir Henry Bulwer-Lytton, znany angielski pisarz i działacz polityczny, cieszący się zaufaniem Palmerstona i Edwarda Greya . Tak **Oto** przedstawiały się sprawy w Anglii, gdy do**szła** tam wieść o ogłoszeniu w Paryżu nowego królestwa.

Ludwikowi Filipowi zależało przede wszystkim na niezwłocznym uznaniu go przez dwa wielkie mocarstwa: Anglię i Rosję.

Jak już wspomnieliśmy, wiadomości nadchodzące z Petersburga były złowieszcze. Co prawda, ani Fryderyk Wilhelm III w Berlinie, ani Metternich w Wiedniu nie reagowali na wezwania cara do wspólnego wystąpienia przeciwko temu „grabieżcy sieroty”, „królowi barykad”. Tak właśnie w salonach petersburskich w roku 1830 (i później) nazywano Ludwika Filipa, który wszak „uzurpował” sobie prawa do tronu należne nieletniemu wnukowi Karola X, księciu Bordeaux (hrabiemu Chambord).

Car był w najwyższym stopniu rozdrażniony i nie odpowiedział Ludwikowi Filipowi na jego własnoręczny list. Tak trwało do 6 września 1830, kiedy to w gazetach ukazał się dekret Ludwika Filipa mianujący Talleyranda posłem francuskim w Londynie. O bezpośrednich skutkach, jakie nominacja ta miała wywołać w Pałacu Zimowym, dowiedział się w dniu 29 września francuski minister spraw zagranicznych Mole od swego informatora (Montlosiera), który przytoczył nawet słowa wypowiedziane rzekomo przez samego Mikołaja: „Skoro p. Talleyrand wszedł do nowego rządu francuskiego, to z pewnością rząd ten ma szanse długotrwałości” .

Tak czy owak, współcześni nie mieli wątpliwości, że fakt mianowania Talleyranda posłem w Londynie przyspieszył zmianę decyzji Mikołaja, jeśli w ogóle o niej nie przesądził. Niewątpliwie fakt ten dlatego mógł wyrzucić na cara taki wpływ, że oznaczał on i potwierdzał ostatecznie uznanie przez rząd brytyjski nowego króla. Obie wiadomości nadeszły do Petersburga niemal równocześnie i oczywiście decyzja rządu Wielkiej Brytanii wywarła na carze o wiele większe wrażenie niż nominacja Talleyranda.

Doskonałą charakterystykę Talleyranda w chwili jego nominacji na posła daje w swych szyfrowanych raportach rosyjski przedstawiciel w Paryżu, Pozzo di Borgo, jeden z najrozumniejszych i najbardziej doświadczonych ówczesnych dyplomatów.

Pozzo di Borgo przypisuje nominację Talleyranda wpływom brytyjskiego gabinetu (księcia Wellingtona): „... Mówią, że król skierował swój wzrok na p. Talleyranda nie tylko dlatego, że chciał zadośćuczynić życzeniom księcia, ale także w celu pokazania zarówno Anglii, jak i całemu światu, że taki osobnik, jak ten, o którym mowa, zawsze kierujący się tylko względami własnego interesu (*qui... n'a jamais été conduit que par son intrérêt*), spodziewa się odnieść dla siebie korzyści w oparciu o trwałość [panowania] obecnego króla Francji i że podejmując się tak ważnej misji, tym samym wiąże z nim swoje losy”. Pozzo di Borgo nie tai w swym poufnym piśmie osobistych uczuć, jakie żywi do Talleyranda, który przez wypadki historyczne znowu wysunięty zostaje na pierwszy plan: „Trudno nie doznać uczucia wstępu, gdy pomyśli się o tym, że człowiek w wieku 77 lat i tak schorowany rwie się (*se précipite*) znowu do publicznej kariery,

pomimo smutnej sławy, jaką zdobył całym swoim życiem". W oczach Pozzo di Borgo postępowanie Talleyranda jest dlatego szczególnie Wstrętne, że przyjął on służbę u „uzurpatora” (Ludwika Filipa), pomimo iż niedawno został obalony „prawowity” monarcha (Karol X), któremu tenże Talleyrand służył w roli wielkiego szambelana. I gdzież to będzie on służył uzurpatorowi? Właśnie w Anglii, czyli tam, gdzie „nieszczęsny” monarcha szuka schronienia jako wygnaniec. W tym miejscu Pozzo di Borgo podchwytuje oczywiście ton Mikołaja, mówiąc o „uzurpatorze” Ludwiku Filipie i „nieszczęśliwym prawowitym monarsze” — Karolu X. Miał však podstawy do zamieszczenia w raporcie swoim następujących słów: „Tutaj wszyscy są oburzeni tym cynizmem, a liberalne pisma bardziej niż inne rozpętały burzę (se sont déchainés) z powodu tak skandalicznego i ze wszech miar niewłaściwego wyboru” .

II

Również sfery mniej lub bardziej liberalne czy radykalne silnie podejrzewały wyjeżdżającego do Londynu Talleyranda, że za zgodą króla uczyni w sprawie belgijskiej wszystko, co będzie dogadzać Anglikom. Według szczególnie interesujących dowodów, którymi dysponuje radzieckie Archiwum Polityki Zagranicznej, także gabinet ministrów podejrzewał Talleyranda, że będzie w sprawie belgijskiej szedł na pasku Anglii, a nawet że na jej żądanie gotów będzie wyrzec się w imieniu Francji zdobytego Algieru.

Oto co zawiera inny szyfrowany raport posła Pozzo di Borgo, wysłany do Petersburga pod datą 11/23 września 1830 roku: „Księżę Talleyrand

wyraził chęć zobaczenia się ze mną. Zostałem go zatroskanego sprawami belgijskimi i zdecydowanego oddać ją [Belgię] w ręce Anglii celem łatwiejszego osiągnięcia porozumienia". Talleyrand wiedział, jaka jest najlepsza przynęta na przedstawiciela Mikołaja I: „A tymczasem belgijscy i francuscy rewolucjoniści pchają [Belgię] do odłączenia się, a więc do zerwania". Jednakże Pozzo di Borgo nie tylko z Talleyrandem prowadził rozmowy, czcigodnego zaś księcia znał na wylot: „Pan Mole [minister spraw zagranicznych Francji] zwierzył mi się, że książe Talleyrand zaproponował mu zupełne wyrzeczenie się Algieru. Gdy minister nie przystał na ten plan, książe zwrócił się do króla, który widocznie przyklasnął projektowi Talleyranda dogodzenia w taki sposób Anglii. Pan Mole zaprotestował przeciwko temu i zapowiedział, że zreferuje sprawę Radzie Ministrów. Zapewne będzie ona tego samego zdania co minister, jest bowiem jasne, że poseł udaje się do Londynu, żeby się oddać (*pour se livrer*) Anglii". Zdaniem ministra Mole gorące anglofilskie uczucia Talleyranda tłumaczą się nie tylko chęcią umocnienia Ludwika Filipa na chwiejnym jego tronie przez zapewnienie mu poparcia Wielkiej Brytanii, lecz również pewnymi rachubami o bardziej „osobistym” charakterze: „Pan Molé jest tego pewien [że Talleyrand «oddał się» Anglii], tym bardziej że, jak dodaje, tylko to przynosi korzyści (*il n'y a que cela qui profite*). Taką ma on [Mole] opinię o swoim przedstawicielu". Dość otwarcie, jak widzimy, wyrażał się minister Francji o walorach moralnych wysyłanego do Londynu nadzwyczajnego posła pełnomocnego.

Rzecz jasna, że Talleyranda w żadnym razie nie można było nazwać „przyjacielem Anglii”.

Mamy wszak dane dokumentarne stwierdzające, Jak bardzo obawiał się on brytyjskiej przewagi handlowo-przemysłowej. Pomysł wszechświatowej monarchii (*monarchie universelle*) uważał Talleyrand za „chimeryczny i niewykonalny”, lecz zarazem dziwiło go, że nikt nie obawia się „bardziej jeszcze niebezpiecznych skutków zmonopolizowania handlu światowego w rękach jednego mocarstwa”. Tak oceniał on ekonomiczne wszechwładztwo Anglii, do którego z krzywdą dla całej ludzkości dopuścił kongres wiedeński.

Po cóż jednak miał dawać wyraz tym swoim poglądom, jeśli znacznie dogodniej było milczeć i, przeciwnie, przekonać o swej nieprzepartej, gorącej sympatii dla Anglii najpierw księcia Wellingtona, a później jego następców w gabinecie, lorda Palmerstona, Greya i Hollanda, oraz cały rząd brytyjski?

(Niebawem zdobył Talleyrand w Londynie najświetniejszą pozycję, jaką można było sobie wyobrazić.

Z jednej strony w oczach konserwatywnych i wyższych sfer był on całkowicie autentycznym przedstawicielem arystokracji rodowej (a w Anglii ta „autentyczność” była w owym czasie, a nawet i znacznie później, nad wyraz ceniona); zarazem pamiętano, że na kongresie wiedeńskim nikt tak wiele i tak wymownie, jak właśnie on, nie mówił o legitymizmie. Wspominano również, że już od roku 1792 był zwolennikiem przyjaźni z Anglią. Co prawda, podjął się teraz roli posła Ludwika Filipa, który dzięki rewolucji „uzurpował sobie” tron owej „prawowitej” dynastii Bourbonów, ale okoliczność tę Talleyrand bardzo sprytnie obrócił na swoją korzyść: jeżeli właśnie on, najbardziej zagorzały legitymista, on, który w roku 1814 niejako stworzył zasadę legitymizmu, teraz się jej wyrzekł i stanął po stronie

„króla barykad", to musiały być po temu bardzo ważne przyczyny! Dowodzi to, że szlachetne i uczciwe serce bezkompromisowego Talleyranda wypełniło się oburzeniem na wieść o krzywo-przysięstwie Karola X, łamiącego konstytucję, na którą przysięgał. Tak, właśnie to, że Karol zламаł przysięgę, najbardziej rozgoryczyło szlachetnego i prawego księcia. Co się tyczy wigów, liberałów, przedstawicieli liberalnej burżuazji angielskiej, której za ledwie w półtora roku później, bo w 1832, sądzone było przeprowadzić „pokojo-wą rewolucję", tj. reformę parlamentarną — to ludzie ci z zachwytem witali w osobie Talleyranda oficjalnego posła zwycięskiej francuskiej burżuazji liberalnej i jej króla Ludwika Filipa. Ilekroć zauważono i poznano przejeżdżającego ulicami Londynu Talleyranda, tłumy ludzi biegły wnet za kareta, wnosząc na jego cześć okrzyki.

Z drugiej strony głowa konserwatywnego gabinetu, książę Wellington, który dawniej (np. w roku 1814) wyraźnie nie lubił Talleyranda, teraz był nim oczarowany. Talleyrand umiał bowiem jak mało kto pozyskiwać serca osób mu potrzebnych. Wellington oburzał się i nie mógł pojąć, dlaczego ciągle, bo z górami od lat pięćdziesięciu bez przerwy, wszyscy ludzie rzucają tak zajadle oszczerstwa na Talleyranda? Wszak jest to najuczciwszy i najszlachetniejszy człowiek pod słońcem. Co prawda Talleyrandowi zdarzało się oszukać sprytniejszych od Wellingtona, a Wellington ze swej strony pozwalał się wyprowadzać w pole przez ludzi znacznie mniej sprytnych od Talleyranda

Trzeba jednak stwierdzić, że w owym czasie nie było łatwo dać sobie radę z Talleyrandem. Oceniając świetnie sytuację Anglii, zdając sobie sprawę, że robotnicze demonstracje, artykuły w prasie oraz przemówienia liberalnej opozycji, jak również dezorientacja króla i rządu jawnie grożą Anglii wybuchem rewolucji, stary książę

Od razu nałożył maskę „prawdziwego posła rewolucji” podkreślając to, gdzie należało i kiedy należało. Rozwodził się nawet bardzo chętnie nad swoją działalnością w Konstytuancie w latach 1789—1791. Cel swój osiągnął, gdyż w czasie częstych podówczas pochodów i zgromadzeń ulicznych uczestnicy ich witali radosnymi okrzykami trójbarwny proporczyk u karety francuskiego pojechała i trójbarwne odznaki na kapeluszach funkcjonariuszy poselstwa. Tłum krzyczał: „Niech żyje rewolucja francuska!” A nieraz dodawano: „Niech żyje Talleyrand!” Wszystko w księciu imponowało, nawet to, że tak długo był ministrem Napoleona i że Napoleon bardzo cenił jego zdolności.

Talleyrand zauważył, że w ogóle po rewolucji lipcowej tak zwana „legenda napoleońska” zaczęła zataczać coraz szersze kręgi we Francji i całej Europie — i natychmiast to wykorzystał. Przy wszelkich nieporozumieniach służbowych wyniosłe podkreślał ministrom Ludwika Filipa, hrabiemu Mole i innym, że w ten właśnie sposób postępował on przy Napoleonie i że sam cesarz nauczył go pracować tak, a nie inaczej. Dom francuskiego poselstwa w Londynie stał się widownią wspaniałych przyjęć i balów; nikt z całego korpusu dyplomatycznego nie miał w owym czasie takiej siły, jak Talleyrand, i nikt nie cieszył się taką różnorodną, jeśli można użyć tego określenia, i ogromną popularnością w szerokich warstwach społecznych. Nominacja Talleyranda, a zwłaszcza jego zgoda na jej przyjęcie były nie tylko dla Mikołaja, lecz i dla Anglii dowodem, że nowy tron francuski stoi na trwałych podstawach.

W przeciągu paru miesięcy udało się Talleyrandowi nawiązać ściśle kontakty pomiędzy Francją i Anglią; w ogóle on to właściwie kierował polityką zagraniczną Francji, nie zaś ministrowie paryscy, których nawet nie zawsze **zszyczał** pismami służbowymi, komunikując się

bezpośrednio z królem Ludwikiem Filipem lub jego siostrą Adelajdą. Ministrowie, podrażnieni tym do najwyższego stopnia, występowali do króla ze skargami, ale Ludwikowi Filipowi tak potrzebny był jego poseł londyński, że żadne protesty nie odnosiły skutku. Hrabia Mole, minister spraw zagranicznych, zamierzał nawet podać się z tego powodu do dymisji.

Najważniejszym (zarazem i najtrudniejszym) zadaniem Talleyranda w czasie pełnienia przez niego funkcji posła w Londynie była współpraca przy utworzeniu królestwa belgijskiego. Rewolucja belgijska, która wybuchła niemal zaraz po rewolucji lipcowej i doprowadziła do faktycznego oderwania się Belgii od Holandii, była dla rządu francuskiego źródłem poważnego niepokoju. W samej Francji zwalczały się dwa kierunki: jeden pragnął przyłączenia Belgii do Francji, drugi — utworzenia odrębnego, niezawisłego państwa — królestwa belgijskiego. Powstanie, które wybuchło w Polsce w listopadzie 1830 roku, pozbawiło Mikołaja I swobody działania w tej sprawie i Talleyrand zrećźnie to wykorzystał.

Po pewnych wahaniach — o których zresztą, co jest charakterystyczne, Talleyrand nie mówi w swych pamiętnikach — odrzucił on koncepcję przyłączenia Belgii do Francji. Wiedział bowiem, że Anglia pod żadnym pozorem nie zgodzi się na takie rozwiązanie; wysunął więc projekt utworzenia samodzielnego państwa belgijskiego i zaczął działać w tym kierunku. Po długich i żmudnych wysiłkach zrealizował swe zamierzenia na londyńskiej konferencji mocarstw europejskich, zwołanej na skutek jego nalegań.

Warto zapoznać się bliżej z „zagadnieniem belgijskim” i z rolą, jaką Talleyrand w tej sprawie odegrał.

Nienawiść do starego księcia, która nieco przysięgała w liberalnych, a nawet radykalnych kołach, gdy po kongresie wiedeńskim stary dyplomata

powrócił w aureoli „wybawcy Francji od rozbioru”, wybuchła z nową siłą w latach 1830—1833. Podsyciło ją w tym czasie zachowanie się księcia na konferencji mocarstw zwołanej do Londynu dla uregulowania „zagadnienia belgijskiego”. Jak wiadomo, na skutek uchwały kongresu wiedeńskiego z 1815 roku Belgia została przemocą i bez żadnego liczenia się z wolą ludności przyłączona do królestwa Niderlandów. W 1830 roku, zaraz po paryskim lipcu, wybuchło w Belgii powstanie. Belgia ogłosiła swą niepodległość i oderwała się od Holandii. Wewnątrz kraju zaznaczyły się wyraźnie dwa prądy: jeden za całkowitą niezależnością, drugi za przyłączeniem do Francji. Pierwszy kierunek miał więcej zwolenników, a nie bez znaczenia było i to, że wielkim mocarstwom z Anglią i Rosją na czele zdecydowanie nie dogadzało wzmocnienie Francji przez przyłączenie do niej tego bogatego, uprzemysłowionego kraju. Prusy i Austria wypowiedziały się w tej sprawie tak samo jak Anglia i Rosja. Tradycyjna polityka angielska pod żadnym pozorem nie chciała dopuścić do opanowania Belgii przez Francję, która wówczas, tak jak za Napoleona, znów miałaby w rękę Antwerpię, ten „pistolet kierowany w angielską pierś” według określenia Bonapartego. Co zaś do Mikołaja I, to długo nie mógł się on w ogóle pogodzić z faktem, że rewolucja belgijska odniosła zwycięstwo, a tym bardziej słyszeć nie chciał, by „król barykad”, znienawidzony przez rosyjskiego autokratę Ludwik Filip, który koronę otrzymał z rąk rewolucji, rozszerzył teraz tak znacznie swą potęgę polityczną.

Słowem, natychmiast po zapoczątkowaniu obrad konferencji londyńskiej Talleyrand pojął, że nie może być mowy o przyłączeniu Belgii do Francji. Ponieważ nigdy nie podejmował się spraw z góry skazanych na niepowodzenie, przeto w odpowiedni sposób rozstawił swoje polityczne baterie. Tymczasem w Paryżu bojownicy re-

wolucji, pomni jeszcze bitew lipcowych, republikanie nie mogący pogodzić się z tym, że bogata burżuazja „ukradła narodowi jego zwycięstwo”, bonapartyści oburzeni pohańbieniem Francji i głoszący odwet — wszyscy marzyli o przyłączeniu Belgii i z uwagą śledzili tok obrad konferencji londyńskiej. Drażniły ich coraz bardziej niezrozumiałe posunięcia tego podejrzanego i zniechęconego Talleyranda. Niebawem nie tylko samych republikanów zaczęły wprowadzać w zdumienie postęпки posła francuskiego. Król Wilhelm holenderski musiał oczywiście pogodzić się ze stratą Belgii; ale za to jak szczodrym okazał się dla niego Talleyrand, gdy doszło do sprawy rozgraniczenia Belgii od Holandii! Jakąż miłą niespodzianką dla Anglii, dla Mikołaja I, dla Austrii i Prus była gotowość francuskiego przedstawiciela poczynienia Holandii jak największych ustępstw kosztem Belgii! A wszak przedstawiciel Francji powinien być jedynym „obrońcą” interesów Belgii na konferencji londyńskiej. I jeszcze jedno: konferencja przewlekała się niepomniernie, co było bardzo na rękę królowi holenderskiemu, a zupełnie nie dogadzało wyzwolonej spod jego władzy Belgii. Za tę ustępliwość w stosunku do Holandii i za całkowitą obojętność wobec interesów Belgii zajadle napadali na Talleyranda republikanie i cała lewicowa prasa. Młoda królowa belgijska Luiza, żona powołanego na tron Leopolda I i córka Ludwika Filipa, otwarcie oskarżała Talleyranda o wzięcie łapówki od króla Holandii.

Królowa Luiza stawiała tylko tzw. w nauce „roboczą hipotezę”. Jednakże dokładnie po 100 latach, w roku 1934, hipoteza ta przemieniła się w ścisły matematyczny dowód, a tajemnica zagadkowych zygzaków i niezrozumiałej ustępliwości Talleyranda na konferencji londyńskiej została w pełni i wyczerpująco wyjaśniona. Michał Huisman, profesor uniwersytetu w Brukseli, ogłosił z powołaniem się na ścisłe archiwalne da-

ne, co następuje: rząd holenderski, za pośrednictwem swego przedstawiciela na konferencji londyńskiej, Falka, wszedł w porozumienie z szacownym księciem: Za wytyczenie granic korzystnych dla Holandii otrzymuje Talleyrand od króli holenderskiego 20 tysięcy funtów sterlingów, I czego 15 tysięcy niezwłocznie, a 5 tysięcy w późniejszym terminie. Ponadto, jeżeli książę będzie równie życzliwie bronił interesów Holandii przy podziale zobowiązań dłużnych pomiędzy oba kraje, tj. jeżeli zgodzi się nałożyć większe ciężary na barki Belgii, a mniejsze na barki Holandii, to w przyszłości otrzyma za to dodatkowych 15 tysięcy funtów sterlingów. Czy Talleyrand otrzymał tę drugą sumę w całości, czy też tylko w części — nie można ustalić na zasadzie danych ujawnionych w roku 1934, w każdym razie wiadomo, że i w tej drugiej sprawie Holandia nie miała powodu do skarg. Ostateczny układ I Belgią został podpisany 14 października 1832 roku.

Te sprawki Talleyranda tłumaczą w pewnej mierze jego zachowanie się na konferencji, na której dziś cofał to, co powiedział wczoraj, a zawsze można się było spodziewać, że pojutrze zmieni swe oświadczenia, które złożył dzisiaj.

Dla nas, którzy od roku 1934 mieliśmy możliwość dowiedzenia się z autentycznych dokumentów, JAK skutecznie i korzystnie przehandlował Talleyrand powierzone mu interesy Belgii i Francji, nieco zabawny wydaje się urywek z nie wydanych jeszcze w całości pamiętników Karola Rént, który odwiedziwszy Talleyranda w Londynie w roku 1832, właśnie w okresie omawianych wydarzeń, pisze o nim: „Talleyrand bardzo o swe dobre imię i nawet myślał o historii.

Było w nim męstwo, była odwaga i patriotyzm. Szkoda, że wszystko to ustępowało, a niejednynie nawet było niweczone przez nawyki le-

nistwa i potajemne korupcje" . Francuskie słowo „*les corruptions*” ma kilka odcieni i znaczeń, tak iż trudno czasem znaleźć ściśle odpowiadający mu konkretny wyraz, jak sprzedajność, przekupstwo; może właściwszy byłby tu przykład przy użyciu wyrazu: zepsucie, występki, deprawacja, rozpusta, rozkład. W każdym bądź razie, gdyby Rémusat, zupełnie niegłupi działacz polityczny, a później minister Ludwika Filipa, wiedział, jakie to „potajemne korupcje” wpływają w tej samej chwili na majestatycznego gospodarza poselstwa francuskiego w Londynie, na pewno nie mówiłby o nich w czasie przeszłym, lecz użyłby teraźniejszego; należy też sądzić, że nie zachwycałby się tak „patriotyzmem” „dbającego o swe dobre imię” i „myślącego o historii” księcia. Dla osiemdziesięcioletniego dyplomaty było nieco za późno rozpocząć starania o swoje dobre imię, lecz o funty angielskie naprawdę dbał aż nadto. Dbłość ta znacznie się jeszcze wzmogła w roku 1832, gdy kurs funta na giełdzie był niezmiernie wysoki, tak że dwadzieścia tysięcy funtów sterlingów warte było więcej niż pół miliona franków w złocie. Czy „myślał o historii”? To tylko Karol Rémusat całkiem bezpodstawnie pomawia go o takie myśli. Jak widzieliśmy, zdarzało się księciu Talleyrand kraść dokumenty historyczne i bardzo dogodnie je sprzedawać zagranicznym nabywcom w rodzaju Metternicha. Bywało i tak, że wykradał i niszczył dokumenty, jeśli mogły być dla niego w danej chwili niebezpieczne; w taki sposób zniszczył np. dokumenty o aresztowaniu i straceniu księcia d'Enghien. Nie ma wszakże powodów do przypuszczenia, że troszczył się on o to, co o nim powiedzą archiwalne dokumenty „historii” za sto czy paręset lat.

Takie były „intymne szczegóły” zachowania się Talleyranda w sprawie belgijskiej.

Moga one nieco zdziwić nawet tych, których, **jakby** się wydawało, nic, co dotyczy osoby księcia Talleyranda, nie powinno już dziwić. Miłoi-
ner, poseł nadzwyczajny i przedstawiciel pełno-
mocny Francji, starzec stojący nad grobem — nie
przestawał ciągle brać łapówek, zupełnie mu już
niepotrzebnych; czynił to chyba z przyzwyczajenia,
tak jak ludzie uprawiający do późnej **staro-**
ści swój ulubiony sport, na przykład Gladstone,
który w wieku 80 lat rąbał drzewo, albo Kant,
który do późnego wieku odbywał codzienną swą
przechadzkę bez względu na pogodę.

III

Nie znając nawet wszystkich tych szczegółów
postępowania Talleyranda w Londynie, patrioci
francuscy (a byli nimi wówczas przede wszystkim
republikanie) gwałtownie napadali na niego
o to, że nie chce przyłączyć Belgii do Francji,
podczas gdy sami Belgowie jakoby życzą sobie
tego. „Wcielone kłamstwo, chodzące krzywoprzy-
sięstwo, Judasz nie znający skruchy — sprzedał
wszystko: Boga, republikę, cesarza, królów” —
tak pisała o nim wierszem i prozą francuska
prasa opozycyjna w latach 1831—1832, kiedy roz-
strzygała się sprawa Belgii. W tym samym okre-
sie i również w związku z Belgią drukowano
i kolportowano w Paryżu niezliczoną ilość kary-
katur Talleyranda, opatrywanych na przykład
tego typu „ogłoszeniami”: „Talleyrand, z przy-
domkiem słończnik (zawsze obraca się ku słońcu),
fabrykuje kagańce, łańcuchy i cenzury; produ-
kuje dowcipy, epigramy, programy i napisy na-
grobkowe; sprzedaje i kupuje korony, zarówno
nowe, jak i z drugiej ręki; tworzy konstytucje,
karty swobód, restauracje; ma na składzie odzna-
ki, sztandary, wstęgi wszelkich kolorów. Zgodzi
się również na wyjazd za granicę”.

Talleyrand doszedł do przekonania, że chcąc
rozwiązać zagadnienie belgijskie przez wyzwole-

nie Belgii spod władzy Holandii należy działać w ścisłym porozumieniu z Anglią; takie zaś porozumienie jest możliwe jedynie pod warunkiem, że Francja nie targnie się na niezależność Belgów. Do jednego tylko Talleyrand nie dopuściłby pod żadnym pozorem: żeby Belgia miała powrócić pod panowanie holenderskie. Mimo ostrego sprzeciwu ze strony Rosji udało mu się w końcu doprowadzić do uznania niezależności Belgii. Nie zwlekając wystąpił do rządu belgijskiego z żądaniem zburzenia wszystkich twierdz, które Holandia po kongresie wiedeńskim wybudowała na granicy francuskiej; w swoim czasie wielkie mocarstwa dały rządowi holenderskiemu 45 milionów franków na wzniesienie fortyfikacji mających stanowić zabezpieczenie przed Francją. Teraz pod presją Talleyranda rząd belgijski zburzył te umocnienia.

Wskutek świetnych wyników swej dyplomacji Talleyrand tak urósł w oczach Ludwika Filipa, że była już mowa o mianowaniu go premierem (po śmierci Kazimierza Perier w maju 1832 R.); stary książę zdecydował wszakże, że w Londynie będzie miał spokojniejsze życie. W tymże roku udało mu się przeprowadzić jeszcze jedną sprawę. Rozpoczęło się wszystko od tego, że król holenderski za tajemnym poduszczeniem Mikołaja I (tajemnica była zresztą dla wszystkich przejrzysta) postanowił oprzeć się siłą decyzji mocarstw i nie oddać Antwerpii, która była jeszcze w jego władzy. Wówczas Talleyrand zawarł ad hoc układ z Palmerstonem: armia francuska wkroczyła do Belgii, zajmując Antwerpię od strony lądu, a flota angielska zablokowała ją od morza. Antwerpia poddała się oczywiście w bardzo krótkim czasie. Był to ze strony Francji i Anglii policzek dla resztek tego, co nosiło miano „Świętego Przymierza”; trzej zaś autokratyczni monarchowie miotali tylko pogroźki, lecz nie wysłali ani jednego pułku na pomoc królowi holenderskiemu. Kwestia belgijska była zresztą

przesądzona przed poddaniem się Antwerpii. 15 listopada 1831 przedstawiciele trzech wielkich mocarstw podpisali w Londynie układ o uznaniu nieależnego Królestwa Belgów; w dniu 23 stycznia, i 1832 roku nowo obrany król Leopold podpisał zobowiązanie o zburzeniu fortyfikacji na granicy Francji; a 5 maja 1832 spadł ciężar z serca Ludwika Filipa i Talleyranda: oto groźny władca północy, żandarm Europy, Mikołaj I ratyfikował ład z 15 listopada 1831 roku", sankcjonując w ten sposób wyniki nienawistnej mu rewolucji belgijskiej.

Jeszcze przed ostatecznym formalnym załatwieniem belgijskiej sprawy nastąpiła w Anglii zmiana gabinetu, która mogła bardzo niekorzystnie wpłynąć na dalsze projekty Talleyranda; odeszli konserwatyści, odszedł Wellington — którego, nawiasem mówiąc, nazywano jedynym na kuli ziemskiej człowiekiem wierzącym w szlachetność księcia Talleyranda — a władzę objęli wigowie, czyli liberałowie; przywódcą ich był formalnie lord Grey, a faktycznie lord Palmerston, sekretarz stanu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Co zaś do Palmerstona, to w całej rozciągłości podzielał on zdanie „kuli ziemskiej”: uważał, że Talleyrand zdolny jest absolutnie do wszystkiego.

Należy tu dodać, że pewne bezpośrednie wrażenia i obserwacje Palmerstona, powzięte przy częstych teraz spotkaniach urzędowych z posłem francuskim, bynajmniej nie przyczyniły się do wzmożenia jego szacunku dla Talleyranda.

Oto na przykład pewien szczegół, o którym później z dużą dozą złośliwości wspomniał Palmerston.

Trzeba przede wszystkim wyjaśnić, że tak jak przez całe swe życie, od wczesnej młodości, tak i teraz osiemdziesięcioletni książę Talleyrand korzystał w miarę sił i możliwości z pokaźnych datków, jakie wręczali mu rozmaici „łaskawi ofiarodawcy" w zamian za jego dyplomatyczne usłu-

gi; ale równocześnie nie zapominał o innym, nie mniej poważnym źródle dochodu: o giełdzie, na której grał z zapałem przez podstawionych ludzi. Gdy wyjeżdżał w roku 1830 do Londynu, był nawet tak przewidujący, że mając na względzie machinacje giełdowe zabrał ze sobą niejakiego Montronda, który od dawna pomagał mu w rozmaitych nieczystych sprawach. Czytelnicy pamiętają zapewne, że nazwisko to było wymienione w jednym z raportów rosyjskiego posła Pozzo di Borgo do hrabiego Nesselrode, z kwietnia 1815 roku; poseł charakteryzował wówczas tego zausznika Talleyranda jako człowieka mającego haniebną opinię. O funkcjach, jakie pełnił w Londynie ów Montrond, można się dowiedzieć ze słów Palmerstona, zanotowanych w swoim czasie przez pisarza francuskiego Sainte-Beuve, który zbierał materiały do artykułu o Talleyrandzie: „Mówił mi lord Palmerston, że gdy Talleyrand przyjeżdżał do niego w sprawach służbowych, zabierał ze sobą do powozu Montronda, aby móc bez zwłoki dawać mu pożyteczne wskazówki co do gry i spekulacji giełdowej (*afin de lui expédier vite ses indications pour jouer et agioter*)” . Cała akcja była zorganizowana na najbardziej racjonalnych podstawach: rozmawiając z szefem brytyjskiej dyplomacji i właściwie pierwszą osobą w rządzie, Talleyrand w każdej chwili mógł usłyszeć wiadomość o ostatnich decyzjach i orientować się co do wydarzeń, które dopiero nazajutrz lub co najmniej za parę godzin byłyby znane na giełdzie. Czym prędzej więc dawał ukradkiem Montrondowi odpowiednie zlecenia kupna lub sprzedaży, a ten pędził na giełdę, wykonywał zlecenie, błyskawicznie powracał i znów był gotów do powtórzenia tego manewru, w razie gdyby tymczasem udało się Talleyrandowi wyłowić jeszcze od Palmerstona jakieś pożyteczne, a nie znane nikomu wiadomości. Dla Anglika, jako dobrego obserwa-

tora, stało się niebawem zupełnie jasne, jaki był powód dziwnego zachowania się jego czcigodnego interesanta, nie mogącego po prostu usiedzieć na miejscu, i co znaczyły owe ciągle tajemnicze jazdy Montronda tam i z powrotem. Wydawało się, że Palmerstona trudno czymkolwiek zaskoczyć, jednakże w tym wypadku nie oparł się on uczuciu zdumienia i na całe życie pozostały mu w pamięci te wyczyny nadzwyczajnego posła pełnomocnego Francji. Majestatyczny książę Benewentu natomiast pozostawał całkowicie obojętny na krążące o nim opinie, jeśli tylko świeciła mu jakakolwiek nadzieja zarobku. Zresztą — czyż tylko takie sprawy miał w życiu za sobą?...

Osobisty pogląd Palmerstona na moralne walory Talleyranda nie mógł, rzecz prosta, odegrać znaczącej roli w sprawie zbliżenia anglo-francuskiego. Jednakże głęboka nieufność, jaką żywił Palmerston do francuskiego posła, musiała oddziaływać hamująco. „Coś się popsuło pomiędzy mną a lordem Palmerstonem, już się sobie wzajemnie nie podobamy” — pisał w roku 1834 Talleyrand do siostry Ludwika Filipa, Adelajdy, z którą prowadził ożywioną korespondencję w sprawach służbowych obok prywatnej, przyjacielskiej wymiany listów.

Żona posła rosyjskiego w Londynie, Daria Christoforowna Lieven, pisała do swego brata Aleksandra Benkendorffa: „... wrogi stosunek Palmerstona zupełnie paraliżuje Talleyranda”. Lecz równocześnie nie uszło uwagi tej rozumnej i bardzo dobrze poinformowanej intrygantki, że Talleyrand zdobył sobie w łonie gabinetu kilku bardzo wpływowych przyjaciół: „Lord Grey jest nim oczarowany, lord Palmerston go nienawidzi, lord Holland dzieli się z nim wszytkimi tajemnicami państwowymi”. Aczkolwiek lord Palmerston wrogością swoją, być może, paraliżował posła francuskiego, lecz niewątpliwie był to „paraliż”, że się tak wyrazimy, częściowy, nie całkowity. Pomimo wszystko Palmerston zdawał sobie sprawę, że

pewne zbliżenie z Francją jest rzeczą wskazaną, szczególnie wobec napiętych stosunków Anglii z Mikołajem I, wywołanych zaostreniem kwestii wschodniej. Z tego więc względu musiał Palmerston wspólnie z księciem Talleyrandem podpisać korzystny dla Anglii i Francji układ, mający na celu zabezpieczenie rządów Hiszpanii i Portugalii od zakusów pretendentów. Talleyrand już od dawna z całą stanowczością przekonywał Ludwika Filipa oraz wszystkich kolejno po sobie następujących ministrów w okresie jego misji w Londynie, że dla Francji, a zwłaszcza dla dynastii, zbawienne będzie zawarcie ścisłego sojuszu z Anglią. Był więc niezmiernie rad, gdy w dniu 22 kwietnia 1834 roku udało mu się podpisać z Anglią, Hiszpanią i Portugalią konwencję dotyczącą szeregu ważnych zagadnień związanych z Półwyspem Pirenejskim. Dyplomaci, a nawet przedstawiciele wrogo do Francji ustosunkowanych państw, byli zdumieni energią i zdolnościami 80-letniego, schorowanego starca. Wspomniana już wyżej Daria Christoforowna Lieven, której jako rozumniejszej od swego małżonka zlecono informowanie Mikołaja I o wszystkim, co się dzieje w Londynie, pisała pod adresem brata swego, szefa żandarmerii gen. Benkendorffa, o zdumiewających osiągnięciach dyplomatycznych Talleyranda: „Trudno wprost uwierzyć, ile zdrowych poglądów mieści się w tym stronniku wszystkich form rządu, w tym uosobieniu wszelkich wad. Dziwny to człowiek; dużo korzyści można osiągnąć z jego doświadczenia, wiele zaczerpnąć z jego rozumu: mimo osiemdziesięciu lat zachował on umysł zupełnie świeży... Ale jest to wielki szubrawiec — *c'est un grand coquin*” — dodaje księżna Lieven. Szeroko znany był złośliwy jej kalambur, że księciu Wellingtonowi nie udają się „portrety”: księcia Polignaca określa on jako człowieka rozumnego, a księcia Talleyranda — jako porządnego.

IV

Siły fizyczne opuszczały starego księcia. W końcu listopada 1834 roku prosił Ludwika Filipa, żeby mu pozwolił podać się do dymisji. Jak sam o sobie mawiał, zdołał podczas swej misji w Londynie „dać rewolucji lipcowej prawo obywatelstwa w Europie”, utrwalił tron Ludwika Filipa, współdziałał przy utworzeniu Królestwa Belgów. Zaczął ten ostatni etap swej długiej i niezwyklej drogi w wieku lat siedemdziesięciu sześciu, zakończył go mając lat osiemdziesiąt.

Teraz usunął się do swego wspaniałego pałacu w Valencay, któremu pod względem rozmiarów i przepychu nie dorównywało wiele pałaców królewskich w Europie. Tu, w spokoju, bez zbytnej ciekawości i zbędnych wzruszeń, których zawsze w życiu unikał, zaczął oczekiwać nadejścia tej nieprzepartej siły, której nawet jego podstępny nie mogły (jak zjadliwie wyraził się jeden z wrogich mu publicystów). „Nie jestem ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy... — pisał w tych ostatnich latach swego życia. — Powoli słabnę i... wiem dobrze, jak to wszystko musi się skończyć. Ani mnie to smuci, ani lęka. Skończyłem ze wszystkim. Zasadziłem wiele drzew, wybudowałem dom i narobiłem wiele jeszcze innych głupstw. Czyż nie czas skończyć?” Żona jego już nie żyła, w domu mieszkała stale żona siostrzeńca, księżna Dino, bliski mu i najdroższy człowiek. Potomków „z prawego łóża” nie miał. Jego syn zrodzony ze stosunku z panią Delacroix, słynny już od lat dwudziestu malarz Eugeniusz Delacroix, nie utrzymywał prawie kontaktu z ojcem i ukrywał to pokrewieństwo.

Ale Talleyrand w ostatnich latach sam już odsunął się od ludzi, pragnąc samotności i ciszy.

Jego chciwość była zaspokojona, żądza władzy **WYGASŁA**. Po wycofaniu się z życia politycznego **PRZESTAŁ** nawet grać na giełdzie. Nazwisko jego wciąż powtarzało się w dziennikach, czasopis-

mach, pamfletach, ilustracjach, w różny sposób oceniano jego minioną działalność, poszczególne fazy jego zdumiewającego życia. Z tej powodzi artykułów książkę czytał tylko nieliczne, przy czym nigdy nie odpowiadał na nie i w ogóle na ich treść nie reagował.

Pominał również milczeniem ową znaną charakterystykę jego osoby, którą znalazł w drugim październikowym zeszytcie „*Revue des Deux Mondes*” z roku 1834; artykuł ten wyszedł spod pióra zaczynającej już wówczas zdobywać sławę George Sand i nosił tytuł „Książę”. Nazwisko nie zostało wymienione, lecz nie trudno było go się domyślić. Ciekawy jest szczegół, że bezpośrednim bodźcem do napisania artykułu było dla George Sand zwiedzenie w towarzystwie Alfreda Musset pałacu Valencay (Talleyrand zezwalał turystom na oglądanie swych wspaniałych, na cały świat rozslawionych komnat, nie dopuszczano tylko nikogo do zamieszkałej części pałacu). Przepych zwiedzanych sal obudził u George Sand tak tragiczne wspomnienia, iż nie mogła się powstrzymać od najostrzejszych słów: „Nigdy serce to nie zaznało żarliwości szlacheckiego czynu, nigdy myśl uczciwa nie przewinęła się przez tę niezmordowaną głowę; ten człowiek — to wyjątek w przyrodzie: jest on tak niebywałą potwornością, że rodzaj ludzki, pogardzając nim, mimo wszystko spoglądał nań jednak z głupkowatym zachwytem”. W autorce wywołuje wstręt nawet powierzchowność księcia, jego pogardliwy, pyszałkowaty i wyzywający wyraz twarzy; wraca ona wciąż myślą do jego przeszłości i rozważa, czemu wszyscy władcy Francji tak go potrzebowali: „Jakim krwawym wojnom, jakim kłęskom społecznym, jakim skandalicznym grabieżom on zapobiegł? Widać tak był niezbędny ten poządliwy obłudnik, że wszyscy nasi monarchowie, począwszy od dumnego zdobywcy, a kończąc na ograniczonym świętoszku, narażali nas na wstyd i hańbę wywyższając go”.

W oczach George Sand nawet dyplomacja jako taka jest godna potępienia, jeśli ma być usprawiedliwieniem działalności Talleyranda. „Jakież to haniebne bezeceństwa (*turpitudes honteuses*) pokrywa wspaniałą płaszcz dyplomacji?” — zapytuje. I właśnie w związku z Talleyrandem ta prawdziwa przedstawicielka ówczesnego romantyzmu powtarza prozą francuską słynny wiersz współczesnego jej poety niemieckiego, Heinego:

Czemu ciężkie brzemię krzyża
Niesie krwawiąc człowiek prawy?
Czemu łotr, co czi ubliża,
Wszędy dobrej zazna sławy?

George Sand, stosując te słowa do Talleyranda, tak im wtóruje: „Niechaj przeklnę tego wroga rodzaju ludzkiego, który omotał ludzi po to, by grabić bogactwa, by zadowolić swe występne skłonności, a oszukany i ograbiony przez siebie wpajał poniżające dla nich uznanie dla jego nieuczciwych zdolności (*de ses iniques talents*). Dobroczynicy ludzkości umierają na wygnaniu lub na krzyżu... A ty, stary sępie, będziesz umierał w swoim gnieździe, powoli, wśród powszechnego żalu!...”

Talleyrand przywykł już do tego tonu: rzadko pisano o nim inaczej za życia, w okresach oczywiście, gdy istniała jakakolwiek choćby wolność prasy. Niemal zawsze w nastrojach ludzi o nim piszących wyczuwało się pewien rozdźwięk: całkowita, bezwzględna i nieprzejednana pogarda dla jego charakteru, dla jego zupełnego braku sumienia — i równie bezwzględne (może nie u wszystkich jednak) uwielbienie dla jego walorów umysłowych, dla wykazanej na polu dyplomatycznym przebiegłości, sprytu i zręczności. Jak zawsze, tak i teraz Talleyrand niezwykle „filozoficznie” odnosił się do wszystkiego, co o nim pisano, więc nawet tym portretem pióra

George Sand przejął się niezbyt mocno i na niezbyt długo.

Należy pamiętać, że współcześni, wiedząc sporo o sprawach pieniężnych i przygodach księcia Talleyranda, nie mieli jednakże pojęcia o tym wszystkim, co nieprędko po jego śmierci, stopniowo tylko i urywkowo, przesiąkać počęło do historii. Weźmy dla przykładu słynnego Stendhala, uczestnika wojen napoleońskich, myśliciela, sceptycznego obserwatora i wnikliwego analityka. Przebywał on w Marsylii w chwili, gdy doszedł do jego rąk numer gazety „*Journal des Debats*” z 21 maja 1838 roku z wiadomością o śmierci Talleyranda. Stendhal zasiada natychmiast do pisania i szkicuje w brudnopisie niewielki artykuł (pozostał on nie wydrukowany aż do roku 1926, kiedy to po raz pierwszy ujrzał światło dzienne). W brulionie tym widnieją w nagłówku charakterystyczne słowa: „W zniecierpliwieniu (*l'impatience*) z powodu szumnych frazesów «*Débats*»” — wskazujące na to, że Stendhala drażniły górnolotne pochwalne kłamstwa wypisywane w nekrologu. Na marginesie, przy końcu artykułu, widnieje jeszcze bardziej wyrazista adnotacja: „Wskutek oburzenia na szumne frazesy”. Wydawałoby się, że od artykułu Stendhala pisanego w takim nastroju można by się spodziewać obiektywnej i nieubłaganej sprawiedliwej oceny wielu stron działalności znakomitego dyplomaty. Nic podobnego wszakże nie znajdujemy: „Pan Talleyrand był człowiekiem niezwykle rozumnym i zawsze potrzebował pieniędzy. Pod tym względem był prawdziwym wielkim panem (*un vrai grand seigneur*). Żadnego porządku, żadnej ostrożności we własnych sprawach. Człowiek bardzo subtelny, pozbawiony złudzeń i jakichkolwiek innych namiętności poza namiętnym pragnieniem utrzymywania domu na szerokiej stopie i prowadzenia życia odpowiedniego dla członka wysokiego rodu”. Tak rozpoczyna się ta króciutka charakterystyka. A dalej następują dość powierzch-

chowne, nie licujące nawet z umysłem Stendhala uwagi, porównania, anegdotyczne wzmianki o tym na przykład, jak księcia czesali fryzjerzy; potem zupełnie nie odpowiadające prawdzie twierdzenie, jakoby Talleyrand „przymusił” „przerazonych” monarchów w Wiedniu, aby przeciwstawili się Napoleonowi po jego powrocie z Elby itd.; następują znowu anegdoty o tym, jak miłym bywał księżę dla podwładnych i dla służby — no i nic poza tym. Należy ponadto zaznaczyć, że Stendhal nie zdecydował się oddać do druku nawet tej nic nie mówiącej krótkiej wzmianki podpisanej „były oficer”, mimo iż miała charakter anonimowy. Wrzucił ten artykuł po prostu pomiędzy niepotrzebne papiery. Nie ulega wątpliwości, że gdyby Stendhal wiedział o Talleyrandzie wszystko to, o czym dowiedziała się potomność, nie pisałby w tak dobrodusznym tonie. Ciekawe też jest, że jedyny podany tu przez Stendhala przykład nieuczciwości księcia (w sprawie kontrybucji od Hiszpanii) przypadkowo właśnie nie jest faktem dowiedzionym. Zresztą Stendhal ogranicza się tylko do aluzji. W jednym punkcie ma on jednakże słuszność, mianowicie gdy pisze o demoralizującym wpływie, jaki Talleyrand pośrednio wywierał na społeczeństwo. „Pod względem moralnym złą stroną tego długiego życia Scapina stanowi to, że gdy obecnie sługa ukradnie sto ludwików, to zamiast myśleć o perspektywie skazania na galery, mówi: Cóż, wszak ja tylko naśladowuję pana de Talleyrand”. Bohater molierowskiej komedii, Scapin, z którym Stendhal utożsamia Talleyranda, dopuszczał się sprytnych szalbierstw, ale nie śniło mu się nawet o takich rzeczach, jakie ponadto przedsięwziął księżę. Inna była skala, odmienna psychologia, no i arena historii to nie scapinowskie podwórko, teren uciesznych szalbierstw. Posiadanie pewnych cech właściwych Scapinowi nie znaczy bynajmniej, że jest się tylko Scapinem...

George Sand w ocenie swej przyjęła punkt wi-

dzenia wyłącznie moralny. Niemal równocześnie z nią wypowiedział się o Talleyrandzie Ludwik Borne, młody utalentowany publicysta niemieckiej radykalnej burżuazji. W jego mniemaniu nonsensem jest w ogóle stosowanie w danym wypadku kryteriów moralnych. Rozpatruje on tylko obiektywne rezultaty działalności znakomitego dyplomaty i ocenia je bardzo wysoko. W siódmym liście Bornego z Paryża, datowanym 24 marca 1831 r., znajdujemy następujący charakterystyczny urywek:

„... Wreszcie Talleyrand. Nie widziałem go nigdy, nawet na portrecie. Twarz z brązu, płyta marmurowa, na której żelaznymi czcionkami wypisane jest nieuniknione przeznaczenie. Nigdy nie mogłem pojąć, czemu ludzie wszystkich czasów tak nie rozumieli tego człowieka! Że ganili go — to dobrze, ale to mało; cnotliwie — lecz nierozsądnie; takie nagany przynoszą zaszczyt ludzkości, lecz nie ludziom. Talleyrandowi zarzucano, że kolejno zdradzał wszystkie rządy. To prawda: od Ludwika XVI przeszedł do Republiki, od niej do Dyrektoriatu, potem do Konsulatu, stamtąd do Napoleona, od Napoleona do Bourbonów, od nich do Orleanów, a może przed śmiercią przerzuci się jeszcze od Ludwika Filipa z powrotem do Republiki. Lecz on ich bynajmniej nie zdradzał: on ich tylko opuszczał, gdy umierali. Siedział przy łożu boleści każdego okresu, każdego rządu, stale trzymając rękę na ich pulsie, i znacznie wcześniej niż inni wiedział, kiedy serce przestaje bić. Wówczas od nieboszczyka śpieszył do spadkobiercy, podczas gdy inni przez jakiś czas jeszcze służyli trupowi. Czy to jest zdrada? Czy dlatego Talleyrand ma być gorszy od innych, że jest rozumniejszy, twardszy i umie pogodzić się z nieuniknionym biegiem wypadków? Wierność innych bynajmniej nie trwała dłużej,

tylko błąd ich był bardziej długotrwały. Ja osobiście wsłuchiwałem się zawsze w słowa Talleyranda jak w głos przeznaczenia. Pamiętam jeszcze, jak byłem przerażony, gdy po powrocie Napoleona Talleyrand pozostał wierny Ludwikowi XVIII. Zwiastowało to, że Napoleon zginie. Gdy ogłosił się stronnikiem dynastii orleańskiej ogarnęła mnie radość, wywnioskowałem bowiem z tego, że na Bourbonów przyszedł kres. Chciałbym, by ten człowiek zamieszkał w moim pokoju: ustawiłbym go przy ścianie jako barometr i nie czytając gazet, nie wychodząc z domu, wiedziałbym co dzień, jaka pogoda jest na świecie"

Dla burżuazyjnego publicyisty owych czasów zupełne i powszechne zwycięstwo burżuazji — w jednych krajach wcześniej, w innych później — było właśnie tym nieuniknionym przeznaczeniem, tym szczęśliwym historycznym zwrotem, który Talleyrand przewidywał bezbłędnie od początku swej kariery politycznej.

W oczach Stendhala Talleyrand był zawsze synonimem człowieka podłego i zdrajcy./ „Kiedy paryżanie, powiedział także mój ojciec, usłyszą o użytecznej podłości i zdradzie, wołają: Brawo! To mi wyborny figiel, godny Talleyranda!...”¹⁰

Stendhal — jest to zresztą charakterystyczne dla wielu ludzi, którzy w owym czasie pisali o Talleyrandzie — łączy uznanie dla wysokich zdolności tego człowieka z największą pogardą dla jego „morale”. Mówi o nim albo „geniusz” (*un génie un vaste génie*), albo „szubrawiec” (*le coquin*), a trudno stwierdzić, które z tych określeń stosuje częściej. Jednemu z bohaterów Stendhala wrywają się takie słowa:

„...Nie mogę współżyć z ludźmi niezdolnymi do subtelnego myślenia, choćby świecili przykładem cnót wszelakich; wołałbym już tysiąc razy wy-

kwintne obyczaje niemoralnego dworu. Waszyngton zaudziłby mnie na śmierć; wolę bywać w tym samym salonie, co pan de Talleyrand".

Stendhal widzi w Talleyrandzie swego rodzaju politycznego „filozofa”, który nie tai, że służy tylko temu, kto mu płaci i dopomaga do osiągnięcia dobrobytu. Jedyne „głupcy i faryzeusze” deklamują o służbie dla dobra ogółu. Nie można myśleć jednocześnie o korzyści dla rządzących i rządzonych, „wyobrażać sobie, że interes pastusza pokrywa się z interesem baranów”. Talleyrand nigdy tak nie myślał. „Dany człowiek płaci mi i dopomaga do osiągnięcia szczęścia. Ja mu też będę pomagał, reszta nic mnie nie obchodzi (fét je *me fiche du reste*), każdy niech myśli o sobie. Ja jestem zadowolony... Tak rozumuje Talleyrand i wielu mądrych ludzi” — twierdzi Stendhal, uważając, że tym psychologicznym wywodem dostatecznie wyjaśnił wszystkie postęпки Talleyranda.

Szczerym (lecz i smutnym) bywał Talleyrand u schyłku życia tylko wobec samego siebie, w tych rzadkich chwilach, gdy nocami odczuwał udrękę. Chwytał wówczas za ołówek.

„Oto upłynęło już 83 lata. Ile trosk. Ile wzruszeń. Iluż wrogów sobie przysporzyłem. Jedyńm wynikiem tego wszystkiego jest ogromne znużenie fizyczne i moralne. Lęk przed tym, co się zbliża, i obrzydzenie do przeszłości”. Tak pisał — tylko dla siebie — Talleyrand pod koniec życia, przykuty długą chorobą do łoża. Przynaczając te rozmyślenia, które przypadkiem. stały się własnością ogółu, zawsze niechętnie usposobionego do księcia, pisze Ludwik Blanc: „Pozostawiony sam sobie, w nocnej ciszy, Talleyrand z wyżyn swej pozornej dumy zapadał w otchłań niewypowiedzianego przygnębienia; przy lampie oświetlającej jego samotną bezsenność pisał niekiedy

łowa, które wskazywały na kłębiące się myśli i upadek sił duchowych" .

„Pozorna duma" — te słowa Blanca są wyrazem jego poglądu, że gardząc ludźmi w ogóle, Talleyrand pogardzał też w duszy zarówno życiem, jak i samym sobą, że więc jego stały chłód, Jego wyniosły, pogardliwie ironiczny wyraz twarzy były maską pokrywającą uczucie przygnębienia, które pod koniec życia opanowywało go niekiedy.

V

Już od pierwszych miesięcy 1838 roku z dnia na dzień spodziewano się śmierci Talleyranda. Pisma zamieszczały wzmianki o gwałtownym pogorszeniu w stanie jego zdrowia, o postępującym upadku sił. I oto nagle — rozniosła się w Paryżu wieść zdumiewająca.

Na dzień 3 marca 1838 w Akademii Nauk Moralnych i Politycznych wyznaczony był uroczysty obchód ku pamięci zmarłego członka Akademii, hr. Reinharda; był to dość bezbarwny francuski dyplomata, niegdyś przez krótki okres kierownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, były podwładny Talleyranda. Stary ksiązę, od dawna już niebezpiecznie chory, oświadczył całkiem niespodziewanie, że życzy sobie wygłosić ku czci Reinharda mowę pośmiertną w Akademii, której członkiem był od roku 1797, a w której od długiego już czasu przestał bywać.

Teraz postanowił skorzystać ze sposobności, aby publicznie wypowiedzieć swoje zdanie o dyplomatach. Nigdy dotąd nie wypowiadał się na ten temat. To sensacyjne wystąpienie w Akademii miało wyraźnie na celu udowodnienie lub przynajmniej przejrzyste zasugerowanie, że właśnie on sam jest zbiorowiskiem wszystkich zalet,

jakie powinien posiadać minister spraw zagranicznych. Obecni na sali na zawsze zapamiętali ów dzień 3 marca 1838 roku.

Talleyrand zwracał się równocześnie do współczesnych i do potomności w słowach szczególnie gorących i namiętnych. Widocznie bardziej niż kiedykolwiek zależało księciu na tym, by jego obłudna mowa znalazła wiarę.

Efekt wystąpienia był olbrzymi i bardzo swoisty. Już sama osoba mówcy, który od wielu lat nigdzie się nie pokazywał, wywarła duże wrażenie. Patrzone na niego chciwie, słuchano tego starczego głosu powstrzymując oddech; mówca budził wzruszenie bez względu na to, co wygłaszał. Zbyt wiele stronic historii zrosło się z tym zasuszonemu, stojącemu nad grobem starcem o bezkrwistej twarzy. Przed oczyma wyobraźni przesuwały się te same wizje, które tak przeraziły i nękały George Sand w czasie zwiedzania zamku w Valencay, wszystkie te mściwe, tragiczne, gniewne, sarkastyczne, oskarżające i miotające przekleństwa mary zdawały się ożywać, tłoczyć wokół mówcy i narzucać się oczom zebranych: miraż Wersalu z czasów dawnego reżymu, cienie Ludwika XVI, Marii Antoniny, postaci Mirabeau, rewolucjonistów, Dantona, wszystkich uczestników feerycznego przedstawienia, jakim była koronacja cesarza, zjawy księcia d'Enghien, Napoleona, więzionych książąt hiszpańskich, Aleksandra I, Karola X, Ludwika XVIII...

Dopiero później naoczni świadkowie przyznawali pisząc o tym dniu, że właśnie te historyczne zjawy, wydobyte z głębin ich świadomości i uczucia na skutek obecności Talleyranda, burzyły i niweczyły to wszystko, o czym mówca chciał przekonać swych zahipnotyzowanych słuchaczy.

Starzec już prawie nie mógł sam się poruszać, niemal wniesiono go na salę i z trudem prowadząc pod rękę ulokowano na trybunie. Członkowie Akademii i publiczność wypełniająca salę

zerwali się z miejsc i stojąc witali oklaskami wysuszonego pół-trupa, któremu, jak się później okazało, pozostawało już tylko dwa i pół miesiąca życia.

Przemawiał długo i mowa jego zdobyła gorący poklask wśród zebranych, a następnie w większości pism. O czymże mówił, czego uczył?

Uczył, jakie cechy powinien posiadać idealny dyplomata, wzorowy, nieskazitelny minister spraw zagranicznych; Przede wszystkim więc miłość ojczyzny, pełną świadomość swych obowiązków jako patrioty. Nigdy nie wolno mu zapominać o wielkich zadaniach państwowych, o tym, jak święte i odpowiedzialne jest jego powołanie. By stać się naprawdę godnym piastowania wysokiego urzędu, należy odrzucić wszelkie pobudki egoistyczne i dawać posłuch tylko nakazom patriotycznego sumienia; mając takiego ministra spraw zagranicznych — ojczyzna może czuć się bezpieczna!

Tak głosił tonem mędrca, tonem doświadczonego mistrza życia jego książęca mość książę Benewentu, urodzony jako książę de Talleyrand-Perigord. Wszyscy bez wyjątku słuchacze wiedzieli (tak jak wiedziała cała Francja, Europa i pozostały świat), że zdradził najpierw Ludwika XVI, potem Republikę, potem Napoleona, którego rękę całował z oddaniem za ofiarowane mu udzielne księstwo Benewentu i tytuł *Serenissimus*, a wreszcie po raz drugi zdradził Bourbonów. Wprawdzie w tym czasie większość słuchaczy nie była świadoma nawet części jego sprawek, np. że książę przez kilka lat tajnie służył Aleksandrowi I i sprzedawał mu po Erfurcie państwowe tajemnice Francji za niezłe wynagrodzenie od sztuki; że w roku 1809 nieraz powiadał Metternicha o przegrupowaniach wojsk francuskich w toku wojny Napoleona z Austrią; że potrafił wykraść z archiwów państwowych wielkie paki dokumentów i sprzedawać je po odpowiedniej cenie temuż Metternichowi. Nie wie-

dzieli wówczas, choć niejeden miał już pewne podejrzenia, że nie tak dawno, gdyż zaledwie 3 lata przed ową wzniosłą patriotyczną mową w Akademii na temat prawych i szlachetnych dyplomatów, otrzymał on w Londynie od króla holenderskiego piętnaście tysięcy funtów sterlingów w brzęczącej monecie za to, że zaniechał na niektórych odcinkach obrony powierzonych mu interesów Francji i Belgii; delikatnie przy tym dopominał się, że należałoby podwoić tę sumę. Natomiast wszystkim znane były sprawki Talleyranda w dziedzinie polityki wewnętrznej i wszyscy pojmowali ich znaczenie. Skądże więc te owacje, to szalone powodzenie jego mowy akademickiej? Jak sobie wytłumaczyć, że po owym łabędzim śpiewie w Akademii otoczono jakimś nimbem tego starca, który wstał z łoża śmierci, aby bezczelnie oznajmić wszem wobec, że ma prawo bez lęku spojrzeć w oczy nowym pokoleniom? Dlaczego zarówno jego ówczesni słuchacze, jak i najbliższe następne pokolenia starały się zapomnieć o głębokiej amoralności Talleyranda, którego życie, rozpatrywane z punktu widzenia etyki, cynicznie urągało nawet skromnym, potocznym wymaganiom honoru i najprymitywniejszej uczciwości?

Na pytanie to mamy już odpowiedź. Oto pokolenie burżuazji będące świadkiem ostatnich lat życia i działalności Talleyranda chciało zapamiętać tylko następujące fakty, w których jest coś z prawdy, a coś z legendy: w latach 1814—1815, zawierając pokój paryski 30 maja 1814 roku, a następnie uzyskując jego potwierdzenie przez kongres wiedeński w okresie jesieni i zimy 1814—1815, Talleyrand obronił granice Francji od roszczeń feudalno-absolutystycznych Prus i od klerykamo-monarchistycznej Austrii, uratował część francuskich kolonii od drapieżców angielskich; potem, chociaż bezskutecznie, usiłował nakłonić Bourbonów, by pogodzili się z faktem nadejścia ery panowania burżuazji; Bourbono-

wie odrzucili jego dobre rady, związali się z klerkalno-feudalną reakcją i zginęli ostatecznie; wówczas tenże Talleyrand, jak sam to głosił o sobie po zakończeniu swej misji w Londynie w latach 1830—1834, „dał rewolucji lipcowej prawo obywatelstwa w Europie”, broniąc zaś Belgii od dyplomatycznego nacisku mocarstw absolutystycznych znowu przysłużył się sprawie oswo-
bodzenia i politycznej konsolidacji sfer burżuazyjnych Francji i Belgii, a tym samym całej Europy. Dlatego też — mawiali ludzie typu Bornego — jakiegokolwiek grzechy miał on na sumieniu, przy końcu swego życia odegrał postępową rolę historyczną... „Służyłem Francji przy wszystkich rządach” — powtarzano sobie powiedzenie starego obłudnika.

Taka była owa pół-prawda, pół-legenda, tak wyglądała w korzystnej „stylizacji” burżuazyjno-liberalnych sfer historia działalności księcia Talleyranda. Znacznie wyolbrzymiano osobistą jego rolę w sprawie uratowania całości terytorium francuskiego w latach 1814—1815; zapomniano o decydującym wpływie Rosji, bezpośrednio zainteresowanej w zapobieżeniu rozbiorowi Francji; o takim rozbiorze marzyło wielu zwycięzców, zwłaszcza Prusy, które długo nie chciały pogodzić się z faktem nieoddania im Alzacji i Lotaryngii. Aby uchronić Francję od drapieżnych pazurów Blüchera i jemu podobnych, nie wystarczyłaby w roku 1814 ani w 1815 sama tylko „dyplomatyczna sztuka” Talleyranda. Co się tyczy roli księcia jako rzecznika burżuazji, bojownika przeciwko szlacheckiej reakcji za Restauracji, to również była o tym mowa. Wystarczy przypomnieć przytoczone przez nas dokumenty z lat 1814—1817, z których wynika, że i w danym wypadku rzeczywistość została upiększona przez legendę, a o „zygzakach” Talleyranda w kierunku reakcji nikt nie wspominał. Wreszcie, zastanawiając się nad działalnością księcia w Londynie stwierdzić należy, że niewątpliwie przyczyni-

ła się ona do konsolidacji burżuazyjnej monarchii lipcowej oraz do wzmocnienia silnie zachwianego w owym czasie położenia Francji na międzynarodowej arenie, i to głównie na początku, w 1830 roku; nie należy wszakże zapominać, że duży wpływ wywarła również wewnętrzna sytuacja Anglii, opanowanej przez walkę klasową przed reformą prawa wyborczego w roku 1832, gdy konserwatyści byli z początku niejako sparaliżowani i nie mogli wykazać większej aktywności w polityce zewnętrznej; ważnym czynnikiem (choćby dla sprawy belgijskiej w latach 1831—1832) było również powstanie w Polsce, z którym Mikołaj I miał poważne trudności. Przejaskrawienie osobistej roli Talleyranda, przedstawianie go jako jednego z „bogów”, którzy „tworzyli” dzieje, wywołało przytoczoną w naszym słowie wstępnym niewątpliwie słuszną krytykę Engelsa dotyczącą roli Talleyranda, Metternicha i Ludwika Filipa. \

Tego rodzaju przesadna ocena, ogłoszona przez „niemieckich Burgerów”, niezwykle drażniła Marksa i Engelsa, powtarzana zaś przez francuskich i angielskich „Burgerów” oraz wielu historyków, wypływała niewątpliwie z nieumiejętności lub niechęci przypisania decydującego znaczenia całemu kompleksowi społeczno-gospodarczych i politycznych warunków Francji i Europy, warunków, w których wypadło Talleyrandowi żyć i działać.

Tak jak udawało mu się wszystko za życia, udało mu się również i po śmierci. Zwycięska burżuazja postanowiła uznać go za jednego z wybitnych bojowników, którzy walnie przyczynili się do jej ostatecznego triumfu, za jednego z działaczy „bohaterskiego” okresu tej walki. W związku z tym liczne przewinienia Talleyranda, z których każde z osobna wystarczało, by na zawsze okryć hańbą i niesławą działacza politycznego, zostały mu zapomniane i darowane. Nawet tak wysoce moralny i nieskazitelny czło-

wiek, jak Royer-Collard, którego nazywano „sumieniem partii liberalnej”, luminarz i bezkompromisowy „stróż” moralności społecznej, nawiązał z Talleyrandem w ostatnich latach jego życia przyjacielskie stosunki. Z drugiej strony modne podówczas „kult bohaterów”, który począł się szerzyć pod wpływem znanej książki Carlyle’a („O kulcie bohaterów”) wydanej wkrótce po śmierci Talleyranda, pobudzał ówczesnych i późniejszych biografów księcia do ocenienia go właśnie jako „twórcy” i „boga” historii, „wybawcy” nowej, porewolucyjnej Francji burżuazyjnej od feudalno-absolutystycznej reakcji, dążącej do pożarcia bez reszty wszystkich zdobyczy rewolucji burżuazyjnej. Przesadny ten kult trwał nadal, kiedy o książce Carlyle’a, która narobiła tyle szumu, dawno zapomniano. Talleyrand wyrósł na symbol burżuazyjnej, walczącej przeciwko feudalizmowi Francji i pod tym względem porównywano go ni mniej, ni więcej tylko do Napoleona. W literaturze burżuazyjnej, jak już powiedziano, dotychczas pokutuje ten śmieszny entuzjazm: jako przykład można przytoczyć wspomnianą książkę Guglielmo Ferrero wydaną w roku 1940, która robi wrażenie, jak gdyby była pisana w okresie najgorętszego „kultu bohaterów”.

Taka była pośmiertna talleyrandowska legenda. Zaczęła się tworzyć na dwa i pół miesiąca przed jego śmiercią, gdy wygłaszał swą ostatnią mowę. Doczekał się apoteozy w Akademii i w prasie, we Francji i za granicą. W jego ustach przemówienie to było w istocie beczelnym wyzwaniem, świadomym zniekształceniem, zignorowaniem znanej mu chyba prawdy o sobie. Zarówno jego słuchacze, którzy przyjęli mowę burzliwą owacją, jak i liczni jego biografowie weszli jak gdyby w znowę, by puścić w niepamięć znamiennej prawdę jego długiego życia lub by mu ją wybaczyć.

Pewność siebie cechująca Talleyranda, to ła-
skawe przyjmowanie hołdów jako rzeczy mu na-
leżnej i samo przez się zrozumiałej zdumiewały
i oszołamiały nie tylko słuchaczy jego mowy
w Akademii Nauk Moralnych i Politycznych
w dniu 3 marca 1838 roku.

Ludzie nie odczuwający dla Talleyranda ani
sympatii, ani szacunku, jak na przykład Hercen,
nieraz z bezradnym zdumieniem stwierdzali je-
go absolutną amoralność, której towarzyszyły nie-
ziemna równowaga ducha i przeświadczenie o rze-
komej „słuszności” postępowania. Ludziom tym wy-
dawało się nawet chwilami, że Talleyrand porzuca
swą zwykłą rolę aktywną i czuje się jak widz,
jak obserwator, jak myśliciel oderwany zupełnie
od spraw tego świata. „Kto rzucony jest w odmet
wydarzeń, w sam ich wir, czy może zdobyć się
na niewzruszony i rozumny obiektywizm widza?
Czy byłoby to poniżej godności ludzkiej, czy też
stałoby ponad nią? Czy na to nie trzeba stać się
Talleyrandem albo Goethem?” — zapytuje Her-
cen . Wszakże i on, mówiąc o politycznej „bez-
partyjności” Talleyranda, nie mógł się zdecydo-
wać na postawienie znaku równości pomiędzy
nim i Fouché oraz przyznać, że obaj byli jedna-
kowymi egoistami („sobkami”). „Są innego ro-
dzaju ludzie, którzy nie należą do partii albo
dlatego, że byłoby niepoważne, gdyby stali po-
niżej interesu ogółu — na przykład Talleyrand —
albo dlatego, że są niczemnymi sobkami
i interes ogółu podporządkowują niskiemu wyra-
chowaniu — na przykład Fouché”. Niestety,
w dzienniku swym pisanym w młodych latach,
tylko dla siebie, Hercen, nie wyjaśnia bliżej i do-
kładniej, na czym jego zdaniem polega różnica
między „moralnością” Talleyranda a „moralnoś-
cią” Fouchého.

Bardziej zdecydowana jest wypowiedź biegu-
... różniącego się od Hercena zapatrywaniami
politycznymi legitymisty Vitrolles'a, który w ro-
ku 1814 z rozkazu i pod kierunkiem Talleyranda
tak usilnie pracował nad restauracją Bourbonów.
Ten zagorzały monarchista, przepojony czcią dla
koronowanych głów, nie posiada się z oburzenia,
to Talleyrand, ów „starzec, na którym ciąży tyle
hańby, spaceruje po ulicach Londynu w towa-
rzystwie króla brytyjskiego”, przyjmowany na
prawach gościa; oburza go również, że król fran-
cuski „uważał za swój obowiązek asystować przy
wystawnej śmierci (*la mort fastueuse*) tego wiel-
kiego komedianta!" Vitrolles, mało rozgarnięty,
fanatycznie ograniczony, choć osobiście uczciwy
człowiek, woła: „Nigdy jeszcze moralność publicz-
na nie była narażona na taką obrazę, obrażona
widokiem takiej rozpusty i tylu występków,
wieńczonych stałym powodzeniem i widoczną
slawą. Oto na czym polega jego genialność i pod
tym względem nikt mu nie dorówna”.

Talleyrand próbował nieraz oceniać siebie sa-
mego, nie tylko na publicznych posiedzeniach
Akademii ... „Czy wie pan, drogi panie — po-
wiedział na krótko przed śmiercią do Thiersa —
nie było w Europie w ciągu ostatnich czterdziestu
lat człowieka, którego by bardziej dyskredytowa-
no niż mnie, a pomimo to zawsze albo miałem
w ręku wszechmocną władzę, albo byłem w prze-
dedniu powrotu do władzy”.

W swym testamencie politycznym Talleyrand
dodaje: „Nie czynię sobie bynajmniej wyrzutów,
że służyłem wszystkim reżymom, począwszy od
Dyrektoriatu aż do czasu, w którym piszę te sło-
wa, gdyż powziąłem postanowienie służenia Fran-
cji jako takiej, bez względu na położenie, w ja-
kim by się znalazła”. Jego przeciwnicy i późniejsi
krytycy twierdzili, rzecz prosta, że podobnym fra-

zesem nie mógłby Talleyrand uspokoić swego sumienia, gdyby je nawet posiadał.

Słowa wyrzeczone do Thiersa były niewątpliwie szczerym wyrazem filozofii księcia. Od samego początku swej gry politycznej postawił on nie na klasę, do której należał z urodzenia i wychowania, z upodobań, stosunków i manier — lecz na burżuazję. Wygrał, gdyż w tym okresie historycznym burżuazja wygrywała zawsze i nic nie było w stanie oprzeć się jej; i ona także nie rozporządzała wieloma takimi głowami jak ta, którą miał na karku Talleyrand. Księżę przewidywał, że będą mu złorzeczyć, ale wiedział również, że pomimo tych złorzeczeń nie będą w stanie obejść się bez niego. Zdawał sobie sprawę z kariery politycznej, jaką robi Thiers, w owym czasie jeszcze młody liberalny minister, który przy całym swym liberalizmie miał już na sumieniu bezlitosne stłumienie powstania republikanów w roku 1834. Rozumiał też Talleyrand, że burżuazja bardzo długo jeszcze nie da się „wysadzić z siodła”, na którym dopomógł jej się usadzić, i że również bardzo jeszcze długo będzie mogła sownie wynagradzać tych, którzy jej służą. Rzeź urządzona przez Thiersa na ulicy Transnonain podczas tłumienia powstania w roku 1834 wykazała już, że w razie potrzeby gotów on będzie zamienić cały Paryż w taką samą ulicę Transnonain (co też istotnie uczynił, gdy z barbarzyńskim okrucieństwem tłumił powstanie Komuny w maju 1871 roku). Wszystko to stanowiło zapowiedź, że Thiers ma przed sobą „świetną” przyszłość, nie gorszą niż przeszłość Talleyranda; pracodawcą obydwu, zarówno zgrzybiałego potomka arystokratycznego rodu, jak i młodzieńca wywodzącego się z drobnej marsylskiej burżuazji, była ta sama klasa społeczna. Talleyrand służył burżuazji w okresie jej walki przeciwko szlachcie, Thiers służył jej w walce przeciwko proletariatu. Toteż Talleyrand — karierowicz, który zaszedł bardzo wysoko — witał w osobie Thiersa

drugiego karierowicza, któremu również zająć wysoko było sądzone, postawił bowiem „na dobrego konia”.

Jeśli jednak porównać tych dwóch ludzi, którzy pod wieloma względami tak bardzo różnili się od siebie, to trzeba stwierdzić, że dla Thiersa sprawa burżuazji była nie tylko sprawą kariery, lecz obchodziła go głęboko, sam był bowiem „bourgeois” od stóp do głów. Talleyrand natomiast, że się tak wyrazimy, tylko „na ochotnika” poszedł na służbę burżuazji, jak kondotier oddający za zapłatą swe siły klasie, która, jego zdaniem, zwycięży i lepiej zapłaci; sam zaś pozostał do śmierci — z przyzwyczajęń, zamiłowań i poglądów — staroreżymowym magnatem. I podobnie jak szekspirowski król Lear „był królem w każdym calu”, tak książę Talleyrand był w każdym calu arystokratą.

Dla Thiersa — tak samo jak dla Laffitte'a, Guizota, Périera — burżuazja była ukoronowaniem stworzenia, kwiatem ludzkości, a rewolucja lipcowa stanowiła wspaniałe ostateczne osiągnięcie, końcową kropkę postawioną przez łaskawą opatrność w księdze dziejów. W oczach zaś Talleyranda była burżuazja tą tylko klasą, dla której warunki najpomyślniej się układają w chwili, gdy jemu, Talleyrandowi, wypadło żyć i działać; dlatego też najwygodniej jest iść i pracować z tą klasą, a nie przeciw niej. Rewolucja zaś 1830 r. stanowiła z punktu widzenia politycznej filozofii starego dyplomaty jedynie epizod w historii Francji, po którym nastąpią we właściwym czasie inne epizody, być może prowadzące do zupełnie odmiennych, wyników. Ale o tych przyszłych wydarzeniach nie lubił Talleyrand dyskutować. Nie zapominał zresztą, że rozpoczął już dziewięty krzyżyk i że dla niego w każdym razie rewolucja lipcowa jest ostatnią, jaką mu było sądzone oglądać.

Na wiosnę 1838 roku, po posiedzeniu w Akademii, stan zdrowia 84-letniego starca znacznie się

pogorszył. Przed samą śmiercią na usilne prośby księżnej Dino powrócił na łono kościoła katolickiego i otrzymał rozgrzeszenie od samego papieża, przez co według poglądu wierzących miał ponoć uratować grzeszną swą duszą od szponów diabła, który już gotował się ją porwać. „Księżę przez całe swe życie oszukiwał Boga, a przed samą śmiercią nieoczekiwanie i bardzo sprytnie oszukał szatana” — takimi słowami, które później były kolportowane, określono to nieoczekiwane, zabawne „pogodzenie się” starego sceptyka, wolterianina i cynika, ekskomunikowanego niegdyś biskupa — z papieżem i kościołem,

17 maja 1838 król Ludwik Filip wraz ze swą siostrą księżniczką Adelajdą przybyli pożegnać umierającego, który zdumiewał wszystkich całkowitym spokojem i zdołał nawet bełkotliwą już mową skierować pod adresem Ludwika wytworny dworski komplement.

W kilka godzin po wizycie królewskiej księżę Talleyrand zakończył życie.

Spis treści

Wstęp.5
Talleyrand — dyplomata wczesnego okresu burżuazyjnego.10
I. Talleyrand w okresie „starego reżimu” i rewolucji.20
1. Talleyrand w okresie Konsulatu i Cesarstwa	84
Talleyrand i restauracja Bourbonów. Pokój paryski 30 maja 1814 r.153
Talleyrand na kongresie wiedeńskim. Sto dni. Wrzesień 1814 — czerwiec 1815.200
Talleyrand—Fouche. Drugi pokój paryski. 9 lipca — 24 września 1815.248
7. Talleyrand w stanie spoczynku. 24 września 1818 — 6 września 1830.268
Talleyrand w okresie monarchii lipcowej. Poielstwo w Anglii. Ostatnie lata. 6 września 1830 — 17 maja 1838.296
tródła i literatura	337
Skorowidz	343